

**Michael White**

# **Ekwinokcjum**

*(Exuinox)*

*Przekład Maciej Szymański*

**Dla Lisy, Indii, George'a, Noahaoraz Finna**

## Prolog

Oksford, 20 marca, 19. 36

Przecina przewód paliwowy w samochodzie dziewczyny, gdy ta delektuje się wczesną kolacją w domu przyjaciółki, a potem patrzy, jak benzyna wylewa się na asfalt i spływa w dół, coraz dalej od wozu, by wolno odparować.

Mijają minuty i wreszcie widzi ją, jak wychodzi z domu, wsiada do samochodu i przejeżdża może ćwierć mili wśród pól. W milczeniu przygląda się, jak bezwładny już pojazd zatrzymuje się na poboczu.

Wyłączywszy światła i stacyjkę, pozwala, by i jego wóz potoczył się jeszcze trochę i zatrzymał pięćdziesiąt jardów za nią. Nasłuchuje, gdy dziewczyna daremnie stara się uruchomić silnik.

Wysiada z samochodu i idzie niespiesznie poboczem, trzymając się z dala od światła księżyca, podążając za mozaiką ciem.

Ona jest ledwie sylwetką na tle cytrynowej poświaty, która rozlewa się na dachu "wozu, prześwieciliwszy gałęzie i listowie zawieszane nad drogą.

Plastikowe ochraniacze na jego butach z wilgotnym młaśnięciem zapadają się w miękką ziemię. Słyszy swój równy oddech, a ciepłe powietrze rytmicznie owiewa wewnętrzną stronę pleksiglasowej szybki zakrywającej jego twarz. Przyspiesza kroku.

Dziewczyna przestaje przekręcać kluczyk w stacyjce i zaczyna się rozglądać, ale nie widzi mężczyzny, który idąc w głębokim cieniu, zbliża się do jej samochodu.

On natomiast widzi, jak ona sięga po telefon komórkowy leżący gdzieś na fotelu pasażera. Jeszcze dwa kroki i jest u drzwi. Otwiera je i gwałtownie wpycha do kabiny rękę uzbrojoną w skalpel.

Dziewczyna krzyczy i wypuszcza telefon, który zsuwa się po jej ciele i ląduje na podłodze samochodu. Jednym płynnym ruchem mężczyzna pochyła się ku niej i unosi ramię. Pleksiglas zasłania jego twarz.

Dziewczyna zaczyna się trząść mimowolnie, z otwartymi ustami, oniemiała z przerażenia. Zanim zdobędzie się na krzyk, wolna dłoń napastnika z mocą przyciska się do jej warg. Ich twarze dzieli teraz ledwie kilka cali; zaatakowana widzi pod maską oczy o wielkich źrenicach.

Ból jest w pierwszej chwili ledwie ukłuciem, ale zaraz przybiera na sile i

ogarnia całą klatkę piersiową. Dziewczyna z niedowierzaniem dotyka ręką i czuje płyn, który wydobywa się z jej ciała i wsiąka w bluzkę. Metal ostrza zdaje się skrecać ku górze, do wnętrza szyi. Napiera, by przebić mózg.

Drgawki wstrząsają nią, gdy ryk wyrywa się z jej gardła, wybrzmiewa w martwym powietrzu i natychmiast gaśnie.

Następną rzeczą, która wydostaje się z jej ust, jest strumień krwi. Mgiełka czerwonych kropeł frunie ponad fotelem ku przedniej szybie wozu.

Kilka sekund później dziewczyna jest martwa.

## Rozdział 1

Stary przyjaciel, główny bibliotekarz James Lightman odprowadził Laurę Niven do drzwi Bodleian Library. W ciągu ostatnich trzech tygodni spotykali się bardzo często, może dlatego, że była to jej pierwsza wizyta w Oksfordzie od czterech lat. Razem zeszli po stopniach ku ulicy. Pocałowała go w policzek, a Lightman cofnął się o krok, trzymając dłonie na jej barkach, by przyjrzeć się jej raz jeszcze. Była wysoka i szczupła, miała na sobie szkarłatny żakiet o szerokich klapach, wyblakłe dzinsy i zamszowe pantofle. Jasne włosy upięła w luźny kok.

Lightman wolno i z uznaniem pokręcił głową.

– Cudownie było znowu cię zobaczyć, moja droga – powiedział. – Proszę, nie zwlekaj tak długo z kolejną wizytą, dobrze?

Jego skrzeczący głos był nadzwyczaj cichy, prawie jak szept.

Uśmiechnęła się, patrząc na jego pomarszczoną, dobrotliwą twarz. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że spogląda na sędziwego żółwia, którego skorupą jest Bodleian, siedziba jednej z najwspanialszych kolekcji książek na świecie. Położyła rękę na jego ramieniu, a potem odwróciła się i pokonała ostatnich kilka stopni. U podnóża schodów zatrzymała się jeszcze i obejrzała, lecz Lightmana już nie było.

Uwielbiała to miasto i kłuło ją w brzuchu na myśl o tym, że wkrótce ma wracać do domu. Oksford wsączył się w jej krew, gdy przed ponad dwudziestu laty mieszkała tu jako studentka. Stał się jej częścią, tak jak ona, na swój niepozorny sposób, stała się częścią jego – wielkiego i skomplikowanego gobelinu ludzkich losów, który był historią tego miasta.

Skręciła w Broad Street, minęła budynek Sheldonian Theatre i nie spojrzała na boki, wchodząc na jezdnię; młoda kobieta w todzie omal jej nie przejechała, pedałowując zawzięcie na zdezelowanym czarnym herculesie. Uniknęła kolizji w ostatniej chwili, skręcając ostro i dzwoniąc donośnie. Laura z rozbawieniem patrzyła za rowerzystką oddalającą się w stronę St Giles; dwadzieścia lat temu sama celowo straszyla w taki sposób amerykańskich turystów.

Pomyślała, że być może popada w banalną tęsknotę za młodością, ale tak naprawdę nie tylko jej przeżycia, nie tylko własne nitki w gobelinie sprawiały, że kochała to miejsce. Chodziło... no właśnie, o co? Co takiego kochała? Nie potrafiła tego zdefiniować, tak jak nie sposób opisać spraw tak zagadkowych, jak honor, altruizm czy sentymentalność.

Jako studentka uwielbiała opowieści o dawnych dziejach Oksfordu. Na

pierwszym roku pisała nawet długie listy do przyjaciół z Illinois i Karoliny Południowej, a także z rodzinnej Kalifornii, w których relacjonowała to, co zasłyszała. Chlubiła się tym miejscem, bo czuła, że jest jego częścią. Oksford stał się dla Laury miastem marzeń, nadrealną krainą obdarowującą przybyszów niezrównanym bogactwem i powietrzem świeższym niż w innych stronach. Był, myślała, przechodząc przez St Giles w drodze do restauracji, w której miała się stawić o dwudziestej trzydzięci, po prostu miejscem, dla którego warto żyć.

Wizja Oksfordu, która w tym samym momencie jawiła się Philipowi Bainbridgeowi, była zgoła odmienna. Jechał do centrum z domu w Woodstock, leżącym piętnaście mil od murów starego miasta, by zabrać swoją córkę Joannę z jej pokoju w St Johns College przy St Giles. W tym czasie miał okazję doświadczyć tego, co w Oksfordzie najgorsze. Najpierw na dwupasmowej szosie zajechał mu drogę zardzewiały rover 216 wiozący trzech nadpobudliwych młodzików z Blackbird Leys, rozległego getta rozciągającego się ledwie kilka mil od baśniowych wież starego miasta. Potem, na światłach, nawrzeszczał na niego kierowca mini metro, któremu podobno zajechał drogę na dojazdówce do szosy. Kilka chwil później, gdy ruszał spod świateł na kolejnym skrzyżowaniu, jakiś pijak – wlażł na Banbury Road tuż przed maską jego wozu. A przecież nie było jeszcze nawet pół do ósmej!

Jednak Philip przywykł do tego. Kochał to miasto ze wszystkimi jego wadami, odkąd przybył tu w 1980 roku, by studiować filozofię, politologię i ekonomię w Balliol College. Teraz, ponad ćwierć wieku później, nie umiał sobie wyobrazić życia – w jakimkolwiek innym miejscu na Ziemi. Zawsze wychwalał to miasto, twierdząc z pełną powagą, że gdyby Oksford miał śródziemnomorski klimat, byłby nazywany Skończonym Rajem, i że chętnie spędziłby w nim całą wieczność.

A przecież słowa te padały z ust człowieka, który mnóstwo czasu spędzał, kontemplując – a raczej będąc do tego zmuszonym – mroczniejsze sprawy tego miasta. Philip pracował od lat jako niezależny fotograf, ostatnio zaś zawdzięczał większość swych przychodów dobremu układowi z Policją Doliny Tamizy, dla której dokumentował miejsca zbrodni. Trudniąc się tym, napatrzył się na oceany krwi i był świadkiem skrajnego cierpienia. Dlatego też wiedział, że w głębi serca, w swej ludzkiej duszy, Oksford jest taki sam jak południowo-środkowe Los Angeles czy londyński East End. Wciąż kochał to miejsce, lecz miał świadomość, że podobnie jak inne zakątki śmiertelnego świata, w każdym ze swych boskich pierwiastków Oksford jest zabarwiony krwią i substancją szarą wielu ofiar.

Rozumiał, że tak jest i tak być musi, czy to w Venice Beach, czy przy Ósmej Alei, czy przy The High w letni, angielski wieczór.

Philip zaparkował przy St Giles i pobiegł do portierni St Johns College, gdzie czekała na niego Joanna. Wyglądała oszałamiająco, jak postać z obrazu Arthura Rackhama, ubrana w wyblakłe dżinsy i skórzaną kurtkę od Ralpha Laurena. Jej rudawe włosy opadały na ramiona kaskadą naturalnych, gęstych loków. Miała oczy w kolorze palonego drewna, bladą cerę, wysokie kości policzkowe i pełne usta.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Zdażyłam już cię poznać od tej strony, tato – odpowiedziała z uśmiechem Joanna. Miała odrobinę schrypnięty głos, jakby cierpiała na chroniczne przeziębienie. Potrafiła przełamać nim obronę każdego mężczyzny, który oparłby się jej urodzie.

Philip wzruszył ramionami i podał jej rękę.

– I dobrze. To co, gotowi na kolację z matką?

– W rzeczy samej – odparła, chichocząc.

Ruszyli w dół St Giles.

– Powiedz no, nie tęsknisz za Nowym Jorkiem? – spytał Philip.

– Jeszcze nie.

– Niewiele mówisz o dawnym życiu.

– Raczej nie ma o czym. A poza tym, tato, „o dawnym życiu” brzmi dziwnie. Jak długo tu jestem? Sześć miesięcy?

– A mam wrażenie, jakbyś była całe życie.

– Wielkie dzięki! – Odwróciła się ku Philipowi z otwartymi ustami.

– Zamknąłbym je na twoim miejscu.

Joanna potrząsnęła głową, naburmuszona.

– Dobrze mi tu – powiedziała po chwili. – W Greenwich czułam się... Sama nie wiem... Może trochę klaustrofobicznie? Było miło, ale pojawił się syndrom mieszkama-zbyt-małego-dla-nagle-sławnej-matki-pisarki-i-jej-nastoletniej-córki.

– Tak, to dość powszechna choroba społeczna. Cieszę się, że nie jestem w grupie ryzyka. To chyba jedna z korzyści bycia zatwardziałym kawalerem.

Joanna spojrzała na niego sceptycznie.

– Tak sądzisz? Ale chyba nie warta więcej niż – wady tego stanu? Mówiłam ci już, że moją misją, zanim opuszczę te święte okolice, jest znalezienie ci porządnej kobiety. Takiej, która się tobą zaopiekuje.

– Och, proszę cię... Naprawdę sądzisz, że powinienem utyć? – Philip poklepał się po niezbyt wydatnym brzuchu.

Przeszli na drugą stronę ulicy i minęli stary Ouaker Meeting House. Chodnik był wąski; po prawej mieli jezdnię, a po lewej rzędy metalowych stojaków, do których umocowano kłódkami wysłużone rowery. Po chwili minęli ulicznego artystę, który zaanektował kawałek chodnika, by popisywać się nieudolną żonglerką pomarańczami.

– Macie drobne? – wybełkotał z nadzieją, gdy przechodzili obok.

Od Laury, która czekała na nich przed restauracją Browns, dzieliło ich jeszcze dwadzieścia jardów.

Talerze były już puste, a kelnerka napełniła kieliszki winem. Laura, która bez przekonania przeglądała listę deserów, upiła mały łyk. Siedzieli w pobliżu drzwi, które otwierały się raz po raz, ukazując fragmenty kontrolowanego chaosu panującego w kuchni. Z kąta sali zarezerwowanego dla palących płynęły smugi dymu, a gwar rozmów mniej więcej setki gości spletał się z ledwie słyszalnym acid jazzem dochodzącym z głośników.

– Będzie nam ciebie brakować, Lauro – powiedział Philip znad kieliszka, po czym spojrzał najpierw na małżonkę, a potem na córkę.

Czas spędzony w Oksfordzie minął błyskawicznie i następnego ranka miała lecieć z powrotem do Nowego Jorku. Tęskniła już za swym schludnym i przestronnym mieszkaniem w Greenwich Village, ale jednocześnie jakaś część duszy nakazywała jej zostać tu, nie wracać. Wiedziała, że równie mocno będzie tęsknić za Oksfordem i dwojgiem ludzi, którzy znaczą dla niej; najwięcej na świecie: Philipem i Joanną.

– Na pewno niedługo do was wrócę – odpowiedziała, wsuwając kosmyki jasnych – włosów za prawe ucho. – Przede wszystkim po to, żeby jej dopilnować – dodała, spoglądając przelotnie na Joannę.

– Akurat potrzebne mi dogłębne – stwierdziła dziewczyna, rzucając matce żalosne spojrzenie.

– Za bezpieczną podróż – powiedział Philip, unosząc kieliszek.

Jo powtórzyła toast, ale zaraz zerknęła na zegarek i zaczęła podnosić się z krzesła.

– Mamo, strasznie mi przykro, ale muszę już lecieć. Dziesięć minut temu miałam się spotkać z Tomem – wyjaśniła.

– Nie ma sprawy – odparła Laura. – Leć. I pozdrów ode mnie swojego kochasia.

Ignorując zaczepkę, Joanna nadstawiła policzek Philipowi.



– Zobaczmy się rano. Muszę przecież sprawdzić, czy spakowałaś bilet i paszport – rzuciła ze złośliwym uśmiechem, obracając się do Laury, po czym ruszyła w stronę wyjścia krętą ścieżką między blisko ustawionymi stolikami.

Patrzyli za nią, aż stanęła w drzwiach, by pomachać im na pożegnanie. Po chwili odwrócili się ku sobie, pochyleni nad stołem i wsparci na łokciach. Laura wtuliła policzki w rozłożone dłonie. Rozglądając się po sali, rozmyślała o tym, jak często spotykali się w Browns. W czasach studenckich bywała tu regularnie. To tu przyszli z Philipem na swą pierwszą randkę, tu także powiedziała mu, że jest w ciąży. Uwielbiała niezmienny wystrój tego lokalu – kremowe ściany, stare lustro, błyszczące dębowe podłogi i ogromne palmy. Nieomal widziała młodszą siebie przy sąsiednim stoliku, wpatrzoną w oczy równie odmłodzonego Philipa.

– I jak, opłaciła ci się ta wyprawa? – spytał Philip po chwili milczenia. – Znalazaś to, czego szukałaś?

Upiła jeszcze łyk wina, odstawiła kieliszek i zaczęła gładzić chłodne szkło, w zamyśleniu wpatrując się we wzory, które światło wyczarowywało w czerwonym płynie.

– I tak, i nie – odpowiedziała i westchnęła. – Ale szczerze mówiąc... raczej nie. Czuję, że utknęłam w ślepej uliczce.

– Tak?

– Wiesz, zdarza się.

– Czy to znaczy, że straciłaś czas?

– Nie – odparła z naciskiem. – To znaczy, że będę musiała pracować jeszcze ciężiej. Chodzi o to, że pomysł nie jest za dobry – dodała po chwili. – Chyba go porzucę.

Philip spojrział na nią zaskoczony.

– Przecież brzmiało to tak obiecująco...

– Owszem, ale z pisaniem tak już jest. Czasem człowiek myśli, że temat zagra, a potem okazuje się, że jest całkiem inaczej.

Po latach ciężkiej pracy dziennikarskiej w Nowym Jorku i po napisaniu kilku powieści, które kolejno robiły klapę, przed rokiem Laura wreszcie pociągnęła za właściwe sznurki i miała w ręku prawdziwy bestseller. *Restytucja* była thrillerem historycznym, którego akcja toczyła się w siedemnastowiecznym Nowym Amsterdamie. „New York Times” nazwał tę powieść błyskotliwą. Zdobyła też Nagrodę White Rose i sprzedała się na tyle dobrze, że Laura mogła wreszcie porzucić stałą pracę. Media natychmiast zainteresowały się nową postacią na rynku, a zwłaszcza jej urodą oraz dotychczasową karierą dziennikarki

specjalizującej się w pisaniu reportaży o najstraszniejszych zbrodniach Nowego Jorku. Zdając sobie sprawę, że to życiowa szansa, Laura z miejsca zabrała się do pracy nad kolejnym projektem, powieścią osadzoną w realiach czternastowiecznego Oksfordu, w której autentyczna postać, teolog i matematyk Thomas Bradwardine, bierze udział w skomplikowanym spisku na życie króla Edwarda II.

– A co z twoim tajemniczym mnichem Bradwardineem?

– Wciąż mnie interesuje, chociaż, nawiasem mówiąc, Philipie, nie był zakonikiem – odparła z uśmiechem. – Problem w tym, – że zdałam sobie sprawę, że on nie mógłby się wplątać w spisek przeciwko królowi. To nie ten typ. Był zagadką, może i po części geniuszem. Człowiekiem głęboko religijnym, najwybitniejszym matematykiem swoich czasów, a także arcybiskupem Canterbury, ale z całą pewnością nie Rambo. Zresztą nic wielkiego się nie stało. Nie zaszłam zbyt daleko. Jest wiele innych historii, które mogę wziąć na warsztat. Leżą sobie i czekają, aż ktoś po nie sięgnie. Przypuszczam nawet, że i Bradwardine pewnego dnia powróci. Po prostu odkładam go na później.

– Zabrzmiało to jak moja kwestia – przyznał Philip.

– Cóż... Możliwe, że przez te wszystkie lata zbyt surowo oceniałam twoje słabostki – powiedziała Laura.

Wzięła jeszcze łyk wina, usadowiła się – wygodniej na krześle i, rozkoszując się owocowym smakiem na języku, spojrzała na Philipa. Gdy się odwrócił, by przywołać kelnera, popatrzyła na jego profil i zdumiało ją, jak niewiele się zmienił przez tych z górą dwadzieścia lat. Naturalnie, w jego gęstwinie ciemnych loków pojawiły się siwe pasma, twarz stała się bardziej krągła, a oczy bardziej zmęczone. Jednak na jego ustach wciąż trwał znużony światem uśmiech, który tak ją pociągał, gdy Philip miał dwadzieścia dwa lata. Nie zmieniły się też zniewalające brązowe oczy.

Tak często o nim myślała, żyjąc na drugim końcu świata. I tak długo się nie widzieli, że ledwie mogła uwierzyć, że siedzą teraz razem w zatłoczonej restauracji, słuchając bębnienia kropel deszczu o szyby w masykotowym blasku ulicznych latarni.

Spoglądając dziś na niego, dobrze wiedziała, dlaczego go pokochała, dlaczego oddała mu się tak, jak nikomu przedtem ani potem. Na chwilę ogarnęło ją nawet zdumienie, że w ogóle mogła od niego odejść.

– Kawy?

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Halo! Kawy?

Kelner czekał przy stoliku, a Philip machał ręką przed jej oczami.

– Co? A, tak... Przepraszam. Bezkofeinową ze śmietanką. Dziękuję.

– Byłaś daleko stąd. Czyżby w krainie Bradwardinea i Plantagenetów?

– Chyba – skłamała.

– Co dalej? – spytał, gdy kelner odszedł.

– W tej chwili naprawdę nie mam pojęcia. Ale na pewno coś wymyślę. – Celowo unikała tematu, a Philip o tym wiedział. I właśnie zamierzał skuteczniej pokierować rozmową, gdy zadzwonił jego telefon.

– Philip Bainbridge – rzucił. – Tak... Tak.

Laura pomyślała, że rozmawiając przez telefon, jest bardziej oschły niż zwykle.

– Dobrze. To jedynie milę, może dwie stąd. Mogę być na miejscu za... piętnaście minut. Tak? W porządku. – Zamknął telefon.

– Jakiś problem?

– Nie, tylko utrapienie... Dzwonili z posterunku. Chcą, żebym zrobił zdjęcia w pobliżu The Perch. Nic więcej nie powiedzieli. Przykro mi, ale chyba musimy poprosić o rachunek.

## Rozdział 2

Philip nie miał dość czasu, by najpierw odwiedzić Laurę do domu. W jego trzydziestoletnim mgb było tak zimno, że Laura z ulgą powitała widok błyskających niebieskich świateł. Zjechali na pobocze i po krótkiej jeździe błotnistym gruntem zatrzymali się dziesięć jardów od rzeźnicy oświetlonego, prostopadłościennego, białego namiotu o boku długości może piętnastu stóp, który rozstawiono nad miejscem zbrodni.

Philip wyłączył silnik. Laura wpatrywała się w brudną szybę, za którą reflektory cięły nieruchomą czerń nocy. Postać w białym kombinezonie z zielonym napisem „Zakład Medycyny Sądowej” na plecach minęła samochód, zmierzając w stronę namiotu. Uchyliła foliową klapę i zniknęła w środku. Przez moment za ścianą majaczyła jeszcze rozmyta sylwetka, ale po chwili skurczyła się, jakby z każdym krokiem zapadała się głębiej w grząski grunt.

Philip otworzył drzwi i wysiadł.

– Lauro, obawiam się, że będziesz musiała poczekać tutaj – powiedział, pochylając się i zaglądając do środka. – Wstęp tylko dla policjantów.

Obszedł samochód i zatrzymał się przy bagażniku. Wyjął zeń solidną skórzaną torbę ze sprzętem fotograficznym i zarzucił sobie na ramię. Grzebiąc w niej, wrócił do drzwi mgb i wyjąwszy obiektyw do cyfrowego nikon, znowu pochylił się nad oknem.

– Nie masz nic przeciwko? – spytał. – Tam w środku raczej nie będzie przyjemniej.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i odszedł.

Siedziała w samochodzie jeszcze parę minut, nim zwyciężyła w mej ciekawość. W końcu stanęła w błocie i pomaszerowała w stronę klapy namiotu. Nikt jej nie zatrzymał. Pomyślała, że tylko zerknie do środka. Uchyliła nieznacznie foliową płachtę i zajrzała, ale zobaczyła jedynie plecy dwóch policjantów i eksperta kryminalistycznego, który kucnął właśnie, by podnieść pincetą jakiś przedmiot i umieścić go w przezroczystym woreczku. Tuz za nim stał mały, czerwony, ochlapany błotem samochód z otwartymi drzwiami.

Laura zasłoniła szczelinę i na palcach ruszyła wzdłuż bocznej ściany namiotu. Po chwili zauważyła drugie wejście. Przykucnęła i zbliżyła oko do wąskiego otworu. Teraz miała czerwony samochód ledwie kilka stóp od siebie i dobrze widziała jego wnętrze przez szeroko otwarte drzwi.

Na tylnym siedzeniu leżały zwłoki młodej kobiety. Miała szeroko rozpostarte ramiona i nogi oraz odrzuconą do tyłu głowę, a jej otwarte oczy wpatrywały się martwo w dach wozu. Miała na sobie prostą bluzkę i spódnicę – jedno i drugie przesiąknięte krwią. Cera dziewczyny była tak blada, jakby cała krew odpłynęła z jej ciała; wszelką barwę odbierało jej też intensywne światło stojących w namiocie reflektorów. Jasna tapicerka zbryzgana była krwią. Roje kropel – widać było nawet na szybach i na desce rozdzielczej.

Dziewczyna była bardzo młoda; mogła mieć tyle lat co Jo. Musiała być bardzo ładna – jej długie, jasne włosy były rozrzucone efektownie na półce za siedzeniem, tyle że przywierały do ramion pod ciężarem krwi. Głębokie, czerwone nacięcie znaczyło jej gardło od ucha do ucha, drugie zaś ciągnęło się od szyi aż po pępek. Klatka piersiowa została otwarta, a rozchylone zebra sterczały na boki.

Laura wstała. Od dawna była pewna, że widziała już wystarczająco dużo miejsc zbrodni, by uodpornić się na takie widoki, lecz tym razem nagle poczuła falę mdłości i przez moment myślała, że zwymiotuje. Wmówiła sobie jednak, że po prostu podniosła się zbyt szybko. Wciągała powietrze łapczywymi haustami, czekając, aż przykre wrażenie ustąpi. Była odporna, a mimo to czuła, że wspomnienie tego widoku nieprędko ją opuści. Wyprostowała się i już miała ruszyć do samochodu, gdy tuż za jej plecami odezwał się męski głos.

– Dobry wieczór.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła młodego policjanta, który przypatrywał się jej z uwagą. O dziwo, pomyślała najpierw o tym, jak fatalnie musi wyglądać, bo czuła, że ma zimną i bladą skórę. Krew odpłynęła jej z twarzy, a na czole lśniły krople potu.

– Ja...

– Proszę ze mną – powiedział funkcjonariusz, biorąc ją pod ramię.

Gdy weszli do namiotu, przywołał stojącego opodal policjanta w cywilnym ubraniu. Widok wnętrza samochodu, odległego teraz ledwie o kilka jardów, zahipnotyzował Laurę.

– Witam – odezwał się oficer, lustrując ją wzrokiem. – Co panią sprowadza w to miejsce w tak paskudną, zimną noc?

Laura właśnie miała odpowiedzieć, gdy Philip zauważył ją, opuścił aparat i westchnął ciężko.

– Cholera – mruknął, ruszając w jej stronę. – Inspektorze Monroe – rzekł, starając się nie zwracać uwagi na spojrzenie Laury – to moja przyjaciółka, Laura Niven.

John Monroe był wysokim, barczystym i muskularnym mężczyzną. Miał na sobie niedopasowany brązowy garnitur i krawat jakby musztardowej barwy, pamiętający znacznie lepsze czasy. Zapewne niedawno przekroczył czterdziestkę, ale już praktycznie wyłysiał, jeśli nie liczyć podgolonych niemal na zero ciemnych włosów po obu stronach głowy. Swego czasu był obiecującym sprinterem, teraz jednak nie dbał już o formę. Miał dużą głowę i krótką, grubą szyję. Najbardziej przykuwającym uwagę elementem jego powierzchowności – i zapewne jedynym uchodzącym za względnie atrakcyjny, zwłaszcza na tle dość żalostnej reszty – były duże, czarne oczy, w których można się było dopatrzeć znamion inteligencji i twardego charakteru, ale z pewnością nie łagodności czy humoru.

– Ach, przyjaciółka, panie Bainbridge – powiedział klasycznym barytonem z mroczną domieszką nawykowego sarkazmu.

– Tak. Przepraszam pana, ale prosiłem ją...

– Philipie, na miłość boską – przerwała mu niecierpliwie Laura. – Może nie zauważyłeś, ale umiem mówić i nie jestem jakimś cholernym dzieckiem. – Odwróciła się w stronę Monroe, który przez sekundę sprawiał wrażenie zaskoczonego tym wybuchem – Panie...

– Detektywie główny inspektorze.

– Detektywie główny inspektorze... Monroe? Przepraszam. Philip kazał mi poczekać, a ja byłam...

– Ciekawska?

– Tak, chyba...

– Oczywiście zdaje sobie pani sprawę, pani Niven, że to miejsce zbrodni, i to wyjątkowo odrażającej. Osoby postronne...

– Panie inspektorze, ręczę za Laurę – wtrącił Philip. – Myślę, że wie, że nie powinna nam przeszkadzać, ale...

Bainbridge urwał, gdy odezwał się jeden z ekspertów w białych kombinezonach.

– Panie inspektorze? Chyba powinien pan na to spojrzeć.

Monroe odwrócił się i zrobił dwa kroki w stronę samochodu. Philip popatrzył na Laurę spode łba i już miał jej coś powiedzieć, gdy, ku jego niesmakowi, ruszyła za detektywem.

– Znalazłem to w ranie – wyjaśnił ekspert, unosząc między kciukiem a palcem wskazującym zakrwawioną monetę.

Monroe zważył ją w rękę i uniósł do światła. Laura zdążyła przyjrzeć jej się uważnie, zanim cofnęła się o krok, skarcona surowym – wzrokiem detektywa.

Moneta miała rozmiar ćwierćdolarówki i zdobiła ją pięknie uchwycona scena z pięcioma kobietami w długich szatach trzymającymi wysoko okrągłą misę.

– Wygląda na szczerozłotą – powiedział ekspert. – Ale będziemy musieli upewnić się w laboratorium.

Monroe delikatnie umieścił monetę w plastikowym woreczku, odwrócił się i popatrzył na Laurę, która stała nie dalej niż dwie stopy od niego. Po chwili obrzucił Philipa kwaśnym spojrzeniem.

– Panie Bainbridge – powiedział, odsuwając palcem kołnierzyk od szyi – jeśli już pan skończył, może z łaski swojej odprowadziłby pan przyjaciółkę do samochodu i odwiózł do domu?

– Dobranoc, detektywie – rzuciła Laura, gdy Monroe obracał się na pięcie. – Miło było pana poznać.

### Rozdział 3

Coś ty sobie myślała, do ciężkiej cholery?! – wrzeszczał Philip. Laura nie pamiętała, by kiedykolwiek był tak wściekły. – Nie rozumiesz? Za takie rzeczy mogą mnie wywalić z roboty!

Nagle zrobiło jej się głupio, ale nie przestała grać obrażonej.

– Na miłość boską, Philipie, uspokój się wreszcie. Przecież ja tylko zajrzałam do namiotu przez dziurkę. To ten gliniarz pogorszył sprawę, wprowadzając mnie do środka.

Philip popatrzył na nią bez słowa, po czym znowu wbił spojrzenie w jezdnię.

– Wiesz, czasem...

– Co?

– To, co zrobiłaś, było nielegalne, ot co! Miejsce zbrodni nie jest otwarte dla postronnych, póki policja nie ogłosi, że jest. I cholernie dobrze o tym wiesz, Lauro.

– Dobrze już, dobrze... Przepraszam. Przeprosiłabym wcześniej, tylko jakoś nie dano mi szansy.

– Masz szczęście, że Monroe był zajęty.

– To prawda.

Milczeli dłuższą chwilę.

– A tak w ogóle, co myślisz o tej sprawie?

– Nie wydaje mi się, Lauro, żebym miał prawo o tym rozmawiać.

– Dajże spokój, przecież to ja, pamiętasz?

Philip wciąż patrzył na drogę. Laura zauważyła, że zaciska szczęki.

– Więc tak to będzie? Zamykasz się przede mną tylko dlatego, że zламаłam przepisy?

Nadal ją ignorował.

– Typowe – mruknęła ze złością.

W tym momencie Philip zahamował ostro i jednym płynnym ruchem skierował wóz na pobocze. Zostawił silnik na jałowym biegu i obrócił się ku niej.

– Posłuchaj no – powiedział gniewnie. – Bardzo cię kocham, ale od czasu do czasu jesteś najbardziej irytującą i arogancką suką.

Otworzyła usta, by zaprotestować.

– Nie, choć raz to ty mnie wysłuchaj – uprzedził ją, podnosząc głos. – To moje życie. Ty odfruniesz sobie jutro do Nowego Jorku, żeby zagrzebać się w książkach i prywatnych sprawach, a ja muszę spotykać się z tymi ludźmi parę razy w



tygodniu. Zęby zarobić na chleb. Taką mam pracę. Tylko ze szacunek dla takich spraw nigdy nie był twoją mocną stroną, prawda?

– Co takiego?!

– To, co powiedziałem. Szacunek nigdy nie był twoją mocną stroną. Zawsze robiłaś to, na co miałaś ochotę. Przychodziłaś i odchodziłaś, kiedy chciałaś. – Urwał, nagle żałując, że powiedział tak wiele. Zdał sobie sprawę, że gniew, który go ogarnął, ma tylko trochę wspólnego z tym, co się wydarzyło na miejscu zbrodni, a znacznie więcej z ich przeszłością. Tym razem milczenie trwało dłużej.

– To naprawdę nie w porządku – odezwała się w końcu Laura. – Mówisz tak, jakbym tylko ja decydowała. A jeśli masz na myśli Joe i to, co postanowiliśmy zrobić, Philipie, to powinieneś pamiętać, że decydowaliśmy wspólnie.

– Czyżby? – odpowiedział nieco spokojniej. – Twierdzisz, że miałem na to wpływ? Ze zostałabyś z nią w Anglii, gdybym cię o to poprosił? Nie wydaje mi się.

Laura nie wiedziała, jak odpowiedzieć. To proste, byli smarkaczami. Pochodziła z rozbitej rodziny – jej matka, Jane, grała w filmach klasy B i miała za sobą odwyk oraz życie w komunie w San Luis Obispo, ojciec był jednym z najlepszych prawników w Los Angeles. Była ambitna i pełna marzeń, gdy jako stypendystka Rhodes Scholarship przybywała do Oksfordu, by w Magdalen College studiować historię sztuki.

A potem zaszła w ciążę, zanim zdążyła ukończyć studia; ostatnim egzaminom towarzyszyły poranne mdłości. Gdy inni pili szampana z butelek, oblewając pożegnalną sesję, Laura – wróciła do domu, zęby jeszcze trochę popłakać i zwymiotować. Przyznała się matce, że jest w ciąży, kiedy rodzice przylecieli na uroczystość promocyjną. Jane Niven przyjęła prawdę ze stoickim spokojem i nawet nie próbowała popychać córki w którymkolwiek kierunku. Od dawna zmagала się z własnymi demonami i ciąża Laury w wieku dwudziestu jeden lat nie zrobiła na niej – wielkiego wrażenia. Teraz Laura przypuszczała, że na tym po części polegał jej problem: niewykluczone, że byłoby dla niej lepiej, gdyby ktoś pomógł jej wówczas podjąć właściwą decyzję.

Philip starał się zachowywać jak dorosły, ale sam był niemal jeszcze dzieckiem. Wprawdzie skończył studia rok wcześniej, ale wciąż mieszkał w wynajętym pokoju i z trudem utrzymywał się z fotografowania ślubów i małych dzieci, marząc o wystawach własnej twórczości, na które musiał czekać dziesięć lat. Był splukany i niedojrzały, a w dodatku nie miał pojęcia, co robić. Gdy pojawiło się dziecko, Laura zastanawiała się, czy nie pozostać w Anglii i nie znaleźć tu pracy. Być może jakoś ułożyłaby sobie życie z Philipem, ale intuicja podpowiadała jej, że nie byłoby

ono zbyt szczęśliwe. Zanim – więc Jo skończyła sześć miesięcy, Laura podjęła decyzję o powrocie do Ameryki.

Pozostali jednak przyjaciółmi, a Philip odwiedzał córkę, gdy tylko mógł. Kiedy Laura zaczęła pracować w „New York Post” jako reporterka działu spraw kryminalnych, zarabiała na tyle dobrze, by pozwolić sobie na kilka podróży z Joanną do Anglii. Po trzech latach wyszła za męża. Jej nowy partner, Rod Newcombe, był dokumentalistą z ambicjami; planowali pracować razem nad serialem o autentycznych zbrodniach. Był dobry dla Jo, która pokochała go szybko, i przez krótki czas stanowili szczęśliwą rodzinę. Jednak w 1994 roku Rod pojechał do Rwandy i wrócił w plastikowym worku. Siedmioletnia Jo nie mogła pojąć, co się stało z jej ojczymem i dlaczego został po nim tylko obraz na taśmie wideo.

I dla Laury był to zły czas. Była wciąż nowicjuszka w branży reportażu kryminalnego i nie przywykła jeszcze do okropności, z którymi obcowała praktycznie każdego dnia. Po tym, jak opisała przypadek prostytutki, która najpierw odgryzła klientowi penisa, a potem strzeliła sobie w głowę, musiała szukać wsparcia w cotygodniowych sesjach terapeutycznych i lekach antydepresyjnych.

W końcu jednak trudna faza dobiegła końca i Laura przyzwyczała się do brutalnej rzeczywistości zajęcia, które pozwalało jej się utrzymać. Mimo to często żałowała wyborów, których dokonała w przeszłości, i ilekroć spotykała się z Philipem, uświadamiała sobie na nowo, jak odmiennie mogło się potoczyć jej życie i jak bardzo go kochała. Ale rozumiała też, że oddalają się od siebie z każdym rokiem i że z każdym rokiem trudniej jest choćby wyobrazić sobie alternatywną rzeczywistość, w której mogliby zamieszkać we troje pod jednym dachem.

Teraz już całkiem poważnie żałowała tego, co zrobiła na szosie. Przez chwilę to zachowanie i słowa wydały jej się dziwnie charakterystyczne – były przejawem postawy, którą przyjęła w ostatnim dwudziestolecu, przebłyskiem wszechświata negacji, który stworzyła na własny użytek. Ogarnął ją przemożny smutek; ledwie powstrzymywała łzy. Nie знаła odpowiedzi na pytanie Philipa. Czy postąpiłaby inaczej?

Wzięła głęboki wdech.

– Przepraszam, Philipie – powiedziała. – Byłam nierozsądna.

Spoglądał na nią w milczeniu kilka sekund. Rozumiał, dlaczego jego pytanie zawisło w powietrzu. W końcu sam nie znał na nie odpowiedzi. Podejrzywał, że Laura pragnęła czasem, by sprawy ułożyły się inaczej. Wiedział w każdym razie, że sam tego pragnął, choć rzadko przyznawał się do tego – nawet przed sobą. A

kiedy już roztrząsał dylematy z przeszłości, natarczywy wewnętrzny głos kończył niemą dyskusję logicznym argumentem: jest już za późno, a co się stało, to się nie odstanie.

Uśmiechnął się nagle.

– Cóż, Monroe jakoś to przeżyje. Dobry z niego glina, tylko bywa cholernie nadęty.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Wrzucił bieg i samochód wrócił na jezdnię.

– To co, powiesz mi, co wiesz?

Philip westchnął ciężko, ale gniew zdążył już go opuścić.

– Na Boga, kobieto, czy ty nigdy nie odpuszczasz?

– Nie – odparła z uśmiechem Laura. – Zwykle nie.

– Szczerze mówiąc, wiem niewiele więcej niż ty. Dziewczyna miała około dwudziestu lat i wracała od przyjaciółki. Zginęła między siódmą a ósmą trzydzieści wieczorem. Znalazł ją facet spacerujący z psem. Najbliższy dom stoi kilkaset jardów od miejsca zbrodni. Nikt niczego nie słyszał ani nie widział.

– Ale te rany... – zaczęła Laura i urwała w pół zdania. – Prawie piętnaście lat pisałam o ciężkich przestępstwach, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

– Fakt, nieładne.

– Do nieładnych rzeczy to ja przywykłam: prostytutki z językami uciętymi przez klientów, głowy rozniesione serią z pistoletu maszynowego, takie tam... Ale tej dziewczynie ktoś wyciął serce, na miłość boską! Starannie, jak chirurg.

– Wiem, robiłem zdjęcia.

– Moim zdaniem ta zbrodnia zdecydowanie różni się od typowych morderstw w tych stronach, Philipie. Jest bardziej... Bo ja wiem? Rytualna.

– Może – zgodził się Bainbridge, nie odrywając wzroku od szosy. – Nie jestem gliną.

– A ta moneta? – odezwała się Laura po chwili milczenia. – Co miała znaczyć?

– Skąd to nagle zainteresowanie? – odparował niecierpliwie Philip.

– Sama nie wiem. Zdaje się, że w głębi serca wciąż jestem tropicielką złoczyńców.

## Rozdział 4

Wiatr wył i grzechotał oknami w jej pokoju w domu Philipa, gdy raz po raz zapadała w niespokojny sen i budziła się, by zaraz powrócić do tej samej wizji, która prześladowała ją w nocie takie jak ta: raczej rozmytego, dalekiego wspomnienia niż sennego koszmaru.

Zaczęło się to, gdy leciała nad Los Angeles. Była noc, a Laura przybywała z wizytą do rodziców, wkrótce po przeprowadzce z Anglii do Nowego Jorku. Samolot mknął już nad przedmieściami; pilot właśnie oznajmił, że będą podchodzić do lądowania na LAX. Dziesięć minut później mieli pod sobą samo miasto, a maszyna wolno odbijała na północ, lecąc równoległe do wybrzeża. Laura spojrzała w dół, na światła. Widziała miasto, rozświetlone jak galaktyka, jak jedno z tych niesamowitych zdjęć z teleskopu Hubblea. Każdy samochód był gwiazdą, każdy dom małym układem planetarnym, systemem słonecznym światel. W zanieczyszczonym powietrzu świetliste punkty rozmywały się i drżały.

To nie był jej pierwszy lot – pokonywała tę trasę co najmniej dziesięć razy, ale nigdy nocą. Widok był niesamowity. A potem zobaczyła coś jeszcze. Wpatrywała się w elektryczne światła, symbol buntu, środkowy palec ludzkości wytknięty w stronę bogów, czystą hucpę: drogę numer 405 i milion sunących po niej wozów. Tyle że z wysokości trzech tysięcy stóp droga wcale nie przypominała drogi. Nie było ani barierek, ani asfaltu, ani linii – jedynie czarne pasmo między strumieniami światel. I plamki sodowych lamp, które nie mogły być przecież samochodami, a może? Stały się bezcielesnymi punktami jasności poruszającymi się z własnej woli, po prostu światłami. Właśnie wtedy pojawiła się uderzająca wizja całości, większego obrazu – gdy Laura patrzyła na długie korowody światel sunące zwartymi kolumnami, po sześć w każdą stronę, kropka za kropką, w jednym tempie. Na moment stały się metalowymi pojemnikami niosącymi Staną, Jima czy Tabathę do domu, do małego Jimmyego, do Dorothy albo Delores. Małe światełka stały się bąbelkami człowieczeństwa, kokonami wypełnionymi muzyką z samochodowego radia. Były, przynajmniej w oczach Laury, kłębkami myśli, pragnień, namiętności i wspomnień, zmartwień i słabości. Ale i to wrażenie minęło po chwili. Jasne punkty przekształciły się w ruchliwe komórki krwi, jakie widuje się w filmach dokumentalnych o ludzkim ciele. Autostrada stała się naczyniem krwionośnym, a czerwone i białe światła – krwinkami. Pływały w pociemniałym ciele, które musiało gdzieś tam leżeć, niewidoczne w słabej poświacie.

Obudziła się gwałtownie i usiadła na łóżku. Mrużąc oczy, spojrzała na zegar – była piąta trzydzieści dwie. Na zewnątrz wciąż huczał wiatr. Laura przypomniała sobie, że Joanny jeszcze nie było, gdy tuż przed północą dotarli do domu. Nie słyszała też, by Jo wróciła później.

Przyłożyła głowę do poduszki, ale sen nie nadszedł: zbyt wyraźnie jawił jej się przed oczami obraz bladego ciała w samochodzie na poboczu. Całe wnętrze wozu zbryzgane krwią. Do tego była przyzwyczajona, ale widok otwartej piersi dziewczyny, z tak bliska, gdy stała u boku Monroe... Zebra wyglądały tak, jakby rozcięto je specjalistycznym, chirurgicznym narzędziem. Precyzyjna robota, bez zbędnej szarpaniny. I jeszcze przecięte żyły i tętnice, żalodne resztki hydraulicznej otoczki serca. To także musiało być dzieło eksperta.

Przewracała się niespokojnie w pościeli, uparcie szukając snu. Próbowwała wyrzucić z pamięci ponurą wizję i skupić się na własnym życiu. Spakowane walizki stały obok łóżka. O dziesiątej miała wyruszyć na lotnisko. Wieczorem chciała być już w Greenwich Village, we własnym mieszkaniu, gdzie czekały ją reanimacja usychających roślin i szukanie pomysłu na nową książkę. Bo przecież ta, dobry Boże, nie nadaje się do niczego. Ta myśl jeszcze dalej odsunęła sen.

Skoncentrowała się na akcji, którą obmyśliła na potrzeby powieści, by zatracić się w świecie fantazji. Nie pierwszy raz stosowała ów zabieg i często udawało jej się w ten sposób pokonać bezsenność, lecz tej nocy nie mogła się oderwać od tu i teraz. Wszystko, o czym pomyślała, jakoś nawiązywało do rzeczywistych zmartwień, problemów i trosk.

Znowu tkwiła na miejscu zbrodni i miała przed sobą tego policjanta... Jak mu było? Monroe. Monroe trzymał w okrytych lateksem palcach monetę. Lśniła w świetle reflektorów; matowe były tylko te miejsca, w których zakrzepła krew. Laura widziała taką po raz pierwszy. Moneta – wyglądała na bardzo starą i – przynajmniej dla jej niewprawnego oka – złotą. Dlaczego, pomyślała, ktoś miałby się rozstawać z takim przedmiotem? Nie dość, że był to trop dla policjantów, to moneta miała zapewne ogromną – wartość.

Laura pomyślała o Philipie i jego gniewie. Miał rację, że był na nią wściekły, ale wiedziała, że przyczyny tego wybuchu są bardziej złożone, niż mogło się wydawać. Fakt, że erupcja gniewu nastąpiła ostatniej nocy przed jej wylotem do Nowego Jorku, nie mógł być zbiegiem okoliczności. Stare urazy wracały. Philip wciąż uważał, że przed laty został porzucony, choć oboje zdawali sobie sprawę, i wtedy, i teraz, że nie mogą być razem. Ostatnie trzy tygodnie były cudowne, a Laura nie mogła zaprzeczyć, że chwilami pozwalała sobie na fantazjowanie o

wspólnym życiu w tym siedemnastowiecznym domu w wiosce opodal Oksfordu, z Jo i Philipem. Była to miła fantazja.

Tak bardzo zaabsorbowały ją te myśli, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na sygnał telefonu dobiegający z holu na parterze. Potem jednak skrzypnęły drzwi pokoju Philipa i na korytarzu oraz stromych, krętych schodach rozległy się jego ciężkie kroki. Laura słyszała głos, ale nie mogła rozróżnić słów. Wreszcie trzasnęła odkładana słuchawka i znowu zabrzmiały kroki na schodach. Tym razem Philip szedł szybciej. Po kilku chwilach natarczywie zapukał do drzwi i wkroczył do pokoju Laury. Zaniepokojona usiadła na łóżku.

– Chodzi o Jo – powiedział. W słabym świetle wpadającym z korytarza wyglądał na bladego i wyczerpanego. – Miała wypadek samochodowy. Jest w szpitalu Johna Radcliffea.

## Rozdział 5

### Cambridge, luty 1689

Poprzedniego wieczoru Isaac Newton był zbyt zmęczony, by rozpakować swoje rzeczy. Jego służący, Ehas Perrywinkle, przeciągnął ciężką skrzynię pełną zakupów przez dziedziniec i wtaszczył ją po krętych kamiennych schodach Trinity College do pokojów, które Newton dzielił ze swym najstarszym współpracownikiem, Johnem Wickinsem.

Pożegnawszy sługę ćwierćpensówką i niewyraźnym podziękowaniem, Newton z trudem wykresał z siebie resztkę energii, by przeciągnąć skrzynię do laboratorium, które sąsiadowało z jego prywatnym pokojem, zdjąć buty i cisnąć zabłocony płaszcz na krzesło. Zaraz potem osunął się na materac i zapadł w głęboki sen.

Obudził się tuż przed siódmą, gdy pierwsze promienie słabego, zimowego słońca wpadły przez wschodnie okna jego pokojów. Perrywinkle zjawił się kilka minut później z cynową misą pełną gorącej wody i świeżym lnianym ręcznikiem. Woda była przyjemna; Newton czuł, jak wsiąka w jego suchą skórę. Spojrzawszy w małe lustro, które ustawił na podokienniku, pomyślał, że wygląda żałośnie. Jak człowiek, dla którego zdrowy, pozbawiony wizji sen był niczym na poły zapomniany gość.

Gdy służący zabrał poszarzałą wodę, Newton zmienił koszulę, wciągnął wysokie buty i wyłowił z kieszeni klucz do laboratorium. Po drodze zabrał posrebrzany talerz i kubek, które zostawił Perrywinkle. Na talerzu leżały jabłko i kawałek chleba, w kubku niósł świeżą, letnią wodę.

Pomieszczenie nie było zbyt przestronne. Choć Newton od dwudziestu lat był profesorem Lucasian – katedry Lucasa – na uniwersytecie w Cambridge, władze uczelni nie traktowały go z przesadną szczodrością. Ale to, co miał, wystarczało mu. Zapalił pochodnie po obu stronach drzwi i w pozbawionym okien pokoju pojawiły się dwie plamy niezbyt mocnego światła. Zamknął za sobą drzwi na klucz. Wiedział wprawdzie, że Wickins gości u rodziny w Manchesterze, ale nie mógł ryzykować niespodziewanej wizyty. Ponadto nie znosił wścibskich w swym prywatnym królestwie. Podszedł do kominka, dorzucił drewna i za pomocą jednej z pochodni rozpałił porządnego ogień, który rozproszył mrok i przeniknął światłem chemiczne opary, zawsze niemal unoszące się w tym pomieszczeniu.

Na półkach umocowanych do ścian stały książki – imponujący zbiór około trzystu dzieł poświęconych niemal wyłącznie alchemii i tradycji hermetystów. Zgromadzenie takiego księgozbioru tematycznego, prawdopodobnie nie mającego sobie równych w chrześcijańskim świecie, wymagało poświęcenia rocznych przychodów z rodzinnej posiadłości w Woolsthorpe w Lincolnshire oraz niemałej części profesorskiej pensji. Były tam *Wieczera Środy Popielcowej* Giordana Bruna, przekłady zakazanych przez Watykan heretyckich prac Galileusza, transkrypcja *Szmaragdowej Tablicy*, manifesty różokrzyżowców, *Septimana philosophica* Michaela Maiera, a także prace Raimundusa Lullusa, Roberta Fludda i Jakoba Bóhmego.

Nie na wszystkich półkach stały książki. Na niektórych piętrzyły się sterty papierów – notatek z przebiegu licznych eksperymentów. Wylewały się nawet na stół ulokowany pod ścianą. Mniej więcej trzecią część miejsca na półkach zajmowały butelki i szklane rurki. W niektórych pojemnikach, zakorkowanych i opatrzonych etykietami, znajdowały się barwne płyny. W jednym z kątów tkwiła skomplikowana konstrukcja ze szkła, aparat do destylacji, a w innym teleskop na stojaku. Nad wielkim kamiennym paleniskiem, na wmurowanych w ściany wspornikach, wisiał metalowy kocioł.

Dla nieświadomego gościa, który trafiłby do tego laboratorium, mieszanka zapachów mogłaby być szokiem – choćby nawet mierzyć jej urodę siedemnastowieczną miarą – ale Newton praktycznie nie zauważał tej woni, nawet jeśli przebił się przez nią jakiś niecodzienny zapach.

Rankiem panował tu okropny ziąb, ale kominek już wkrótce miał zmienić laboratorium w istną saunę. Przed laty Newton opłacił dwóch robotników, by wybili specjalne otwory wentylacyjne w zewnętrznej ścianie, i prawdopodobnie dzięki temu niejedną raz uniknął uduszenia.

Zbliżył się do stołu, odsunął szpargały i położył na blacie talerz oraz kubek. Następnie podszedł do skrzyni, którą zostawił ostatniej nocy pośrodku laboratorium, i kucnął przy niej.

Manipulując przy zamku, rozmyślał o niedawnej podróży do Londynu w poszukiwaniu brakującego elementu, który z pewnością się tam znajdował. Od niemal ćwierćwiecza prowadził te poszukiwania – poszukiwania tajemnego jądra istnienia, prawdy ostatecznej, *prisca sapientia*. Nauka była jego pierwszą kochanką, ale zdążył już wycisnąć z niej wszystkie soki. Dwa lata wcześniej opublikował *Principia mathematica*, pracę, która uczyniła zeń gwiazdę akademickiego świata. Jednak cały czas żywił przekonanie, że istnieje w świecie



coś więcej niż zasady, niż całe to mechaniczne królestwo, które obserwował, analizował i opisywał w słynnym dziele.

Niemal od chwili, gdy przybył do Cambridge w roku 1661, zagłębiał się w świat alchemii i okultyzmu. Jego dawny mentor i poprzednik na profesorskim stanowisku, Isaac Barrow, skrzesał w nim tę iskrę i rozdmuchał ją w ogromny płomień z pomocą wielkich mistrzów z przeszłości, takich jak Cornehus Agrippa, Elias Ashmole, John Dee czy Giordano Bruno. Wielkim Dziełem nazwano wyszukane eksperymenty prowadzone latami w zadymionych pracowniach przez tych geniuszy okultyzmu, którzy oddali życie za sprawę poszukiwania kamienia filozoficznego – legendarnej substancji, która pozwoliłaby alchemikowi zmienić dowolny metal w złoto. Miał to być magiczny łącznik między tym, co fizyczne, a tym, co metafizyczne, a także posłużyć mistrzom do otrzymania eliksiru życia i odkrycia tajemnicy wiecznej młodości.

Jak wszyscy jego wielcy poprzednicy, Newton oparł swoje idee na biblii eksperymentatora hermetysty: na doktrynie *Szmaragdowej Tablicy*. Gdy był młody, Barrow uświadomił mu istnienie tego cudownego tekstu i wyjaśnił jego przewodnią rolę w pracy alchemików. Powstał on w czasach Starożytnych, tłumaczył mentor, w czasach, gdy ludzie wiedzieli o naturze wszechświata więcej niż wszyscy współcześni myśliciele i filozofowie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajduje legendarna tablica, zawierająca destylat mądrości Starożytnych, ale tłumaczenia umieszczonych na niej inskrypcji alchemicy przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie, wierząc, że są one prawdą absolutną, za którą należy podążać. Tablica wskazywała metodę poszukiwania kamienia filozoficznego – ten, kto chciał go odnaleźć, musiał odpowiednio przygotować nie tylko nieożywioną materię, nad którą pracował, ale także własną duszę. Newton był przekonany, że przeszkodą na drodze do upragnionego celu nie była ani niejasność słów Starożytnych, ani, co oczywiste, pomyłka Natury. Najwyraźniej filozofowie czy alchemicy nie potrafili dostatecznie oczyścić swych dusz. Żaden poszukiwacz Prawdy nie oddał się temu zadaniu z odpowiednim zapałem i determinacją.

W przeciwieństwie do większości alchemików od czasu samego Hermesa Trismegistosa, Newton nie zamierzał wytwarzać złota jedynie po to, by zdobyć niewyobrażalne bogactwo, którego nie cenił. Dla niego skarbem na drugim krańcu tęczy była wiedza czysta, wiedza bogów. I wiedział, że zrobi wszystko, by ją osiągnąć – tylko po to żył, tylko to było jego motywacją. Stojąc przez lata przy alchemicznym piecu, starał się poznać mikrokosmos i odnieść rządzące nim prawa do tych, które obserwował w makrokosmosie przez soczewki swego teleskopu.

Wynajdywał podobieństwa między nimi, wznosząc holizm na nowe wyżyny rozumowania. Z czasem utwierdził się w przekonaniu, że sam jest półboską istotą, że przyszedł na świat w jednym tylko celu: by znaleźć kamień filozoficzny i by wysświetlić Prawdę. Bóg, uważał, wybrał go, wyznaczył i obdarzył najpotężniejszym umysłem pokolenia, by właśnie on, Isaac Newton, profesor katedry Lucasa w Cambridge, wykonał wolę Ojca i objaśnił reszcie ludzkości prawdziwy sens istnienia, najgłębsze mechanizmy Natury, zasadę działania wszechświata.

Zawiasy zaskrzypiały, gdy unosił wieko skrzyni. Zobaczył starannie upakowane szklane rurki, zabezpieczone wełną na czas podróży wyboistą drogą z Londynu. Przy nich stały słoje z odczynnikami. Jeden z nich zawierał laski szarego metalu zanurzone w żółtawym oleju. Obok leżała tuba z czarnym jak popiół proszkiem. W sąsiedniej znajdował się szkarłatny talk. W grubej wełnianej otulinie spoczywała masywna klepsydra.

Jedną trzecią objętości skrzyni zajmowały równo ułożone oprawne w skórę księgi. Newton uniósł pierwszą z brzegu i spojrzął na jej grzbiet. Zanim odłożył ją ostrożnie na podłogę obok skrzyni, odczytał na głos tytuł i nazwisko autora: *Sława i wyznania Bractwa Różokrzyżowców* Thomas Vaughan. Kolejną ozdobił złoty tytuł *Chemik sceptyczny*. Nazwisko autora, Roberta Boylea, wypisano wielkimi literami tuż pod nim. Newton chwilę przerzucał stronicę, nim położył książkę na dziele Vaughana.

Wyjawszy wszystkie księgi, zaniósł je na stół stojący pod ścianą, na prawo od paleniska, by ułożyć w odpowiednim porządku przed umieszczeniem na półkach. Gdy uniósł wyjątkowo piękne, oprawione w zieloną skórę wydanie *Kompendium alchemii. Dwanaście bram prowadzących do odkrycia kamienia filozoficznego* autorstwa Georgea Ripleya, mały, złożony skrawek pergaminu wysunął się spod tylnej okładki i upadł na posadzkę u jego stóp.

Newton podniósł i go ostrożnie rozłożył. Pergamin był suchy i pożółkły, ale słowa skreślone wyblakłym brązowym inkaustem były dobrze widoczne. Podszedł do kominka i spojrzął na pismo z bliska, by odczytać drobne litery. Znał ten język – aramejski, jeden z języków semickich. Tłumacząc na bieżąco, szeptem odczytał inskrypcję:

*O ty, poszukiwaczu, poszukiwaczu prawdy, nie trać ducha. Choć padamy na kolana przed Zieloną tablicą, istnieje Prawda jeszcze głębsza. Moi przyjaciele, widziałem to tylko niczym we śnie, ale bogowie twierdzą, że to nie fałsz. Jak pola są*

*zielone, tak krew naszego Pana jest czerwona, czerwona jak rubin. I jak tablica ma swój kształt, tak rubin jest kulisty, bo zaiste takim go widziałem niczym we śnie. A jeśli moc tablicy jest jednością, to rubinowa kula jest milionem jedności. Cudowna tablica wskazuje drogę, ale to kula otwiera drzwi do świata. Jeśli twoja dusza jest czysta, szukaj kuli i wraz z nią posiadź chwale Starożytnych. Szukaj jej pod ziemią, spowitej w kamień, z wielką nauką powyżej i głębą poniżej.*

G. R.

Pod spodem znajdował się rysunek kuli przeciętej wąskim napisem biegnącym spiralnie od bieguna do bieguna. U dołu strony Newton dostrzegł linię liter, cyfr i symboli alchemicznych; wiedział, że to zaszyfrowane instrukcje. I wreszcie, w prawym dolnym narożniku zobaczył maleńką ilustrację – złożony wzór krzyżujących się linii, które tworzyły miniaturowy labirynt.

Nie wierzył własnym oczom. Jeżeli była to notatka Ripleya (a znał przecież i rozpoznawał jego odręczne pismo), to miał przed sobą znalezisko niebywalej wartości. Newton, jak wszyscy alchemicy, uważał *Szmaragdową Tablicę* za arcyważną wskazówkę na drodze do uzyskania kamienia filozoficznego. Tymczasem Ripley twierdził, że istnieje coś znacznie ważniejszego – rubinowa kula. Być może dlatego, myślał Newton, wracając do stołu i leżących na mm książek, przez długie lata nie mógł zgłębić ostatecznej tajemnicy. Najwyraźniej więc to z woli samego Boga musiał wybrać akurat ten tom w księgarni Williama Coopera w Little Britain, opodal St Pauls, gdzie spędził niemal całe popołudnie na dzień przed powrotem do Cambridge. A skoro tak, to porażka nie wchodziła w grę. Newton czuł, że pod przewodnictwem Pana wkracza w nowy etap swej podróży. Wkracza na drogę, która nieodwołalnie zaprowadzi go do Prawdy.

## Rozdział 6

Philip twierdził później, że nie pamięta właściwie nic z drogi do szpitala, gdy mknęli przez niemal bezgłośną noc, a przecież jego myśli pędziły naprzód, pchane niepokojem i fatalnymi wspomnieniami.

Ponad dwadzieścia lat wcześniej jego ojciec, Maurice, zginął w wypadku samochodowym. Było to najgłębsze, najsilniejsze przeżycie Philipa – przeżycie, które radykalnie zmieniło kierunek, w jakim zmierzał. Miał dwadzieścia dwa lata i ledwie dwa tygodnie – wcześniej dowiedział się, że na jego dyplomie znajdują się najwyższe oceny. W dniu ceremonii promocyjnej, gdy jadł śniadanie z kumplami, którzy dzielili z nim nędzny dom przy Cowley Road, zadzwonił telefon. Brat ojca, wujek Greg, opowiedział mu, jak było. Samochód zderzył się czołowo z ciężarówką, która zjechała na prawy pas. Ojciec zginął na miejscu.

Philip był pewien, że nie kocha swego ojca i że nie będzie mu go brakowało, gdy przyjdzie śmierć. Zbyt wiele ponurych wspomnień łączyło się z jego osobą. Nie umiał zapomnieć jego tyranii, tego, jak zmienił życie matki w piekło, a kiedy odeszła, odgrodził się od syna murem milczenia.

Robił wszystko, by zadowolić ojca. Zanim rozpoczął studia, był dobrym fotografikiem – zdobywał nagrody, a nawet sprzedawał czasem swoje prace. Jednak ojciec nieustannie bagatelizował te osiągnięcia, twierdząc, że nie da się zbić majątku na pstrykaniu zdjęć. I dlatego Philip zostawił swój sprzęt i pojechał do Oksfordu, by studiować ekonomię. Pogrzebał własne nadzieje i ambicje, zęby podążyć ścieżką wyznaczoną przez ojca.

A kiedy stał nad otwartą trumną w domu pogrzebowym, spoglądając na jego ciało, nie mógł nie dostrzec ironii w tym, co się wydarzyło. Przez całe życie szukał aprobaty tego człowieka, gdy zaś nadszedł dzień wielkiego triumfu, drań wsiadł do samochodu i dał się zabić. Było tak, myślał irracjonalnie, jakby ojciec zabił się jemu na złość.

Później jednak, gdy ochłonął, zaczął dostrzegać coś więcej niż tylko tę prostą, emocjonalną ocenę. Ojciec był nie tylko tyranem, ale miał także obsesję na punkcie własnej prywatności. Z uporem paranoika twierdził, że wścibski świat wciąż interesuje się jego sprawami. Patrząc na pozbawioną życia łupinę, która tak niedawno była człowiekiem, Philip nie mógł się oprzeć wrażeniu, że żegna się z mężczyzną, który nie ufał nikomu, który darł wszelką korespondencję przed wyrzuceniem jej do śmieci i który co noc zamykał trzy zamki w drzwiach swego

domu. A teraz nagle został wystawiony na pokaz, bez śladu godności.

I właśnie ta myśl, bardziej niż cokolwiek, skłoniła Philipa do porzucenia tego, czemu poświęcił ostatnie lata, i do rozpoczęcia wszystkiego na nowo. Całe życie spędził w cieniu ojca, ale wiedział, że w głębi duszy bardziej przypomina charakterem matkę, Joan. Joan Bainbridge, dawniej Joan Ghanmora, była jedną z najbardziej znanych artystek wywodzących się z Karaibów. Jej ciemnoskóry ojciec zniknął, gdy była mała, toteż matka, Szkotka imieniem Elizabeth, wychowywała ją samotnie, już od szóstego roku życia zachęcając do malarskich eksperymentów. Maunce'a poznała, gdy jego szef zaprosił go na jej pierwszą wystawę w Nowym Jorku, w roku 1957. Philip nie mógł zrozumieć, co takiego widziała w jego ojcu, biznesmenie nie mającym pojęcia o sztuce czy choćby kulturze. Maurice poświęcił życie kolumnom cyfr w księgach rachunkowych. Joan była jego przeciwieństwem – swobodnym duchem nie szukającym ani pieniędzy, ani nawet sławy.

Philip utrzymywał kontakty z matką i odwiedzał ją co pewien czas w Wenecji, gdzie mieszkała od dwudziestu pięciu lat z drugim mężem, śpiewakiem operowym. Nie chciał jednak dać się wciągnąć w jej świat, choć bardzo go to kusilo. Z chwilą śmierci Maurice'a w jego umyśle otworzyły się całkiem nowe drzwi. Parę miesięcy po uzyskaniu dyplomu z ekonomii porzucił wszelkie plany, które wytyczył dla niego ojciec. Rezygnując z kariery w City i obiecane go sześcicyfrowego wynagrodzenia, sięgnął znów po aparat i przyrzekł sobie, że odtąd fotografia będzie jego całym życiem.

Zmiany sięgały wszakże jeszcze głębiej. Nigdy wcześniej nie zajmował się zjawiskami paranormalnymi, a teraz, już przed końcem roku, zafascynowała go koncepcja aury i fotografie Kirliana. Przeczytał wszystkie dostępne książki na ten temat, brał udział w kursach i warsztatach. A potem, po dwóch latach obcowania z tym nowym światem, porzucił go niespodziewanie. Co więcej, nigdy się nawet nie zastanawiał, dlaczego zostawił go dla fotografowania zwłok i miejsc zbrodni. Była to po prostu praca, sposób na zarabianie pieniędzy; koncentrował się na prywatnej twórczości, na wystawach i marzeniach o międzynarodowym uznaniu. Przez wiele lat bliskie mu osoby rozumiały jego motywy, ale nie dzieliły się z nim przemyśleniami na ten temat. Uważały mianowicie, że fotografując zmarłych, Philip próbuje odnaleźć w nich to, czego nie potrafił dostrzec w ciele zabitego ojca – choćby ślad duszy.

Deszcz, który znowu zaczął padać, gdy zbliżali się do szpitala, przerwał rozmyślenia Philipa, zmuszając go do skupienia się na zimnym tu i teraz. Zostawili

wóz na pierwszym wolnym miejscu parkingowym przed budynkiem i wbiegli do jaskrawo oświetlonej izby przyjęć, nie zwracając najmniejszej uwagi na wspaniałą czerwoną plamę wschodzącego słońca, która właśnie pojawiła się przed nimi na horyzoncie.

Powiadomiła ich Samantha, jedna z przyjaciółek Jo, która jechała razem z nią i jej chłopakiem Tomem. Była tylko poobijana i podrapana, ale nie miała żadnych informacji na temat pary. Spotkali ją w izbie przyjęć; rozmawiała z młodym lekarzem, który chwilę później zaprowadził ich do niedużego pokoju. Jo siedziała na jednym z czterech łóżek, oddzielonym parawanem od pozostałych.

Laura i Philip z ulgą przyjęli ten – widok. Wyglądała na całą, jeśli nie liczyć paskudnego rozcięcia nad prawym okiem i zabandażowanej po łokieć ręki.

– Doznała wstrząśnienia mózgu – poinformował lekarz, zerkając do karty – lecz tomografia nie wykazała zmian. Musieliśmy założyć parę szwów, ale chyba przeżyje.

Laura delikatnie uścisnęła Joannę, która uśmiechnęła się do stojącego obok Philipa.

– Mój Boże, Jo – powiedziała Laura. – Już myślałam...

– Nie, mam, wciąż tu jestem – szepnęła Jo, dotykając jej policzka.

– A co z Tomem? – spytał Philip, zwracając się do lekarza.

– On też miał wielkie szczęście. Kilka pękniętych żeber, dwa złamane palce i trochę więcej siniaków i zadrapań. Łatają go w sąsiedniej sali.

– Jo, co, u diabła, się stało? – chciała wiedzieć Niven. Mam nadzieję, że Tom nie pił?

– Nie, on w ogóle nie pije – odpowiedziała Joanna, spoglądając na matkę z irytacją. – Poza tym, to ja prowadziłam.

Przez chwilę Laura sprawiała wrażenie zaskoczonej, a potem posłała córce słaby uśmiech i uścisnęła jej dłoń.

– Jechaliśmy St Aldate w stronę Carfax, gdy z bocznej drogi wyskoczył jakiś wóz. Chyba za ostro skontrowałam kierownicą i wpadliśmy w poślizg, bo było mokro. Uderzyliśmy w latarnię.

– Mielście szczęście – zauważył Philip. Obszedł łóżko i z westchnieniem przysiadł naprzeciwko Laury.

– Ale mam, czy ty nie powinnaś niedługo wyruszać na Heathrow?

Laura spojrzała na nią tak, jakby sięgała pamięcią w bardzo dalekie, mgliste czasy. Potarła zmęczone oczy.

– Plany szlag trafił. Na pewno nie wyjadę z Anglii, póki nie wyzdrowiejesz.

Joanna chciała zaprotestować, ale przerwał jej sygnał telefonu komórkowego ojca.

– O Boże, przepraszam – rzekł Philip, spoglądając na lekarza. – Powiniennem był go wyłączyć. Zaraz wracam. – Odszedł w stronę okna, rozmawiając półgłosem przez telefon.

Lekarz wyglądał na rozdrażnionego, ale zwróciwszy się do Joanny, powiedział spokojnie:

– Może pani wyjść ze szpitala, gdy tylko poczuje się pani na siłach.

– A co z Tomem?

– Możliwe, że zostanie tu jeszcze parę godzin. Musimy przeprowadzić kilka badań. Ale może go pani odwiedzić – dodał, ruszając w stronę drzwi. Nie zatrzymawszy się, spojrzął na Philipa i wykonał ręką ruch podrzynania gardła.

Bainbndge pokornie skinął głową i szybko skończył rozmowę.

– Obawiam się, że muszę już iść – powiedział, podchodząc do łóżka. – Popelniono kolejne morderstwo.

## Rozdział 7

Miejsce zbrodni znajdowało się nieco ponad półtorej mili od szpitala, ale na drodze M40, biegnącej do Oksfordu przez Headington, zaczynał się już poranny ruch, toteż Philip potrzebował prawie dwudziestu minut, by pokonać tę odległość.

Odpowiadało mu to, że Laura została z Joanną w szpitalu; zdecydowanie nie był w nastroju do powtórki jej ostatniego występu przed detektywem Monroe. Jeszcze nie otrząsnął się z szoku, jakim była dlań wiadomość o wypadku córki, ale wiedział, że musi się skoncentrować na zadaniu, które miał do wykonania. Zaparkował w strefie „tylko dla mieszkańców” przy końcu Cave Street, blisko rzeki, umieścił pod przednią szybą policyjny identyfikator, wyjął z bagażnika torbę ze sprzętem i pomaszerował w stronę ścieżki holowniczej biegnącej równoległe do dopływu Cherwell.

Szedł – wolno, bo nad brzegiem trasa była śliska. Znowu zaczęło padać, a on miał przed sobą szaroburą toń. Mniej więcej dziesięć jardów od ścieżki Philip zobaczył grupkę zmokniętych policjantów: dwóch mundurowych, Monroe oraz sierżanta, który trzymał parasol nad jego głową. Nieco dalej dostrzegł dwóch ekspertów kryminalistycznych idących w kierunku domu, który częściowo stał nad wodą, wsparty na palach. Deszcz nasilał się z każdą chwilą i Philip miał ochotę pobiec do samochodu po parasol, ale właśnie w tym momencie Monroe odwrócił się i zobaczył go.

– Pan Bainbridge. Dziś pracujemy sami?

Philip westchnął, włożył ręce do kieszeni i zaryzykował przelotny uśmiech.

– A my mamy dla pana coś specjalnego w ten ponury ranek. Radzę się przygotować.

– Jak to? Czyżby coś gorszego niż wczoraj?

– To zależy, jak mocny ma pan żołądek. Kolejna zamordowana dziewczyna. Kobieta uprawiająca jogging znalazła ją około siódmej. Eksperci twierdzą, że zginęła cztery, może sześć godzin temu. Proszę za mną. Nie będzie łatwo o właściwą pozycję do fotografowania. I niech pan uważa, jest ślisko.

Monroe wszedł na ścieżkę. Idąc za nim, Philip zauważył płachtę folii umocowaną do gałęzi drzewa rosnącego tuż nad brzegiem rzeki. Pojedynczy reflektor, zawieszony na najniższym konarze, oświetlał tafle wody. Po chwili byli już ledwie kilka stóp od brzegu i czerwonej rufy płaskodennej łodzi. Philip poczuł mdłości; stał jak skamieniały, ledwie ogarniając scenę, na którą patrzył.



Młoda kobieta pólleżała na rufie łodzi. Ubrana w dzinsy i T-shirt wpatrywała się w brzeg niewidzącymi oczami. Wyglądała tak blado, jakby w jej ciele nie było ani kropli krwi. Miała szeroko rozpostarte ramiona, a lewa dłoń zwisała za burtą. Strugi krwi widać było na wewnętrznej stronie jej ramion i na barkach. Białka miały barwę intensywnej czerwieni od popękanych naczyń krwionośnych, lecz kolor krwi mąciła warstwa szklistego śluzu pokrywająca oczy. Gardło dziewczyny zostało rozcięte, a górna część czaszki – półkula kości, skóry i włosów – usunięta fachowo. Tam, gdzie niedawno znajdował się mózg, była jedynie czarno-czerwona pustka. W niektórych miejscach sprawca zeszkrobał martwą tkankę, odsłaniając przeraźliwie czystą, białą kość.

We wnętrzu otwartej głowy Philip zauważył wypolerowaną srebrną monetę; lśniła efektownie. Była wierną kopią złotej monety, którą poprzedniej nocy trzymał w dłoni detektyw główny inspektor Monroe.

Odwrócił się i wziął kilka głębokich wdechów.

– Dam panu parę minut – rzekł Monroe i zaczął się wspinać z powrotem ku ścieżce. – Ale w ciągu godziny chciałbym mieć zdjęcia na posterunku.

Nie tracąc czasu, Philip zabrał się do pracy. Wiedział z bogatego doświadczenia, że tylko tak może sobie poradzić w takiej sytuacji. Im bardziej przerażające były sceny, które uwieczniał, tym bardziej musiał się koncentrować na zadaniu, by się od nich odciąć, by wpaść w mechaniczny trans, w którym po prostu robił to, co do niego należało, na swój sposób ślepy na wszystko, co miał przed obiektywem.

Wykonał serię zdjęć, stojąc na dziobie łodzi – kilka zbliżeń za pomocą teleobiektywu oraz kilka ujęć z użyciem obiektywu szerokokątnego. Następnie poszedł wzdłuż brzegu, by zrobić fotografie z boku, po czym wrócił i kucnął przy rufie, żeby zmagazynować na karcie pamięci najstraszliwsze obrazy – ludzkie życie zredukowane do pikseli.

Dopiero gdy wspiał się po skarpie, machnął niedbale dwóm mundurowym, oddalił się ścieżką i skręcił w Cave Street, zauważył, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Dotarwszy do samochodu, stanął przy bagażniku i już miał go otworzyć, gdy wreszcie dopadły go mdłości. Zwymiotował do rynsztoka i przez chwilę patrzył, jak bystry nurt deszczówki porywa jego żółć.

## Rozdział 8

### Londyn, październik 1689

Gresham College, w samym sercu londyńskiego City, był rajsłą wyspą na oceanie nędzy i brudu. Wprawdzie i jego budynki były stare i zaniedbane, a głasy domagające się rewitalizacji tego miejsca odzywały się coraz liczniej i donośniej, mimo wszystko jednak panowały tu spokój i hipnotyzujący czar żywo przeczące marnej kondycji. Co ważniejsze, właśnie tu spotykały się regularnie najpotężniejsze umysły epoki, a może i wszystkich czasów.

Towarzystwo Królewskie zostało założone niemal trzydzieści lat wcześniej przez Christophera Wrena i kilku jego bliskich współpracowników. Rozrosło się szybko, zyskując aprobatę królewską, a wraz z mą swą nazwą, ale w ostatnich czasach straciło na znaczeniu. Problem polegał między innymi na tym, że to zgromadzenie świątłych umysłów nigdzie nie mogło zagrazać miejsca. Jego pierwotną siedzibą był właśnie Gresham College, którego lata świetności dawno minęły, lecz po straszliwej zarazie z roku 1665 i po wielkim pożarze z roku następnego budynek uczelni został zajęty najpierw przez kupców miejskich, których siedziba uległa zniszczeniu, a następnie, na czas budowy nowego centrum finansowego, przez tymczasową giełdę. Towarzystwo Królewskie, ze swymi książkami, sprzętem badawczym, sekstantami, mapami, teleskopami i mikroskopami, przeniosło się na zaproszenie księcia Norfolk do mieszczącego jego bibliotekę gmachu Arundel House. Znajdował się on kilka mil na zachód, w bok od ulicy Strand. Tam kontynuowano dyskusje poświęcone najnowszym osiągnięciom nauki i prowadzono badania organizowane przez kuratora eksperymentów, Roberta Hookea. Podczas swej bytności w Arundel House towarzystwo rozpoczęło publikowanie książek, wśród których były między innymi *Micrographia* Hookea oraz *Sylva* Johna Evelyne. Nawiązując do tradycji pierwszych towarzystw naukowych, istniejących we Włoszech doby Galileusza, wydawało też własne czasopismo, „Philosophical Transactions”, w którym opisywano odkrycia, a także informowano o wykładach i pracach członków towarzystwa. Po kilku latach jednak uczeni wrócili do Gresham, gdzie wpływowy Hooke, członek college u, zdołał zarezerwować im kompleks pomieszczeń.

Ale choć Isaac Newton wiedział o tym wszystkim, gdy dwie minuty przed szóstą wkraczał na główny dziedziniec Gresham College, pod niebem tonącym na

zachodzie w gasnącej pomarańczowej poświacie, w zasadzie nie czuł się przywiązany do tej szacownej instytucji, w której szeregi wstąpił przed siedemnastu laty jako dwudziestodziewięciolatek. I choć to właśnie jego światli koledzy, członkowie Towarzystwa Królewskiego, wydali *Principia mathematica*, pracę, która uczyniła z niego najważniejszą postać świata nauki, w ciągu ostatnich dziesięciu lat spotkał się z nimi na zebraniach ledwie kilka razy. Żadnego z nich nie uważał za przyjaciela, a ograniczonym zaufaniem darzył co najwyżej trzech: sędziwego Roberta Boylea, młodego geniusza Edmonda Halleya oraz tego, który namówił go do opuszczenia ciasnego światka Trinity College w Cambridge i stawienia się tego wieczoru w Londynie – Christophera Wrena.

Jednakże głównym powodem jego rzucającej się w oczy niechęci do udziału w spotkaniach towarzystwa była jeszcze bardziej rzucająca się w oczy obecność Roberta Hookea. Człowiek ten był najzacieklejszym wrogiem Newtona praktycznie od chwili, gdy się poznali. Gdy w 1676 roku towarzystwo zdecydowało, że Hooke zastąpi Henry ego Oldenburga na stanowisku sekretarza, Newton oznajmił, że rezygnuje z członkostwa. Namawiany usilnie przez tych, którzy najbardziej go cenili, zmienił decyzję, ale oświadczył, że będzie brał udział w spotkaniach tylko wtedy, kiedy będzie mu to odpowiadało.

Wiedział, że ludzie uważają go za trudnego w kontaktach. Bez wątpienia unikał towarzystwa i nic go nie obchodziło, co o tym myślą inni. Był całkowicie samowystarczalny i niezmiernie dumny z tego faktu. Nikogo nie potrzebował, za to ludzie potrzebowali jego i był pewien, że z czasem będą potrzebowali go jeszcze bardziej. Właśnie taka postawa sprawiała, że spędzał czas głównie w swym laboratorium w Cambridge. Jedynym człowiekiem, któremu zwierzał się z niektórych spraw, był John Wickins, teolog i współlokator od z górą ćwierćwiecza. Jednakże, myślał Newton, przechodząc pod łukiem i skręcając w lewo na kamienną ścieżkę, nawet Wickins pojmował ledwie cząstkę jego umysłu i nie wiedział praktycznie o niczym, co się działo w laboratorium sąsiadującym z jego sypialnią.

Zastanawiając się nad tym, Newton cofnął się myślą o osiem miesięcy, do owego poranka, kiedy został zmuszony do zmiany kierunku swych poszukiwań. Do poranka, kiedy dowiedział się o rubinowej kuli. Był to najgłębszy sekret, o którym z nikim nie zamierzał rozmawiać. Od tamtego ranka dniami i nocami rozważał sens wiadomości pozostawionej przez Georgea Ripleya. Przejrzał wszystkie jego pisma, które posiadał. Wrócił do Londynu, aby przeszukać wilgotny loch księgarni Coopera w Little Britain. Przekupił nawet sprzedawcę, by móc rozejrzeć się po cuchnących pleśnią magazynach.

Pisząc o rubinowej kuli, Ripley wyraźnie miał na myśli starożytny artefakt o ogromnym znaczeniu. Musiało to być owo brakujące ogniwo, ów klucz do wszechświata. Tekst dotyczący kuli skreślony był jego ręką. Od śmierci Ripleya, człowieka wielu talentów i silnego charakteru, minęły jednak prawie dwa stulecia. Nie mając kuli, Newton niewiele mógł zdziałać, mimo że dysponował wskazówkami Ripleya. Musiał odnaleźć sam artefakt.

Tydzień wcześniej otrzymał zaproszenie od Christophera Wrena – miał wziąć udział w specjalnym spotkaniu Towarzystwa Królewskiego w Gresham College. Okazją była dwudziesta rocznica wybudowania Sheldonian Theatre w Oksfordzie, pierwszego dzieła Wrena, a zarazem błyskotliwego początku jego wielkiej kariery.

Początkowo kusiło go, by cisnąć pięknie tłoczone zaproszenie na stertę papierów piętrzącą się na biurku i zignorować je, jak czynił z wszystkimi niemal zaproszeniami, prośbami i listami od kolegów uczonych, lecz oparł się temu impulsowi. Nie licząc Wickinsa, Wren był dlań najlepszą namiastką przyjaciela, a przede wszystkim człowiekiem, którego szanował bardziej niż innych śmiertelników.

Newton zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami sali wykładowej, wziął głęboki wdech i nacisnął klamki. Prostokątne pomieszczenie miało nie więcej niż dziesięć jardów długości, a Wren, były przewodniczący towarzystwa i jeden z najślawniejszych ludzi w Anglii, potrafił przyciągać tłumy, toteż panował tu spory tłok. Newton zmuszony był stanąć opodal drzwi.

Rozejrzał się po sali. Trzy ściany, od podłogi aż po strop, zajmowały półki, które ugięły się pod ciężarem książek. W bladym świetle dwóch żyrandoli trudno było odczytać tytuły na skórzanych grzbietach. Czwartą ścianę pomalowano bladoniebieską farbą, a rysy na tynku przypominały winorośl pnącą się w górę i dalej, po suficie.

Tego wieczoru na spotkanie przybyło około stu członków towarzystwa. Newton znał prawie wszystkich z widzenia, ale bliżej tylko kilku. W pierwszych rzędach siedzieli Halley i Samuel Pepys, ubrany w krzykliwą pomarańczową kapotę. Tuż za nimi Newton dostrzegł Johna Evelynę, który właśnie sięgał po tabakę do wytartego woreczka ze skóry. Obok niego zasiadł malarz Godfrey Kneller, którego poznał przed paroma ledwie miesiącami w Cambridge, gdzie artysta przygotowywał się do pracy nad portretem jednego z profesorów Lucasian. Pod przeciwległą ścianą siedział Robert Boyle, mężczyzna wyjątkowo rosły i chudy jak szczapa; jego peruka wyglądała w blasku świec nienaturalnie białą. Kilka rzędów dalej Newton wypatrzył dwóch Włochów, gości towarzystwa. Giuseppe Riccini i Marco Bertolini

przed trzema miesiącami przyjechali z Werony, natychmiast dostarczając tematu do plotek za sprawą swego upodobania do „przytulank” – chłopców przebranych za dziewczęta i świadczących bardzo specjalistyczne usługi. Po ich lewej stronie dał się zauważyć urodziwy profil Nicolasa Fatio de Duilliera, nadzwyczaj interesującego młodzieńca, którego przedstawiono Newtonowi kilka tygodni wcześniej. Ich spojrzenia spotkały się na moment i Nicolas uśmiechnął się ciepło.

Na podwyższeniu w końcu sali zasiedli Robert Hooke oraz przewodniczący towarzystwa John Vaughan, trzeci hrabia Carbery, w olśniewającej purpurowo-złotej tozde i wytwornej, pudrowanej peruce. O ile Newton uważał hrabiego za uosobienie cnót angielskiej szlachty, o tyle siedzący obok parszywy szczur uosabiał jego zdaniem to, co najgorsze na świecie. Przygarbiony i niezgrabny, mierzący ledwie cztery stopy i dziesięć cali w butach na obcasie, Hooke wyglądał tak, jakby zapadał się w miękkie krzesło. Newton nienawidził go każdym włóknom swego ciała i wiedział, że uczucie to jest odwzajemniane. Sekretarz, jak rozumiał, gotów był zrobić wszystko, by go zdyskredytować czy zniesławić. Newton nie mógł nie wspomnieć z rozbawieniem listu, który wysmażył kiedyś do tego karła. Napisał w nim między innymi, że jeśli on, Isaac Newton, osiągnął cokolwiek znaczącego jako uczony, to tylko dzięki temu, że stanął na barkach gigantów.

Do podwyższenia zbliżył się Christopher Wren. Członkowie towarzystwa wstali jak na komendę i powitali go oklaskami, by po chwili znowu spocząć.

Newton musiał niechętnie przyznać, że Wren wygląda doskonale i nosi się z ścią królewską godnością. W pełni zasługiwał na swoją sławę. Zdumiewająco wszechstronny, był zarazem profesorem astronomii, znanym w świecie architektem, eksperymentatorem w dziedzinie medycyny oraz genialnym pisarzem. Mimo osiągnięć pozostał jednak bardzo skromnym człowiekiem. Wiele lat wcześniej, gdy Newton był jeszcze dzieckiem, Wren pierwszy zaobserwował pierścienie Saturna. Kiedy wszakże holenderski astronom Christiaan Huygens szybciej opublikował własne obserwacje i odebrał laury za swe odkrycie, wielkoduszny Wren przyjął to ze spokojem. Newton nie mógł pojąć tej postawy, ale w głębi duszy czuł, że Wren jest znacznie lepszym od niego człowiekiem, skoro stać go na taką łaskę.

Przez kolejnych trzydzieści minut słowa wielkiego architekta hipnotyzowały publiczność. Mówił cicho i melodyjnie, nigdy jednak usypiająco, wciągając słuchaczy w swą opowieść i przystępnie wyjaśniając nawet najbardziej zawile kwestie. Posiłkując się szkicami, które przygotował, najpierw opowiedział o procesie projektowania Sheldonian Theatre, a potem o czysto inżynierskich

wyzwaniach, którym musiał sprostać jako młody architekt, jeszcze nerwowy i pragnący zrobić wrażenie na swych mistrzach. Pokazał też doskonałe rysunki z wszystkich faz budowy, od projektu układu pomieszczeń, którym zdobył zlecenie, po wielką chwilę ukończenia pięcioletnich prac w roku 1669.

Newton słuchał z zainteresowaniem, ale tylko przez pewien czas, nim jego myśli zdryfowały ponownie ku problemowi, który pochłaniał go bez reszty od lutego: ku znaczeniu zagadkowych słów Ripleya. Obraz sali wykładowej rozmył się z wolna, a głos Wrena ucichł. Newton miał przed oczami zaszyfrowany przekaz Ripleya i osobliwy rysunek, który mu towarzyszył – widział go tak wyraźnie, jakby trzymał notatkę w dłoni. Dzięki fotograficznej pamięci potrafił odtworzyć obraz ze wszystkimi szczegółami, nie wyłączając zmarszczek pergaminu, ale – ku jego rozpaczy – nawet genialna pamięć nie mogła przybliżyć go do rozwiązania zagadki.

– Był to zdumiewający moment – mówił właśnie Wren. – Fundamenty były prawie skończone i oczywiście nie mogłem znieść myśli o kolejnym opóźnieniu prac, ale jednocześnie zżerała mnie ciekawość. Pozwoliłem więc na odsłonięcie owej dziwnej konstrukcji na tyle, na ile było to możliwe w ciągu jednego dnia roboczego, bo czułem, że warto spróbować. Pod koniec dnia sytuacja była jasna: pod tą częścią Oksfordu znajdowała się naturalna i zapewne dość rozległa sieć jaskiń. Poczyłem stosowne notatki w dzienniku budowy i za pozwoleniem zarządcy Hertford College poprowadziłem wąski tunel między tą podziemną komorą a piwnicami pobliskiego budynku uczelni, notując w pamięci, że w przyszłości warto tam wrócić i przyjrzeć się bliżej jaskiniom. Od tamtej chwili minęło już, niestety, dwadzieścia pięć lat, podczas których obowiązki wobec Jego Królewskiej Mości kazały mi powściągnąć badawczy entuzjazm.

Słuchacze zareagowali śmiechem, a Wren odetchnął głęboko.

– Wybaczcie mi tę dygresję. Jeśli chodzi o konstrukcję dachu, to...

Mrowienie, które pojawiło się zrazu u podstawy jego kręgosłupa, z wolna ogarnęło cały korpus i nogi Newtona. Stał jak zauroczony, wpatrując się w wielkiego architekta, i bardziej czuł, niż słyszał słowa Ripleya: „Szukaj jej pod ziemią, spowitej w kamień, z wielką nauką powyżej i głębą poniżej”.

Gdy Newton zapukał do drzwi i zajrzał do środka, Wren był sam w pokoju przylegającym do głównej sali wykładowej; właśnie zdejmował perukę i próbował doprowadzić do porządku siwe włosy. Spojrzał na gościa z lekkim zaskoczeniem, ale zaraz uśmiechnął się pogodnie.

– Cóż za miła niespodzianka – powiedział.

– Mógłbym zabrać ci chwilę, sir Christopherze?

– Naturalnie, mój panie. Wejdz. Siadaj. Podobał ci się mój wykład?

– O tak, nawet bardzo – odparł z powagą Newton. Starał się panować nad podnieceniem.

– Twoja wizyta jest dla mnie zaszczytem, panie. Zaiste wspaniałą mieliśmy dziś publiczność, nieprawdaż? Powiedz, czym mogę ci służyć. – Wren zostawił wreszcie w spokoju swą fryzurę i zaczął zdejmować kaftan, na którym Newton dostrzegł plamy potu.

– Urzekła mnie twoja opowieść o budowie Sheldonian, panie. Jednakże – zawahał się nieznacznie – z największym zainteresowaniem wysłuchałem fragmentu o podziemnych jaskiniach.

– Doprawdy? Jestem tedy głęboko zawiedziony, mój panie – odparł Wren ze śmiertelną powagą. – Sądziłem, że szczególnie spodoba ci się relacja o inżynierskich sukcesach, o geniuszu projektu, o nadzwyczajnym wykorzystaniu sił natury.

Przez chwilę Newton wyglądał na zagubionego.

– Wybacz mi, proszę – rzekł wreszcie. – Nie chodziło mi...

– Przecież żartuję, Isaacu. Na Boga, chyba jednak prawdę ludzie mówią o tobie: że nigdy się nie śmiejesz, a twój uśmiech widziano ledwie raz.

Tym razem to Newton sprawiał wrażenie dotkniętego. Widząc jego kwaśną minę, architekt pomyślał, że naprawdę przesadził. Położył mu dłoń na ramieniu.

– Wybacz, przyjacielu. Nie chciałem cię obrazić.

Newton cofnął się o krok i skłonił lekko.

– I nie obraziłeś, zapewniam. Całe twoje wystąpienie przypadło mi do gustu, panie, ale wzmianka o jaskini po prostu mnie zafascynowała. Możliwe, że to nagłe zainteresowanie jest skutkiem skojarzenia, które pojawiło się w moim umyśle. Cokolwiek jednak to jest, bardzo bym chciał dowiedzieć się więcej o tej sprawie.

– Przykro mi, ale sam wiem niewiele. W istocie nic prawie nie umiałbym dodać do tego, co już powiedziałem. To było ćwierć wieku temu. Byłem młody i pełen ideałów. Wydawało mi się, że wrócę tam i zbadam rzecz w wolnym czasie.

– Ale jaskinie pod Sheldonian istnieją? – upewnił się Newton.

– O, tak. I wciąż są niezbadane.

– Naszkicowałeś może ich układ?

– Niestety nie.

– A co dokładnie widziałeś? – naciskał Newton, z trudem ukrywając ekscytację.

Wren zmarszczył brwi.

– Przypominam sobie dwa wejścia. Jak mówiłem, kazałem robotnikom kopać wokół nich cały dzień. Odśleńili płaski strop, kręty korytarz i tunele. Zdaje się, że wysłałem na dół dwóch ludzi z latarnią. Tak, teraz sobie przypominam. Nie było ich nadspodziewanie długo. Już mieliśmy wysłać kogoś na poszukiwania, kiedy wreszcie się pojawili. Byli obdarci i wystraszeni.

Newton spojrział na Wrena ze zdziwieniem.

– Co im się stało?

– Niewiele zdołałem z nich wydobyć. Najwyraźniej zaraz za wejściem rozciąga się tam coś w rodzaju labiryntu, ale nawet tego nie byli pewni. Jeden twierdził, że to naturalna siatka podziemnych tuneli, drugi, że to dzieło diabła. Obaj byli tylko prostymi, przesądnymi robotnikami, a w owym czasie nie mogłem posłać pod ziemię nikogo bardziej rozgarniętego. Jak już wspomniałem, być może głupotą było w ogóle odrywanie się od pracy, którą mi zlecono. Tak czy owak, wydaje się, że są tam podziemne korytarze, z których jeden prowadzi na południowy wschód, w kierunku Hertford College, a drugi prosto na południe, ku podziemiom Bodleian Library. Wiedziałem, że piwnice Hertford College sięgają daleko i że ich korytarze biegną właśnie w stronę – mojego teatru. Połączenie ich z jaskiniami było śmiesznie proste i uznałem, że w ten sposób choć w części zaspokoję swą ciekawość. Rozumiesz?

Newton był myślami gdzieś daleko. Wren umilkł, a on wciąż wpatrywał się weń bez słowa. W końcu jednak wrócił do rzeczywistości.

– Wybacz mi, panie – wymamrotał. – Pochłonęły mnie twoje słowa. W rzeczy samej, rozumiem. Trzeba podążać za własną myślą, by nie szczeznąć.

– Otóż to.

Zapadło krepujące milczenie i wydawało się, że Newton nie ma już nic do powiedzenia.

– Jeśli tylko to chciałeś usłyszeć, Isaacu... – powiedział Wren.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – rzekł gwałtownie Newton. – Niezmiernie wdzięczny. Żegnaj, sir Christopherze.

To powiedziawszy, skłonił się i ruszył ku drzwiom.



## Rozdział 9

Laura siedziała w domu Philipa, przy kuchence buchające; ogniem ze wszystkich palników, zachodząc w głowę bodaj szósty raz tego wieczoru, jak można mieszkać w budynku bez centralnego ogrzewania, gdy samochód zatrzymał się przed wejściem.

– Boże, wyglądasz fatalnie – powiedziała, gdy Philip stanął w drzwiach. Powiesił w korytarzu przemoczony płaszcz i wszedł do jadalni.

– I czuję się fatalnie – rzekł, nie patrząc na nią. – Co z Jo?

– Śpi na górze. Jest poobijana, ale w zasadzie cała.

– I pewnie wyziębiona? – spytał sarkastycznie. – Nie do wiary, jak zimno w tej chałupie...

– Ha! – odrzekła Laura. – A ja nie mogę uwierzyć, że podoba ci się życie w epoce kamiennej. Nie słyszałeś o wspaniałym, nowym wynalazku zwanym grzejnikiem?

Philip westchnął i padł ciężko na krzesło. Oparł łokcie na blacie stołu i objął twarz dłońmi.

– Dobra, dobra... Wszystko mi jedno.

– Kiepski dzień?

Uniósł głowę i spojrzał na Laurę. Miał przekrwione oczy.

– Napiłbym się czegoś.

Chwilę później podała mu wielką szklanekę słodowej whisky i usiadła na krześle obok.

– Wyglądasz, jakbyś chciał zrzucić z serca jakiś ciężar.

Philip pociągnął łyk.

– Tak, a ty nie dasz za wygraną, póki ci nie powiem, prawda? – odparł bez złości.

– Jasne, że nie dam. No, to o co chodzi?

Zerknął na ekran telewizora ponad ramieniem Laury. Rozpoczął się lokalny program informacyjny, a w nim detektyw główny inspektor Monroe miał właśnie udzielić wywiadu.

– Popatrzmy na to – powiedział, sięgając po pilota, by zrobić głośniejsze.

– A zatem, detektywie Monroe – zaczęła reporterka – może pan już potwierdzić, że doszło do drugiego takiego zdarzenia?

– Tak, dziś rano przy brzegu jednego z dopływów Cherwell, opodal centrum

miasta, znaleziono ciało młodej kobiety.

– Czy było to morderstwo podobne do tego z poprzedniej nocy?

– Istotnie, są w nich pewne wspólne elementy – odparł ostrożnie Monroe.

– Rozumiem. Niektórzy sugerują, że grasuje tu seryjny morderca. Może pan to potwierdzić lub zdementować?

– Jest zdecydowanie za wcześnie na wyciąganie takich wniosków. Zapewniam, że robimy wszystko, co w naszej mocy...

– A czy prawdą jest – przerwała mu reporterka – że w obu zbrodniach można dostrzec pewien element rytualny?

Monroe wyglądał na zmęczonego.

– W tej chwili możemy jedynie powiedzieć, że są w nich pewne wspólne elementy.

Dziennikarka szybko zmieniła temat.

– W takim razie, co dalej, detektywie Monroe? Czy może pan coś doradzić naszym widzom?

– Owszem. Chcę podkreślić, że robimy, co w naszej mocy, by odnaleźć osobę lub osoby odpowiedzialne za te morderstwa. Dlatego prosimy przede wszystkim o zachowanie spokoju i wspieranie naszych działań wszelkimi dostępnymi metodami. Jeżeli ktoś ma przydatne informacje, powinien zgłosić się na policję.

– Philip wyłączył telewizor.

– Mętna gadka – zauważyła Laura.

– Taka musi być. To standardowa policyjna procedura: nigdy nie zdradzać szczegółów. Jeśli pojawi się ktoś, kto przedstawi dowody na poparcie celowo ukrytych przed społeczeństwem faktów, będzie wiadomo, że to trop wart zbadania. Przy okazji zmniejsza się ryzyko, że jakiś świr spróbuje naśladować mordercę.

– Wiem o tym, Philipie. Pamiętasz, czym się zajmowałam w Nowym Jorku?

Bainbridge uśmiechnął się.

– Przepraszam.

– Mam nadzieję, że będziesz przystępniejszy niż Monroe.

– Naturalnie, Lauro – odparł. Rozparł się na krześle, wyprostował nogi i odetchnął głęboko, zanim opowiedział jej o kobiecie znalezionej w łodzi. Opisawszy zdjęcia, które zrobił na miejscu zbrodni, umilkł i dopił whisky.

– Mój Boże – szepnęła wolno Laura. – A ja myślałam, że Nowy Jork to brutalne miasto. Mówiłeś, że jak długo leżały tam te zwłoki? Cztery godziny?

– Tak, bo częściowo zasłaniały je gałęzie drzewa. Jakaś kobieta dostrzegła ciało dziś rano.

– Urocze znalezisko.

Philip tylko uniósł brwi.

– Czyli morderstwo popełniono nad ranem, o trzeciej, może czwartej.

– Chyba tak – zgodził się Philip i spojrzał na Laurę zmęczonym wzrokiem. – Dziewczyna mieszkała w domu nad rzeką. Łódź, w której ją znaleziono, należała do rodziny, zresztą o tej porze roku turystycznych jednostek tam nie znajdziesz, zwłaszcza w odnogach Cherwell. Rodzice ofiary są gdzieś w Europie. Morderstwa jednak nie dokonano na łodzi. Monroe natychmiast pojechał do domu tej dziewczyny. Jej pokój wyglądał jak wnętrze rzeźni. Bez wątplenia zginęła właśnie tam, następnie przeniesiono ją do łodzi, a łódź odprowadzono w miejsce zasłonięte drzewami i uwiązano do brzegu.

– Dobrze zaplanowana rzecz, jak morderstwo w okolicy The Perch. Mówiłeś, że w czaszce została umieszczona srebrna moneta?

– Tak.

– A pamiętasz, gdzie się znajdowała ta złota, na miejscu pierwszej zbrodni? Zanim wziął ją Monroe?

– Nie.

– Na pewno niczego nie ruszali, póki nie zrobiliś zdjęć.

– Oczywiście. Tyle że rana wyglądała strasznie. Ale mam wrażenie, że eksperci wspominali coś o klatce piersiowej... Ze znaleźli monetę podczas oględzin rany.

– Zatem mamy kolejny element rytualny.

– Co sugerujesz?

– Mamy dwa podobne zdarzenia w odstępie paru godzin. Dwie młode dziewczyny okaleczone z chirurgiczną precyzją.

– No i?

– Podobnie jak ty, słyszałam już o takich morderstwach. Whitechapel, lata osiemdziesiąte dziewiętnastego wieku. Młode kobiety zabite, a następnie wypatroszone.

Philip podsunął Laurze szklankę, prosząc o dolewkę.

– Cudnie – mruknął. – Tylko tego potrzeba nam w Oksfordzie: Kuby Rozpruwacza na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

## Rozdział 10

A to z jakiej okazji? – spytał Philip, gdy Laura przysiadła na skraju jego łóżka, postawiła na kołdrze tacę ze śniadaniem i obudziła go delikatnie.

– Po prostu miałam ochotę – odpowiedziała beztrąsko.

– Ty czegoś chcesz – rzekł, siadając i rozcierając oczy.

– Philipie...

– Chciałabyś zaangażować się w śledztwo. Zgadłem?

Laura nie udawała zbyt długo.

– Myślałam o tym całą noc. Praktycznie nie zmrużyłam oka.

– Lauro, to jest policyjne dochodzenie. Nie jesteś uprawniona... Na miłość boską, nawet ja nie mam prawa brać w nim udziału!

– Nie zamierzam wstępować do policji, Philipie. Mówię tylko, że chciałabym poprowadzić... powiedzmy, równoległe śledztwo.

– Równoległe śledztwo? – parsknął Philip. – To nie *Kojak*.

– Uważam, że mogę pomóc.

Bainbridge nie odpowiedział.

– A mógłbym chociaż najpierw dostać herbatę?

Laura dołała mleka do filiżanki.

– Ech, cholerni Amerykanie i herbata! Daj, sam się obsłużę. A ty mów, o czym tak dumiałaś po nocy.

Laura rzuciła dwie poduszki na przeciwległy koniec łóżka i usadowiła się na nich, oparta plecami o żelazne pręty.

– Otóż zastanawiałam się nad tym, co wczoraj powiedziałam. Pamiętasz, o Kubie Rozpruwaczu? Szybko jednak doszłam do wniosku, że za mało jest podobieństw między naszymi morderstwami a serią z Whitechapel. To prawda, że Rozpruwacz usuwał ofiarom organy wewnętrzne i że jego zbrodnie miały rytualny aspekt. O ile pamiętam, policja odkryła wtedy jakieś związki sprawy z wolnomularzami, ale nigdy ich do końca nie wyjaśniono. Do dziś nie wiadomo też, kto tak naprawdę był mordercą.

– I co z tego wynika? – spytał Philip.

– Po pierwsze, wszystkie ofiary z Whitechapel były prostytutkami, podobnie jak ofiary Rozpruwacza z Yorkshire, z końca lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Poza tym, tutaj organy wewnętrzne usunięto w zupełnie inny sposób. To prawda, że kobiety z Whitechapel miały poderżnięte gardła, zawsze od lewej do

prawej, ale każde kolejne zabójstwo było brutalniejsze od poprzedniego. Ciało ostatniej ofiary Kuby Rozpruwacza, Mary Kelly, było praktycznie rozdarte na strzępy. W tamtych zbrodniach był też wyraźny podtekst seksualny. Teraz sprawca działa inaczej.

– Widzę, że się przygotowałaś – zauważył na wpół drwiąco Philip.

Wzruszyła ramionami.

– Przeczytałam parę książek o Kubie Rozpruwaczu. Zawsze mnie fascynował. – Wzięła głęboki wdech. – Tu mamy do czynienia z bardzo specyficznym elementem rytualnym: złota moneta, srebrna moneta, wyjęte serce, wyjęty mózg. Może nie bez znaczenia jest i to, że drugą ofiarę znaleziono na wodzie, a pierwszą, tę w pobliżu The Perch, na lądzie. Tylko że to niezbyt mocne przesłanki, prawda? A może dowiedziałeś się wczoraj czegoś jeszcze?

– Nie, Lauro. Jestem tylko policyjnym fotografem. Większą część dnia spędzam na drukowaniu zdjęć, tworzeniu kopii zapasowych plików w komputerze, wysyłaniu materiałów do Scotland Yardu i przeglądaniu fotografii z policyjnej bazy danych.

– Ale musisz mieć jakichś kumpli na posterunku. Jestem pewna, że pytałeś ich już, co wiedzą o sprawie. Jezu, przecież musisz być choć trochę zaintrygowany!

– Philip powtórnie napełnił filiżankę herbatą i sięgnął po grzanekę.

– Jasne, że ich podpytywałem, ale dlaczego miałbym ci o tym mówić?

Laura wyglądała na zszokowaną.

– Przecież wracasz do Nowego Jorku, prawda? Więc jaki to ma sens? – bronił się.

– Otóż, postanowiłam zostać tu jakiś czas.

– Doprawdy?

– Nie musisz znosić mojej obecności tutaj, jeśli...

– Och, przestań. Jasne, że możesz tu zostać, i to tak długo, jak tylko zechcesz...

O ile przeżyjesz jakoś brak ogrzewania.

Uśmiechnęła się niespodziewanie.

– To przez wypadek Joanny...

– Wiem. Ale co teraz?

– Jestem zaintrygowana. Porzucam Thomasa Bradwardinea i zaczynam myśleć o bardziej współczesnej powieści detektywistycznej.

– Aha. Odrób ma szczerości.

– Nie chciałam...

– Już dobrze – przerwał jej łagodnie. – Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko, Philipie. Wszystko.

Roześmiał się głośno i oparł o wysoko ułożone poduszki.

– Jesteś niesamowita.

– No i?

– Nie wiem aż tak dużo... A to dlatego, że oni sami nie za wiele wiedzą. Obie dziewczyny były studentkami. Pierwsza, ta znaleziona w samochodzie, nazywała się Rachel Southgate. Miała osiemnaście lat, studiowała na pierwszym roku. Była córką biskupa Leonarda Southgatea, wdowca z Surrey. Miała trzy starsze siostry. Dziewczyna z łodzi to Jessica Fullerton, lat dziewiętnaście, drugi rok studiów. Urodziła się w Oksfordzie i mieszkała mniej więcej sto jardów od miejsca, w którym znaleziono jej ciało. Była jedynaczką, a jej rodziców rozpierała duma, że mają córkę studentkę. Jak mówiłem ci wczoraj, była sama w domu, bo rodzice pojechali na kontynent. Wczoraj zostali poinformowani... Już powinni być w mieście.

– A czy poza tym, że obie studiowały, jest jakiś związek między ofiarami? Były z tego samego college u?

– Żadnego. Jessica studiowała prawo w Balliol, a Rachel anglistykę w Merton.

– Co z wyglądem? Z rodziną? Przyjaciółmi? Wiadomo już, czy się znały?

– Rachel była wysoką i szczupłą blondynką, Jessica niższą i mocniej zbudowaną brunetką. Obie pochodziły z rodzin należących do klasy średniej. Nie mam pojęcia, czy się znały. Przypuszczam, że badają to chłopcy Monroe. To standardowa procedura.

Laura skinęła głową i spojrzała na niebo za oknem sypialni. Nastął świeży, rześki, wiosenny poranek, a po wczorajszym deszczu nie było już śladu.

– Niewiele z tego wszystkiego wynika, nieprawdaż? – powiedziała.

– Zadzwońłem wieczorem do jednego z chłopaków z posterunku, zęby się czegoś dowiedzieć – rzekł po chwili Philip. – Laboratorium ustaliło, że to rzeczywiście srebrna i złota moneta, ale żadna z nich nie jest zabytkowa. Wybito je niedawno i specjalnie postarzone.

– Oryginały muszą być niebywale rzadkie, ale i pozostawienie replik musi mieć dla zabójcy szczególne znaczenie. – Laura umilkła na moment. – Potrafiłbyś je naszkicować? Były na nich rysunki postaci?

– Boże, musiałbym pomyśleć...

Laura podeszła do kredensu i znalazła w szufladzie kartkę papieru i ołówek.

– Właściwie to nie muszę rysować. Mam coś lepszego, jeśli tylko zniesiesz taki widok...

– Aparat.

– Jest w holu, jeśli miałabyś ochotę się przebiec.

Kilka minut później Philip odnalazł na karcie pamięci nikona zbliżenia monet, wybrał jedno z nich i obrócił aparat tak, by Laura mogła obejrzeć je na ekranie.

– To chyba najlepsze. Mogę ci wydrukować.

Laura bardzo się starała nie zwracać uwagi na tkanki w różnych odcieniach czerwieni otaczające monetę. Koncentrowała się na obrazie pośrodku zdjęcia. Był to profil szczupłej i kanciastej twarzy o obojnaczych rysach i długim, szlachetnym nosie. Osoba ujęta na srebrnej monecie, którą umieszczono w czaszce Jessiki Fullerton, miała prostokątne nakrycie głowy.

– Jestem pewna, że na pierwszej monecie były postacie kobiet – powiedziała.

– Tak, chyba tak – rzekł Philip.

Sięgnęła po papier.

– Coś takiego, prawda? – spytała, odwracając kartkę w stronę Philipa, by pokazać mu szkic trzymających wysoko misę postaci w długich szatach.

– Rembrandt to nie jest, ale tak, było tam coś takiego.

– Jak sądzisz, co przedstawia ta scena?

– Pojęcia nie mam.

– I ten profil... Wygląda jakby znajomo – stwierdziła, wskazując wyświetlacz aparatu fotograficznego. – Jak starożytny Egipcjanin, może faraon, nie sądzisz?

Philip wzruszył ramionami.

– Chyba tak. A to z drugiej strony to pewnie jakaś scena religijna. Egipcjanie czcili słońce, prawda? Może ta misa – dotknął palcem szkicu – symbolizuje słońce?

Przez chwilę Laura wpatrywała się w miniaturę fotografii i w swój rysunek.

– Chciałabym dostać odbitkę – odezwała się wreszcie, stukając palcem w wyświetlacz. – Będę musiała trochę pogrzebać w książkach.

## Rozdział 11

Stary Fothenngay z St Johns mówił mi o wypadku Joanny – powiedział James Lightman, obracając się ku Laurze, gdy szli korytarzem w stronę jego gabinetu. Ściany, posadzkę i sufit wyłożono tam wapiennymi płytami; odgłos kroków niósł się głośnym echem. Wspięli się na piętro po szerokich, marmurowych schodach i chwilę później zobaczyła za otwartymi drzwiami sterty książek wypełniające przestronny pokój, a między nimi smugi słonecznego światła.

– Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłam, Jamesie. Sytuacja była trochę... zwariowana.

– Na Boga, Lauro, przecież rozumiem. Dobre jest tylko to, że zostaniesz z nami trochę dłużej. Przecież zegnaliśmy się ledwie przedwczoraj.

– Zyskałam co najmniej tydzień na dodatkowe badania.

Lightman otworzył przed Laurą ciężkie, dębowe drzwi swego gabinetu. Weszła do środka i rozejrzała się, przytłoczona tymi samymi emocjami, których doświadczyła tu po raz pierwszy jako osiemnastolatka. Pokój o łukowatym sklepieniu pełen był starych książek i półek ze starociami i ciekawostkami. Była tam wypchana sowa w szklanej gablotce, mosiężna piramida, dziwne instrumenty strunowe oraz intarsjowane skrzynie z Afryki Północnej. W tle pobrzmiwała cicho muzyka Bacha.

Gdy przyjechała tu na studia, po tygodniu pobytu w Oksfordzie odkryła pewnego ranka z zachwytem, że uzyskała dostęp do najbardziej ekskluzywnego księgozbioru na świecie. I właśnie rozkoszowała się tym, spacerując po odnowionym dziale historii sztuki, gdy nad jej głową zarwała się półka i kolekcja ciężkich tomów runęła wprost na nią.

Miała wiele szczęścia i wyszła z tej przygody cało, jeśli nie liczyć paru siniaków na prawym ramieniu, ale James Lightman zjawił się przy niej niemal natychmiast. Zapanował nad sytuacją na swój zwykły, łagodny, acz stanowczy sposób: kazał jej usiąść i sprawdził, czy rzeczywiście nic jej się nie stało. W tym samym gabinecie poczęstował ją mocną herbatą i ciastkiem, a potem poprosił, żeby opowiedziała mu o sobie. Tak narodziła się przyjaźń, która przetrwała całe jej studia w Oksfordzie, a także powrót do Ameryki i nieczęste wizyty w Anglii. W czasach uniwersyteckich Lightman był dla niej namiastką wuja, a może nawet ojca, kimś znacznie bliższym niż rodzice, od których dzieliło ją sześć tysięcy mil. Choć zajmowali się innymi dziedzinami, pasowali do siebie intelektualnie. Lightman był



prawdziwym człowiekiem renesansu i doskonałym wykładowcą, znanym w świecie z ogromnej wiedzy w dziedzinie języków starożytnych, ze szczególnym uwzględnieniem literatury Grecji i Rzymu. Laurę bardziej interesowało odrodzenie oraz wpływy klasyczne w sztuce. O Jamesie Lightman przeczytała w książce poświęconej malarstwu klasycznemu, którą pochłonęła jeszcze jako piętnastolatka w ogólniaku w Santa Barbara.

Dopiero po kilku miesiącach znajomości dowiedziała się, że Lightman był niegdyś mężem zamożnej dziedziczki, lady Susanny Gating of Brill, która wraz z ich córką Emily zginęła w wypadku samochodowym w roku 1981, ledwie rok przed przybyciem Laury do Oksfordu. Emily była jej rówieśniczką.

Lightman sadowił się właśnie za biurkiem w wytartym, obitym skórą chesterfieldzie i pokazywał Laurze, by zajęła miejsce naprzeciwko, gdy zauważyła, że nie są sami. W fotelu pod daleką ścianą siedział młody mężczyzna ubrany w schludny czarny garnitur i białą koszulę. Miał zaczesane gładko do tyłu, za uszami, włosy, długi, ptasi nos i mocno wystające kości policzkowe.

– Nie znasz jeszcze Malcolma, Lauro? – odezwał się Lightman, wstał i poprowadził ją w stronę mężczyzny. – Malcolm Bridges, mój osobisty asystent. Malcolmie, to Laura Niven.

Bridges wstał i wyciągnął kościstą dłoń.

– Wiele o pani słyszałem – powiedział. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Miał zaskakująco głęboki głos, a ledwie zauważalny walijski akcent przywodził na myśl Anthonyego Hopkinsa. Głos ten zupełnie nie pasował do aparycji asystenta.

– Mam nadzieję, że choć trochę dobrego – odpowiedziała Laura, przypatrując się twarzy Bridgesa. Było w niej coś, co nie spodobało jej się od pierwszej chwili, ale nie umiała tego zdefiniować. – Przepraszam, jeśli przyszedłam nie w porę – dodała, zwracając się do Lightmana.

– Ależ nie, nie gadaj głupstw – rzekł. – Malcolmie, jak rozumiem, ustaliliśmy już szczegóły co do wieczoru przy drinkach?

Bridges skinął głową i pochylił się, by zebrać papiery ze stojącego obok stolika.

– Tak, myślę, że tak. Zajmę się wszystkim – oświadczył. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy – powiedział do Laury, nim wyszedł.

Lightman wrócił do swego fotela i usiadł.

– Zatem w czym mogę ci pomóc, moja droga? – zagaił. – Kiedy rozmawialiśmy rano przez telefon, sprawiałaś wrażenie bardzo podekscytowanej.

Spojrzała na jego znajomą twarz o ciemnobrązowych oczach i ciężkich

powiekach, ozdobioną aureolą długich, białych włosów. Chwilami przypominał jej starego W. H. Audena, chwilami zaś biblijnego patriarchę bez brody. Wiedziała, że nie ma jeszcze siedemdziesiątki, ale wyglądał starzej. Jego skóra sprawiała wrażenie wyprawionej, a czoło tak mocno poryte było zmarszczkami, że z bliska wyglądało jak jedna z fotografii NASA przedstawiających powierzchnię Marsa.

– Chodzi o książkę, nad którą pracuję – powiedziała.

– Tę powieść o Thomasie Bradwardinie?

– Właściwie to... nie – odparła lekko zażenowana. – Postanowiłam na jakiś czas odłożyć ten temat. Napiszę coś współczesnego, kryminał.

– Tak?

– Pomyślałam, że by osadzić akcję tu, w Oksfordzie, a może w Cambridge. Jeszcze nie wiem.

– Na Boga, Lauro, byle nie tam! Nie w tej przeklętej dziurze!

Uśmiechnęła się.

– Tak czy owak, chcę dodać do morderstw element rytualny. Zabójca zostawiałby coś znaczącego na każdym miejscu zbrodni. Z początku myślałam o ceremonialnym nożu, ale ostatniej nocy przyszło mi do głowy, że mogłabym użyć monet. Policja znajdowałaby je w pobliżu ciał ofiar.

– Monety?

– Tak. Myślałam o starożytnych monetach. Sęk w tym, że praktycznie nic o nich nie wiem.

Lightman pochylił się, by sięgnąć po dziwny przedmiot w kształcie litery V leżący na stoliku obok fotela. Były to dwa uchwyty połączone ciasno zwiniętą sprężyną. Laura spojrzała na nie ze zdziwieniem.

– Artretyzm – rzekł bibliotekarz. – Lekarz kazał mi ścisnąć to przez pięć minut co godzinę, bo jeśli nie, nadgarstki ostatecznie odmówią mi posłuszeństwa – wyjaśnił, przewracając oczami. – Tyle że ja jakoś mu nie dowierzam. – Ścisnąwszy przyrząd kilka razy, przerwał ćwiczenie i spojrzał na Laurę. – Ale jak mogę ci pomóc? Monety to nie moja specjalność.

– Cóż, pomyślałam, że tu, w Bodleian, można znaleźć najlepsze materiały. Tylko że już nie jestem zarejestrowana. Czy amerykańscy turyści mogą korzystać ze zbiorów?

– Lightman zaśmiał się.

– Tylko wyjątkowi... Domyślałam się, że jak zwykle się spieszysz?

– Niestety, nic na to nie poradzę – odpowiedziała Laura, przechylając w bok głowę.

– Rzeczywiście, mamy bardzo dobry dział numizmatyczny. Mógłbym zabrać cię na dół i wprowadzić. Dziś możemy zapomnieć o wypełnianiu formularzy. – Wstając, spojrzał na nią i teraz dopiero zauważył, w czym przyszła. – Wielkie nieba, Lauro, przecież to wisiołek, który ci dałem... Kiedy to było?

Niven uniosła opal zawieszony na delikatnym, srebrnym łańcuszku. Założyła ten drobiazg rano, nie myśląc wcale o tym, że to prezent od Lightmana.

– Byłam jeszcze studentką – odpowiedziała. – Pewnie w osiemdziesiątym trzecim. Dawno temu. Noszę go prawie codziennie.

– Mówiłem ci, że to szczęśliwy kamień mojej córki?

Laura pokręciła głową.

– Nie.

– Cóż... Chodźmy.

Zeszli na parter i w holu głównym biblioteki Laura podążyła za Lightmanem wąskim pasem parkietu między wysokimi, dębowymi szafami prowadzącym do wielkich drzwi. Minąwszy je, skręcili w lewo i ruszyli korytarzem, a następnie przeszli pod łukiem po prawej, by dotrzeć do kolejnej sali – mniejszej wersji holu głównego. W połowie wąskiego przejścia Lightman ponownie skręcił w prawo i zatrzymał się przy rzędzie regałów pod ścianą. Stało przy nich duże biurko z komputerem. W tej części biblioteki nie było żywej duszy.

– To ten dział – oświadczył uczony, przyglądając się półkom. Myślę, Lauro, że znajdziesz tu wszystko, czego szukasz. Gdybyś czegoś potrzebowała, tam, za rogiem, siedzi pani Sitwell – dodał, wskazując daleki kraniec sali. – Zna ten dział jak własną kieszeń. Gdybym jednak mógł ci w czymś pomóc, zagłądaj bez wahania. Będę na górze. Mam trochę papierkowych bzdur do uporządkowania. – Pochylił się i cmoknął Laurę w policzek. – Zajrzyj do mnie, zanim wyjdiesz.

Laura usiadła przy biurku i spojrzała na książki. Przez chwilę czuła się winna, że nie była szczerą wobec starego przyjaciela, ale wytłumaczyła sobie, że więcej wyjawić nie może.

Nie bardzo wiedziała, czego konkretnie szuka, więc postanowiła wybrać na oślep. Wzięła książkę *Starożytne monety*, wydaną przez Oxford University Press. Następnie wyjęła odbitkę, którą wydrukował dla niej Philip, oraz kartkę z niedbałym szkicem drugiej strony monety.

Wkrótce dowiedziała się, że choć wczesne monety znane są głównie z Grecji, to najstarsze pochodzą z Licji w Azji Mniejszej, a znaleziono je w ruinach świątyni Artemidy z szóstego wieku przed naszą erą. Laura uważała, że te, które odkryto na miejscach zbrodni, nawiązują stylem do sztuki egipskiej, lecz książka, którą miała

przed sobą, nie zawierała żadnych informacji o monetach pochodzących z tej kultury. Sięgnęła po kolejny tom – *Monety starożytności* Luthera Neumanna.

Już w pierwszych rozdziałach znalazła spekulacje na temat monet egipskich oraz waluty z okresu, gdy Egipt został wchłonięty przez imperium rzymskie. W sumie jednak brakowało tam konkretów – autor nadmieniał jedynie, że niektóre z najwcześniejszych monet znad Nilu mogły zostać zaprojektowane przez alchemików i okultystów, których obsesją było złoto i inne metale szlachetne. Ludzie ci pełnili funkcję nadwornych magików u kilku faraonów.

Laura miała już odłożyć książkę na półkę, gdy coś ją uderzyło. Przypomniała sobie słowa Jamesa Lightmana o opalu.

– Szczęśliwy kamień mojej córki – powtórzyła na głos i ponownie otworzyła księgę. Gdy dotarła do strony, którą czytała przed momentem, w oczy rzuciło jej się słowo „alchemik”.

Czując przyspieszony puls, otworzyła notatnik, przewróciła kartkę i napisała: „alchemik”, „magik”, „starożytni Egipcjanie”, „szczęśliwe kamienie”, „złoto i srebro”, a następnie postawiła cztery wielkie znaki zapytania.

Odłożyła na miejsce *Monety starożytności* i *Starożytne monety*, a potem przejrzała katalog komputerowy, szukając wszelkich odniesień do tematu najstarszych monet. Znalazła tylko jeden tytuł: *Zaginione numizmaty* profesora Samuela Cohena, wydany jeszcze w Angin wiktoriańskiej. Powtórzyła wyszukiwanie, używając hasła „egipscy alchemicy”. Jeśli nie liczyć paru świeżych pozycji, które uznała za niegodne zaufania, bo bliższe taniej sensacji niż nauce, i tym razem odnalazła ledwie jedną interesującą książkę: równie mało znane, wiktoriańskie *Nauki tajemne faraonów* Erasmusa Fairbrook-Dalea.

Poszukiwania zaczynały ją wciągać. Przypomniały jej się czasy akademickie. Z czułością myślała o popołudniach spędzonych w podobnych salach na odnajdywaniu tropów wiodących od jednej koncepcji do innej, na podążaniu krętą ścieżką intelektualnego labiryntu. Być może, stwierdziła, otwierając *Zaginione numizmaty* i z przesadną ostrożnością przewracając kartki, właśnie stąd wzięło się jej zainteresowanie reportażem kryminalnym. Może wciągnęło ją to węszenie w poszukiwaniu rozwiązania zagadki? Jeżeli tak, to z tego samego powodu została autorką thrillerów.

I nagle to zobaczyła. Pośrodku strony 9 widniała ilustracja przedstawiająca dwa dyski – awers i rewers monety. Na pierwszym znajdowało się pięć kobiet w długich, powłóczystych szatach, niosących w wyciągniętych wysoko ramionach wielką, głęboką misę. Obok zaś był profil młodego faraona, umieszczony na

odwrotnej stronie tej samej monety. Twarz różniła się nieco od tej, którą uwiecznił Philip, ale wszystko inne było praktycznie identyczne. Z rosnącym podnieceniem Laura przeczytała tekst pod ilustracją.

Znane jako monety Arkhanon (ok. 400 p. n. e. , okolice Napaty), wykonywane były ręcznie przez nadwornych magików króla Alary. Na każdej znajdowały się obrazy odzwierciedlające znaczenie, jakie dla starożytnych Egipcjan miała jedność wszechrzeczy, holistyczne dopasowywanie wzajemnie uzupełniających się elementów. Na ilustracji przedstawiono monetę złotą, z rysunkiem pięciu kobiet trzymających symbol Słońca. W tym samym miejscu znaleziono dwie bardzo podobne monety Arkhanon. Na srebrnej widniało pięć kobiet w długich szatach z okrągłą misą symbolizującą Księżyc, na żelaznej zaś – z kolejnym kołem, wyobrażającym zdaniem niektórych badaczy planetę Mars.

– Chryste – powiedziała głośno Laura, wpatrując się w ilustrację. – Spryciara ze mnie – dodała, sięgając po *Nauki tajemne faraonów*. Przerzucała kartki tak długo, aż znalazła rozdział zatytułowany *Narodziny holizmu*.

Trzy godziny później wyszła z budynku i stanęła w ostrych promieniach popołudniowego słońca, które przebiły się przez niskie, czarne chmury. Ulica lśniła od świeżego deszczu, a nad Radcliffe Camera widniała blada tęcza. Laura jednak nie zauważała tego wszystkiego. Myślami była wciąż w starożytnym świecie magu i okultyzmu, drżąc z podniecenia, iż być może właśnie znalazła kluczową wskazówkę.

## Rozdział 12

Akolita był dumny ze swych działań – były realizacją od dawna pielęgnowanego marzenia. Spełniał polecenia jednego z najwspanialszych żyjących ludzi, wykonując pracę, która miała coś zmienić, miała sens i cel. Był częścią wielkiego planu, Wielkiego Dzieła, jak nazywano je przed kilkuset laty.

Szkolił się wiele lat tylko po to, by wykonać zadania, które mu teraz powierzono. Niełatwa była to nauka. Studiował w najlepszych szkołach medycznych, praktykował w salach operacyjnych trzech szpitali o międzynarodowej renomie, wciąż ćwiczył i doksztalał się, szlifując wrodzony talent. Studiował kriogeenikę, psychologię i matematykę, znalazł się na okultyzmie, numerologii, astrologii i alchemii.

Zatrzymał swą nie rzucającą się w oczy, czarną toyotę na miejscu dla gości parkingu Somerville College w Oksfordzie, wysiadł i stanął na wysypanym żwirem placu. Kamyki zazgrzytały pod podszewkami jego ręcznie szytych czarnych butów. Strzepnął nie istniejące drobiny pyłu z klap nieskazitelnego garnituru od Cerrutiego, przygładził kilka kosmyków włosów nad uszami, wyprostował idealnie leżący, jedwabny krawat marki Hermes i przyjrzał się swemu odbiciu w tylnej szybie jednego z samochodów, zanim skręcił w stronę głównego dziedzińca.

Spojrzał na zegarek patek philippe: dochodziła piętnasta. Wiedział, że lada chwila z bramy numer 7 wyłoni się Samantha Thurow, studentka trzeciego roku historii i nauk politycznych. Od tego momentu aż do dwudziestej pierwszej osiem miał śledzić każdy jej ruch. W ogólnym zarysie wiedział, jakie będą to ruchy – niedawno założył podsłuch w jej pokoju w domu studenckim w Summertown, na północ od centrum miasta, a oprócz tego nagrywał jej rozmowy telefoniczne.

Rozmyślając o tym, zaczął odczuwać pierwszy dreszcz przyjemnej niecierpliwości i właśnie wtedy zobaczył Samanthę, która wyłoniła się z ciemnego wnętrza bramy numer 7. Rozmawiała z inną studentką, niewysoką Azjatką. Samantha była niezwykle urodziwą, wysoką brunetką o zmysłowych, migdałowych oczach i pełnych, intensywnie czerwonych ustach. Włosy ułożyła starannie, tak by sugerowały twórczy nieład. Miała na sobie krótką spódnicę w szkocką kratę, czarne wełniane rajstopy, czarne martensy oraz obcisłą czerwoną bluzkę i czarny, rozpinany sweter. Niosła stertę książek pod pachą i małą, skórzaną torebkę na lewym ramieniu. Akolita przyjrzał się jej strojowi z lekkim niesmakiem i wolno obszedł dziedziniec, obserwując dziewczęta, które przechodziły właśnie przez

portiernię w drodze na ulicę.

Nauczył się na pamięć niemal wszystkich szczegółów z dossier Samantha Thurow, które sporządził. Urodziła się dziewiętnastego maja 1986 roku w Godalming w hrabstwie Surrey. Jej ojciec robił interesy z wojskiem, a matka była nauczycielką. Miała dwóch starszych braci i młodszą siostrę. Była na trzecim roku studiów w Somerville i uczyła się wyjątkowo dobrze. Doskonały stan zdrowia, typowe choroby w dzieciństwie, złamana ręka w dziewiątym roku życia, nerki klasy A1. Życie uczuciowe: jej aktualny chłopak, Simon Welding, lat dwadzieścia cztery, był nauczycielem stażystą. Mieszkał z dwoma innymi studentami w wynajętym domu we wschodniej części miasta. Podczas roku akademickiego Samantha nocowała u niego co najmniej dwa razy w tygodniu.

Dziewczyna odpięła rower i odsunęła go od muru, po czym machnęła przyjaciółce na pożegnanie i skręciła w prawo, by przeszedłszy na drugą stronę St Giles, odjechać w kierunku centrum. Akolita wiedział, dokąd się wybiera. Nie musiał się spieszyć do samochodu. Stanąwszy obok toyoty, włożył rękawiczki, – wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł fotel, zanim wsiadł. Oczyszczył też deskę rozdzielczą i kierownicę, a brudną chusteczkę schował do małego, plastikowego woreczka leżącego na siedzeniu pasażera. Wreszcie przyglądził nogawki spodni oraz klapy marynarki i usadowił się tak, by jak najmniej wygnieść cenny garnitur. Dopiero potem przekręcił kluczyk i ruszył.

Wyprzedził Samanthę na St Giles; jechała w sporej grupie rowerzystów. Niespiesznie okrążył centrum i podążając Cowley Road, dotarł do Princes Street, gdzie zaparkował opodal numeru 268. Dziesięć minut później na skrzyżowaniu z Cowley Road pojawiła się Samantha. Jadąc wąską ulicą, mijała ciąg eleganckich szeregowców, aż zatrzymała się przy domu, który obserwował Akolita. Tu zjechała na ścieżkę, przypięła rower pod ścianą i wyjętym z torebki kluczem otworzyła frontowe drzwi.

Według rozkładu zajęć, jej chłopak, Simon Welding, nie miał się tu pokazać w ciągu najbliższych czterech godzin, a Samantha zamierzała się uczyć całe popołudnie. Większość wieczoru mieli spędzić sami – pozostali domownicy wybierali się na przyjęcie w jednym z pobliskich domów. Tuz przed dwudziestą pierwszą Akolita mógł się zjawić pod numerem 268 ze swym ekwipunkiem, by oddalić się zaledwie po kwadransie. Po kolejnych piętnastu minutach miał już być z Mistrzem – kolejny krok bliżej do ukończenia Wielkiego Dzieła.

## Rozdział 13

Naprawdę chcesz to zrobić? – spytała z niedowierzaniem Joanna.

– Po co ten lekceważący ton? Nie jestem nowicjuską w dziedzinie zbrodni. Nie pamiętasz już, jak zarabiałam na życie, zanim zostałam wspaniałą pisarką? – odparowała Laura.

Joanna wstała po raz pierwszy od wypadku; teraz odpoczywała na kanapie Philipa, przykryta kocem i z kubkiem bulionu w dłoni. Miała na sobie piżamę w krowy, co najmniej o trzy numery za dużą. Stary zegar jej dziadka w holu właśnie wybił szóstą, gdy Laura i Philip skończyli wyjaśniać Jo wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch dni, aż do momentu, gdy wczesnym popołudniem Laura złożyła wizytę Jamesowi Lightmanowi.

– Poza tym – dodała Laura z zapalem – wydaje mi się, że dokonałam przełomu w sprawie.

Philip wyprostował się w fotelu.

– Jakiego przełomu?

– Mówię o wynikach intensywnych, czterogodzinnych poszukiwań w Bodleian. Okazuje się, że nasze monety są replikami czegoś, co uczeni nazywają Arkhanon. To bodaj najstarsze ze znanych egipskich monet, datowane na czterechsetny rok przed naszą erą. Wcześniej Egipcjanie prowadzili jedynie handel wymienny. Najważniejsze jest to, że twórcami monet Arkhanon byli alchemicy pracujący dla faraonów. Według jednego ze źródeł, – wizerunek kobiet z misą ma coś wspólnego z obsesją alchemików na punkcie holizmu, związków między pozornie niepowiązanymi sprawami.

– Alchemicy? – mruknął Philip. – No tak, oczywiście, byli w starożytnym Egipcie. Chyba czytałem kiedyś, że już – wtedy zaczęły się te maniackalne próby otrzymania złota i eliksiru życia.

– Mamo? Dobrze się czujesz? Alchemia? Przecież to... bzdury, mówiąc łagodnie – powiedziała Joanna, marszcząc brwi.

– Po prostu mnie wysłuchajcie, dobrze? – poprosiła Laura.

Philip i Joanna spojrzeli po sobie bez słowa.

– Doskonale. Rzecz wygląda tak. Jak się okazuje, jednym ze związków, które tak interesowały alchemików, był związek między człowiekiem a wszechświatem. Większość próbowała szukać podobieństw między ludzkim ciałem, planetami, gwiazdami i ruchami sfer niebieskich. Wierzyli, że ciało jest odzwierciedleniem



porządku nieba. Ze Bóg stworzył ten wzorzec, ten powtarzający się wizerunek, i że ich zadaniem jest odkrycie związków między jego poszczególnymi formami. Uważali to za swój święty obowiązek.

– Sądysz, że to wszystko ma jakiś związek z morderstwami? – spytał Philip. Wyglądał na kompletnie skołowanego.

– Alchemicy wierzyli, że uda im się otrzymać złoto tylko wtedy, gdy odkryją mityczny kamień filozoficzny, magiczną substancję, która połączona z dowolnym metalem bazowym, zmieni go w czyste, brzące złoto. Odkrycia kamienia filozoficznego mógł dokonać jedynie ktoś szlachetnego ducha, alchemik w pełni rozumiejący holistyczny aspekt wszechświata, zdolny uwolnić umysł i połączyć go z Duchem Uniwersalnym. Co ważniejsze, alchemicy widzieli związek między metalami a częściami ciała...

– Nie mów mi – przerwał jej Philip. – Złoto łączyli z sercem, a srebro z mózgiem?

– Dziesięć punktów dla pana Bainbridgea. Ale to ledwie początek. Otóż alchemicy wierzyli, że ludzkie ciało i sklepienie niebieskie stanowią swe lustrzane odbicie. Zatem i planety można łączyć z poszczególnymi organami...

– Mamo, pozwól, że sobie to uporządkuję – wtrąciła Jo. – Spędziłaś całe popołudnie, badając alchemiczne powiązania złota, Słońca i podrobów? A gdzie w tym wszystkim miejsce dla Świętego Mikołaja?

– Chodzi o to – powiedziała Laura – że prawdopodobnie istnieje związek między tymi „czarami” a zbrodniami. Choćby dlatego, że morderca w to wierzy. I nieważne, czyjego przekonania są skończonymi bredniami.

– Masz rację – przyznała Joanna, zawstydzona.

– Nie usłyszeliście jeszcze wszystkiego – rzekła Laura. – Ale możecie, jeśli tylko chcecie.

– Proszę cię... – jęknęła Jo, przewracając oczami.

Niven uśmiechnęła się złośliwie.

– Wydawało wam się, że to, co mówię, jest dziwne? To teraz usłyszycie naprawdę odjazdowy kawałek. Niektórzy alchemicy poświęcili życie na bezowocne poszukiwanie kamienia filozoficznego. Mieszali odczynniki, chcąc otrzymać magiczną substancję, która – jak wierzyli – potrafi przemienić dowolny metal w złoto. Przez wieki mieli nadzieję, płonną, jak się okazuje, że w końcu dopną swego. Trwało to od starożytności aż po... Cóż, niektórzy twierdzą, że i dziś żyją alchemicy. Chodzi o to, że przez wszystkie te lata czyniono ogromne wysiłki na tym polu. Adept, który zdecydował się podążać za instrukcjami pochodzącymi z

wielu źródeł, często spędzał miesiące, a nawet lata na powtarzaniu jednego eksperymentu. Tak czy inaczej, czytając o tym wszystkim, zaczęłam się zastanawiać, co było drogowskazem w ich pracy. Szukałam związków alchemii z innymi dziedzinami i nagle uderzyło mnie, że większość alchemików musiała się też znać na astrologu. Za czasów studenckich sama bardzo interesowałam się astrologią... choć wyleczyłam się z tego dość szybko – dodała, spoglądając z ukosa na Joannę, która kręciła głową. – Pracą alchemików praktycznie rządził układ gwiazd. Każda faza ich eksperymentów musiała być przeprowadzona w ściśle określonym dniu, wyznaczanym według reguł astrologu.

Philip i Jo słuchali w milczeniu.

– Dla alchemików najważniejszy był jeden dzień w roku. Wiosenne ekwinokcjum.

– Co? – spytała Joanna.

– Wiosenne zrównanie dnia z nocą. Pierwszy dzień wiosny, gdy dni zaczynają być dłuższe niż noce – wyjaśnił Philip.

– Zgadza się. Dla alchemików był to najlepszy moment do podejmowania nowych przedsięwzięć. Większość z nich rozpoczynała wtedy eksperymenty w poszukiwaniu kamienia filozoficznego. Wiosenne ekwinokcjum przypada dwudziestego marca... Było dwa dni temu, w dniu pierwszego morderstwa.

– Co o tym sądzisz, Lauro? – spytał fotograf po długiej chwili. – To dość... makabryczne, ale czy może nam pomóc w schwytaniu mordercy?

– Zastanawiam się nad tym, odkąd wyszłam z biblioteki. Nie wiem, czy pozwoli to schwycić mordercę, ale może uda się zapobiec kolejnym zbrodniom.

– Niby jak?

– Pomyśl tylko. Monroe powiedział, że zdaniem lekarzy sądowych Rachel Southgate została zabita wieczorem dwudziestego. Dokładnie wtedy Słońce weszło w znak Barana i na Ziemi nastąpiło wiosenne ekwinokcjum. Dla mordercy był to sygnał do rozpoczęcia nowego projektu.

– Pięknie! – wykrzyknęła Joanna. – Wspaniały projekt!

– Chodzi o to – ciągnęła Laura – że moment, w którym dokonano drugiego morderstwa, prawdopodobnie również ma astrologiczne konotacje. Bóg jeden wie jakie, ale jeśli się nie mylę i jeśli sprawca planuje trzecie, a może też czwarte morderstwo, to zapewne i one zostaną popełnione w ściśle określonym czasie.

– Tak – mruknął Philip. – Chyba ma to sens.

– Jasne, że ma – odparła ostro Laura. – Kłopot w tym, że mało wiem o tych sprawach.

– Hej, nie patrz tak na mnie – zawołała Joanna. – Jestem matematykiem.

– Błagam o wybaczenie – zaśmiała się Laura.

– Ale... właśnie miałam powiedzieć, że być może masz szczęście.

– Tak?

– Tom, niestety, bardzo się interesuje tym tematem. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. W innych sprawach jest przecież takim bystrzakiem – kontynuowała Jo, przechodząc na brytyjski akcent. – W dodatku spodziewam się go w każdej chwili.

– Naprawdę? – rzekł Philip.

– Mam nadzieję, tato, że się nie gniewasz. Chciał sprawdzić, jak się czuję.

Philip uniósł dłonie.

– Nie ma sprawy.

– Doskonale – ucieszyła się Laura. – Przy kolacji wszystko nam wyśpiewa.

Tom zjawił się dwadzieścia minut później. Wyglądał zadziwiająco zdrowo, jeśli nie liczyć aluminiowej szyny unieruchamiającej dwa palce lewej dłoni. Członek drużyny rugby i student medycyny Oriel College, miał sześć stóp i trzy cale wzrostu przy masie ponad dwustu funtów, i to bez grama tłuszczu. Ze swą kanciastą szczęką, wielkimi błękitnymi oczami i dobrze ostrzyżoną, falującą czupryną był uderzająco przystojny. Usiadł na kanapie obok Joanny, a podczas gdy Philip wyszedł do kuchni po szklanę, Laura wprowadziła go w szczegóły.

– Ooo – powiedział po monologu pisarki. – I to wszystko dzieje się naprawdę?

– Obawiam się, że tak – rzekł Philip, wręczając mu szklanę – z sokiem żurawinowym. – Domyślam się, że Laura nie oszczędziła ci krwawych szczegółów?

– Mam nadzieję! – zaśmiał się Tom. – Więc sądzi pani, że morderca planuje swoje poczynania w zgodzie z kalendarzem astrologicznym?

– Jeszcze nie jestem pewna.

– Ale wie pani ponad wszelką wątpliwość, że zabójca popełnił pierwszą zbrodnię podczas wiosennego ekwinokcjum, że zostawił złotą monetę i że – urwał na chwilę – usunął dziewczynie serce. Drugie morderstwo nastąpiło niespełna dwanaście godzin później, a sprawca zostawił srebrną monetę i wyjął ofierze mózg.

– Tak jest.

– Ma pani rację co do tych związków. Mózg łączy się ze srebrem i Księżycem. Moim zdaniem oczywiste jest, że w porze drugiego morderstwa Księżyc wszedł w znak Barana.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Joanna.

– Jasne! – wykrzyknęła Laura. – Ze też o tym nie pomyślałam!

– O czym? – zapytał Philip.

– Teraz to oczywiste. Położenie Słońca, Księżycy i planet zmienia się nieustannie, prawda? – wyjaśniła Laura. – Ruch Słońca w ciągu roku nadaje znaczenie dwunastu znakom zodiaku. Dobrze mówię, Tom?

Chłopak pokiwał głową.

– A zatem w pierwszym miesiącu Słońce jest widoczne w znaku Koziorożca, potem Wodnika, Ryb i tak dalej. W znak Barana wchodzi pod koniec dwudziestego lub na początku dwudziestego pierwszego marca. Wtedy przypada wiosenne zrównanie dnia z nocą. Następnie Słońce przechodzi w znak Byka i pozostałe... Ale także Księżyc i planety mogą w ciągu miesiąca wchodzić w kolejne znaki zodiaku.

– To prawda, choć nie zdarza się to często – dodał Tom. – Księżyc i planety mogą się znajdować po przeciwnej stronie nieba cały miesiąc, ale niekiedy kolejno wchodzi w dany znak.

– Tak, ale... – zaczęła Joanna, lecz Tom wpadł jej w słowo.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Jo. Już o tym dyskutowaliśmy. Uważasz, że to wszystko bzdury, ale trzeba odróżniać prawdziwą astrologię od głupot publikowanych w magazynach dla kobiet i niedzielnych dodatkach. Te ostatnie rodzą się w głowach pismaków, którzy biorą za to pieniądze, i nie mają żadnych podstaw. Odpowiednio wyszkolony astrolog operuje znacznie bardziej skomplikowanymi pojęciami, biorąc pod uwagę wpływ wszystkich ciał niebieskich, nie tylko Słońca.

– Chcesz powiedzieć – wtrącił Philip – że inne ciała niebieskie podążają niekiedy za Słońcem w dany znak zodiaku i należy uwzględnić ich astrologiczny wpływ?

– Właśnie.

– W takim razie niewykluczone, że Księżyc istotnie wszedł w znak Barana wkrótce po Słońcu i że fakt ten ma związek z datą i godziną drugiego morderstwa.

– Założę się, że tak jest.

– Chwileczkę – rzuciła Joanna. – Pewnie zaraz na mnie naskoczą, ale czy nie wydaje się wam, że popełniamy tu elementarny błąd? Te wszystkie znaki zodiaku wymyślono... no właśnie, kiedy? Dziesięć tysięcy lat temu?

– Nie aż tak dawno. O ile wiem, astrologia narodziła się w Mezopotamii mniej więcej cztery tysiące lat przed naszą erą.

– W porządku. Więc sześć tysięcy lat... Chodzi o to, że konstelacje nie mogą wyglądać dziś tak samo jak wtedy, bo zdążyły dość znacznie zmienić położenie

względem Ziemi. Nie tylko znajdują się w nieco innych miejscach niż w starożytności, ale także zmieniły się ich kształty.

– W zasadzie, Jo, to zupełnie nieważne – powiedziała Laura.

– Dlaczego?

– Ponieważ wagę do tego przywiązują wyłącznie astrologowie z brukowców.

Joanna sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Pomyśl tylko. Jeśli rzeczywiście wszystko się przesunęło o jeden znak czy więcej, nie ma to znaczenia jedynie dla tego, kto próbuje przypisać jakąś charakterystykę osobom urodzonym pod danym znakiem. Wiesz, jesteś Wodnikiem, więc działasz niekonwencjonalnie i masz słabe kostki. Takie tam brednie.

– Ma pani rację – wtrącił Tom. – Prawdziwi astrologowie biorą poprawkę na zmiany w położeniu ciał niebieskich.

– W takim razie wiosenne ekwinokcjum nie musi następować w znaku Barana – rzekł Philip.

– To naprawdę bez znaczenia, chyba że interesuje cię astrologia z niedzielnych dodatków – stwierdziła Laura.

Joanna westchnęła.

– Chyba masz rację.

Laura uśmiechnęła się szeroko.

– Już dobrze, lalczko, jesteś tylko matematykiem.

Dziewczyna zaśmiała się z rezygnacją i pociągnęła łyk bulionu.

– Tak czy owak – dodał Philip – nasz morderca wydaje się zainspirowany astrologią. Musimy tylko skupić się na tym, w co on wierzy a nie na tym, co sami o tym myślimy.

– W porządku – powiedziała Laura, unosząc ręce. – Wróćmy do sedna sprawy. Tom, uważasz, że Księżyc rzeczywiście wszedł w znak Barana, kiedy popełniono drugie morderstwo?

– Łatwo to sprawdzić – odparł.

– Naprawdę?

– Tak. Wystarczy zajrzeć na [almanac.com](http://almanac.com). Jestem subskrybentem.

– Dobry Boże – jęknęła Jo.

Tom wstał i podszedł do komputera stojącego na biurku obok kanapy.

– Jest w sieci? – spytał.

– Tak. Mam stałe łącze – odparł Philip, stając obok niego.

Otworzyli Google i Tom wpisał adres „[almanac.com](http://almanac.com)”. Sekundę później

witryna pojawiła się na ekranie. Tom podał hasło i znaleźli się w menu. W kolumnie po lewej; stronie widniała lista pytań, a obok nich puste okienka odpowiedzi.

Laura zbliżyła się do komputera. Tylko Joanna została na swoim miejscu.

– Muszę wpisać kilka danych – powiedział Tom. – To świetny serwis. Program oblicza położenie każdej planety i Księżyca w dowolnym momencie między dniem dzisiejszym a rokiem trzytyśięcznym – wyjaśnił, stukając palcami w klawisze. – Dobra, zatem mamy Księżyc i datę: dwudziesty pierwszy marca dwa tysiące szóstego roku. – Wprowadził jeszcze kilka danych, odpowiedział na parę zapytań systemu i wcisnął klawisz ENTER.

Odpowiedź pojawiła się zaskakująco szybko.

– Super – rzucił Tom.

– Co takiego? – spytała Laura, nic z tego nie rozumiejąc.

– Księżyc wszedł w znak Barana o trzeciej czterdzieści siedem nad ranem, dwudziestego pierwszego marca.

– To może być dokładny czas drugiego morderstwa – przyznał Philip. Był wyraźnie pod wrażeniem.

– Monroe nie miał wątpliwości co do godziny zgonu? – upewniła się Laura, spoglądając na niego.

– Powiedział, że zdaniem ekspertów morderstwa dokonano cztery do sześciu godzin przed moim przybyciem. Dojechałem tam tuż przed ósmą trzydzieści, zatem ofiara musiała zginąć gdzieś między drugą trzydzieści a czwartą trzydzieści w nocy.

– Tom, potrafiłbyś prześledzić nie tylko ruch Księżyca, ale i planet? – spytała Laura.

– Tak.

– Musimy się dowiedzieć, czy któraś z nich wejdzie wkrótce w znak Barana i kiedy to nastąpi. Możemy sprawdzić wszystkie po kolei?

– Nawet lepiej – odparł Tom. – Mogę pani przedstawić ruchy wszystkich planet, wybiegając dowolnie daleko w przyszłość.

– Nie przesadzaj, Thomas – przerwała mu z rozbawieniem Joanna. – Tylko do roku trzytyśięcznego.

Philip zaśmiał się lekko. Tom zignorował słowa dziewczyny i zaczął stukać w klawisze, odpowiadając na zapytania systemu. Po chwili ponownie wcisnął klawisz ENTER i odjechał z krzesłem od komputera.

– Dobra, mech liczy – powiedział.

Tym razem trwało to dłużej. Mniej więcej po dwudziestu sekundach na ekranie pojawiły się diagramy i kolumny liczb.

– Co z tego wynika? – spytała niecierpliwie Laura.

– Zaraz, zaraz – mruknął Tom. Przewinął obraz w dół, zbliżył twarz do ekranu, a potem w skupieniu zamknął oczy. – Jezu!

– O co chodzi? – spytał Philip.

– To jest naprawdę coś.

– Proszę cię... – syknęła Laura.

– Przepraszam. Od czasu do czasu zdarzają się koniunkcje planet...

– Czyli planety ustawiają się w jednej linii? – upewnił się Philip.

– Właśnie. Co najmniej dwa ciała niebieskie – dotyczy to Księżyca i planet – ustawiają się w jednej linii względem punktu obserwacyjnego na Ziemi. Koniunkcja dwu planet albo planety i Księżyca to jeszcze nic nadzwyczajnego. Mówi się wtedy o koniunkcji trzech ciał. Koniunkcja czterech ciał jest rzadszym zjawiskiem, zdarza się raz na parę lat. Kilka minut po północy trzydziestego pierwszego marca Księżyc i trzy planety znajdą się niemal w idealnej linii, tworząc ze Słońcem koniunkcje pięciu ciał. Jest to zjawisko tak wyjątkowe, że zaobserwowano je może dziesięć razy w ciągu ostatniego tysiąclecia.

Pierwsza zareagowała Laura.

– Zatem trzy planety wejdą w znak Barana w ciągu najbliższych paru dni?

– Tak jest.

– Możesz się dowiedzieć które?

– Już wiem – odparł Tom, wskazując na ekran. – Wenus, Mars i Jowisz, dokładnie w tym porządku.

– Kiedy?

– Jowisz tuż po północy trzydziestego pierwszego marca, Mars kilka godzin wcześniej, wieczorem trzydziestego marca, a Wenus... niech no sprawdzę – dodał, przewijając dane. – Wenus wchodzi w znak Barana dziś, osiem minut po dwudziestej pierwszej.

## Rozdział 14

### Cambridge, wieczorem 10 sierpnia 1690

John Wickins przyjechał do Cambridge w roku 1663 i teraz znał miasto jak twarz własnej matki. Znał każdy zakręt każdej alejki, każdą roślinę i każdy chwast wychylający się pomiędzy kamieni chodników, po których regularnie spacerował. Znał też wszystkich wykładowców collegeów i wszystkich mieszkańców miasta, z którymi zetknął go los. Od niemal trzech dziesięcioleci z przyjemnością oddawał się niezmiennym nawykom: kupował książki w tej samej księgarni, napełniał kałamarz w tym samym sklepie, zamawiał tak samo szyte ubrania u tego samego, dziś już postarzałego krawca i nawet w tabakę zaopatrywał się u tego samego dostawcy, który sprzedał mu ją pierwszy przed z górą dwudziestu laty. Ale teraz Wickins wyjeżdżał i miasto już nie wydawało mu się takie samo.

Bardzo się spieszył. Wynajął konia, by jeszcze tego dnia dotrzeć do Cambridge z Oksfordu. Przybył do miasta o zmierzchu i rzucił wodze stajennemu, rozkazując mu nakarmić i napoić wierzchowca w stajniach college u. Zwykle nie pozwalał sobie na takie luksusy, ale tym razem miał wielkie plany i nie mógł tracić czasu na podróż zatłoczonym i powolnym powozem. Niewątpliwie był podekscytowany perspektywą nowego stanowiska, które mu proponowano: funkcji rektora St Marys w Oksfordzie. Takiej sposobności nie mógł przepuścić. Właśnie teraz należało się wyrwać z Cambridge i całego życia związanego z tym ośrodkiem.

To, rzecz jasna, oznaczało też rozstanie z Isaakiem Newtonem, z którym łączyła go bardzo dziwna znajomość. Poznali się na pierwszym roku studiów – obaj czuli się tu dość żałośnie i nieszczęśliwie przypadła im do gustu większość studentów uniwersytetu. Mieli nadzieję, że wpadną tu w pasjonujący wir nauki, tymczasem przekonali się, iż niewielu kolegów interesuje się czymś więcej niż piciem, hazardem i dziwkami. Pochodzili z podobnych rodzin należących do niższej szlachty. Ojciec Wickinsa był nauczycielem. Newton stracił ojca, nim jeszcze przyszedł na świat, a jego matka poślubiła miejscowego pastora. Ani John, ani Isaac nie mieli tak naprawdę nic wspólnego z grupą młodych mężczyzn, którzy rozpoczęli z nimi naukę. Wielu z nich pochodziło z rodzin zamożnych posiadaczy ziemskich i kupców, lecz nawet ci byli lepsi od najbardziej leniwych i najgłupszych ze wszystkich studentów: nikczemnego potomstwa szlachty płacącej słono za akademickie sukcesy swych synów.



Wickins przemierzył dziedziniec Trinity College i minawszy łukowatą bramę, wszedł na schody. Kroczył wolno, jakby podświadomie próbował odwlec to, co nieuniknione. Przeżył w tym niezwykłym mieście dużo wspaniałych chwil. Prawdą było, że większość życia spędził na żmudnych studiach i na badaniach teologicznych, jednak co jakiś czas pomagał Newtonowi w jego pracy naukowej, kopiował dla niego teksty i asystował mu przy eksperymentach. W takich chwilach czuł nieomylnie, że znalazł się bliżej wielkiego Isaaca Newtona niż ktokolwiek inny. Zdarzały się też momenty, w których fizyczna potrzeba zbliżała ich, popychając do czynów, o których nigdy nie rozmawiali i które ukrywali przed światem. Ale poza tym istniał jeszcze prawdziwy powód, dla którego Wickins tak bardzo zbliżył się do tego człowieka. Powód, dla którego kazano mu go poznać i zdobyć jego przyjaźń. John Wickins rozumiał mianowicie, że Isaac Newton jest najniebezpieczniejszym z żyjących ludzi.

Dotarł do drzwi ich kwatery, wyjął klucz z kieszeni kaftana i przekręcił go w zamku. Korytarz i pokoje po obu jego stronach spowijał mrok. Ciepłe powietrze wpadało do środka przez otwarte okno na końcu holu. Drzwi do sypialni Wickinsa były zamknięte, za to te po prawej, do komnaty Newtona i dalej, do laboratorium – uchylone. W mieszkaniu panowała niezwykła cisza. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było kwilenie drozdów gniazdujących w konarach wiązu tuż za otwartym oknem.

Znalazłszy się tutaj, Wickins poczuł nagle, że ogarnia go wielka niepewność co do jego planów. Tu był jego dom, tu czuł się bezpiecznie. Czy dobrze robił, myśląc o porzuceniu tego wszystkiego i szukaniu nowego życia w Oksfordzie?

Był pewien, że jego misja w Cambridge dobiegła końca. Była to praca o wielkim znaczeniu i nie mógł porzucić jej wcześniej, więc przynajmniej w tej sprawie nie miał poczucia winy. Koniunkcja planet przypadała najbliższej nocy, jedenastego sierpnia, i jasne było, że nikt nie spróbuje rozpocząć eksperymentu. Skoro sam Newton nie szykował się do tego, to nikt inny nie miał wystarczających zdolności, wiedzy i ambicji, by to zrobić. Przyjaciele Wickinsa z Oksfordu wypatrywali znaków, ale i tam najwyraźniej nie działo się nic podejrzanego. W poprzednim tygodniu dotarły do nich wprawdzie wieści o jednym morderstwie, lecz nie było wątpliwości, że dziewczyna zginęła z rąk kochanka, który następnie targnął się na swoje życie – a przynajmniej tyle udało im się ustalić. Ale nawet przyjaciele Wickinsa musieli przyznać, że wiele zbrodni można ukryć i że nigdy nie mieliby pewności... Najważniejsze jednak, myślał teolog, zdejmując torbę z ramienia, kaftan i kapelusz, by powiesić je na haczykach w korytarzu, że rubinowa

kula jest niemal na pewno bezpieczna w swym ukryciu i że nie pojawił się żaden alchemiczny geniusz, który dzięki starożytnym szyfrom i wiedzy hermetystów mógłby ją przejąć.

Wszedłszy do pokoju, Wickins zauważył ze zdziwieniem, że drzwi laboratorium Newtona są otwarte. W sypialni panował bałagan: skotłowana pościel, talerze z nie ruszonym jedzeniem na podłodze, otwarte okno, misa na szerokim podokienniku, a woda w niej czysta. Zbliżył się ostrożnie do drzwi laboratorium. Serce waliło mu jak młotem, niespodziewanie ogarnął go przemożny, irracjonalny strach. Newton przecież zawsze tak bardzo chronił swoją prywatność.

Przyjaciel nie usłyszał go. Siedział plecami do drzwi laboratorium, a blask ognia rozświetlał bok jego twarzy. Coś spoczywało w jego dłoniach. Coś, czego Wickins nigdy nie widział, przedmiot mityczny, a zarazem realny, przenajświętszy, punkt zborny wszelkiego sensu – rubinowa kula.

Teolog pomyślał, że zaraz zacznie krzyczeć, ale na szczęście z jego krtani nie wydostał się żaden dźwięk. Strach jednak nie ustępował. Niemal nadludzkim wysiłkiem zdołał unieść rękę na wysokość twarzy i wbić paznokcie w skórę policzków. Zrobił to odruchowo, jakby chciał się przekonać, że jeszcze żyje i że to, co widzi, dzieje się naprawdę.

W tym momencie jeden z drozdów wylądował na parapecie i stuknął dziobem misę z wodą. Newton obrócił się gwałtownie.

W ciągu następnych dwóch sekund milion sprzecznych myśli przebiegło przez głowę Wickinsa, ale do jego świadomości przedarły się tylko dwie. Pierwsza kazała mu uciekać, pędzić do Oksfordu i ostrzec przyjaciół. Druga skoczyć w głąb laboratorium i przechwycić kulę.

Zanim pokonał dystans dzielący go od krzesła, Newton zdążył się poderwać i przygotować na atak.

Jak na prawie pięćdziesięciolatka, który niemal całe życie poświęcił nauce, Newton był zaskakująco zwinny. Wickins wyciągnął ku niemu ręce, ale jeden ruch ciałem wystarczył, by ich uniknąć. Teolog stracił równowagę i od upadku uratował go jedynie stół opodal kominka. Gdy się odwrócił, zobaczył, że Newton pospiesznie zbiera papiery rozrzucone na blacie.

– Isaacu, nie możesz tego zrobić! – krzyknął. – Proszę cię... ty nie wiesz...

Jednak Newton zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Nagła wściekłość ogarnęła Wickinsa, gdy zrozumiał, że daremnie strzepi język. Skoczył naprzód i złapał fizyka za ramię. Mocne szarpnięcie wystarczyło, by Wickins rozluźnił chwyt i zakręcił się w miejscu. Wciąż widział kulę w prawej dłoni swego współlokatora, a

potem ta sama dłoń, zaciśnięta w pięść, pomknęła ku jego głowie. Zdołał się uchylić i w tym samym momencie przeorał paznokciami twarz przeciwnika. Newton krzyknął z bólu i w ślepej furii zaatakował po raz drugi, tym razem trafiając pięścią prosto w szczękę Wickinsa.

– To moje! – wrzasnął, wpatrując się w teologa gorejącymi oczami.

Wickins poleciał do tyłu, uderzył z impetem w półki na ścianie i strącił głową tę, na której stały słoje i butle. Szkło z hukiem rozbiło się o podłogę; tylko jedna butelka, opatrzona napisem „witriol”, wylądowała na ramieniu Wickinsa, gubiąc korek i wypuszczając strumień żółtawego płynu. Teolog krzyknął, ale nim zamknął usta, Newton zbliżył się do niego z rysami wykrzywionymi przez maniacką wściekłość i wymierzył mu kopniaka w twarz. Wickins stracił przytomność i upadł na podłogę.

Gdy się ocknął, było zupełnie ciemno. Ogień praktycznie wygasł, panował chłód, a w powietrzu unosiły się nieznośne wonie, z których najgorsza była woń trawionego mięsa.

Wickins podniósł się z podłogi. Pulsujący ból głowy omal nie rzucił go na kolana; rwanie w ramieniu było równie silne. Chwiejnym krokiem wyszedł do sąsiedniego pokoju, w którym ciemności rozjaśniała srebrzysta księżycowa poświata. Spojrzał na swoje ramię. Materiał koszuli był wypalony, a ciało zaczerwienione i pokryte pęcherzami. Podeszedł do miski z wodą na podokienniku, zmoczył leżącą obok koszulę i przycisnął wilgotne płótno do poparzonej skóry.

A zatem Newton miał rubinową kulę... Ziścił się najgorszy koszmar Wickinsa. Mimo bólu teolog próbował myśleć logicznie. Chłodna woda pomogła nieco, ale ramię wciąż rwało, a w głowie łomotało mu tak, jakby tuzin robotników z młotami próbował rozsadzić czaszkę, atakując oporną skałę.

Przypomniał sobie o czasomierzu, który Newton miał w swoim pokoju. Podeszedł doń i przekonał się, że od północy minęły już cztery godziny. Długo leżał bez zmysłów. Zaklął pod nosem. Nabrał w dłoń trochę wody i wypłukał usta. To, co wypłuł do miski, było zabarwione czerwienią.

Ból utrudniał koncentrację, ale należało coś wymyślić. Newton zniknął. Mógł być już blisko Oksfordu, ale mógł też prowadzić przygotowania w innym miejscu. Do koniunkcji pozostały niespełna dwadzieścia cztery godziny. Co powinienem zrobić? – zastanawiał się Wickins. Mógł wysłać wiadomość do Oksfordu, ale w tak istotnej sprawie nie należało ufać posłańcowi. A zresztą, co powiedziałby przyjaciółom?

Kilka chwil później był już za drzwiami. W kaftanie i kapeluszu, z torbą na ramieniu zmierzał w stronę stajni.

Stajenny nie był zachwycony jego widokiem, ale szyling poprawił mu humor. Powiedział Wickinsowi, że wcześniej zjawił się tu Newton, lecz nie odezwał się ani słowem i był jeszcze bardziej rozkojarzony i nieprzyjazny niż zwykle.

Wickins wybrał kasztanowatą klacz, jedną z najlepszych w stajni, i wręczył stajennemu pieniądze w zapieczętowanej kopercie, którą miał otrzymać kwestor. Obiecał wyjaśnić wszystko nadzorcy stajni, gdy wróci za kilka dni. Zbyt ważne były sprawy, które go zaprzętały, by mógł tracić teraz czas. Wciąż ledwie żywy szarpnął wodze, zawrócił i pomknął w stronę bramy oraz zaczynającego się za nią gościńca.

W dwie godziny dotarł do wioski Ickwell, sześćdziesiąt mil na zachód od Cambridge. Słońce wstawało właśnie zza żywoplotów, gdy świeży koń, tym razem siwy wałach, niósł go przez Brill, Hortoncum-Studley i Islip ku drodze wiodącej wprost do wschodniej bramy Oksfordu. Mury miejskie minął półtorej godziny później i cwałem wjechał na Merton Street, gdzie zeskoczył z konia i oddał go w ręce stajennego. Pieszko ruszył wprost ku University College.

– Do diabła! – krzyknął Robert Hooke, gdy John Wickins zakończył opowieść.  
– Oby go zaraza... – dodał i wciągnął olbrzymią porcję tabaki.

Siedzieli w przestronnym apartamencie w gmachu University College, z widokiem na The High – kompleksie pokoi, które Robert Boyle zajmował co roku w sierpniu jako część swego honorarium. Wickins był kompletnie wyczerpany, a ból w ramieniu i głowie nie ustępował. Został przyjęty przez Boylea, który – choć sam wyglądał na słabowitego i zmęczonego – uparł się, że natychmiast opatry jego rany. Z nabytą przez lata delikatnością zbadał pokryte pęcherzami ramię, a potem zabandażował je ciasno. Na ból głowy zalecił maść z kociej uryny i mysich bobków, którą uważał za wyjątkowo skuteczny specyfik. Gdy opatrywał jego rany, Wickins relacjonował wypadki z Cambridge. Boyle zachował spokój; słuchał w milczeniu, od czasu do czasu wzdychając lub chrząkając. Z rzadka tylko przerywał pracę, by spojrzeć na Wickinsa, a wtedy jego zielone oczy zdawały się przewiercać teologa na wylot w poszukiwaniu czegoś niedefiniowalnego. Wreszcie pojawił się Hooke, wezwany pilnie przez gońca. Był przeciwieństwem Boylea – wściekał się i miotał, sapał i przeklinał, zanim wreszcie rzucił się na krzesło przy pustym kominku.

– Ten zwyrodnialec. Ta... ta... rura do lewatywy – rzucił przez zaciśnięte zęby,

sięgając po mieszek z tabaką.

Wickins, mimo bólu, wyglądał na zszokowanego.

– Ależ, panie, proszę się powstrzymać...

– Dlaczego miałbym się powstrzymywać? – odparował Hooke. – Brakuje cywilizowanych słów na opisanie pańskiego profesora Lucasian. A to, co powiedziałem, jest zbyt łagodne. Dodać muszę zresztą, mój panie, że ty jesteś niewiele lepszy od niego.

W tej chwili Wickins zrozumiał, dlaczego Newton tak bardzo nienawidził tego człowieka. Krzywe członki Hooke'a były niemal równie ohydne jak jego osobowość.

– Spokojnie, panowie – wtrącił Boyle. – Sądzę, że John z radością przyzna się przed nami do błędów, które popełnił w sprawie swego współlokatora. Teraz jednak najważniejsze jest, byśmy znaleźli rozwiązanie, a nie czynili sobie wyrzuty.

– Ale to ja ostrzegałem was obu – zauważył Hooke. – Ambicją tego człowieka nie ma granic – dodał, przenosząc spojrzenie z Wickinsa na Boyle'a. – Mówiłem ci, panie, jeszcze w Londynie, po wykładzie Wrena, że Newton pozyskał ważną informację.

– Ja nawet sobie nie przypominam, że bym go tam widział – odparł Boyle.

– Stał na tyłach sali, obok drzwi. Zdawało mi się, że dostrzegłem go z podwyższenia... I nie myliłem się. Zniknął, gdy tylko Wren zakończył mowę.

– I twierdzisz, że rozmawiałeś z Wrenem o tej sprawie.

– W rzeczy samej – odparł Hooke niemal szeptem. – Ale nic mi nie powiedział. Nigdy mnie nie lubił.

Wickins nie zdołał powstrzymać wzgardliwego parsknięcia.

– Mistrzu – powiedział, spoglądając na Boyle'a – jestem zdruzgotany własną głupotą w tej sprawie. Ale jeśli mogę coś powiedzieć na swoją obronę, to myślę, że nawet gdybyśmy mieli uzasadnione podejrzenia, że Newton dowiedział się o istnieniu rubinowej kuli, i tak nigdy bym nie uwierzył, że zdoła sprzątnąć nam ten skarb sprzed nosa. A tym bardziej, że będzie wiedział, co z nim zrobić.

– To tobie, tępaku, powierzono zadanie pilnowania tego demona! – krzyknął Hooke.

– Wickins już podnosił się z krzesła, lecz Boyle z zaskakującą chyżością stanął przed Hookeem, który nie ośmielił się wykonać żadnego ruchu, jeśli nie liczyć ledwie zauważalnego pogardliwego kręcenia głową.

– Panowie – rzekł Boyle – nie mam ani energii, ani ochoty powtarzać się w ten ponury ranek. Darujcie sobie tę wzajemną niechęć, inaczej wszystko będzie

stracone. Jeśli nie oprzemy się na inteligencji i godności, nasz przyjaciel Isaac Newton zwycięży. A to bez wątpienia najgroźniejszy przeciwnik.

Milczeli chwilę i teraz dopiero Wickins usłyszał odgłosy miasta docierające przez otwarte okno. Dochodziła dziewiąta i choć w Oksfordzie praktycznie nie było studentów, miasto rozbrzmiewało gwarem handlarzy i domokrażców, skrzypieniem wózków ciągniętych po The High oraz stukotem młotków i zgrzytem pił o drewno na remontowanym dachu college u.

– O czym myślisz, Mistrzu? – spytał Hooke, unikając spoglądania w stronę Wickinsa. – Moje uczucia względem Newtona dobrze znasz. Jest chorobliwie dumny. Wszyscy o tym wiedzą, a wielu z – własnego doświadczenia, lecz tylko głupiec zaprzeczyłby, że to wybitny umysł.

– Twoje słowa są jak zawsze proste, Robercie, ale oczywiście prawdziwe – odparł Boyle. – Z bólem to mówię, ale chyba powinniśmy się spodziewać najgorszego. Newton będzie współpracował z innymi, nawet on bowiem nie może uciec przed tą koniecznością, czy mu się to podoba czy nie. Musimy też przyjąć, że ludzie ci przebywają w mieście od jakiegoś czasu i że, choć umknęło to naszej uwagi, mają krew na rękach. Wszyscy wiemy, na czym polega rytuał. – Spojrzał posepnie na pozostałych. – Panowie, nasza beczynność spowodowała wielkie niebezpieczeństwo. Musimy, każdy z nas – tu popatrzył na Hooke'a w sposób, który odebrałby siły słabszemu człowiekowi – musi zrobić wszystko, co tylko możliwe, by dzisiejszej nocy pokrzyżować szyki profesorowi katedry Lucasa. Czas działa przeciwko nam, przyjaciele. Musimy natychmiast rozpocząć przygotowania.

## Rozdział 15

Gabinet detektywa głównego inspektora Monroe był równie surowy i ascetyczny jak on sam. Biurko zajmowało trzecią część powierzchni pokoju i było puste, jeśli nie liczyć nowoczesnego komputera, dwóch telefonów i tacki z długopisami. Na ścianach nie było ani jednego zdjęcia i tylko ze szczytu szafy na akta zwieszały się smętnie prawie uschnięte liście zielistki. Dwa wytarte krzesła stały przy narożnikach biurka, naprzeciwko plastikowego, obrotowego fotela detektywa. Jednak to nie sprzęty decydowały o niekorzystnym wrażeniu, jakie wywierał ten gabinet, lecz zapach – nieprzyjemna mieszanka woni jedzenia z barów szybkiej obsługi. Wchodząc do pokoju i siadając na krzesło, które wskazał jej detektyw, Laura doszła do wniosku, że Monroe jest jednym z tych, którzy uważają porządną lunch za stratę czasu i pieniędzy.

Jedną ze ścian gabinetu tworzyła szklana tafla. Rozciągał się za nią widok na salę pełną otwartych stanowisk roboczych, na ścianki zakryte mapami, migające monitory, komputery obsługiwane przez mundurowych oraz na policjantów w cywilnych ubraniach, którzy pili kawę, wpatrywali się w ekrany i rozmawiali w napięciu, rozparci na niewygodnych krzesłach ze stopami na biurkach. Inni funkcjonariusze przeglądali papiery, przeczesywali palcami włosy, notowali coś pilnie, stukali w klawisze i rozmawiali przez telefony. Była dziewiętnasta czterdzieści pięć, ale w istocie mogła to być dowolna pora dnia czy nocy – sala była zbyt jaskrawo oświetlona i jak zawsze pełna zgiełku. Z doświadczenia Laura wiedziała, że na posterunkach policji – bez względu na miasto – nigdy nie panuje spokój.

Szybko wyczuła, że Monroe i Philip przypatrują jej się uważnie.

– Zatem, pani Niven – powiedział wolno detektyw, wbijając w nią swe dociekliwe czarne oczy – ma pani informacje, które pani zdaniem mogą pomóc w śledztwie. – Głos zdradzał tylko odrobinę sceptycyzmu i zniecierpliwienia, które Monroe bez wątpienia odczuwał.

Laura wiele razy spotykała takich jak on – był brytyjskim odpowiednikiem typowych zawodowych gliniarzy, których poznała bez liku jako reporterka działu kryminalnego. Funkcjonariusze pokroju Monroe byli całkowicie odporni na większość środków z jej bogatego arsenału, który wystarczał zazwyczaj, by radzić sobie w męskim towarzystwie. Byli niepodatni na perswazję, którą zwykle stosowała z takim powodzeniem. Ale jednocześnie wiedziała, że tacy jak Monroe

są najlepszymi gliniarzami – wydawało się, przynajmniej na zewnątrz, że nie mają prywatnego życia, bagażu emocjonalnego ani niczego, co mogłoby osłabić ich lub oderwać od pracy.

– Tak jest – odpowiedziała. – I sędzę, że są one ważne.

– Co za ulga.

Spojrząwszy na Philipa, jakby nie była pewna, czy powinna mówić o wszystkim, Laura zaczęła opowiadać o swoim odkryciu, o poszukiwaniach na stronie almanac.com i o spodziewanej koniunkcji planet. Twarz detektywa przypominała maskę bez wyrazu i tylko od czasu do czasu zmarszczone brwi wskazywały, że oficer w ogóle słucha. Gdy Laura skończyła, odchylił się na oparcie i skrzyżował ramiona na piersi. Rękawy jego marynarki naprężyły się tak mocno, jakby materiał miał lada chwila pęknąć.

– Astrologia – rzucił Monroe. Wypowiedział to słowo z okrągłym akcentem właściwym hrabstwu opodal Londynu, ze środkowym „ol” dźwięczącym echem niczym w wydrążonym pniu dębu. A potem spojrział w sufit.

– Wiem, o czym pan myśli – powiedziała Laura. – Rzeczywiście brzmi to wszystko... chyba dziwnie.

– Uważa pani, że nasz zabójca pracuje według planu zapisanego w gwiazdach? Ze w tym szaleństwie jest metoda?

– Tak.

– I wszystko to z powodu zbiegów okoliczności, które pani dostrzegła?

Laura zjeżyła się.

– Wiem – dodał zaraz Monroe, powstrzymując ją ruchem dłoni. – Wiem, pani Niven, że pani zdaniem to nie są zbiegi okoliczności.

– Panie inspektorze, według mnie te fakty to coś więcej niż zbieg okoliczności – wtrącił Philip. – I na wypadek, gdyby się pan zastanawiał, nie wierzę w astrologię. Wiem też, że Laura jest równie sceptyczna.

– Panie Bainbridge, pani Niven, proszę mnie posłuchać. Rozumiem, do czego państwo zmierzają. Rozumiem, że nie trzeba mieć świra na punkcie astrologu, by zauważyć, że morderca postępuje według zasad tej tak zwanej sztuki. Ale czy nie wydaje się państwu, że wysuwają zbyt daleko idące wnioski na podstawie faktów, które dałoby się wytłumaczyć co najmniej na kilka sposobów?

W drodze do Oksfordu Philip ostrzegł Laureę, że Monroe nie należy do ludzi, których łatwo przekonać do czegokolwiek. Jeśli chodzi o ścisłość, dodał, Monroe w ogóle nie jest łatwy w kontaktach.

– Na przykład? – rzuciła Laura wyzywająco.

– Morderca może zostawiać fałszywy trop. Może udawać, że działa w zgodzie z



osobliwym schematem, tylko po to, żeby wyprowadzić nas z równowagi. Albo też, o czym już mówiłem, możemy mieć do czynienia ze zwykłym zbiegiem okoliczności.

– Nie kupuję żadnej z tych teorii – powiedziała niecierpliwie Laura. – Nie wierzę, żeby ktoś popełnił dwie zbrodnie pasujące do danych, które udało nam się odkryć, wyłącznie po to, żeby dokonać trzeciej według całkiem innego schematu. A jeszcze bardziej wątpliwa wydaje mi się teza, że dane te są przypadkowe.

Lata praktyki nauczyły Monroe czytać w ludzkich twarzach i zachowaniu oraz sprawiać, by ludzie potrafili odczytywać jego intencje, oczywiście na tyle, na ile sobie tego życzył. Pomyślał z uznaniem, że tej Amerykance nie brakuje ikry, ale nie zamierzał zmieniać nastawienia do jej teorii.

– Mam pewne pojęcie o fizyce, pani Niven. Wiem, że fakty natury astronomicznej, w przeciwieństwie do ich astrologicznej interpretacji, trudno zanegować. Ale na ile dokładny jest ten program komputerowy?

Laura nie potrafiła ukryć zmieszania.

– Cała państwa teoria – rzekł Monroe, wykorzystując niespodziewaną przewagę – opiera się na precyzyjnym określeniu czasu, na połączeniu morderstw z wchodzeniem planet... w co? W znak Barana, prawda?

– Nie mam powodu sądzić, że ta strona internetowa zawiera nieprecyzyjne narzędzia – powiedziała Laura.

– A co z porą, w jakiej dokonano morderstw?

– Rachel Southgate została zamordowana między dziewiętnastą a dwudziestą trzydzieści, dwudziestego marca – odparł Philip. – Jessica Fullerton następnego dnia, między drugą trzydzieści a czwartą trzydzieści nad ranem.

– Tak, ale wiedzą państwo, że medycyna sądowa nie pozwala na określenie czasu śmierci z dokładnością, jakiej tu potrzebujemy. Wydaje się, że już astrologia jest znacznie bardziej precyzyjną dziedziną – dodał Monroe, uśmiechając się bez śladu rozbawienia.

– To bzdury i dobrze pan o tym wie, detektywie – odparowała Laura. – Jest tu coś więcej niż zbieg okoliczności. Poza tym, na – miłość boską, zginęły już dwie dziewczyny! Ma pan jakieś lepsze teorie?

Wiedziała, że popełniła błąd, gdy tylko wypowiedziała te słowa. Philip spojrzał na nią z irytacją.

Monroe zachował lodowaty spokój.

– Doskonale rozumiem powagę sytuacji – rzekł. – I, w rzeczy samej, mamy inne teorie. Dziękuję, że poświęcili mi państwo swój czas. A teraz, jeśli państwo

pozwolą...

– Co?! – krzyknęła Laura. – Zamierza pan zignorować wszystko, o czym mówiłam, i to w sytuacji, *gdy* następne morderstwo ma zostać popełnione tuż po dziewiątej? Czyli – spojrzała szybko na zegarek – za nieco ponad godzinę?

– Obawiam się, że tak, pani Niven. Dysponuję ograniczonymi środkami. Mam dwudziestu funkcjonariuszy, którzy w tej chwili badają... nazwijmy to, bardziej ortodoksyjne teorie. A poza tym, co właściwie pani zdaniem miałbym zrobić?

To było dobre pytanie. Laura i Philip zastanawiali się już nad tym w drodze, nie podnosząc wszakże tematu. Nawet jeśli ich koncepcja była słuszna i detektyw główny inspektor zgodziłby się z tym, jaki pożytek mógł płynąć z tej informacji?

– Proszę posłuchać – rzekł Monroe zaskakująco łagodnym tonem. – Pani Niven, doceniam pani troskę. Jestem pewien, że przyświecają pani najlepsze intencje, ale...

– W porządku. – Laura chwyciła swoją torebkę i zerwała się na równe nogi. – Przykro mi, że zabraliśmy panu czas. Niech pan podąża za własnymi tropami. Mam tylko nadzieję, że pan się nie myli.

Gdy rozgniewany Monroe otworzył drzwi laboratorium kryminalistycznego, szef działu, Mark Langham, zwrócił się ku swemu głównemu technikowi z miną, która mówiła: „Jasny gwint, znowu ma te swoje humory”.

– Lepiej, zęby to była dobra wiadomość – warknął Monroe.

Langham nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę stołu z białego plastiku i szkła ustawionego pośrodku sali. Błat był podświetlany, a na szklanej tafli leżał arkusz folii przypominający zdjęcie rentgenowskie. W centrum obrazu widać było czarno-biały kształt długości może trzech cali. Była to ćwiartka owalu o krawędzi usianej drobnymi kropkami i kreskami.

– Co to jest? – spytał Monroe.

Langham położył na folii lupę.

– Niech pan przyjrzy się bliżej – rzekł.

Detektyw pochylił się nad lupą i zaczął wodzić nią po arkuszu.

– To część odcisku – powiedział spokojnie szef laboratorium. – Te ślady wokół krawędzi to szew. Drogie buty.

Monroe wyprostował się.

– Ręczna robota?

– Całkiem możliwe.

– Wiemy o nich coś jeszcze?

– Sądząc po tym fragmencie odcisku, to numer dziesięć, standardowej szerokości.

– Gdzie go znalezione? – spytał Monroe, nagle w znacznie lepszym nastroju.

– W pobliżu domu, tam gdzie przycumowano łódź. – Langham podał detektywowi kilka czarno-białych odbitek ukazujących ledwie widoczny kształt odcisnięty w błocie. Gdy Monroe przyglądał im się uważnie, kryminolog podszedł do stołu roboczego. Błat ze stali nierdzewnej był nieskazitelnie czysty. Na jego skraju, pod ścianą, stały rzędem aparaty w plastikowych obudowach, wyposażone w cyfrowe wyświetlacze, a przed nimi leżały dwie szalki Petriego.

– To znaleźliśmy wewnątrz odcisku – powiedział szef działu, wyjmując pincetą z jednej z szalek niewielki przedmiot. – Wyprawiona skóra, wysokiej jakości, nowa.

– A to?

Langham podniósł z sąsiedniej szalki podobnej wielkości skrawek zielonego tworzywa.

– Plastik. Odmiana polipropylenu, jeśli chodzi o ścisłość. Ale to również materiał pierwszej klasy. Drogi polimer, bardzo lekki i bardzo wytrzymały.

– To też znaleźliście wewnątrz odcisku?

Langham skinął głową.

– W mikroskopijnych ilościach także na śladach prowadzących z pokoju na piętrze aż do miejsca, w którym była przycumowana łódź.

– Wiadomo już coś więcej o tym plastiku? Na ile jest wyjątkowy? – indagował Monroe.

– Niestety, nie aż tak bardzo, a na fragmentach, które dotąd znaleźliśmy, nie ma żadnych oznaczeń. Przydałby się ładny kawałek, cal na cal, z pieczętką producenta.

– O tak, a żona będzie cię dzisiaj błagać o seks.

Langham roześmiał się i cofnął o krok, do pierwszej szalki Petriego.

– W tym wypadku możemy mieć więcej szczęścia. Na półkach Woolworths raczej nie znajdzie się wielu ręcznie robionych butów z takiej skóry.

Monroe sięgnął po pincetę i uniósł do światła skrawek skóry. Niczym się nie wyróżniał: był czarny i miał ledwie kilka milimetrów długości.

– Sprawdź, co mamy w bazie danych, i wyślę kogoś do miejscowych szewców. Mówiłeś, że to nowe buty?

– Ten skrawek jest nowy, a poza tym odcisk był bardzo wyraźny. Możliwe jednak, że zostały tylko świeżo podzielowane.

Monroe zwrócił pincetę Langhamowi.

– Nie róbnmy sobie zbyt wielkich nadziei. I na razie... zachowajmy ten trop dla siebie, zgoda? – Minał szefa laboratorium i skierował się w stronę drzwi. – Dobra robota, Mark – rzucił, nie odwracając się.

## Rozdział 16

Akolita czekał cierpliwie w samochodzie niemal sześć godzin, rzadko odrywając oczy od posesji numer 268 przy Princes Street. Patrzył, jak mieszkańcy domu i ich przyjaciele wchodzą i wychodzą. O osiemnastej cztery pojawili się dwaj studenci, którzy wynajmowali budynek do spółki z chłopakiem Samantha, Simonem Weldingiem. Dwadzieścia siedem minut później przybyły dwie dziewczyny, studentki trzeciego roku Oxford Brookes University, Kim Rivedon i Claudia Meacher. Cała czwórka przebywała na miejscu kolejnych dwadzieścia jeden minut, by wyjść o osiemnastej pięćdziesiąt dwie. Akolita wiedział – dzięki swym kontaktom i dzięki uważnej obserwacji – że studenci, którzy mieszkali tu z Simonem Weldingiem, Dan Smith i Evelyn Rose oraz ich dziewczyny nie powinni wrócić wcześniej niż o dwudziestej trzeciej. Simon Welding zatrzymał przed domem swą poobijaną dziesięcioletnią mazdę dokładnie o dziewiętnastej trzydzieści dwie. Nie miał wyjść stąd żywy...

Dwie minuty przed dwudziestą pierwszą Akolita wysiadł z samochodu. Miał na butach plastikowe ochraniacze, a w lewej ręce niósł niczym nie wyróżniającą się metalową skrzyneczkę. Wyposażona w solidne zamki w przedniej ścianie, miała dwanaście cali długości, dziesięć szerokości i dziesięć głębokości. Był to chłodzony pojemnik do transportowania organów, jeden z pięciu, które zamówił Akolita, zbudowany według jego szczegółowych zaleceń przez specjalistę z Austrii. W prawej ręce Akolita trzymał małą, szczelnie zamkniętą, czarną torbę z tworzywa sztucznego. Rozejrzał się uważnie. Na dalekim krańcu ulicy znajdował się hałaśliwy pub, a jedną z przecznic Princes Street była ruchliwa Cowley Road, ważna droga do centrum miasta dla jadących od strony Londynu. Widok ten zasłaniała jednak krzywizna zakrętu, za sprawą której w okolicy numeru 268 było nieco ciszej i ciemniej. Akolita wszedł na teren posesji przez drewnianą bramkę i szybko ruszył do bocznego przejścia wiodącego wzdłuż muru budynku na tyły, do ogrodu.

W wąskim przejściu było bardzo ciemno, gdyż niemal nie docierało tu światło latarni ulicznych, a chmury przesłaniały księżyc. Pokonawszy dwie trzecie drogi, Akolita zatrzymał się. Od strony ulicy był już niewidoczny. Postawił na ziemi skrzyneczkę, rozsunął zamek torby i ostrożnie wyjął z niej przezroczysty, plastikowy kombinezon, rękawiczki, maskę ochronną oraz kaptur. Ubrał się i mocno zacisnął rzepy wokół szyi, nadgarstków, kostek i pasa, by zakryć folią

każdy skrawek ciała. Spojrzał na zegarek okryty już rękawem kombinezonu. Dochodziła dwudziesta pierwsza cztery.

Na tyłach domu ogród był zaniedbany i zarośnięty. Akolita ostrożnie stawiał kroki, po cichu zmierzając ku drzwiom kuchennym. Zatrzymał się przy nich, by posłuchać odgłosów dochodzących z wnętrza budynku. Nie usłyszał niczego poza dalekim echem muzyki dobiegającej najprawdopodobniej z piętra.

Dostał się do środka, przeszedł przez kuchnię i znalazł się w holu, po czym wolnym, mierzonym krokiem zaczął się wspinać po schodach. Chłonał bodźce wszystkimi zmysłami i był gotów do natychmiastowej reakcji. Dotarłszy na piętro, sprawdził kolejno wszystkie pokoje, by się upewnić, że jest sam na sam ze swą zdobyczą. Wreszcie ruszył ku sypialni usytuowanej we frontowej części domu. Teraz wyraźnie słyszał muzykę – allegro z kwartetu smyczkowego d-moll Schuberta, jednego z jego ulubionych utworów. Stał u drzwi, nasłuchując wszelkich odgłosów poza muzyką. Docierały doń jedynie ciężki oddech i sporadyczne jęki. Uchylił drzwi i zajrzał do środka.

Samantha była na górze, z wygiętymi plecami i twarzą zwróconą ku sufitowi. Simon trzymał dłonie na jej małych, jędrnych piersiach i wpatrywał się w nią w ekstazie. Akolita drgnął ledwie zauważalnie pod wpływem emocji – zazdrości, fascynacji i niesmaku – które połączyły się w jego lędźwiach w potężny strumień seksualnej energii. Poczuł, że sztywnieje, ale wiedział doskonale, że nie może zwlekać ani chwili dłużej. Postawił na podłodze metalową skrzyneczkę, wyjął z kieszeni skalpel, wysunął go z pochewki i wykonawszy trzy szybkie kroki, stanął przy łóżku, nim Simon i Samantha zdali sobie sprawę z jego obecności.

Wprawnie odchylił głowę Samanthy jeszcze bardziej do tyłu i jednym pociągnięciem skalpela poderżnął jej gardło. Krew z przeciętej tętnicy chlusnęła na cały pokój, a ostrze pomknęło dalej, tnąc po drodze mięśnie krtani. Krzyk, który wydobył się z jej piersi, ucichł natychmiast i dziewczyna upadła na podłogę, zaciskając dłonie na szyi w daremnej próbie powstrzymania krwotoku. Patrzyła na Akolitę wielkimi oczami, bezskutecznie usiłując pojąć, co się wydarzyło.

Szok sparaliżował Simona, a Akolita wykorzystał tę sekundową przewagę. Wymierzył cios w szyję chłopaka z taką siłą, że omal nie pozbawił go głowy, rozcinając tkanki od ucha do ucha. Starł krew, która trysnęła mu na szybkę. Simon Welding dostał konwulsji, a bardzo ciemna krew wypłynęła z jego ust, zakrywając twarz płynną, czerwoną maską.

Akolita zostawił go wijącego się na mokrym prześcieradle i przykucnął obok Samanthy. Żyła jeszcze. Nie zamierzał tracić ani sekundy. Jedną rękę ułożył na

czole dziewczyny, a drugą pod szyją i szarpnięciem skrzył jej kark między dwoma najwyższymi kręgami, C1 i C2. Samantha znieruchomiała w jednej chwili.

Morderca wniósł do sypialni metalowy pojemnik i postawił go obok ciała, które przewrócił na brzuch. Dwoma prostymi, dziewięciocalowymi nacięciami wzdłuż kręgosłupa otworzył korpus. Odchylił miękkie tkanki i zobaczył żebra. Wyjął z zamykanej kieszeni kombinezonu piłę chirurgiczną na baterie i w ciągu paru sekund uporał się z kośćmi. Odciągnął żebra na boki i precyzyjnie odciął skalpelem naczynia krwionośne oraz wszelkie inne tkanki łączące nerki dziewczyny z ciałem.

Uchylił kuferek do transportu organów i poczuł na dłoniach falę zimnego powietrza. Lodowata mgiełka kłębiła się wokół pojemnika. Od strony łóżka dobiegł głośny gulgot, a potem zapadła cisza – Simon Welding drgnął po raz ostatni i zmarł.

Akolita wsunął okryte rękawiczkami dłonie do ciepłego ciała Samantha Thurow. Pomału wydobył obie nerki, umieścił w osobnych woreczkach, zamknął je delikatnie i schował w pojemniku. Z kieszonki w bocznej ścianie wyjął metalową monetę. Ułożył ją starannie w pustym miejscu, które pozostało po prawej nerce dziewczyny, a następnie zamknął wieko kuferka i przekręcił kółka szyfrowego zamka. Sięgnął do kieszeni po szmatkę nasączoną detergentem, wytarł nią ręce i usunął ślady krwi z metalowego pojemnika, po czym odłożył na miejsce. Wpuścił skalpel do pochewki, tę zaś do tej samej kieszeni.

Dokładnie o dwudziestej pierwszej trzynastej, dziewięć minut po wtargnięciu do domu, ponownie znalazł się w ciemnym przejściu przybocznej ścianie budynku. Zdjął maskę, rękawiczki, jednoczęściowy kombinezon i ochraniacze na buty, bardzo się starając, by nawet śladowe ilości krwi czy innej tkanki nie znalazły się na jego ciele lub ubraniu. Założył świeże ochraniacze na buty i nowe rękawiczki. Z kieszeni spodni wyjął plastikową siatkę, w której umieścił brudne ubranie ochronne oraz skalpel i szmatkę. Teraz dopiero zdjął i nowe rękawiczki, wsunął do siatki i zamknął ją dokładnie. Podniósł pojemnik do transportowania organów i szybkim krokiem wyszedł przed dom. Kucnął przy ogrodzeniu, by wyrzeć na ulicę. Ledwie dwa domy dalej w stronę Cowley Road zobaczył młodą parę. Schylił się bardziej i po chwili nieznanymi minęli go; usłyszał tylko chichot dziewczyny.

Gdy para dotarła do końca ulicy i zniknęła mu z oczu, Akolita raz jeszcze popatrzył w obie strony. Horyzont był czysty. Szybko, acz spokojnie przesadził niskie ogrodzenie, otworzył kluczykiem bagażnik toyoty, umieścił tam pojemnik i przypiął go do podłogi dwoma skórzanymi paskami. Obok położył plastikową torbę, a następnie zatrzasnął klapę i ruszył do drzwi kierowcy. W środku zdjął

ochraniacze z butów i dorzucił je do siatki, którą umieścił na siedzeniu pasażera. Wytarł ręce kolejną chusteczką, by i ją wrzucić do siatki. Trzydzieści sekund później jechał już w stronę centrum Oksfordu, podśpiewując do melodii sonaty fortepianowej Beethovena – pod każdym względem zadowolony z dzieła, które wykonał tej nocy.



## Rozdział 17

### Oksford, wieczór 11 sierpnia 1690

Dochodziła osiemnasta, gdy powóz zjechał z Headington Hill, dobrą milę za murami miasta. Wciąż panował niemiłosierny upał. Sługa z gospody Bear Inn wniósł bagaż krętymi schodami na piętro i zapytał, czy gość życzy sobie zjeść posiłek w pokoju. Gdy wyszedł, Newton mógł wreszcie odpocząć, nacieszyć się samotnością i pomyśleć spokojnie o ostatnich dwudziestu czterech godzinach.

Wyjechał z Cambridge jak szaleniec, bez litości okładając swego biednego wierzchowca. Ale dzięki temu, po dwóch zmianach koni, najpierw w Standon Puckendge, a potem w Great Hadham, pokonał drogę do stolicy w niewiele ponad cztery godziny i dotarł na miejsce tuż po północy. Jak zwykle podróżował pod nazwiskiem William Petty i jako taki spędził noc w Swan Tavern przy Grays Inn Lane w Londynie.

Przez całą drogę i podczas odpoczynku w Londynie myślał o zadaniu, które miał do wykonania, oraz w nieskończoność rozważał przerażające wypadki, w których uczestniczył w Cambridge. Wciąż jeszcze nie rozumiał, co opętało Wickinsa. Może, zastanawiał się, taka jest moc kuli, taki jej wpływ na niektórych ludzi? Jednego był pewny: osobliwy incydent w laboratorium umocnił jego i tak bardzo rozbudzone poczucie zagrożenia. Wrogowie czaili się na każdym kroku. Nikomu nie mógł ufać. I dlatego, by zmylić potencjalnych rywali i tych, którzy mogliby spróbować ukraść mu bezcenny skarb, postanowił zrobić wszystko, zęby zatrzeć za sobą ślady. Dotarwszy do stolicy, zdecydował, że dalszą podróż odbędzie powozem, jak większość odwiedzających Oksford. Zadrapanie na policzku, dzieło Wickinsa, wciąż swędziało, ale Newton niewiele mógł zrobić, by ukryć obrzęk. Tylko subtelne przebranie mogło pomóc mu zachować w tajemnicy tożsamość. Wyrwany przez sługę z niespokojnego snu już o czwartej nad ranem, podjął podróż do Oksfordu, by dotrzeć do miasta mniej więcej trzynastą godzin później.

A tu, w Bear Inn, poczuł się nagle wyczerpany. Potrzebował snu, lecz podniecenie nie pozwalało mu zasnąć. Zjadł trochę bulionu i poczytał w wieczornym świetle, później zaś przyglądał się obojętnie, jak samotny szczur buszuje po drewnianej podłodze. O dziesiątej, jak było umówione, na korytarzu rozległy się kroki jego przyjaciela, a zaraz potem ciche stukanie do drzwi. Newton otworzył i ujrzał Nicolasa Fatio de Duilliera. Z kaskadą czarnych loków wokół

twarzą wyglądał na młodszego i przystojniejszego niż na wizerunku, który utrwał się w pamięci fizyka, a przecież widzieli się ledwie przed trzema tygodniami. Profesor skinął ręką i młody mężczyzna wszedł do pokoju z szerokim uśmiechem na ustach. Uścisnęli się serdecznie.

– Twoja twarz – zauważył z troską Fatio.

– To nic – odparł niecierpliwie Newton i odwrócił głowę.

– Wyglądasz na zaniepokojonego, mój przyjacielu. Co się stało?

– Drobnym wypadkiem w Cambridge. Nic, czym musiałbyś się troskać, mój miły Fatio. Przygotowałeś wszystko?

– Zrobiłem, co mogłem, mój panie. Nie prosiłeś o rzeczy łatwe. Zwyczajna praca przynosi marne owoce, ale ja wierzę, że naprawdę zrobiłem, co w ludzkiej mocy. Jesteśmy tu z Landsdownem od dwóch tygodni i zebraliśmy już wszystko, co potrzebne. Codziennie sprawdzam trumny i choć nie ma czasu do stracenia, wierzę, że będzie dobrze.

– Newton spojrzał uważnie na młodą, śliczną twarz de Duilliera.

– To dobra wiadomość.

– A czy skarb jest bezpieczny?

– Oczywiście. A teraz omówmy raz jeszcze całą procedurę.

Trzydzieści minut później wyszli razem z gospody.

Do college'u nie mieli daleko; pokonali tę trasę w milczeniu. Na miejscu dołączył do nich kolejny towarzysz, którego od zawsze nazywali panem Landsdownem. Był to mężczyzna jeszcze wyższy od Fatio de Duilliera, ale raczej muskularny niż szczupły. Jego włosy zaczynały już siwieć na skroniach. Skłonili się sobie nawzajem.

– Dobrze cię widzieć – rzekł Landsdown. – Masz wszystko?

Newton poklepał koszulę tuż pod lewym ramieniem.

– I w najlepszym porządku.

– Zatem powinniśmy zacząć. Chodźcie za mną.

Poprowadził towarzyszy przez dziedziniec ku wejściu, za którym ciągnął się długi i wąski korytarz z licznymi drzwiami po obu stronach. Zatrzymali się przy czwartych drzwiach po lewej. Landsdown wyjął klucz z kieszeni bryczesów i przekreślił go w zamku. Nacisnął klamkę i lekko pchnął skrzydło.

Mieli przed sobą kolejne drzwi, tym razem otwarte, a za nimi stromą, wąską klatkę schodową prowadzącą w ciemność. W uchwycie ściennym u szczytu schodów czekała na nich pochodnia. Landsdown wyjął ją i pierwszy stanął na stopniach.

Zszedłszy krótkim ciągiem schodów, znaleźli się w sali wypełnionej regałami, na półkach których spoczywały setki butelek wina, porto i brandy; przechowywano tu zapas trunków college u. Landsdown powiódł towarzyszy ku dalekiemu krańcowi łukowato sklepionej sali i zatrzymał się przed ścianą. Była zimna i mokra. Wolno przesunął dłonią po murze. Trzymał pochodnię blisko kamieni, ale wydawało się, że polega raczej na dotyku niż na wzroku. Po chwili jego ręka zamarła, a palec zakreślił pętlę wokół małego, ciemnego pierścienia z metalu, nie większego niż gwinea. Mężczyzna szarpnął mocno za kółko i rozległ się odgłos upadającego ciężaru. Bardzo, bardzo wolno otworzył się w murze panel nie szerszy niż barki dorosłego mężczyzny.

Przewodnik obrócił się ku swoim przyjaciołom.

– Cóż, panowie, nasza wieczorna praca zaraz się zacznie. Jesteście gotowi?

## Rozdział 18

O piątej nad ranem w domu Philipa można było odnaleźć swoiste piękno, którego brakowało w życiu Laury w ostatnich dwóch dziesięcioleciach. W Greenwich Village piąta rano nie różniła się zbyt od innych godzin. W mieszkaniu Niven o każdej porze dnia i nocy słychać było ruch uliczny, wycie policyjnych syren i ryk klaksonów. Był to szum tła, który zauważała dopiero, gdy przestawała go słyszeć. Tu, w sennej wiosce w Oxfordshire, przed świtem, samochody z Nowego Jorku wydawały jej się mniej więcej tak realnym zjawiskiem jak Pinokio.

Owinąwszy się wełnianą narzutą, próbowała rozgrzać się przy palniku kuchenki, na którym ustawiła czajnik. Potem, już z kubkiem gorącej i mocnej kawy w dłoni, przeszła przez hol do salonu z niskim, pochyłym stropem i oknami dachowymi. Deski skrzypiały pod jej stopami; świadoma obecności Philipa i Joanny, którzy spali na górze, Laura cicho zamknęła za sobą drzwi. Idąc w stronę kominka, włączyła kilka lamp. Palenisko nie wystygło jeszcze po wczorajszym wieczorze, kiedy to zjawił się Tom i kiedy dowiedzieli się tak wiele o datach morderstw – tych, które już nastąpiły, oraz tych, które, czego była pewna, wkrótce miały nastąpić. Jeśli się nie myliła, kolejna młoda kobieta leżała martwa gdzieś w pobliżu, a jej zwłok zapewne jeszcze nie odkryto.

Sącząc kawę, Laura przechadzała się po salonie i bez większej uwagi spoglądała na obrazy, które Philip powiesił na ścianach. Były tam trzy prace jego matki – fantastyczne bryły koloru z chudymi, patykowatymi postaciami na pierwszym planie, które zdawały się kulić ze strachu przed nienazwanym złem. Płótna te pasowałyby równie dobrze do domu na Manhattanie i do mediolańskiego apartamentu, myślała Laura, i pewnie znalazłoby się tam ich kilka.

Jeśli chodzi o sztukę, Philip miał eklektyczny gust. Obok współczesnych obrazów jego matki wisały wiktoriańskie oleje, a nawet kilka pejzaży z początku lat czterdziestych dwudziestego wieku. Na tej samej ścianie umieścił parę ulubionych, własnych fotografii, głównie abstrakcyjnych, wykonanych w połowie lat osiemdziesiątych. Dopelnieniem tej zbieraniny były stare portrety rodzinne – podobizny praprapradziadków z dziewiętnastego wieku, w – wielkich kołnierzach i czepkach na głowach.

Tom wspomniał o czymś poprzedniego wieczoru. Nie zwróciła na to uwagi, ale teraz czuła, że to ważny detal. Usiadła i spojrzała na resztki żaru w szarym popiele

kominka. I wreszcie sobie przypomniała. Mówił o koniunkcji pięciu ciał niebieskich: „Jest to zjawisko tak wyjątkowe, że zaobserwowano je może dziesięć razy w ciągu ostatniego tysiąclecia”.

– Oczywiście – powiedziała głośno. – Oczywiście. Dziesięć razy w ciągu ostatniego tysiąclecia... Więc pewnie przynajmniej kilka razy w nie tak dawnej przeszłości.

Wstała energicznie i podeszła do komputera, który wciąż pracował. Wywołała przeglądarkę Google i w historii odwiedzonych stron znalazła adres strony głównej almanac.com. Tam na wszelki wypadek zostawił jej swoje hasło; wpisała z pamięci dane, które program analizował poprzedniego wieczoru, i wcisnęła ENTER. Popijała kawę i patrzyła, jak ekran zmienia się z wolna, ukazując nowe informacje. Szybko przeszła w dół, by znaleźć to, czego szukała – okienko z hasłem „Koniunkcje pięciu ciał w latach 1500-2000 naszej ery” i trzema datami: 1564, 1690 i 1851.

Laura uśmiechnęła się do siebie i zabębniła palcami po biurku. Po chwili sięgnęła po klawiaturę i wpisała: „1851 + Oksford + morderstwa”.

Wyniki wyszukiwania były rozczarowujące. Program w sobie jedynie znany sposób wysmażył listę linków, które całkiem przypadkowo wiązały się z trzema słowami kluczowymi. Na pierwszym miejscu znalazł się materiał o Wielkiej Wystawie z roku 1851. Nieco niżej był artykuł o policjancie zamordowanym w tym samym roku w południowej części Londynu. Inne strony proponowały wgląd do definicji morderstwa według *Oxford Dictionary*, do książek wydanych w roku 1851 i zawierających w tytule słowo „morderstwa”, a także do witryny amerykańskiego duetu Murder In Oxford grającego akustyczny pop.

Wyszukiwarka Google pokazała ponad dwa tysiące linków do stron zawierających trzy kluczowe słowa. Laura nie zamierzała jednak poddać się bez walki – wyświetliła kolejną dwudziestkę wyników. Nie zawierały one niczego poza dalszymi definicjami słownikowymi i mnóstwem materiałów poświęconych Wielkiej Wystawie. Niven była już bliska zmiany słów kluczowych, gdy na stronie z odnośnikami 60 – 80 coś przykuło jej uwagę. W połowie ekranu zauważyła link opatrzony komentarzem: „Wiktoriański psychopata? Brat Norman tak uważa”. Przez moment trzymała kursor na adresie strony i wreszcie kliknęła.

Była to krzykliwa, amatorska witryna pełna materiałów, z których wiele przekraczało granice zdrowego rozsądku. Nazywała się *Spiskowe archiwum brata Normana*, a jej twórca – Norman, jak domyślała się Laura – sprawiał wrażenie opętanego sprawami takimi, jak Roswell, zabójstwo Kennedyego, śmierć księżnej Diany w Paryżu czy spisek CIA, którego celem było wrobienie niewinnego Osamy bin Ladena w atak z 11 września. Niven widziała nieraz takie zbiory mądrości i wiedziała, że należy ignorować błyskające nagłówki z lewego marginesu,

przysięgające *Objawienia, które Wstrząsną Twoim Światem!* Niecierpliwie przewijając stronę w dół, odnalazła tytuł, który wydawał się obiecujący: *Rzeź w Oksfordzie. Wiktoriański Charles Manson?*

Niestety, na artykuł składały się tylko trzy akapity. Dramatycznym językiem brat Norman przedstawiał garść faktów znanych jedynie zwolennikom teorii spiskowych. Trzy morderstwa w Oksfordzie, latem 1851 roku. Trzy kobiety zabite i okaleczone. Czy mógł to być młody Kuba Rozpruwacz, działający czterdzieści lat przed tym, jak objawił się we wschodniej części Londynu? A może była to teoria spiskowa rozgłaszana przez brytyjski parlament? Albo były to morderstwa na tle satanistycznym?

Nagle Laura poczuła się zmęczona. Przetarła oczy i wypła resztkę kawy. Czy gdyby w roku 1851, zastanawiała się, doszło w Oksfordzie do serii morderstw, nie wiedziałyby o tym? Wpatrywała się w ekran, ale nie widziała go; pozwalała myślom błądzić swobodnie.

Może już zapomniano o tych zbrodniach? Na ile skrupulatne były wówczas policyjne dochodzenia? I czy mogły się zachować reportaże o nich? Czy półtora wieku temu ukazywały się w Oksfordzie gazety?

Tak wiele pytań i tak mało odpowiedzi. Co gorsza, ilekroć Laura miała wrażenie, że zaczyna poznawać tajemnicę, pojawiały się nowe elementy układanki. W tej chwili nie miała nic więcej – przypadkowe, nie pasujące do siebie fragmenty. W zasadzie wyglądały one tak, jakby pochodziły z całkiem różnych układanek, a w dodatku każdy kolejny element wydawał się nie związany z pozostałymi.

Zastanawiała się, czy warto poświęcić więcej czasu stronom miłośników teorii spiskowych, ale ostatecznie zrezygnowała.

Była jednak przekonana, że żyjący współcześnie morderca działa według dziwnego, astrologicznego schematu i, jeśli można było wierzyć bratu Normanowi, podobne wypadki zdarzyły się podczas poprzedniej koniunkcji ciał niebieskich, a niewykluczone, że i przy okazji wcześniejszych. Spoiwem tych spraw były astrologia, okultyzm i alchemia. Lata spędzone na śledzeniu nowojorskich zbrodni i nadużyć nie mogły jej pomóc. Ale gdy wpatrywała się w ekran, nie widząc już słów brata Normana, uzmysłowiła sobie, jaki będzie jej kolejny krok.

Dwie godziny później Laura siedziała już w pociągu pędzącym do Londynu, spoglądając przez brudną szybę na okryte rosą pola. Nie obudziła Philipa. Zostawiła mu jedynie kartkę z lakoniczną informacją, że wyjeżdża na cały dzień do stolicy, by zbadać pewien trop, i że jeśli tylko Philip czegoś się dowie, ma natychmiast zawiadomić ją przez komórkę.

Pomysł złożenia wizyty Charliemu Tuckerowi wydawał jej się teraz oczywisty. W czasach studenckich Charlie Tucker zaliczał się do jej najlepszych przyjaciół, a i

później utrzymywali kontakty. Był jednym z najbardziej interesujących i przebojowych ludzi, jakich znała. Miał barwną przeszłość – pochodził z Essex, z robotniczej rodziny. Jego ojciec prowadził stragan z owocami w Southend, a matka, była striptizerka, zmarła na raka w trzydziestym dziewiątym roku życia. Charlie dostał się do Oksfordu z najwyższymi ocenami – tego roku nikt w kraju mu nie dorównał – ale nienawidził prawie wszystkiego, co dotyczyło uniwersytetu i samego miasta. Jako działacz socjalistyczny co najmniej trzy razy był bliski relegowania z uczelni i nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat, gdy funkcjonariusze MI6 prowadzili przeciwko niemu dochodzenie w sprawie przynależności do grupy lewicowych ekstremistów. Na trzecim roku studiów spędzał tak wiele czasu na protestach przeciwko polowaniom, demonstracjach i tajnych akcjach anarchistów, że omal nie przegapił końcowych egzaminów. A najbardziej zdumiewające było to, że i tak miał najlepszy wynik z matematyki.

Laura nigdy nie interesowała się polityką i zapewne dlatego właśnie stali się sobie bliscy. Jako Amerykanka nie zwracała uwagi na problemy polityczne współczesnej Wielkiej Brytanii, choć polityka w ujęciu historycznym fascynowała ją i uzupełniała jej studia z zakresu sztuki odrodzenia. Lubiała Charliego za jego energię, dowcip i błyskotliwą inteligencję. On zaś lubił ją, jak przypuszczała, ponieważ nie obchodziły jej jego poglądy: była niejako czystą kartą, na której mógł bezkarnie wypisywać dowolne hasła polityczne.

Gdy Laura opuszczała Oksford, Charlie zaczynał studia doktoranckie z zakresu teorii grup i jej zastosowania w kryptografii, dziedziny – jak zapewniał w listach – tak dalece oderwanej od trywialnych ludzkich spraw, jak to tylko możliwe.

Wydawało się, że spełnia się w tym, co robi, aż nagle, bez widocznego powodu, porzucił studia i zniknął. W ostatnim liście wysłanym z Oksfordu poinformował ją tylko, że wyjeżdża – niczego nie tłumaczył i nie podał żadnych szczegółów.

Tymczasem nagle przed rokiem listonosz przyniósł do mieszkania Laury w Greenwich Village pocztówkę. Charlie pisał z Londynu, że wybiera się do Stanów, i pytał, czy chciałaby się z nim spotkać w Nowym Jorku.

Twierdził, naturalnie, że gardzi tym wszystkim, ale w jego oczach widziała niekłamaną podziw dla niezaprzecznego blasku miasta, w którym mieszkała. Poszli do bistro przy Trzydziestej Czwartej Zachodniej i tam Laura wysłuchała jeszcze tyrady o próżności Manhattanu, lecz i tak wiedziała swoje: w głębi duszy przyznawał, że Nowy Jork jest niezwykłym miastem.

Charlie był już po czterdzieście i miał dość – dość radykalizmu, dość swych bezowocnych wysiłków, dość życia. Powiedział Laurze, że zrezygnował ze wszystkiego. Dziesięć lat wcześniej zaczął pisać książkę o kręgu czternastowiecznych matematyków znanych jako Rachmistrze z Oksfordu: Williamie Heytesburym, Richardzie Swinesheadzie, Johnie Dumbletonie i – przede wszystkim – Thomasie Bradwardinie. Nigdy jednak nie ukończył dzieła. Naukowe

poszukiwania doprowadziły go do prac filozofa heretyka Rogera Bacona i dalej, do całego świata średniowiecznego okultyzmu.

W rezultacie, po kilku latach studiów, postanowił rzucić politykę i oddać się fascynacji alternatywnymi stylami życia. Zagłębił się w mistycyzm, okultyzm oraz to, co sam nazywał „newralgicznym punktem intelektu”. Otworzył opodal British Museum w Bloomsbury małą księgarnię, którą nazwał White Stag, i sprzedawał w niej książki z nurtu literatury alternatywnej i wiedzy tajemnej. Obroty pozwalały mu na taką egzystencję, a nadwyżka środków i czasu sprzyjała prowadzeniu własnych badań.

Laura była trochę zaskoczona tymi zmianami w życiu Charliego. Nigdy nie interesowała się okultyzmem, ale po jakimś czasie, słuchając opowieści przyjaciela, doszła do wniosku, że jego fascynacja takimi sprawami ma sens. Do pewnego stopnia to właśnie jego wizyta podsunęła jej pomysł napisania thrillera o Thomasie Bradwardinie i spisku na życie króla Edwarda II. Teraz zaś, jadąc do Londynu z nadzieją, że zastanie Charliego w jego cichej księgarni, poczuła ukłucie winy, ponieważ w ciągu trzech tygodni, które spędziła w Anglii, nie skontaktowała się z nim. Ba, nie zawiadomiła go nawet, że przyjeżdża.

Wysiadła na dworcu Paddington kilka minut po wpół do dziewiątej i pojechała metrem na Warren Street. Wyszedłszy na ulicę, w sam środek porannego szczytu komunikacyjnego, pomyślała, że zjawiła się zbyt wcześnie, by zastać Charliego. Dla zabicia czasu wpadła na kawę i rogała do Starbucks, a potem ruszyła na południe Tottenham Court Road. Zatrzymała się w kafejce internetowej, żeby sprawdzić pocztę, kupiła gazetę i wypiła jeszcze jeden kubek kawy, zanim podążyła na wschód, obok Centre Point i dalej New Oxford Street, by odnaleźć uliczkę w bok od Museum Street, gdzie mieściła się White Stag. Po drodze zadzwoniła na komórkę Philipa, ale odezwała się jedynie poczta głosowa. Gdy tylko skręciła w nie szerszą niż cztery jardy uliczkę, u wylotu której widać było gmach British Museum, od razu spostrzegła maleńką witrynę ze stertą książek. Nad drzwiami wisiał staroświecki malowany szyld z podobizną wspaniałego białego jelenia.

Z zewnątrz księgarnia wyglądała na ciemną i cichą, ale gdy lekko pchnęła drzwi, otworzyły się. W środku czuć było woń starego papieru i dymu papierosowego. Z popękanego stropu zwisała na kablu pojedyncza żarówka; nagie deski podłogi były mocno wytarte i podrapane. Każdy cal ścian zajmowały półki z książkami rozmaitych kształtów, kolorów i rozmiarów. Wnętrze było mało reprezentacyjne, ale dziwnie przytulne.

W dalekim kącie stało stare biurko. Miało paskudnie rzeźbione, jesionowe nogi i blat zarzucony papierami. Zabytkowy komputer stał na jednym jego końcu, a przepelniona popielniczka na drugim. Kosz na śmieci pełen był zmiętych kartek i innych odpadków. Za biurkiem otwarte drzwi prowadziły do oświetlonej



pomarańczową poświatą komórki, z której dobiegał świst czajnika. Po kilku chwilach stanął w nich mężczyzna. Nieświadom obecności Laury zbliżył się do biurka. Z jego ust zwisał papieros, w dłoni trzymał nieszczególnie czysty kubek. Laura odkaszlnęła cicho.

– Mój Boże! – zawołał Charlie Tucker i odstawił kubek na blat z takim impetem, że znaczna część herbaty chlusnęła na rozłożone dokoła papiery. Pospiesznie zgasił papierosa w popielniczce, obszedł biurko i rozłożył ramiona na powitanie. – Lauro, skarbie – powiedział, obejmując ją.

Zachichotała i odwzajemniła uścisk.

Odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion.

– Schudłaś, dziewczyno, i masz za krótkie włosy. – Mówił z typowym akcentem hrabstwa Essex, nieskażonym oksfordzką wymową, wpływami literatury ezoterycznej i pięcioma laty spędzonymi w Bloomsbury. – Herbatki?

– Nie, Charlie. Dzięki, ale napiłam się kofeiną na cały rok z góry. Rany, tak się cieszę, że cię widzę.

Księgarz przyciągnął stare, odrapane krzesło i przetaił siedzisko dłonią, a potem podbiegł do drzwi frontowych, zamknął je na klucz i obrócił tabliczkę z napisem „Otwarte”.

– Nigdy nic nie wiadomo. Wpadają tu takie hordy... – Zaśmiał się. Wrócił za biurko i opadł ciężko na krzesło.

Tucker nigdy nie był okazem zdrowia – zawsze blady i chudy – ale teraz sprawiał wrażenie naprawdę wycieńczonego i starszego niż te czterdzieści cztery lata, które miał na karku. Widziała go ledwie przed rokiem, lecz czas ten wystarczył, by Charlie zaczął łyseć, jeszcze stracił na wadze i bardziej zbladł. Wygląda fatalnie, pomyślała, jakby trawiła go śmiertelna choroba.

– Charlie, przykro mi to mówić, ale wyglądasz strasznie.

Wzruszył ramionami.

– Bo ciężko pracuję, Lauro. Jednak czuję się świetnie. Tyle ze gubię włosy – dodał, ciągnąc tłuste, brązowe kosmyki, które zakrywały mu uszy. – Ale nie martw się o mnie – dorzucił. Sięgnął po paczkę papierosów leżącą obok sterty dokumentów, wyjął jednego i zapalił staroświecką zapalniczką. – Co cię sprowadza w te strony?

– Zainspirowałeś mnie do wizyty w Angin.

– Och, daj spokój.

– Przymierzałam się do napisania nowej powieści, o Thomasie Bradwardinie. Pamiętasz, rozmawialiśmy o nim tamtego wieczoru w Nowym Jorku. Gdy

wyjechałeś, zaczęłam tkać małą sieć...

– Powiedziałaś, że przymierzałaś się... Czyżby blokada twórcza?

Laura omiotła spojrzeniem tysiące książek stojących na półkach, od podłogi aż po sufit, i nagle poczuła się bardzo mała.

– Nie, po prostu mam lepszy pomysł.

– Ach tak.

– Słyszałeś o tych morderstwach w Oksfordzie?

– Tak – odpowiedział wyraźnie zdziwiony.

– Otóż... Czy mogę ci zaufać? Jako staremu przyjacielowi?

– Oczywiście – rzekł. Był zaskoczony i lekko urażony. – Przecież wiesz...

– Tak, przepraszam. Chodzi o to, że... Cóż, policja nie informuje opinii publicznej o wszystkim, co wie. W dodatku zaprzecza oczywistym faktom, a przynajmniej było tak podczas ostatniej rozmowy...

– Mówisz samymi zagadkami, Lauro.

– Problem w tym, że morderstwa te mają rytualny aspekt. Co więcej, sprawca działa według planu, astrologicznego planu.

Charlie zmrużył oczy, a następnie głęboko zaciągnął się dymem.

– Mówisz, że działa według planu, zatem sugerujesz, że plan jeszcze nie został zrealizowany.

– Właśnie tak uważam. Obawiam się, że to dopiero początek.

– W porządku. – Tucker rozparł się na krześle i spojrzał na nią przez chmurę dymu, która zawisła między nimi. – A mogłabyś zacząć od początku? Chciałbym się jakoś zorientować w temacie.

Laura opowiedziała mu tyle, na ile wystarczyło jej odwagi. Gdy skończyła, dostrzegła z niepokojem, że Chanie pobladł jeszcze bardziej.

– Ty coś o tym wiesz, prawda? – rzuciła.

Zaciągnął się po raz ostatni, wyjął z paczki kolejnego papierosa i odpalił go od poprzedniego.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Znam cię.

Spostrzegła, że ma brudne paznokcie, a na palcach wskazującym i środkowym, między którymi trzymał papierosa, pomarańczowe plamy.

– Widzisz, słyszałem różne plotki... Tak dzisiaj działa ten cały okultyzm: przez internetowe chat roomy. Ale musimy być dyskretni. Jak to się mówi, trzeba znać język, żeby się dogadać.

– I co można usłyszeć w tym języku, Charlie?

Znowu zaciągnął się papierosem. Na moment jego twarz zmieniła się w maskę kościotrupa.

– Dzieje się coś poważnego, coś bardzo poważnego i bardzo niedobrego.

– Co masz na myśli?

– Grupa, niewielka grupa – kompletnie anonimowa, jak się domyślasz – prowadzi niebezpieczną grę.

– W Oksfordzie?

– W Oksfordzie.

– Jaką grę?

– Tego, skarbie, nie mogę ci powiedzieć, bo nie wiem.

– Nie wiesz? A gdybyś miał zgadywać?

– Ludzie za bardzo się boją, zęby wiele mówić na ten temat.

– W porządku – powiedziała z irytacją. – Rozumiem, że sprawa jest delikatna. Pomiń detale, wystarczy mi ogólny szkic sytuacji.

Charlie ponownie się zaciągnął, by wypuścić w powietrze szary obłok dymu.

– Ogólny szkic? – odezwał się wreszcie. – Otóż mówi się, że w sprawę zaangażowane są bardzo sędziwe osoby. Nie wiem, co robią, i wcale nie chcę wiedzieć, jeśli mam być szczerzy. Słyszałem jednak... – Urwał na pełnych dziesięć sekund. – Słyszałem, że mają manuskrypt.

– Manuskrypt?

Tucker zgasił papierosa, wziął łyk herbaty i podniósł zapalniczkę. Zapalił ją i zaraz zamknął klapkę. Laura starała się zignorować jego zachowanie, ale gdy powtórzył tę czynność po raz czwarty, zerwała się nagle i odebrała mu zapalniczkę.

– Charlie... Jaki manuskrypt?

– Lauro, dziewczyno, powiedziałbym ci, gdybym wiedział, ale tak się składa, że to już wszystko. Wiesz tyle, ile ja. Ktokolwiek za tym stoi, jest postacią znaczącą, i to nie tylko w ramach naszej społeczności. To ktoś ważny. Ktoś, kto ma wielką władzę.

## Rozdział 19

Wyszędłszy z White Stag, Laura raz jeszcze spróbowała skontaktować się z Philipem, ale znowu dodzwoniła się do poczty głosowej. Sfrustrowana, z trzaskiem zamknęła telefon. Jakaś częścią umysłu zaczynała – wierzyć, że to Monroe ma rację i że astrologiczny trop, którym podążała, jest zwyczajnym nonsensem.

Pięć minut później zadzwonił Philip.

– Nic nowego – powiedział szybko. – Widzę dwa nie odebrane połączenia od ciebie. Przepraszam, ale bateria mi padła. Kiedy wracasz?

Spojrzała na zegarek.

– Skoro już tu jestem, to może zostanę cały dzień. Myślę, że złapię pociąg koło piątej. Mogę liczyć, że mnie odbierzesz?

– Nie ma problemu. Zadzwoń z Paddington.

Wybrała pociąg o siedemnastej dwadzieścia dziewięć, co okazało się marnym pomysłem, gdyż była to pora powrotu z pracy i wagony pękały w szwach. Na szczęście dotarła na Paddington sporo przed czasem i zdołała znaleźć miejsce. Tłok był jednak nieznośny, zwłaszcza że chyba wszyscy pasażerowie wysiadali dopiero w Oksfordzie. Pozwoliła im przeciskać się do drzwi i wyszła na peron jako jedna z ostatnich. Mijając barierkę, podała bilet konduktorowi i zobaczyła Philipa, który czekał na nią przy wyjściu na ulicę.

– Coś się wydarzyło, prawda? – spytała, wbijając ręce w kieszenie. Popatrzyła na swoje buty, zanim odetchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy.

Philip objął ją i poprowadził do samochodu stojącego ledwie kilka jardów dalej. Ich oddechy zmieniały się w obłoki pary na tle gwiazdzistego nieba. Wieczór przyniósł znaczny spadek temperatury.

Skuliła się na fotelu starego mgb, a Philip włączył słabowity układ ogrzewania.

– Mów – odezwała się w końcu z westchnieniem. – I nie oszczędzaj mi ponurych szczegółów.

Bainbridge uruchomił silnik i wrzucił bieg. Wyjechali z parkingu i stanęli w kolejce pojazdów czekających na włączenie się do ruchu na Botley Road.

– Zadzwońłbym do ciebie – rzekł – ale sam dowiedziałem się dopiero przed godziną, gdy byłaś w pociągu, więc pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli...

– Jasne, Philipie. Nie ma sprawy – przerwała mu, uśmiechając się smutno. – Nie jestem wściekła na ciebie. Po prostu jestem kurewsko wściekła, kropka. Więc co się wydarzyło?

– Według ekspertów morderstwa dokonano wczoraj wieczorem, między ósmą a dziesiątą. Tym razem zginęła para, ale sposób działania sprawcy jest ten sam.

– Para?

– Młodzi kochankowie, przyłapani *in flagranti*.

– Czekał, nie mów mi. Morderca wyciął dziewczynie nerki?

– Tak – odparł Philip z lekkim zdziwieniem.

– Czytałam trochę w pociągu *Astrologię, starożytną* Evaline Tarintary. Brednie, rzecz jasna, ale znalazłam tam parę przydatnych wskazówek co do toku myślenia tych, którzy w to wierzą. Wenus, planeta, która weszła ostatniej nocy w znak Barana, kojarzona jest z nerkami. Domyślałam się, że zabójca zostawił kolejną monetę, tym razem miedzianą?

Philip skinął głową.

– Zgadza się. Co jeszcze wiemy o związku planet, dat i metali?

– Z informacji, które znalazł Tom, wynika, że wkrótce nastąpi koniunkcja kolejnych dwóch planet, Marsa i Jowisza, zatem można się spodziewać dwóch morderstw. Według książki Tarintary, Mars kojarzony jest z żelazem i woreczkiem żółciowym, a Jowisz z cyną i wątrobą.

Philip znowu skinął głową, ale nic nie powiedział.

– A co z tym ostatnim morderstwem? – spytała rzeczowo Laura.

– Dwoje studentów w domu we wschodniej części miasta. Uprawiali seks, kiedy nastąpił atak. Zabójca poderznął im gardła. Chłopak... – Bainbridge urwał na chwilę. – Simon... Simon Welding został zabity, ale nie okaleczony. Dziewczyna, Samantha Thurow, piękna... – Zamilkł ponownie, wpatrując się w główną ulicę, na którą właśnie wjeżdżali. Laura widziała, jak naprężają się mięśnie jego szczęk. – Jej nerki usunięto z chirurgiczną precyzją. Według techników z laboratorium, na miejscu zbrodni nie było ani jednego odcisku palca czy najmniejszej choćby próbki DNA sprawcy, podobnie jak przy pierwszych dwóch morderstwach. – Niespodziewanie huknął otwartą dłońią w kierownicę, a Laura podskoczyła, wystraszona.

Przeniosła spojrzenie za okno, na migające w tle budynki. Philip zaczął zwalniać i zatrzymał wóz na czerwonych światłach.

– Ciała znaleziono dziś późnym popołudniem. Pozostali lokatorzy wrócili z partnerkami około północy i poszli do swoich pokoi, a rano udali się na zajęcia. Dopiero gdy przyjechali z wykładów, ktoś zauważył na dywanie krwawe odciski butów prowadzące do pokoju Simona. Przez cały dzień nikt nie widział ani jego, ani Samantha, więc kwadrans przed piątą koledzy wreszcie zapukali do drzwi

sypialni. Parę minut po piątej była tam policja, mnie zawiadomiono o pół do szóstej.

– Współlokatorzy mówili może, kiedy po raz ostatni widzieli ofiary?

– Wyszli mniej więcej o dziewiętnastej.

– Może nie pomaga to w dokładnym ustaleniu czasu śmierci, ale przypuszczam, że teraz już Monroe mi wierzy?

– Chyba tak – odparł Philip. – Chce się z nami spotkać... w swoim domu.

Mieszkanie detektywa Monroe w wielkim domu w północnej części Oksfordu było przeciwieństwem jego paskudnego biura na posterunku. Urządzone i ozdobione nader stylowo, odkrywało przed gośćmi zupełnie nowe oblicze głównego inspektora.

W wysoko sklepionym salonie był kominek, w którym płonęły prawdziwe drwa. Nad paleniskiem wisiał wielki, abstrakcyjny obraz. Ściany miały odcień delikatnej zieleni, ciepła dodawały dwie kremowe, obite zamszem kanapy. Światło było przygaszone, a z dwóch drogich głośników sączyły się łagodne dźwięki muzyki Briana Eno.

– Proszę usiąść – powiedział Monroe, wskazując jedną z kanap. – Wiem, pani Niven, że pani zdaniem jestem jej winien przeprosiny – zaczął. – Ja jednak wcale tak nie uważam. Chciałbym natomiast podziękować za informacje, które nam pani przekazała.

Minęła chwila, zanim Laura pojęła słowa policjanta.

– Chce mi pan podziękować? I to wszystko?

– A cóż... ?

– Moim zdaniem nie miał pan żadnego tropu w tej sprawie, detektywie Monroe. Być może to, czego dowiedział się pan ode mnie i Philipa, nie doprowadziło pana jeszcze do zabójcy, ale zasłużyliśmy na coś więcej niż „dziękuję”.

Tym razem to Monroe nie zrozumiał.

– Przykro mi, ale nie bardzo...

– Nie bardzo pan rozumie? Po pierwsze, niech pan przestanie nazywać mnie „panią Niven”. Mam na imię Laura. A po drugie, uważam, że zasłużyłam sobie na udział w tym śledztwie.

Detektyw popatrzył na nią; jego czarne oczy błyszczały jeszcze intensywniej niż zazwyczaj.

– Dlaczego miałbym na to pozwolić? – spytał.

– Mam wrażenie – wtrącił się Philip – że Laura w typowy dla siebie, czarujący

sposób próbuje powiedzieć, że może nam pomóc. I tym razem akurat muszę się z nią zgodzić.

– Mam więcej nowych informacji – dodała zimno Laura.

– Jakich informacji? – spytał Monroe, daremnie usiłując ukryć rosnącą irytację.

– A dlaczego miałabym to panu powiedzieć? – odparowała Laura.

– Ponieważ, pani Niven, jeśli pani tego nie zrobi, oskarżę panią o ukrywanie informacji istotnych dla śledztwa w sprawie morderstwa.

– Na miłość boską – zirytował się Philip. – To jakiś nonsens. Oboje zachowujecie się jak dzieci.

Monroe niespiesznie wstał.

– Proszę wybaczyć – rzekł. – Nie jestem dobrym gospodarzem. Może napiją się państwo czegoś?

Laura pokręciła tylko głową.

– Nie, dziękuję – odparł Philip.

Monroe podszedł do orzechowego kredensu, wyjął butelkę szkockiej i nalał odrobinę do kryształowej szklaneczki.

– Całkowicie ufam moim ludziom oraz moim metodom rzekł. – A teraz chciałbym poznać te nowe informacje, wszelkie informacje, które dotyczą sprawy. I z przyjemnością zapomnę, że groziła pani zatajeniem faktów.

Niven odetchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy.

– W porządku, detektywie główny inspektorze. Muszę współpracować, ale pan nie może zabronić mi prowadzenia śledztwa w sprawie tych zbrodni.

– Oczywiście, że nie. Ale mogę wyciągnąć wobec pani konsekwencje, jeśli odmówi pani ujawnienia wartościowych informacji albo w inny sposób będzie utrudniać pracę mojemu zespołowi.

– Jasne, że pan może, ale tak się nie stanie.

– Zatem pani przyjaciel twierdzi, że nie ma pojęcia, co zawiera manuskrypt? – spytał Monroe, gdy Laura skończyła.

– Na to wygląda – odparła.

– I to wszystko, co pani wie?

– Tak.

Przez ułamek sekundy widziała na jego twarzy cień podejrzliwości.

– W takim razie dziękuję – rzekł. – A teraz, jeśli pozwolicie państwo, mam mnóstwo papierkowej roboty.

Laura chciała zaprotestować, ale Philip chwycił ją za ramię i niemal

niezauważalnie pokręcił głową, ostrzegając przed dalszą konfrontacją. Ich wizyta dobiegła końca.

Philip wszedł do samochodu i odblokował drzwi pasażera. Gdy Laura usadowiła się w kubelkowym fotelu, wsunął kluczyk do stacyjki, ale nie uruchomił silnika.

– Nie powiedziałaś Monroe wszystkiego, prawda? – spytał.

– Za dobrze mnie znasz, skarbie – odparła, unosząc brwi i uśmiechając się szeroko.

– O co chodzi?

Opowiedziała mu o teoriach spiskowych i o morderstwach z roku 1851.

– I bardzo dobrze, że o tym nie wspomniałaś. Pewnie pomyślałby, że już całkiem ci odbiło.

– Chyba masz rację.

– I co teraz zrobisz, Holmesie?

– Co masz na myśli?

– Starcie z Monroe.

– Ach, to – prychnęła buntowniczo. – Tacy jak Monroe tylko utwierdzają mnie – w powziętej decyzji.

Z okna salonu John Monroe odprowadził wzrokiem wóz Philipa, który właśnie wyjeżdżał z alejki, a potem podszedł do barku, ponownie napełnił szklaneczkę i usiadł na kanapie.

Zastanawiał się nad „szczęśliwym” losem, który tym razem zetknął go z tą bezczelną Amerykanką. Musiał jednak przyznać, że jej odkrycie jest niezmiernie ważne. Po prostu były sprawy, od których starał się odciąć całą mocą umysłu.

Ile to lat minęło od tamtego incydentu? O ile dobrze pamiętał, był to rok 1989. Ledwie od dwóch lat był oficerem policji. Tak, to zdarzyło się pod koniec osiemdziesiątego dziewiątego, roku, w którym poślubił Janey. Cecilia Moore omal nie złamała mu dopiero co rozpoczętej kariery. Była jasnowidzem – a przynajmniej tak twierdziła ona i grono jej zwolenników. Została wezwana, by pomóc w poszukiwaniach osiemnastoletniej Caroline Marsden, która zaginęła trzy tygodnie wcześniej. Monroe był wtedy młody, naiwny i pełen optymizmu, a do tego Cecilia wpadła mu w oko. Zdecydowanie za bardzo jej ufał. Wierząc w jej moc, marnował cenny czas, siły policjantów oraz środki materialne, bo udało mu się przekonać zwierzchników, że „medium” odnajdzie zaginioną dziewczynę.

Moore zaś urządziła wielki pokaz „wyczuwania” Caroline Marsden z



zastosowaniem, jak to nazywała, „zdalnego widzenia”. Ujrawszy oczami umysłu otoczenie, w którym miała przebywać dziewczyna, udzieliła wskazówek policjantom.

Monroe wiedział, że szefowie dali mu wtedy zbyt wiele swobody, ale to nie zwalniało go z odpowiedzialności. Uwierzył Cecilii Moore, że Caroline żyje i jest trzymana w piwnicy domu w Ealing, lecz gdy wdarł się do mego z ekipą, okazało się, że mieszka tam jedynie małżeństwo emerytów z Bangalore. Caroline zaś odnaleziono dwa tygodnie *później* – a przynajmniej odnaleziono na wysypisku opodal Hammersmith wystarczającą część jej ciała, by dokonać identyfikacji.

Przez pięć lat Monroe miał poważne problemy z uzyskaniem awansu; wytrwał w policji tylko dzięki swemu uporowi i determinacji. Walka ta zrujnowała jednak jego związek z Janey. Rozstali się w 1993, nie doczekawszy się dzieci, po czterech ledwie latach małżeństwa.

Sącząc famous grouse, Monroe wpatrywał się w ogień. Czy mógł ponownie dać się wciągnąć w sprawy okultyzmu? Większość kolegów, którzy poprzednim razem tak ochoczo naśmiewali się z niego za plecami, była już na emeryturze lub przeniosła się do innych miast. Dwaj, którzy zostali i pamiętali jeszcze Cecilie Moore, nie ośmieliliby się pisać ani słowa. Tylko że nie chodziło o to, lecz o zasady. Monroe rozumiał, że nie musi wierzyć w astrologię – wystarczy, że motywuje ona mordercę. Wiedział też, że Laura Niven i Philip Bainbridge nie są szaleńcami. Musiał nawet przyznać, że oboje są inteligentni i mają dobre zamiary. Być może nawet polubiłby ich, gdyby spotkali się w innych okolicznościach...

Było jeszcze coś, pewien motyw, o którym nie wspomniał do tej pory nawet kolegom z zespołu. Otóż znał doskonale historię miejscowej policji – było to jego hobby z lat szkolnych. Morderstwa, których dokonano w ostatnich dniach, uderzająco przypominały dawno zapomnianą sprawę sprzed ponad stu pięćdziesięciu lat, z roku 1851, kiedy to zginęły trzy młode kobiety i student oksfordzkiego uniwersytetu.

Odstawił szklaneczkę i podszedł do nowiutkiego maca, kupionego tydzień wcześniej. Tracił mysz i komputer ocknął się ze stanu uśpienia. Wywołał wyszukiwarkę, a potem znieruchomiał na sekundę lub dwie, przywołując z pamięci wczorajszą rozmowę z Laurą i Philipem na posterunku. Jak brzmiała nazwa tej strony internetowej? Przypomniał sobie i dwoma palcami wklepał ciąg znaków: `almanac.com`.

## Rozdział 20

Siedzieli w pokoju sąsiadującym z Wewnętrzną Komnatą. Było to ciasne pomieszczenie, bąbel powietrza zamknięty w kamieniu sześćdziesiąt stóp pod Bodleian Library. ściany były gładkie, a centrum wypolerowanej podłogi zajmował duży dywan z regionu Khotan. Stał na nim mahoniowy stół, pusty, jeśli nie liczyć pasa jedwabiu, który zakrywał środkową część i zwieszał się na końcach. Źródłem światła były dwa tuziny świec osadzonych w metalowym żyrandolu pod łukowatym sklepieniem. Dwóch mężczyzn tkwiło naprzeciw siebie.

– Jestem ogromnie rozczarowany – powiedział Mistrz. W jego głosie nie było śladu emocji.

Akolita – ubrany w kremowy, lniany garnitur od Armaniego, białą koszulę z szerokim kołnierzem oraz zielono-czerwony, pasiasty krawat z jedwabiu od Louisa Vuittona, zawiązany w windsorski węzeł tuż pod jabłkiem Adama – siedział po przeciwnej stronie stołu. Spoglądając na Mistrza, poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Właśnie miałem wyjaśnić...

– Cieszy mnie to.

– Przeszkadzono mi. Ktoś był w domu.

Brew Mistrza uniosła się nieco.

– To nie był łatwy zabieg, Mistrzu. Nie chciałem popełnić błędu, a czas naglił.

– Zostałeś dobrze wyszkolony, prawda?

– Usłyszałem jakiś dźwięk na dole. Pomyślałem, że może rodzice dziewczyny wrócili wcześniej, ale się myliłem.

– Owszem.

– Nie dokończyłem zabiegu. Zabrałem ciało do ogrodu, ale to nie było odpowiednie miejsce. Wtedy zauważyłem łódkę. Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

– Ale po co przeciągnąłeś ją potem wzdłuż brzegu?

Akolita wziął głęboki wdech.

– Ułożyłem kobietę na dnie i wyciąłem jej mózg, ale właśnie wtedy linka puściła i łódź zaczęła odpływać. Próbowałem ją zatrzymać, lecz dotarło do mnie, że jeśli będę biegł wzdłuż brzegu albo wpadnę do wody, zostawię zbyt wiele śladów. Uznałem, że muszę dać temu spokój. Widocznie potem sama utknęła przy brzegu opodal domu. – Spojrzał w dół, na swoje zadbane palce.

Słuchając go, Mistrz studiował w milczeniu jego atrakcyjną twarz. Myślał o tym, że Akolita – wcale nie wygląda na swoje lata. I że jest szczęściarzem, mając takie geny – wysokie kości policzkowe, kształtne usta i oczy tak niebieskie, jakby nosił kolorowe szkła kontaktowe.

– Ty jeszcze nie słyszałeś, prawda?

– Nie słyszałem? O czym, Mistrzu?

– Błąd, który popełniłeś tamtej nocy, może mieć bardzo poważne konsekwencje. Policyjni eksperci znaleźli dowody twojej obecności w pobliżu domu, nad rzeką.

– To niemożliwe. Ja...

– Mają fragment odcisku buta oraz kawałki skóry i plastiku. Akolita potrząsał głową. Jego oczy płonęły oburzeniem.

– Sprawdziłeś kombinezon, zanim się go pozbyłeś? Akolita zamknął oczy i westchnął cicho.

– Tak czy nie?

– Nie.

– Zatem nie było to niemożliwe.

## Rozdział 21

Dom Jamesa Lightmana należał do najpiękniejszych w Oksfordzie. Choć profesor pochodził z całkiem zwyczajnej rodziny – ojciec prawnik i matka nauczycielka prezentowali odpowiedni poziom intelektualny, ale nigdy nie byli zamożni – jego status zmieniło małżeństwo z Susanną Gating, jedyną córką jednego z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii, lorda Gatinga. Były minister skarbu Neville Gating wywodził się z rodziny, której olbrzymia fortuna sięgała czasów Jerzego I.

Teść Lightmana zmarł przed prawie dwudziestu laty, a matka Susanny przegrała – walkę z rakiem dwa lata przed tragiczną śmiercią córki. Tym sposobem profesor odziedziczył miliardy Gatingów. Czteropiętrowy georgiański dom w północnej części Oksfordu był jego miejską siedzibą, tymczasem kilkunastoosobowa służba dbała o posiadłość Gatingów w Brill, na granicy Oxfordshire i Buckinghamshire.

– Trzy wizyty w jednym tygodniu, Lauro? Ludzie zaczną gadać – powiedział Lightman.

Roześmiała się i podeszła bliżej, by cmoknąć go w policzek.

– Obawiam się, że przychodzę wyłącznie w interesach, Jamesie.

– Jestem zawiedziony. Mimo to przejdźmy do gabinetu, moja droga.

Niven usiadła na jednym z dwóch starych, obitych skórą krzeseł umieszczonych tuż obok kominka, w którym – wesoło buzował ogień. Była rozczarowana, gdy drzwi frontowe otworzył Malcolm Bridges, asystent, którego poznała kilka dni wcześniej w bibliotece. Uprzejmie ją zaprosił, ale wydawał się zirytowany tym najściem. Na szczęście James wyjrzał zaraz ze swego pokoju, by powitać ją uśmiechem i miłymi słowami. Bridges zaś wziął tylko jej płaszcz i szybko oddalił się w stronę kuchni, by przygotować coś do picia.

– Zdawało mi się, że twój asystent jest pracownikiem biblioteki – rzekła.

– Nie lubisz go, prawda?

– Tego nie powiedziałam. Po prostu zdziwiłam się, ujrawszy go tutaj.

– Nie ma w tym nic podejrzanego, moja droga. Malcolm pomaga mi tutaj, zęby trochę dorobić. Po studiach doktoranckich zatrudnił się jako asystent na Wydziale Psychologii. Ma dziewczynę i pasjonuje się speleologią, a jedno i drugie wymaga środków. – Lightman dźgnął płonące polana zabytkowym, ozdobnym pogrzebaczem i usiadł na krześle kilka stóp od Laury. – Muszę ci coś wspomnieć,

moja droga.

– Tak?

– Kiedy się ostatnio widzieliśmy, nie byłaś ze mną zupełnie szczerą, prawda?

– O czym ty mówisz?

– O akcji twojej powieści.

– Tak. Przepraszam – odparła Laura. – Właściwie to nie okłamałam cię. Naprawdę chcę napisać powieść współczesną, a inspiracją były te niedawne zbrodnie... Powinnam powiedzieć to wprost. Wiedziałam jednak, że prędzej czy później się o tym dowiesz.

– Szczerze mówiąc, niewiele mnie obchodzą takie nowiny. O morderstwach dowiedziałem się tylko dlatego, że Malcolm wspomniał o nich dziś rano.

– O, to świetnie, bo właśnie chciałam raz jeszcze prosić cię o pomoc.

– Ha! – zaśmiał się Lightman. – Zawsze podziwiałem twój tupet.

– A któż miałby mi pomóc, jeśli nie główny bibliotekarz Bodleian Library i światowej sławy autorytet w dziedzinie literatury starożytnej?

– Lauro, używasz najwłaściwszych słów. Tupet i czar, zabójcza kombinacja. Zatem o co chodzi?

– Chcę zawrzeć w powieści motyw tajemniczego dokumentu, prastarego manuskryptu, może greckiego lub łacińskiego tekstu, który w jakiś sposób będzie się wiązał z morderstwami.

– Czy i tu inspiracją jest rzeczywistość?

Laura zastanawiała się chwilę, obserwując płomień pełzające wokół rozżarzonych szczap.

– Właśnie o to chciałam zapytać. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w dzisiejszych czasach ktoś odkryje taki rękopis?

Lightman miał już odpowiedzieć, gdy do gabinetu wszedł Malcolm Bridges i zbliżył się do kominka z tacą.

– Mam nadzieję, że herbata może być – powiedział.

– Nie ma sprawy – odparła.

Asystent położył tacę na stoliku, napełnił dwie filiżanki herbatą i mlekiem i jedną z nich podał Laurze.

– Cukru?

– Nie, dzięki.

Bridges zamierzał właśnie wyjść, gdy odezwał się Lightman.

– Malcolmie, starożytny manuskrypt we współczesnym świecie... Jakie są szanse, że coś takiego pojawi się na horyzoncie?

Niven spojrzała na niego ze zdziwieniem i irytacją, ale profesor nie patrzył w jej stronę. Natychmiast pojęła, że jej dawny mentor zapytał asystenta wyłącznie przez złośliwość, ale nic nie powiedziała.

Bridges sprawiał wrażenie lekko wystraszonego pytaniem.

– Manuskrypt? Jakiego rodzaju?

– Nie wiem – odparł Lightman i popatrzył na Laurę z przelotnym, sardonicznym uśmieszkiem. – Laura właśnie miała mi to wyjaśnić. Siadaj, drogi chłopcze.

Asystent zajął miejsce naprzeciwko biurka.

– Laura obmyśla nową powieść i chciałaby zawrzeć w niej motyw starożytnego dokumentu czy tekstu, który zostaje odnaleziony w dwudziestym pierwszym wieku – zaczął Lightman, ponownie obracając się w stronę Niven. – Zastanowiłaś się już, jakiego rodzaju manuskrypt miałyby to być?

– Miałam nadzieję, że ty mi podpowiesz, Jamesie, ale jeśli...

– W ostatnich dziesięcioleciach mieliśmy kilka spektakularnych odkryć – ciągnął Lightman. – Najsłynniejszym, rzecz jasna, były zwoje znad Morza Martwego, znalezione ponad pięćdziesiąt lat temu w Kumran. Jak widzisz, takie rzeczy się zdarzają. Jednak od dłuższego czasu nie słyszałem żadnych nowin. A ty, Malcolmie?

– Ostatnio nie – przyznał Bridges. – Są, oczywiście, materiały Eliasa Ashmolea odkryte w Keble College, ale to było prawie trzydzieści lat temu.

– Nie zapominaj o *Codex Madrid*, notatnikach Leonarda. Znalezione je w latach sześćdziesiątych w porzuconych kartonach w hiszpańskiej bibliotece. A co z odkryciem Wainwrighta? Z rękopisem przypisywanym Herodotowi? Kiedy to było? W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym czy piątym?

– Rozumiem – powiedziała w zamyśleniu Laura. – Czyli mój pomysł nie jest jedynie głupią fantazją?

– Absolutnie nie – odparł Lightman. – Ale takie znaleziska zdarzają się niezwykle rzadko... Niestety. – Upił łyk herbaty i miał coś jeszcze powiedzieć, lecz w tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

– To pewnie profesor Turner – odezwał się Bridges. – Miał się zjawić za piętnaście dziesiąta.

– A niech to – zmartwił się Lightman. – Całkiem o nim zapomniałem. Wybacz, Lauro, ale muszę przyjąć Turnera. Już – dwa razy przekładałem spotkanie. Chce porozmawiać o nowym budynku dla biblioteki. Straszliwe nudy, ale niestety, rzecz jest ważna.

Choć Niven liczyła, że bardziej zgłębią temat, udało jej się ukryć rozczarowanie.

– Nie ma problemu, Jamesie – stwierdziła. – Bardzo mi pomogłeś.

Ruszyli w stronę drzwi.

– Ale gdybyś podarował mi jeszcze sekundę, zadałabym jedno pytanie. Mogę?

Skinął głową.

– Słyszałeś kiedykolwiek o seryjnym mordercy, grasującym w Oksfordzie w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym?

Lightman zawahał się.

– A wiesz, chyba nawet pamiętam, że słyszałem o kimś takim... Był to rok Wielkiej Wystawy. Zginęły dwie młode kobiety. Tylko że trudno to nazwać serią morderstw. Przykro mi, Lauro. Mój Boże, nie na wiele ci się dziś przydałem, prawda?

## Rozdział 22

Po dwóch nieudanych próbach połączenia Laura przypomniała sobie, że Philip wybrał się do Londynu w sprawie zlecenia na wykonanie serii fotografii do albumu o Tasmanii. Miał zostać w stolicy na noc.

Powróciwszy do Woodstock, przejrzała książki w bibliotece Philipa, licząc, że znajdzie wzmianki o morderstwach z roku 1851. Poszukiwania okazały się jednak bezowocne, podobnie jak użycie internetowej wyszukiwarki. Wieczór spędziła na kanapie, oglądając telewizję w towarzystwie Jo i jedząc czekoladki.

Następnego ranka Laura wybrała się na długi spacer po lesie. Gdy wracała, zobaczyła na podjeździe samochód. Wieczorem wynajęła wóz i choć obiecano jej dostarczyć go wcześniej, była nieco zaskoczona. Pół godziny później mknęła już szosą do Oksfordu i raz jeszcze wybierała numer telefonu komórkowego Philipa.

– Gdzie jesteś? – spytała podekscytowana.

– Wjeżdżam do Oksfordu drogą M40, a co?

– Musimy się spotkać, i to jak najszybciej.

– Muszę podrzucić kilka płyt na posterunek, a już jestem spóźniony. Zamierzałem jechać potem do domu, ale możemy się spotkać na kawie.

– Czemu nie. Gdzie?

– Może w Isabellas przy Ship Street, niedaleko Cornmarket?

– Zgoda. Kiedy możesz tam być?

– Daj mi pół godziny... nie, czterdzieści pięć minut.

Laura spojrzała na zegarek. Była ósma czterdzieści pięć.

– Dobra, widzimy się o dziewiętej trzydzieści – powiedziała i z trzaskiem zamknęła klapkę telefonu.

Isabellas była małą i zdecydowanie niedocenianą kawiarnią przy jednej z cichych uliczek odchodzących od pieszego pasażu Cornmarket Street, w samym centrum Oksfordu. Stało w niej najwyżej dziesięć stolików, a wystrój nie rzucał na kolana urodą i świeżością, lecz Philip lubił właścicielkę, Isabellę Frascante, włoską wdowę w średnim wieku, która nie tylko ujmowała go gościnnością, ale także parzyła jego zdaniem najlepsze espresso w całym regionie.

Laura przyjechała dziesięć minut za wcześnie; czekała już, gdy Philip minął witrynę kawiarni i wszedł do środka. Byli sami. Na widok siadającego Bainbridgea właścicielka rozpromieniła się.



- To co zwykle, proszę, Isabella – powiedział, sadowiac się wygodnie.
- Jak poszło? – spytała Laura.
- Co?
- Dostałeś to zlecenie?
- Być może. Mam nadzieję. Dziś po południu mają mnie zawiadomić e-mailem.

A co nowego u ciebie?

– Byłam u Jamesa Lightmana, ale niestety nie pomógł mi zbyt. Myślę, że powinniśmy dowiedzieć się więcej o morderstwach z tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku. Powiedz, gdzie zacząłbyś poszukiwania informacji o seryjnym mordercy sprzed stu pięćdziesięciu lat. W miejscowych gazetach z epoki?

– Tak sądzę – odparł Philip. W tym momencie Isabella podała mu kawę. – Cholernie dobra – pochwalił, pociągnąwszy łyk. – Muszę ją kiedyś namówić, żeby zdradziła mi ten sekret – dodał szeptem, gdy właścicielka odeszła.

– Ha! Sekret polega na tym, że ona jest Włoszką, Philipie. Sądzisz, że błądy Angol bez talentu kulinarnego, taki jak ty, może je; dorównać?

Bainbridge wyśmiał tę zniewagę, upił jeszcze łyk i cmoknął z zadowoleniem.

– To jak? Gazety? – spytała Laura.

– Nie jestem pewien, czy w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym wydawano w Oksfordzie choćby jedną gazetę.

– Na pewno, Philipie. To miasto jest zbudowane z papieru.

– Z książek, Lauro, z książek. Gazety uważano za coś pośledniejszego.

– Może kadra uniwersytetu była takiego zdania, ale nie zapominaj, że mieszkali tu też zwykli ludzie, tak samo jak dziś – odparła, przewracając oczami.

– W porządku. W bibliotece dowiemy się, czy masz rację. W dziale historii lokalnej. Jeżeli istnieje jakikolwiek artykuł o tych zbrodniach, muszą go tam mieć, prawdopodobnie na mikrofilmie.

– Super. Idziemy – zarządziła. Podniosła się z krzesła, nie zważając na protesty Philipa. – Do licha, możesz poprosić o kubek na wynos. Nie może być przecież aż taka pyszna. I wytrzymaj usta, na miłość boską!

Okazało się, że w roku 1851 wydawano w Oksfordzie trzy gazety. „Jackson’s Oxford Journal” był najpopularniejszy i najstarszy; ukazywał się od 1753 roku. Dwie pozostałe – „Oxford University Herald” oraz „Oxford Chronicle and Berks and Bucks Gazette” – były w owym czasie względnie nowymi tytułami.

– Wygląda na to, że się myliłeś, Philipie. Wydawano nie jedną, ale trzy

„poślednie" gazety.

– Przyznaję się do błędu.

– Jak się wchodzi do archiwum?

– Zjrzyj do katalogu biblioteki – odparł Bainbridge, klikając myszką, by – wywołać menedżera plików. – Wszystkie tytuły pogrupowano dekadami. Wybieramy jedną i przeglądamy kategorię gazet i czasopism.

Po kilku dalszych kliknięciach na ekranie pojawiła się lista pozycji z lat 1850 – 1860. Chwilę później mieli przed sobą katalog gazet.

– Teraz możemy szukać według słów kluczowych. Domyślam się, że nie znasz nazwisk?

Laura pokręciła głową.

– Dobra. Może będzie trochę trudniej, ale... spróbujemy poszukać słowa „morderstwo". Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Ukazało się 1819 haseł.

Niven jęknęła.

– Nie bądź taka niecierpliwa. Trzeba tylko uściślić wyszukiwanie – rzekł Philip.

– Spróbuj „seryjny morderca".

– To wyrażenie jeszcze wtedy nie istniało.

– Naprawdę? – Laura próbowała przypomnieć sobie, co czytała dwa dni wcześniej.

– Na stronie internetowej, o której ci mówiłam, była wzmianka o trzech kobietach zabitych latem tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku.

– W takim razie poszukamy hasła „młoda kobieta".

Philip nacisnął ENTER i dane na ekranie zostały odświeżone.

– Trzysta czterdzieści dwa hasła zawierające słowa „morderstwo" i „młoda kobieta". Lepiej, ale jeszcze nie całkiem dobrze.

– Uściślamy dalej. Użyj słowa „okaleczona". To powinno zmniejszyć zbiór rezultatów – zasugerowała Laura, przysuwając się z krzesłem do ekranu.

Philip wpisał ciąg znaków i lista się skróciła: komputer znalazł 17 wejść, w których pojawiały się słowa „morderstwo", „młoda kobieta" oraz „okaleczona".

– Nareszcie coś sensownego – stwierdziła Laura.

Kopie artykułów dostępne były na mikrofiszkach. Philip wynotował numery katalogowe i dołączyli do kolejki przy stanowisku zapracowanej bibliotekarki. Minęło dwadzieścia minut, zanim dostali materiały, nauczyli się obsługiwać urządzenie i zainstalowali w nim pierwszą mikrofiskę.

Pierwszy artykuł pochodził z „Jackson's Oxford Journal", wydanie z

szesnastego czerwca 1851 roku, ale nie wdawał się w szczegóły.

Kolejna wzmianka ukazała się osiemnastego czerwca w „Oxford Chronicie”. Tę samą historię opisano tu nieco obszerniej. Ofiara morderstwa była „w dezabilu”. Znalaziono ją w stodole w Headington. Zginęła od bliżej nieokreślonych ran zadanych nożem, a jej ciało zostało „straszliwie okaleczone”.

Następne trzy reportaże zamieszczono we wszystkich oksfordzkich gazetach jednego dnia, dwudziestego czwartego czerwca. Popołniono zostało drugie morderstwo, lecz sprawca działał tym razem nieco inaczej. Na polu, na północ od miasta, znaleziono zwłoki młodej pary. Były nagie, przy czym ciało kobiety było – według reportera „Oxford University Herald” – „okrutnie zeszpecone”.

Gdy dziewiątego lipca ujawniono trzecią zbrodnię, była to już najgłośniejsza sprawa ostatnich lat. Teksty były naprawdę obszerne, a typowy dla owych czasów chłodny, dżentelmeński ton reportażu nabrał bardziej emocjonalnego charakteru. Artykuł redakcyjny „Oxford Chronicie” z dziesiątego lipca zawierał taki ustęp:

Wczorajsze doniesienia o kolejnej zwyrodniałej zbrodni – tym razem ofiarą jest młoda kobieta z rejonu Forest Hill, znaleziona przy drodze do Londynu – rodzą obawy, iż siły policyjne mają nadzwyczaj poważne kłopoty z naświetleniem faktów dotyczących plagi ohydnych morderstw, która nęka miasto i okolice od szesnastego czerwca, kiedy to zginęła pierwsza młoda kobieta. Doceniamy umiejętności i poświęcenie funkcjonariuszy prowadzących śledztwo, jednak naszym obowiązkiem jest także informowanie o zrozumiałych niepokojach wszystkich mieszkańców Oksfordu. Policja ujawniła, że wszystkie ofiary były osobami młodymi. Najstarsza miała ledwie dwadzieścia jeden lat. Poza tym, w jednym przypadku zbrodni dokonano na parze, która spotykała się potajemnie i bez świadków. Wiadomo również, że młody mężczyzna, który brał udział w tej schadzce, był studentem uniwersytetu i że jego ciało morderca pozostawił w spokoju. Nieszczęsne kobiety zaś, we wszystkich trzech przypadkach zabite nożem, zostały okaleczone w najbardziej odrażający sposób.

Źródła, których zobowiązaliśmy się nie ujawniać, zdradziły natomiast, iż na miejscu ostatniej zbrodni pochwycono podejrzanego, którego poddano następnie przesłuchaniu. Wciąż jest więc nadzieja i wszyscy będziemy się modlić, by ów nowy trop pomógł policji jak najszybciej rozwiązać zagadkę serii straszliwych mordów, a tym samym przepędzić strach z serc mieszkańców miasta. W tej sprawie „Chronicie” oraz, w co nie wątpię, ogromna większość naszych czytelników wspierać będą funkcjonariuszy policji z niesłabnącym entuzjazmem.

– Klasyczny brukowiec – powiedział Philip, gdy skończyli czytać.

W ciągu godziny przejrzeni wszystkie teksty, które znaleźli w katalogu.

Albo przez wzgląd na uczucia czytelników, albo z braku dokładnych relacji policyjnych, wszystkie trzy gazety unikały szczegółowych opisów obrażeń. W artykułach dominowały sformułowania w rodzaju „straszliwe okaleczenie”, „diabelskie zniekształcenie” czy „okrutna napaść”. Laure i Philipa najbardziej zainteresowała historia podejrzanego, który został ujęty opodal miejsca zbrodni w Forest Hill.

Politycznie niepoprawni reporterzy oksfordzkich gazet określili Nathaniela Millinera mianem „imbecyla”. Piętnastolatek ten mówił z wielkim trudem, kulał i miał zdeformowany kręgosłup. Był synem profesora medycyny Johna Millinera, który uparcie odmawiał umieszczenia go w zakładzie opiekuńczym. Po wielu godzinach przesłuchania policjanci uwierzyli w zapewnienia chłopca, że jedynie natknął się przypadkowo na zwłoki, gdy puszczał latawiec niedaleko Forest Hill. Nie było dowodów, na podstawie których można by oskarżyć Nathaniela, a w dodatku wydawało się oczywiste, że profesor Milliner, jedna z najważniejszych postaci społeczności akademickiej, chronił syna w toku śledztwa mniej więcej tak samo, jak przez piętnaście lat chronił go przed uprzedzeniami wiktoriańskiego społeczeństwa.

Dwie z trzech oksfordzkich gazet zachowały sceptycyzm i z wszystkich niemal artykułów w „Chronicie” i „Heraldzie” wynikało, że ich wydawcy chcieliby zobaczyć Nathaniela na stryczku. Jedynie „Jacksons Oxford Journal” relacjonował zdarzenia w dość zrównoważony sposób i nie występował otwarcie przeciwko chłopcu. A potem, niespodziewanie, tempo historii zmieniło się diametralnie. Mniej więcej tydzień po zabójstwie w Forest Hill policja aresztowała niejakiego Patricka Fitzgeralda, irlandzkiego robotnika zatrudnionego przy budowie nowego kanału w Oksfordzie. Zgłosiło się też dwóch świadków, którzy zeznali, że widzieli go w pobliżu miejsc pierwszych dwóch zbrodni. Inny, anonimowy kolega z pracy, powiedział policjantom, że Fitzgerald „spił się jak świnia” w pubie Ferret and Fox niedaleko budowanego kanału i późną nocą w dniu, w którym doszło do podwójnego morderstwa, wedłóg „Chronicie”, wyznał mu: „Mam krew na rękach, tyle krwi”.

Proces Fitzgeralda rozpoczął się dziewiątego sierpnia i po ledwie dwóch posiedzeniach sąd jednogłośnie uznał go za winnego. Został powieszony już dwunastego.

– Frustrujące – powiedziała Laura. – Tamte morderstwa na pozór niczym nie różnią się od dzisiejszych, tylko nie sposób dotrzeć do szczegółów, a bez nich wszystko to może się okazać jedynie zbiegiem okoliczności.

– Ale znaczące wydaje się to, że seria zbrodni dobiegła końca, gdy policja zatrzymała tego Fitzgeralda.

– Owszem, ale jakie mieli dowody przeciwko niemu? I co myślisz o tym chłopaku, Nathanielu Millinerze? – spytała Laura.

– Mógł być zupełnie niewinny. Policja najwyraźniej doszła do takiego właśnie wniosku i dlatego na szubienicy skończył robotnik. Ale wszystko to potoczyło się moim zdaniem zbyt gładko.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nagle, jak spod ziemi, pojawili się świadkowie twierdzący, że widzieli Fitzgeralda na miejscach zbrodni krótko przed odnalezieniem zwłok. To niczego nie dowodzi. Ofiary najprawdopodobniej były martwe od wielu godzin, gdy je odkryto.

– Owszem, ale widziano go w obu miejscach.

– Podobno.

– I jeszcze ten jego kumpel... Ludzie gadają po pijaku różne rzeczy, prawda? To nic nie znaczy.

– Z pewnością dzisiaj potrzeba czegoś więcej, żeby skazać człowieka – odparł Philip.

– Zauważyłeś coś jeszcze? – ciągnęła Laura. – W artykułach brakuje informacji o samych zabójstwach. Nie ma żadnych detali. Nie wydaje ci się, że to podejrzane?

Bainbridge pokiwał głową.

– Boże, to naprawdę frustrujące... Muszą istnieć bardziej szczegółowe dokumenty na temat tych morderstw, Philipie.

– Może istnieją, ale wątpię, żebyś gdziekolwiek znalazła więcej informacji niż tutaj.

Milczeli chwilę. Laura wpatrywała się w ekran, na którym wciąż widniała treść ostatniego artykułu.

– A co z policyjną kartoteką? – spytała nagle. – Na pewno muszą w niej być oficjalne raporty.

– Z tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku?

– A czemu nie?

– Cóż, to chyba możliwe, ale takich akt nie znajdziemy w Oksfordzie. Posterunek został przebudowany w latach pięćdziesiątych. Zresztą nie wyobrażam

sobie, by przy takiej ilości papierów, jaka przewalała się tam co roku, trzymali akta dłużej niż dziesięć lat.

– Jednak te starsze dokądś muszą trafiać.

– I trafiają – rzekł Philip. – Do Archiwum Państwowego w Kew.

– Sądziś, że są dostępne w wersji komputerowej?

– Wątpię.

Laura miała jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie rozległ się sygnał telefonu. Spojrzała na wyświetlacz: przyszedł SMS.

– To od Charliego – oznajmiła. – Píše, że ma nowe informacje o manuskrypcie. Chce się z nami spotkać w swojej księgarni dziś o czwartej.

## Rozdział 23

Gdy wyszli z biblioteki, niebo otworzyło się nad nimi. Pobiegli do wielopoziomowego parkingu, na którym Laura zostawiła samochód. Zanim tam jednak dotarli, przemokli do suchej nitki.

– Zostaw swój wóz koło posterunku, póki nie – wrócimy z Londynu – zaproponowała Laura. – Weźmiemy ten. Jest szybszy, cieplejszy... i znacznie bardziej suchy.

Philip tylko wzruszył ramionami. Wiedział, że bez względu na jego argumenty Laura nigdy nie doceni piękna klasycznych sportowych samochodów, takich jak jego ukochany mgb, zbudowany w małym warsztacie przy Longwall Street, niespełna pół mili od miejsca, w którym się znajdowali.

Droga do Woodstock była ledwie widoczna za ścianą deszczu. Nie minęło jeszcze południe, a niebo było już całkiem czarne i zapaliły się latarnie uliczne. Światła samochodów pędziły z przeciwka, przebijając się przez kurtynę wody. Ku irytacji tych, którzy jechali za nią, Laura nie spieszyła się. Wolała nie ryzykować, skoro, jak mawiała, zmuszano ją tu do jazdy po niewłaściwej stronie szosy. Zanim dotarli do domu, była wyczerpana tak bardzo, że latały jej przed oczami białe plamki.

Zaparkowała tak blisko tylnych drzwi domu, jak się dało, a potem rzucili się ku osłoniętemu daszkiem gankowi. Philip wygrzebał z kieszeni klucz i wsunął go do zamka, ale drzwi były otwarte. Weszli do kuchni.

– Hop, hop! – zawołał Philip.

– Tutaj – rozległ się głos Joanny.

Przeszli do salonu. Ogień w kominku trząsał do wtóru cichej muzyki Django Reinhardta, która sączyła się z iPod'a Philipa, podłączonego do głośników. Joanna siedziała na kanapie obok młodej kobiety, która wydała się Bainbridge'owi znajoma; dziewczyna szlochała, a Jo usiłowała ją pocieszyć.

– Co się stało? – spytała Laura. – Jo?

– To Mariannę, chodzimy razem na topologię.

Dziewczyna wyglądała na zażenowaną. Otarła oczy chustką.

– Nie chciałabym sprawiać... – zaczęła. Miała wyjątkowo piskliwy głos, głos małej dziewczynki.

– Nie gadaj głupstw – przerwała jej Joanna. – Mamo, Mariannę znalazła to w swojej skrzynce w college u – dodała, podając Laurze kartkę papieru.

Był to komputerowo przetworzony obrazek, na którym wyciętą z fotografii głowę Mariannę nałożono na postać kobiety z pornograficznego zdjęcia, leżącej nago na łóżku z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Dłonie i stopy były przywiązane grubym sznurem do narożników mebla. Za pomocą wyrafinowanych narzędzi graficznych ktoś narysował na jej brzuchu wielkie rozcięcie, przez które wylewały się wnętrzności. W górnej części obrazka widniał jaskrawoczerwony napis: „Oto, co chciałbym ci zrobić.

– Masz pojęcie, kto mógł to podrzucić, Mariannę? – spytał Philip.

– Nie. Właściwie to nie...

– Właściwie?

– Jest na naszym roku jeden przerażający gość – powiedziała.

– To zbok, autentyczny zbok – dodała Joanna. – Russell. Russell Cunningham. Studiuje psychologię, ale bywa też na naszych zajęciach ze statystyki. Jest przystojny, na oblesny sposób Ricky’ego Martina, ale naprawdę przerażający. Wiecznie gapi się na mnie, jakby rozbierał mnie w myślach. Nic przyjemnego.

Laura zwróciła się do Mariannę:

– Zaczepiał cię kiedyś?

– Nie wydaje mi się, żeby miał dość ikry, by cokolwiek zrobić – odparła dziewczyna.

– Może macie rację – rzekł Philip – ale sądzę, że nie powinnyście jeszcze nikogo oskarżać. Mimo to musisz to zgłosić, Mariannę. Nie chciałbym cię straszyć – dodał ostrożnie – ale twoja sprawa może mieć coś wspólnego z niedawnymi morderstwami.

Mariannę pobladła.

– Sama o tym pomyślałam, ale wolałam nie mówić – odezwała się Jo. – Od wypadku nie byłam na uczelni, a ponadto mamy przerwę wielkanocną, ale wiem, że ludzie są wystraszeni tym, co się dzieje.

– Słyszałam o co najmniej dwu dziewczynach, które wróciły do rodziców, żeby przeczekać to wszystko. Normalnie zostałyby na święta w Oksfordzie i pracowały – dodała Mariannę.

– Nie dziwię się im – stwierdziła z westchnieniem Laura i usiadła w fotelu naprzeciwko kanapy. – Myślę, że wszystkie powinnyście bardzo na siebie uważać.

– W Nowym Jorku można przywyknąć do takich rzeczy – zauważyła Joanna. – Sama nie wiem. Zdawało mi się, że Oksford będzie...

– Oksford jest piękny – wszedł jej w słowo Philip – ale tutejsi ludzie niczym nie różnią się od tych z Bronksu czy Timbuktu.



– Naprawdę uważa pan, że powinnam iść z tym na policję? – spytała Mariannę, wskazując wydruk.

– Tak – odparł bez wahania. – Zapewne to tylko obrzydliwy żart, ale kryminolodzy będą chcieli się temu przyjrzeć.

## Rozdział 24

Archiwum Państwowe mieści się w nowoczesnym budynku z cegły, otoczonym bujnymi i przepięknie utrzymanymi ogrodami, w dobrej dzielnicy Kew nad Tamizą, na zachód od centrum Londynu. W okolicy tej przeciętny dom wart jest tyle, ile cała ulica szeregowców w Sheffield, jeśli zaś chodzi o dane demograficzne, królują tu zamożne i wpływowe rodziny. Przynajmniej według londyńskich standardów tutejsze trzypasmowe ulice są czyste i bezpieczne, a w kawiarniach i sklepach pojawiają się wzorcowe rodziny z dziećmi jak żywe reklamy Gap i Kenzo Kids, uczącymi się w prywatnych szkołach i wychowywanymi przez amerykańskie i szwedzkie opiekunki.

Założone na mocy ustawy z roku 1838, Archiwum Państwowe jest istną skarbnicą najważniejszych dokumentów. Znajdują się tu między innymi oryginał *Domedday Book*, wyniki wyborów parlamentarnych z roku 1275, spis klejnotów Elżbiety I, testament Williama Szekspira, zeznanie Guya Fawkesa oraz protokoły z posiedzeń gabinetu Churchilla z czasów Bitwy o Anglię. Archiwum jest też miejscem przechowywania raportów dochodzeniowych, z których najstarsze pamiętają początki brytyjskiej policji.

Ku zaskoczeniu Laury i Philipa, archiwa policyjne były już dostępne w formie elektronicznej – wystarczyło skorzystać z terminali w czytelniku. System przypominał ten z oksfordzkiej biblioteki, toteż nie mieli problemów z jego opanowaniem.

Philip otworzył plik z danymi z roku 1851 i wpisał w wyszukiwarce hasło: „Oksford+morderstwo+śledztwa”. Zobaczyli listę trzydziestu siedmiu dokumentów, uporządkowaną chronologicznie według dat oficjalnego rozpoczęcia śledztwa. Bainbridge kliknął na ikonę „Czerwiec”. W miesiącu tym wszczęte zostały dwa postępowania. Pierwszy zbiór danych miał tylko 22 kilobajty, drugi już 231. Philip otworzył drugi, wychodząc z założenia, że sprawa serii zabójstw musiała być najpoważniejszą, z jaką policja Oksfordu miała do czynienia na przestrzeni wielu lat.

Plik otworzył się i przeczytali tytuł raportu: *Dochodzenie w sprawie połączonych morderstw Molly Wetherjpoon, Cynthii Page, Edwarda Makepeacea i Lucindy Gabling, dokonanych w Oksfordzie między 15 czerwca a 9 lipca 1851 roku*. Dokument miał sto dwadzieścia stron.

– Przyniosę kawę – zaproponowała Laura.

Philip poklepał ją po ramieniu i wskazał wiszącą na ścianie tabliczkę z napisem: „Jedzenie i picie w czytelnicy zabronione”.

– Aha – westchnęła. – W takim razie bierzmy się do roboty.

Philip przewinął dokument w dół i już pierwsza strona przykuła ich uwagę. Widniał na niej nagłówek: „Streszczenie sprawy”, a poniżej dopisek: „Ścisłe tajne. Nie kopiować. Nie rozpowszechniać”.

Laura poczuła, że włosy jeżą jej się na karku, i w jednej chwili zapomniała o kawie. Zaczęli czytać:

*Nosze śledztwo rozpoczęło się 15 czerwca Roku Pańskiego 1851 i zostało oficjalnie zamknięte 12 sierpnia tegoż roku.*

Dalej znajdowała się długa lista nazwisk, adresów i innych danych ofiar oraz krótka charakterystyka Patricka Fitzgeralda. Kolejne trzy strony zawierały uporządkowane chronologicznie opisy zbrodni.

– Dobry Boże – powiedziała Laura, gdy zagłębili się w treść. To nierzeczywiste...

Gdyby zignorować styl i pominąć nazwy miejscowości oraz kilka archaizmów, opisy, które czytali, mogłyby powstać w ciągu tego tygodnia i relacjonować niedawne morderstwa. W każdym przypadku ofiara zginęła od pchnięcia nożem lub rany ciętej gardła. Jeśli chodzi o parę kochanków, mężczyzna został zabity, a jego zwłoki porzucone, natomiast ciało dziewczyny okaleczono z chirurgiczną precyzją. Pierwszej ofierze, Molly Wetherspoon, usunięto nerki. Druga kobieta, Cynthia Page, straciła mózg, z kolei zwłoki Lucindy Gabling pozbawiono wątroby.

Były tu szczegóły, których nigdy nie ujawniono prasie. Na miejscu zbrodni za każdym razem znajdowano monetę: pierwsza była miedziana, druga srebrna, a trzecia cynowa. Laura poczuła dotyk lodowatych palców na grzbiecie.

Dowodzący śledztwem napisał:

*Przeprowadziwszy drobiazgowo i rozległe śledztwo w sprawie jem morderstw popełnionych w tym mieście między 15 czerwca a 9 lipca 1851 roku, doszliśmy do wniosku, że sprawcą tych zbrodni jest pan Patrick Fitzgerald z Dublina, robotnik, lat 31. Ten oficjalny wniosek oparty został na zeznaniach trzech świadków i potwierdzony następnie pisemnym przyznaniem się do winy, uzyskanym od pana Fitzgeralda dnia 16 lipca.*

*Pragnę jednakże dodać osobistą notatkę do oficjalnego tajnego sprawozdania z wyżej opisanych zdarzeń.*

*W moim przekonaniu (raz jeszcze podkreślam, że są to wyłącznie moje poglądy)*

*pan Fitzgerald nie jest odpowiedzialny za morderstwa, które badaliśmy.*

*Aż do chwili aresztowania pana Fitzgeralda prasa wytrwale starała się wpływać na opinię publiczną, prowokując do ocen skrajnych i emocjonalnych. Robiła to, znalazłszy kozia ofiarnego w żalosalnej osobie Nathaniela Millinera, młodzieńca, którego przedwcześnie oskarżono o popełnienie tych zbrodni.*

*Moim zdaniem, była to koncepcja z gruntu fałszywa. Jestem przekonany, że chłopiec, o którym mowa, w żaden sposób nie mógł się dopuścić tak straszliwych czynów. W każdym z trzech przypadków zabite kobiety pozbawiono z ekspercką precyzją wybranych organów, przy czym w zabiegach tych wyczuwa się wyraźny wpływ okultyzmu. Nathaniel Milliner jest imbecylem, któremu ledwie starcza rozumu, by mógł posługiwać się przy stole nożem i widelcem. W rzeczy samej, gdzie indziej lokuję moje podejrzenia co do sprawcy zbrodni. Wierze, że jest on doskonale wyszkolonym osobnikiem, być może lekarzem lub chirurgiem.*

*Po ostatnim morderstwie, gdy młody Nathaniel Milliner został zatrzymany na miejscu zbrodni opodal Forest Hill, w okolicy tej znajdował się jeszcze jeden człowiek, którego ja i moi funkcjonariusze doprowadziliśmy na posterunek w Oksfordzie, by poddać przesłuchaniu.*

*Osobnik ten jest wielce znaczącą osobą w społeczności akademickiej Oksfordu, toteż wszelkie czynności śledcze oraz przesłuchanie należało przeprowadzić z największą uczciwością i uwagą. Wprawdzie był on pomocny w naszych działaniach, ale mimo to pozwoliłem sobie sporządzić szczegółową notatkę z rozmowy, którą odbyliśmy, nim został zwolniony. Zawarłem w niej między innymi takie bezsporne fakty:*

*1) Na jego koszuli i marynarce znaleziono plamy uderzająco podobne do plam krwi.*

*2) Gdy dżentelmen ten został zatrzymany opodal miejsca zbrodni, zdradzał wielkie poruszenie i niepokój, a także wyraźnie zmieszał się na widok funkcjonariuszy policji.*

*3) Podczas przesłuchania na posterunku wyjawiał, że do Forest Hill przybył wprost z polowania na ziemiach lorda Willerbyego (bliskiego przyjaciela), które istotnie leżą w sąsiedztwie.*

*4) Lord Willerby potwierdził później to zeznanie w całej rozciągłości.*

*Moim zdaniem dżentelmen ów bezsprzecznie zachowywał się w sposób daleki od normy. Mimo to, gdy tylko uzyskaliśmy od niego obietnicę powrotu na przesłuchanie następnego dnia, został zwolniony. Nie powrócił jednak i nigdy nie poproszono go, by to uczynił. Zamiast tego 10 Lipca, dzień po ostatnim*

*morderstwie, zostałem wezwany na rozmowę prywatną ze starszym oficerem, który poinformował mnie, że wszelkie działania, których podmiotem był ów dżentelmen, mają natychmiast zostać przerwane. Dowiedziałem się też, że w spokoju należy pozostawić Nathaniela Millinera. Pięć dni później moi ludzie aresztowali pana Fitzgeralda i doprowadzili go na przesłuchanie.*

*Tu kończy się moja osobista notatka.*

*Podpisano: główny detektyw Jeffrey Howard.*

– Rany – powiedziała Laura.

– W rzeczy samej, rany.

– Zatem Patrick Fitzgerald był kozłem ofiarnym, a policja o tym wiedziała?

– Na to wygląda.

– Niesamowite.

– Nie dziw się tak, Lauro. Pamiętaj, że w 1851 roku policja istniała może... no właśnie, ile? Dwadzieścia lat? Mogę cię zapewnić, że jeszcze całkiem niedawno dochodziło do podobnych przekrętów.

– Ten był cholernie bezczelny – zauważyła Niven. – Ani chłopak, Nathaniel Milliner, ani ten robotnik, Patrick Fitzgerald, nie mieli nic wspólnego ze sprawą. Miał natomiast ów „dżentelmen”, ów „osobnik”, którego nie można wymienić z nazwiska.

– Zdumiewa mnie tylko to, że ten facet, główny detektyw Jeffrey Howard, mógł dołączyć coś takiego do raportu – powiedział Philip.

– Klasyczny dupochron.

– Owszem, ale dlaczego pozwolono zwykłemu śledczemu wskazać palcem winowajcę? Nawet jeśli zrobił to subtelnie?

– Musiał dodać tę notę znacznie później – zawyrokowała Laura i przewinęła skan w górę. – Patrz. Jest datowana na styczeń tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego. Może Howard zamierzał wystąpić ze służby? Albo przenoszono gdzieś archiwum i wiedział, że nikt już nie zajrzy do tych papierów, lecz może kiedyś...

– Tak, to musiało być to – zgodził się Philip. – Nie mieści mi się w głowie, by mógł się obnosić z takimi sugestiami w trakcie śledztwa czy tuż po jego zakończeniu. Wywaliliby go ze służby... albo skończyłby jeszcze gorzej.

– Ten facet, którego spotkali w pobliżu miejsca zbrodni w Forest Hill, musiał być kimś naprawdę ważnym, mieć nie byle jakie koneksje.

– Moim zdaniem jest dość oczywiste, kto to był.

– Ojciec Nathaniela?

– Nasz szacowny profesor medycyny John Milliner – rzekł Philip.

– Rzeczywiście, Howard powiedział to niemal wprost pod koniec notatki... Jak to napisał? – mruknęła, przewijając tekst. – O, mam: „... wszelkie działania, których podmiotem był ów dżentelmen, mają natychmiast zostać przerwane. Dowiedziałem się też, że w spokoju należy pozostawić Nathaniela Millinera”.

– Zatem ile już wiemy? – odezwał się Philip. – Mamy morderstwa niemal identyczne z niedawnymi, to znaczy podobne okaleczenia i monety, a przy tym sprawca był kryty. Nie ma wątpliwości, że to Milliner, ważna osobistość uniwersytetu, szczęśliwiec z wysoko postawionymi przyjaciółmi. Należy przy tym pamiętać, że w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym uczelnia była w Oksfordzie prawdziwą potęgą. Władze zrobiłyby wszystko, by ukryć prawdę, nie wyłączając chronienia swoich i wrobienia jakiegoś prostaka, którego uważały za śmiecia. Więc znaleźli biednego, notowanego już irlandzkiego robotnika. Fitzgerald nadawał się idealnie. Biedaczysko... Ale oczywiście najważniejsze będzie to, czy po wpisaniu dokładnych dat morderstw do programu na almanac.com będą one pasowały do usuniętych organów i do monet znalezionych na miejscach zbrodni.

– Będą, ale nie mamy przy sobie hasła, które zostawił Tom, więc ze sprawdzeniem trzeba poczekać, aż wrócimy do Oksfordu – odparła Laura. – A teraz zobaczmy, co Charlie ma nam do powiedzenia.

## Rozdział 25

Największy ruch panował w rejonie Kew. Matki w terenówkach z napędem na cztery koła, ogarnięte szkolną gorączką, bez skrpułów wpychały się na sąsiednie pasy, a przedstawiciele handlowi zwiększali jeszcze ryzyko, gnając na złamanie karku do central swych firm, by wcześniej odmeldować się z pracy.

Za kierownicą siedział tym razem Philip.

– Kurwa mać, czuję się, jakbym grał w *Space Invaders* – poskarżył się, gdy młoda kobieta w grand cherokee wyskoczyła nagle z bocznej uliczki. – Boże, jakie to typowe! – wściekł się, uderzając dłonią – w klakson. – Spójrz na tę jej cholerną tylną szybę: „Dziecko w aucie”!

Dotarli do Westway, zaczęli się poruszać w lepszym tempie, ale tylko do czasu, kiedy minęli Baker Street, gdzie znowu rozpoczynały się korki. Było prawie pół do piątej, gdy skręcali w Museum Street.

Philip włączył kierunkowskaz, by skrócić w prawo, ale gdy zaczął obracać kierownicę, z zaułka wyłoniła się karetka pogotowia. Wycofał pospiesznie, przepuszczając ambulans, który pomknął w stronę Tottenham Court Road. Kiedy wjechali w uliczkę, zobaczyli błyskające niebieskie światła.

Laura wyskoczyła z samochodu, nim Philip zdążył zaciągnąć ręczny hamulec. Przed witryną White Stag stał wóz policyjny, a tuż obok meduza niebieska furgonetka. Mężczyzna w białym foliowym kombinezonie siadał właśnie za kierownicą furgonetki; jego towarzysz już był w kabinie. Umundurowany policjant pilnował drzwi księgarni, a gdy Laura podbiegła do niego, ze środka wyszli jeszcze dwaj w cywilnych ubraniach.

– Co tu się stało? – krzyknęła, zatrzymawszy się przed nimi. Zerknęła w stronę otwartych drzwi i zobaczyła kałużę krwi na podłodze.

– Kim pani jest? – spytał jeden z funkcjonariuszy. Drugi obserwował Philipa, który podszedł do nich.

– Nazywam się Laura Niven. Właściciel księgarni, Charlie Tucker, jest moim starym przyjacielem.

– Philip Bainbridge. Charlie do nas dzwonił... – oznajmił fotograf.

W tym momencie niebieska furgonetka wolno ruszyła z miejsca.

– Sanders – rzekł policjant do swego kolegi – przekaz technikom, że wrócą do domu pięć minut później. Muszę przynajmniej wysłuchać, co mają do powiedzenia, zanim odjadą. – Jego głos był ochryply i zmęczony. Wyciągnął rękę. – Detektyw

Jones. Przykro mi, pani Niven, panie Bainbridge, ale muszę poinformować, że państwa przyjaciel zmarł dziś po południu.

– Ależ...

– Ależ? – podchwycił Jones.

– Wysłał do nas SMS... To znaczy do mnie... Nie wiem... Kiedy to było, Philipie? Tuz przed południem? – Laura nie umiała zapanować nad drżeniem głosu.

Philip skinął głową.

– Przyjechaliśmy tu mniej więcej godzinę temu – oświadczył Jones. – Ciało właściciela zostało zabrane dosłownie przed chwilą, gdy nasi koledzy z laboratorium zabezpieczyli ślady – wyjaśnił, wskazując skrzyżowanie z Museum Street, gdzie Laura i Philip omal nie zderzyli się z karetką. – To był wóz prywatnego pogotowia. Trzeba im przyznać, że przyjeżdżają bardzo szybko. Przepraszam państwa – dodał, widząc technika zbliżającego się od strony niebieskiej furgonetki.

Kątem oka Laura wciąż widziała tę czerwoną plamę na podłodze księgarni. Nagle ogarnęły ją mdłości. Odetchnęła głęboko kilka razy.

– Dobrze się czujesz? – spytał Philip. Sam wyglądał na równie zszokowanego.

– Chyba tak – odpowiedziała bez przekonania. – Ale to jakieś szaleństwo...

Jones wrócił do nich, kręcąc głową.

– Przepraszam – rzekł. – Wiem, że to dla państwa trudna chwila, ale byłbym wdzięczny, gdyby odpowiedzieli państwo na kilka pytań.

– Pytań? Chyba nie sądzi pan...

– Pani Niven, w tej chwili nie są państwo podejrzanymi, jeśli to miała pani na myśli. Pan Tucker zginął od kuli wystrzelonej z małej odległości. Chcielibyśmy dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Czy miał skłonności samobójcze? Zechcą państwo opowiedzieć o tym człowieku?

– Od kuli? Nie...

Philip chwycił Laurę pod ramię.

– Tak, oczywiście – oznajmił spokojnie. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.



## Rozdział 26

### Oksford, 12 sierpnia 1690, około północy

Wszyscy byli wyczerpani. Czterdziestoosmioletni Isaac Newton był starszy o prawie dwadzieścia lat od najstarszego z pozostałych. Landsdown miał trzydziestkę, a Fatio, śliczny Fatio, ledwie dwadzieścia sześć wiosen. Newton czuł się stary.

Znali oczywiście wszystkie niezbędne kody i procedury, mogli więc spokojnie, jedno po drugim, przejść Trzy Stadia Realizacji. Jednak nawet mądrość Starożytnych, zdaniem większości adeptów utracona w aleksandryjskim pożarze, nie była w stanie uchronić ich przed otepiającym upałem, jaki panował w trzystujardowym tunelu prowadzącym z piwnicy win pod budynkiem college u do miejsca przeznaczenia: tajemnego labiryntu, który na przestrzeni pięćdziesięciu jardów ciągnął się głęboko pod ziemią na północ od Bodleian Library, aż po fundamenty Sheldoman Theatre. Utrudnieniem był też fetor – woń stęchłej ziemi, wilgoci i rozkładających się szczątków.

Między drugą a trzecią próbą odpoczęli, pijąc wino wprost z butelki. Było dobre, ale zbyt ciepłe. Po krótkiej przerwie ruszyli w drogę, tej nocy bowiem nie mieli czasu do stracenia.

Po ostatniej, trzeciej próbie Landsdown oddał manuskrypt Newtonowi, a ten ukrył go bezpiecznie pod koszulą. Ów papier oraz rubinowa kula miały niewyobrażalną wartość. Newton męczył się niemal osiemnaście miesięcy, mm udało mu się odczytać zaszyfrowany tekst, który znalazł w książce Georgea Ripleya. Wykonał też większą kopię maleńkiego rysunku przedstawiającego labirynt, by łatwiej było go odczytać. Wiedział, że wkrótce jedno i drugie znowu będzie im potrzebne, ale do tego czasu wołał ukryć cenne papiery i kulę tuż przy sercu.

Landsdown trzymał się blisko, oświetlając drogę pochodnią, ich jedynym źródłem światła. Nagle korytarz otworzył się przed nimi. Newton zwiedził już niektóre tunele, gdy kilka miesięcy wcześniej szukał rubinowej kuli. Ponadto w zaciszu swego laboratorium w Cambridge przeszedł na mapie trasę, którą teraz wędrowali. Nosila nazwę „Ścieżka do Oświecenia”, przy czym słowa te zapisano w języku aramejskim, który znał, gdyż w młodości przez lata zgłębiał starożytne języki.

Gdy znaleźli się w przestronnym, okrągłym pomieszczeniu, w wątłym blasku światła ujrzeni kopulaste sklepienie i gładkie ściany. Szarą kamienną kopułę nad ich głowami znaczyły wilgotne zacieki i smugi krystalicznych osadów. O ile mogli wierzyć mapie, byli ponad dziewięćdziesiąt stóp pod Bodleian Library.

Ruszyli wolno wzdłuż ścian, a Newton słyszał, jak Landsdown szeptem liczy kroki. Po trzynastym zatrzymał się. Stojąc twarzą do muru, powtórzył czynności, które wykonywał już w piwnicy collegeu, kiedy to wodził dłońmi po kamieniu na wysokości pasa. Kilka chwil później znalazł to, czego szukał – kolejny metalowy pierścień, duplikat tego, który zabezpieczał wejście do tunelu.

Dziwne cienie pełzały po ich twarzach. Newton miał wrażenie, że oczy Landsdowna zmieniły się w czarne, niezgłębione tarcze, dziury w żywym ciele wybite muszkietowymi kulami. Wszyscy trzej pocili się intensywnie, a górna część kołnierza Landsdowna poszarzała już od wilgoci.

– Mistrzu – powiedział Landsdown i urwał, by odetchnąć głęboko – muszę cię prosić, żebyś przygotował się na to, co zobaczysz za tą ścianą. Fatio i ja byliśmy zajęci przygotowaniami, więc zdążyliśmy przywyknąć. Bądź silny, panie. – Z tymi słowy pociągnął pierścień i wolno otworzył się przed nimi fragment ściany.

Landsdown ruszył przodem i zaraz obrócił się, by umieścić pochodnię w obejmie na ścianie. Newton musiał pochylić głowę pod kamiennym portalem i chwilę posuwał się naprzód, wbijając wzrok w czarne podłoże.

Sala, w której się znajdowali, była nieco pomniejszszą kopią tej, którą przed momentem opuścili. Oświetlały ją wyłącznie świece, których blady, drżący blask dochodził z przeciwległego końca komnaty. Jednak nawet one wydawały się oślepiająco jasne po dwugodzinnej przeprawie niemal zupełnie ciemnymi korytarzami.

W pierwszej chwili Newton miał kłopoty ze skupieniem wzroku i zrozumieniem, na co właściwie patrzy. Choć bowiem z grubsza wiedział, czego się spodziewać, i choć studiował prastare pisma, starannie podążając za diagramami i instrukcjami Starożytnych, wciąż wydawało mu się, że ma przed sobą nierealną scenerię.

Pod daleką ścianą spoczywała wielka, złota konstrukcja w kształcie pentagramu. Po obu jej stronach stały wysokie na sześć stóp ozdobne świeczniki. Płonące w nich świece zdążyły się wypalić mniej więcej do połowy. Wosk utworzył nacieki na lichtarzach i kamiennej podłodze.

U szczytu złotej ramy umieszczono ludzki mózg. Na sąsiednim ramieniu pentagramu, po lewej stronie, spoczywało serce. Newton spojrzął w bok i na

prawym ramieniu zobaczył dwie nerki. Poniżej tkwił kolejny organ – wiedział, że to woreczek żółciowy – u podstawy konstrukcji zaś leżała wilgotna, lśniąca w migotliwym świetle wątroba. Poczł mocny zapach terpentyny, którą Fatio przez wiele godzin destylował z soczystych gałęzi terebintu.

Newton popatrzył najpierw na Landsdowna, a potem na Nicolasa Patio de Duilliera. Oddychał ciężko i pocił się obficie. Rany na jego policzku otworzyły się i teraz pot mieszał się z krwią, spływając po szyi ciemnoczerwonymi strumykami. Jego towarzysze nigdy nie widzieli, by oczy Mistrza płonęły tak demonicznym podnieceniem. Gdy przemówił, głos miał chrapliwy ze zmęczenia, ale jednocześnie emanujący pewnością.

– Jestem zadowolony – wysyczał. Po jego ustach błąkał się uśmiech pozbawiony śladu ciepła. – Coraz bardziej zadowolony.

## Rozdział 27

### Oksford, wieczór 28 marca

Siedząc samotnie w sali konferencyjnej posterunku policji w Oksfordzie i spoglądając na cyfrowy zegar ścienny, który wskazywał 22. 04, detektyw główny inspektor John Monroe doświadczał jednej z tych nielicznych chwil, w których ogarniała go niechęć do pracy. Właśnie dziś, w swój jedyny wolny wieczór w tygodniu, powinien wracać taksówką z restauracji Elizabeth w towarzystwie Imeldy, bystrej, interesującej i atrakcyjnej trzydziestoparoletniej fizjoterapeutki, którą poznał przed miesiącem. A tymczasem siedział w pracy, dojadając resztki nieszczególnie świeżej kanapki od Marksa i Spencera i czekając na trzech zdecydowanie nieatrakcyjnych kolegów.

Pociągnąwszy łyk mocnej, gorzkiej kawy, rzucił zgniecioną serwetkę na talerz, na którym leżały medojezdzony kawałek chleba i parę plasterków pomidora. Odsunął się z krzesłem od stołu, wstał i podszedł do białej tablicy wiszącej na ścianie. Widniała na mej tabela o czterech kolumnach. U góry każdej części przyczepiono taśmą kolekcję zdjęć, a poniżej znajdowały się notatki sporządzone różnokolorowymi markerami. Pierwszą kolumnę zatytułowano „Rachel Southgate”, drugą „Jessica Fullerton”, trzecią „Samantha Thurow/Simon Welding”. Czwartą otwierało słowo „Rożne”, zapisane dużymi, czerwonymi literami. Odczytał hasła, które umieścił tam tego wieczoru:

*Laura Niven/Philip Bainbridge*

*astrologia/alchemia ?*

*1851/profesor Milliner*

*monety*

*skóra/plastik*

Monroe usłyszał, że za jego plecami otworzyły się drzwi. Pierwszy wszedł Mark Langham z laboratorium, za nim zaś kroczył wysoki chudzielec w mundurze. Był pod sześćdziesiątkę, ale wyglądał młodziej. Teutońskiej urody – o krótkich, białych – włosach, bladobłękitnych oczach oraz wystających kościach policzkowych – emanował niewymuszonym autorytetem, który zdawał się mieć niewiele wspólnego z licznymi baretkami na piersi. John Monroe znał go dobrze.

Osiemnaście lat wcześniej, gdy rozpoczynał służbę, Pierś Candicott – wówczas detektyw inspektor – był jego pierwszym szefem.

– Monroe – powiedział komendant Candicott, wchodząc do sali. Miał głęboki i zaskakująco ciepły głos. – Cieszę się, że dotarłeś tu o tak nieludzkiej godzinie. Przykro mi, ale nie miałem wpływu na porę.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Nie ma problemu, sir – odparł Monroe.

– John, to jest Bruce Holloway, mój rzecznik prasowy. Całe dni spędza przy telefonie, biedaczysko, użerając się z dziennikarskimi szumowinami, ale muszę powiedzieć, że radzi sobie bardzo dobrze.

Holloway mógł być po trzydziestce. Był niewysoki – mierzył może pięć stóp i sześć cali – dobrze zbudowany i miał gęste, brązowe włosy. Z obojętną miną skinął głową w stronę Monroe i wymamrotał „Witam”, podając mu rękę.

Wrzuciwszy do kosza resztki swej kolacji, Monroe usiadł na krześle najbliższej tablicy. Candicott zajął miejsce u szczytu stołu, a Langham i Holloway naprzeciwko Monroe.

– No, to na czym stoimy, detektywie główny inspektorze? – zagaił Candicott.

– Moja ekipa pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę – odparł Monroe, wytrzymując intensywne spojrzenie komendanta. – Podążamy śladem dowodu znalezionej na miejscu drugiej zbrodni – dodał, spoglądając na Langhama. – Jak dotąd jednak jest to ślepa uliczka.

– Zatem żadnych konkretów?

– Ktokolwiek za tym stoi, wkrótce popełni błąd. Zawsze tak jest.

– Miejmy tylko nadzieję, że raczej wcześniej niż później, John.

– Nie da się ukryć, detektywie – dodał Holloway – że media są coraz bardziej nerwowe. Jeszcze jedno morderstwo i całe Wapping przeniesie się na Banbury Road.

Monroe nigdy w życiu nie poznał rzecznika prasowego, który przypadłby mu do gustu, a choć Holloway chciał być przede wszystkim gliną, dopiero potem zaś pośrednikiem w kontaktach policji z mediami, dla detektywa w zasadzie niczym nie różnił się od dziennikarzy i strasznych specjalistów od PR, których tak często spotykał w swej karierze.

– Uprzejmie dziękuję za informację – odparł Monroe jadowitym tonem. – Będę o tym pamiętał. – Obróciwszy się w stronę komendanta, rzekł: – Sir, w tej chwili nad sprawą pracuje dwudziestu funkcjonariuszy i czterdzieści trzy osoby z personelu pomocniczego. Sprawdzamy wszystkie ślady i szukamy wszelkich

możliwych powiązań między popełnionymi ostatnio zbrodniami. Cztery morderstwa w trzy dni, ostatnie siedem dni temu. Co prawda mieliśmy czas, by złapać oddech, ale mimo wszystko naszym przeciwnikiem jest bardzo dobrze przygotowany, bardzo... profesjonalny zabójca.

Candicott tylko ciężko skinął głową.

– Jeśli wolno, panie inspektorze... – rzekł Langham. Spoglądał na Monroe, jakby w sali nie było nikogo innego. – Mam nowinę z laboratorium – dodał, wręczając mu pojedynczą kartkę papieru. – W pokoju na piętrze domu nad rzeką, gdzie dokonano drugiego morderstwa, jeden z moich ludzi znalazł ślad krwi. Nie jest to ani krew ofiary, ani kogokolwiek z rodziny.

Monroe przestudiował uważnie wydruk z analizatora DNA.

– Niestety, takiej próbki nie ma w naszej bazie danych – dorzucił Langham.

– Ale to już coś, nieprawdaż? – zauważył Candicott, a jego zimne oczy rozbliły. – Rozumiem, że pański zespół wrócił na miejsce i bada w tej chwili cały dom, cal po calu?

– Naturalnie, sir.

– Dobra robota, Mark – powiedział Monroe, unosząc głowę znad wydruku. – Ale skoro nie ma go w bazie, to nie był notowany, nigdy nie pracował w instytucjach rządowych i nigdy nie służył w wojsku. Nie muszę ci chyba przypominać, że teraz potrzebujemy innego tropu... jakiegokolwiek tropu.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Zanim Monroe zdążył się odezwać, do sali wszedł młody funkcjonariusz.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzekł, zwracając się wyłącznie do Monroe. – Pomyślałem, że to ważne i nie może czekać...

– Więc wyrzuć to z siebie, Greene. Co nie może czekać?

– To. Od dwóch dni analizowałem bazy danych i... dostałem też pozwolenie władz uniwersytetu na wgląd do ich systemu. Nie było łatwo, ale myślę, że się opłaciło. – Podał detektywowi dwie kartki gęstego wydruku. – To dane z Wydziału Psychologii – wyjaśnił. – Lista czterdziestu siedmiu studentek, które wzięły udział w czymś, co władze wydziału nazwały „Dniem próby”. Była to seria testów psychologicznych wykonana tydzień przed rozpoczęciem roku akademickiego, czyli pod koniec września. Na liście widnieją nazwiska wszystkich trzech zamordowanych kobiet.

– Idąc do wyjścia, John Monroe minął pokój jednego z najlepszych swoich ludzi, inspektora Joshuy Rogersa, który właśnie stał przy drzwiach z jakąś kobietą.

– Dziękuję, panno Ingham – rzekł Rogers. – Będziemy w kontakcie. Jeden z

moich ludzi wypuści panią. Rozumiem, że ma pani jak wrócić?

Dziewczyna skinęła głową i pchnęła podwójne drzwi, kierując się w stronę schodów.

Monroe uniósł pytająco brwi.

– To Marianne Ingham, studentka St Johns – wyjaśnił inspektor. – Ktoś podrzucił to wspaniałe dzieło sztuki do jej skrzynki w college u.

Monroe skrzywił się na widok wydruku.

– Wie, kto to zrobił? – zapytał.

– Nie jest pewna, za to bardzo nerwowa. Minął tydzień, zanim dotarła tu z tym obrazkiem. Ale podejrzewa kogoś. To student z jej roku, niejaki Russell Cunningham.

– Dobrze. Sprawdź go i daj mi znać, czego się dowiedziałaś. Jadę do domu.

Detektyw główny inspektor Monroe hamował właśnie na podjeździe przed swoim domem, gdy rozległ się sygnał telefonu.

– Pomyślałem, że będzie pan chciał od razu poznać wyniki rzekł Rogers.

Monroe wyłączył silnik i wyjął telefon z uchwytu. Na ekranie ukazało się zdjęcie zaskakująco przystojnego młodzieńca o długich, kręconych, jasnych włosach, cienkich brwiach i delikatnych ustach.

– Był notowany, sir – oświadczył Rogers.

Zdjęcie zniknęło, a jego miejsce zajęła wolno przesuwająca się strona tekstu.

– Bogaty smarkacz. Tatuś jest właścicielem sieci hoteli. Russell Cunningham został wyrzucony z Downside, gdy miał szesnaście lat. Nie ustaliłem dotąd, z jakiej przyczyny. Rodzinka postarała się, żeby szkoła zachowała dyskrecję. Ojciec najprawdopodobniej pomógł mu się dostać do Oksfordu: Cunningham Library w Magdalen ukończono w zeszłym roku, sześć miesięcy przed przyjazdem chłopaka. Jest coś jeszcze: dwie skargi o molestowanie seksualne, złożone przez pracownice jednego z hoteli rodziny w Londynie, w którym Russell sobie dorabiał. Za pierwszym razem miał siedemnaście lat, druga skarga wpłynęła w zeszłym roku. Zarzutów nie było, sprawy umorzono. Dziewczyny już tam nie pracują.

Na ekranie widniały dokładne daty, miejsca i nazwiska.

– Dobra robota, Josh – powiedział Monroe. – Czy Candicott i ten pajac z biura prasowego jeszcze tam są?

– Nie, wyszli zaraz po panu.

– I dobrze. Na razie nie przekazuj dalej tej informacji. Spotkamy się jutro z rana na Wydziale Psychologii przy South Parks Road. Aha, i poszukaj Greenea, jeśli

wciąż tam jest. Niech cię wprowadzi w to, co wykrył.



## Rozdział 28

Oxford, 29 marca, 9 rano

Jadąc South Parks Road, John Monroe przypatrywał się budynkowi Wydziału Psychologu i rozmyślał o tym, jak paskudny to gmach.

Wstał przed świtem, by raz jeszcze przebrnąć przez detale sprawy. Po raz setny otworzył w domowym komputerze pełną dokumentację śledztwa, ze wszystkimi jego wątkami. Cztery morderstwa, niemal na pewno ten sam zabójca, niemal na pewno działający sam, niemal na pewno mężczyzna. A co ustalili do tej pory? Mieli próbkę DNA bez odpowiednika w żadnej bazie danych. Mieli też monety, wskazujące – podobnie jak usunięte organy wewnętrzne – na rytualny charakter zbrodni. Laura Niven i Philip Bainbridge byli pewni, że sprawa ma okultystyczne tło. I jeszcze te morderstwa z 1851 roku... Musiały mieć związek z niedawnymi wypadkami.

Co właściwie wiedział o tych zbrodniach sprzed lat? Wrócił do dokumentacji, z którą od tygodnia spędzał prawie każdą wolną chwilę. Trzy dziewczęta i jeden student zostali zamordowani w roku Wielkiej Wystawy. Skazano irlandzkiego robotnika, ale historycy przestępczości wiedzieli dobrze, że zamieszany w tę sprawę był profesor Milliner, który interesował się okultyzmem, który miał związki z grupą uprawiającą czarną magię i którego skutecznie ochroniły władze uniwersytetu. Nie minął rok od ostatniego morderstwa, gdy Milliner objął profesurę w Turynie i rodzina Millinerów na zawsze zniknęła z oksfordzkiej sceny. A o ofiarach niedawnych morderstw wiadomo było już, że na krótko przed rozpoczęciem roku akademickiego wzięły udział w testach na Wydziale Psychologii.

Monroe skręcił na parking. Zobaczył Rogersa, który zaparkował opodal głównej bramy budynku i właśnie wysiadał z samochodu. Kiedy jednak ruszył kierownicą, by zatrzymać wóz tuż obok podwładnego, z nieco dalszego stanowiska wystrzelił jak rakietę sportowy morgan. Detektyw spojrzał na kierowcę, który nie zwracał uwagi na nic poza drogą. Nagle uświadomił sobie, że zna tę twarz.

– Zanotowałem numery – powiedział Rogers, gdy Monroe podszedł do niego.

– To był Cunningham. Jestem pewien.

Rogers wyglądał na zaskoczonego.

– Sprawdzę te tablice.

– Sprawdź – polecił Monroe i ruszył w stronę bramy.

W przerwie świątecznej w gmachu panował względny spokój. Pośrodku holu stał stół otoczony paroma krzesłami, a wzdłuż ścian – rzędy szafek i skrzynek. Obok nich wisiała wielka tablica ogłoszeń, pokryta plakatami reklamującymi koncerty i wydarzenia sportowe. Przypięto tam też stary egzemplarz „The Daily Information”, gazetki docierającej do wszystkich zakątków miasta, a zachwalającej imprezy rozrywkowe, wystawy i wyprzedaże. Monroe podszedł do kontuaru, za którym otyła kobieta w kwiecistej sukni gapiała się na komputerowy monitor. Dał się ignorować dwadzieścia sekund, nim energicznie zabębnił palcami o blat. Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Detektyw główny inspektor Monroe, Policja Doliny Tamizy – przedstawił się, pokazując odznakę. – Chciałbym się widzieć z doktorem Rankinem... Jeśli to nie problem.

Przemówienie Monroe nie zrobiło na kobiecie najmniejszego wrażenia.

– C4. Tam jest winda. Ale raczej go nie ma...

– Owszem, jestem, Margaret.

Detektyw odwrócił się i zobaczył wysokiego, kościstego mężczyznę, który uśmiechnął się nieznacznie i wyciągnął rękę.

– Arthur Rankin – powiedział. Uścisnął dłoń Monroe i pozdrowił Rogersa skinieniem głowy. – Muszą panowie wybaczyć Margaret – dodał, prowadząc ich w stronę windy. – Po pięciu latach znajomości można do niej przywyknąć.

Weszli do kabiny. Minęła dłuższa chwila, zanim Monroe uświadomił sobie, że przykrą woń wilgotnej ziemi, którą poczuł, roztacza sam Rankin.

– Zamierzałem przyjechać wcześniej – oświadczył doktor, gdy winda zatrzymała się na czwartym piętrze – ale cholerny samochód nie chciał zapalić, więc poszedłem przez park. Było nawet miło, bo dla odmiany nie padał dziś deszcz.

Gabinet Rankina był ciasnym, wytapetowanym kokonem w odcieniach brązu, szarości i bieli. Z pojedynczego, wąskiego okna rozciągał się widok na betonowy dziedziniec. Na horyzoncie nie było nawet śladu słynnych baśniowych wież uniwersyteckiego miasta. Naukowiec zdjął płaszcz i uprzątnął książki i papiery z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem.

– Proszę spocząć – powiedział. – Przepraszam za bałagan. Jakoś nigdy nie udaje mi się tu utrzymać porządku...

– Nie szkodzi, doktorze. Nie przyszliśmy z oficjalną wizytą. Chcemy tylko zadać panu kilka pytań – odparł Monroe, siadając na krześle.

– W czym mogę pomóc?

– Interesują nas testy psychologiczne przeprowadzone na czterdziestu siedmiu studentkach we wrześniu ubiegłego roku. Opowie nam pan o nich?

Przez moment Rankin sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Miał wysokie czoło, a kiedy je marszczył, wyglądał, jakby nosił na głowie opaskę z robaków. Po chwili rozjaśnił się.

– Ach, ma pan na myśli testy Juliusa Spensera.

Monroe nie odpowiedział.

Rankin zakaszłał i zabrał się do przeglądania papierów leżących na biurku. Następnie wstał wolno i podszedł do zajmujących całą ścianę półek. Przykucnął, uniósł wielką stertę teczek i luźnych kartek, po czym rzucił wszystko na biurko. Polizał palec i zaczął szukać, by moment później wyjąć jeden z folderów.

– Tak, wiedziałem, że gdzieś tu musi być – rzekł, podając detektywowi zieloną teczkę. – Spenser był bystrym facetem, miał mnóstwo świetnych pomysłów.

– Był? – spytał Rogers.

– Tak. Opuścił nas przed Bożym Narodzeniem. Dostał bardzo lukratywną posadkę w Bostonie, na MIT, jeśli się nie mylę.

– Czym dokładnie się zajmował? – spytał Monroe.

– Badał iloraz inteligencji – odparł Rankin, spoglądając przez okno na szary dziedziniec. – Nie moja działka – dodał. – Jak na mój gust, mało ciekawa.

– Na czym polegały te testy? – spytał Monroe, szybko przeglądając papiery.

– Spenser miał własny system, dość nieortodoksyjny. Wierzył, że IQ jest bezpośrednio uzależnione od fizycznego połączenia między dwiema półkulami mózgu, zwanego ciałem modzelowatym. Teoria podziału mózgu jest panu znana?

Monroe skinął głową.

– Mniej więcej. Jestem laikiem.

– W latach sześćdziesiątych badania zaczęły wykazywać, że półkule mózgu bardzo się różnią. Lewa odpowiada za czynności analityczne, prawa za wyobraźnię, ma bardziej „artystyczny” charakter. Roger Sperry dostał Nobla za tę teorię.

– A Julius Spenser ją rozwijał?

– Był uczniem Sperry’ego. W latach osiemdziesiątych studiował u niego na Caltech.

– Ale co dokładnie robił doktor Spenser? – zapytał Rogers. – W jaki sposób przeprowadzał testy?

– Tu znajdują panowie wszystko – odparł Rankin, ruchem głowy wskazując

dokumenty, które rozłożyli na kolanach. – Miał grupę mniej więcej pięćdziesięciu, dokładnie chyba czterdziestu siedmiu osób. W tej fazie były to wyłącznie młode kobiety.

– W tej fazie?

– Miesiąc wcześniej przeprowadzał podobne badania na grupie młodych mężczyzn. Dziewczęta spędziły większość dnia na pisemnych testach na inteligencję. Następnie były próby zręcznościowe, badanie reakcji i refleksu, eksperymenty z orientacji przestrzennej. Do tego poddano je dokładnym badaniom medycznym i tomografii mózgu.

– Badaniom medycznym? – powtórzył Monroe, mrużąc oczy.

– Tak, to był kluczowy element w tezie Spensera. Jego zdaniem IQ jest bezpośrednio uzależnione od parametrów fizycznych.

– Jakże dokładnie były to badania?

– Dobrze pytanie. Nie było mnie tu wtedy. Nie było mnie nawet w Oksfordzie, ale oczywiście Spenser musiał przedstawić program badań miesiąc czy dwa wcześniej, więc możemy sprawdzić.

Monroe podał mu teczkę.

– Tak... Tak, mam – powiedział Rankin po kilku chwilach, oddając folder detektywowi. – Komputerowa tomografia osiowa całego ciała. Najpierw dziewczęta poddano testom psychologicznym tutaj, a następnie medycznym w szpitalu Johna Radcliffea.

Nie było to tanie, ale Spenser miał talent do pozyskiwania grantów.

Monroe jeszcze przez moment w milczeniu przeglądał materiały, podając Rogersowi po jednej kartce.

– Domyślam się, że Spenser nie pracował sam?

Psycholog pokręcił głową.

– O, nie – odparł. – Oczywiście zawsze był na miejscu, jako dobry nadzorca i świetny kierownik zespołu. Miał jednak troje asystentów do pomocy przy testach i trzy lekarki z doktoratami w szpitalu, które przeprowadziły... hmm, badania osobiste – wyjaśnił, posyłając policjantom krzywy uśmiech. – Analizę wyników wykonał młody Bridges.

– Bridges?

– Malcolm, Malcolm Bridges. Moim zdaniem materiał na świetnego psychologa.

– Ten Malcolm Bridges jest tu zatrudniony?

– Tak, ale cały wolny czas spędza w Bodleian Library z profesorem

Lightmanem, głównym bibliotekarzem. To naprawdę pracowity chłopak. Słowo daję, nie wiem, jak on sobie z tym wszystkim radzi.

– Jest tu w tej chwili?

– Powinien być. Niech pomyślę... Jest piątek. – Rankin spojrzął na zegarek. – Zadzwoń. – Podniósł słuchawkę i wcisnął trzy klawisze. – Nie, wygląda na to, że jeszcze nie przyszedł.

– Nie ma sprawy – powiedział Monroe, wstając. – Skontaktujemy się z nim. Będę wdzięczny, jeśli pozwoli nam pan zabrać tę teczkę, doktorze Rankin. Będziemy jej dobrze pilnować i skopiujemy zawartość.

– Tak, tak, oczywiście – rzekł szybko psycholog. – Czy mógłbym coś jeszcze...?

– Szczerze mówiąc, tak, doktorze Rankin. Jest jeszcze jedna sprawa. Ma pan może do czynienia z młodzieńcem nazwiskiem Cunningham? Russell Cunningham?

Rankin spojrzął na niego pustym wzrokiem.

– Widziałem go tu wcześniej. Wyjeżdżał z parkingu sportowym samochodem.

– Cunningham? A, tak, tak. Nie mogę powiedzieć, że go znam. Jest na pierwszym roku. Widział go pan w samochodzie? Ha, któż mógłby go nie zauważyć! – zaśmiał się.

– Zapewne słyszał pan o jego ojcu? – wtrącił Rogers.

– Owszem, owszem... To ten Bibliotekarz, słynny filantrop. A tak przy okazji, Bridges jest opiekunem Russella. Tylko co on ma wspólnego z tą sprawą?

Monroe wyciągnął rękę, ignorując pytanie Rankina.

– Bardzo dziękuję, że poświęcił nam pan czas, doktorze. I za to też – dorzucił, poklepując teczkę, którą przyciskał do piersi.

Monroe i Rogers wyszli na słoneczny dziedziniec. Mieli przed sobą parking, a za mm boisko do rugby, po którym biegała grupa zawodników w bluzach z kapturem.

– Chcę się zobaczyć z Malcolmem Bridgesem na posterunku, i to tak szybko, jak to możliwe – powiedział Monroe do Rogersa. – Wracaj tam i odciągnij Greenea od roboty, czymkolwiek się zajmuje. Niech weźmie listę dziewczyn, ustali miejsca pobytu wszystkich i wezwie je na przesłuchanie, jasne?

Rogers skinął głową.

– Ja postaram się o nakaz. Czas już złożyć wizytę panu Russellowi Cunninghamowi, nie sądzisz?



## Rozdział 29

Oksford, 29 marca, 11. 05

W czasach opisanych przez Evelynę Waughę, gdy Sebastian Flyte i jego miś Aloysius przybyli do Oksfordu, postanowili zamieszkać w apartamencie na parterze Tom Quad w Christchurch, gdzie Jego Lordowska Mość kazał pomalować ściany na bladobłękitny kolor i ozdobić je delikatnymi chińskimi litografiami. Niemal wiek później kilkoro studentów ze zgoła odmiennych sfer (lecz dysponujących podobnymi kwotami) wybrało większą niezależność od uniwersytetu. Rodzice kupili im więc apartamenty warte od dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów w górę, z widokiem na Cherwell i w niewielkiej odległości od atrakcji centrum Oksfordu.

Do wyposażenia tych uroczych gniazdek dla yuppies należały między innymi odkurzacze centralne (dzięki nim życie służby staje się łatwiejsze) oraz podziemne garaże na trzy samochody. W takim właśnie otoczeniu Russell Cunningham spędzał pierwszy rok nauki na uniwersytecie. Uważał, że to doskonałe miejsce do zabawy i że zdecydowanie pasuje do image u jedyne go syna jednego z najbogatszych przedsiębiorców Wielkiej Brytanii, Nigela Cunninghama, który w środowisku oksfordzkich snobów (z otwartymi ramionami przyjmujących jego wielomilionowe darowizny) nazywany był „Bibliotekarzem”. Przydomek ów wypowiedziano zawsze z odpowiednią dozą sarkazmu, bo choć Cunningham sfinansował niedawno budowę i wyposażenie największej biblioteki uniwersytetu, każdy, kto był kimś w Oksfordzie, uważał, że jedynymi książkami w domu Nigela Cunninghama są kolorowanki.

Monroe opuszczał właśnie posterunek, gdy inspektor Rogers zadzwonił z samochodu zaparkowanego przed budynkiem, w którym znajdował się apartament Cunninghama.

– Chyba będzie lepiej, jeśli pan tu przyjedzie. Pomyśli pan, że to pańskie urodziny i Boże Narodzenie za jednym zamachem.

Pięć minut później Monroe zatrzymał wóz przed ekskluzywnym apartamentowcem opodal Thames Street, naprzeciwko pubu The Head of the River. Gdy wysiadał, Rogers wyszedł mu na spotkanie.

– Niech pan tylko spojrzy – powiedział gorzko. – Ja nie mogę nawet marzyć o czymś takim z pensją inspektora, a ten zasmarkany osiemnastolatek zwozi tu swoje

dziewczyny pieprzonym morganiem.

Detektyw wyszczerzył zęby.

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie zgorzkniały typ, Josh.

– Cóż – odparł Rogers, kręcąc głową. – Tak sobie myślę, że moglibyśmy ściągnąć gnojka z piedestału.

Monroe popatrzył na niego spod przymkniętych powiek.

– Prowadź – rzucił i chwilę później szedł już za inspektorem w stronę wejścia do budynku.

Dwaj umundurowani funkcjonariusze czekali na nich w korytarzu przed apartamentem Cunninghama. Monroe i Rogers przemierzili wypolerowaną połać betonowej podłogi i weszli do przestronnego salonu, w którym z wielkich głośników marki Bang and Olufsen sączyła się muzyka Oscara Petersona. Ściana naprzeciwko drzwi była szklaną taflą, za którą widać było Cherwell i piaskowcowe iglice Oksfordu. Na pierwszym planie dwaj detektywi zobaczyli skapaną w słońcu wieżę katedry Christchurch. Z jakiegoś powodu Monroe przypomniał sobie opowiadkę na temat miasta, którą usłyszał tu jeszcze w studenckich czasach. Podobno piloci szybowców i baloniarze uwielbiali latać nad Oksfordem nie tylko z powodu pięknych widoków, ale także doskonałych prądów wznoszących. Złośliwi twierdzili, że masy gorącego powietrza wzbijają się nad nadętymi profesorami uniwersytetu, ale w rzeczywistości przyczyną był wszechobecny piaskowiec, który dobrze odbijał ciepło słonecznych promieni.

Russell Cunningham siedział przy oknie w czarnym, obitym skórą fotelu od Georgea Nelsona. Tuż obok stał policjant. Wysoki, jasnowłosy i przystojny, młody Cunningham był nawet ładnie opalony; jak się potem okazało, dwa tygodnie wcześniej odbył krótki, acz nadzwyczaj przyjemny wypad na narty do Andory. Ubrany w dżinsy od znanego projektanta i kaszmirowy sweter, wyglądał dokładnie jak wypieszczony syn miliardera. Wstał, gdy Monroe wszedł do salonu, ale detektyw zignorował go i śladem Rogersa podążył ku wewnętrznemu korytarzowi.

Jedne z trojga drzwi, które tam zobaczył, były uchylone. Wszedł za Rogersem do małego pokoiku bez okien, oświetlonego samotną czerwoną żarówką pod sufitem. Na ścianach wisiały półki zastawione płytami kompaktowymi. Naprzeciwko drzwi zaś stały dwa płaskie, ciekłokrystaliczne monitory, a poniżej nieduża konsola. Ściana nad monitorami wypełniona była pornograficznymi zdjęciami, ponurymi kolażami przedstawiającymi związane, okaleczone i oszpecone młode kobiety.

Monroe rozejrzał się bez śladu emocji na twarzy. Rogers tymczasem pochylił



się nad konsolą.

– Nasz chłopczyzna nieźle się tu bawił – stwierdził drwiąco.

– Co to właściwie jest?

– Supernowoczesna cyberpornografia – odparł inspektor. – Poustawiał kamerki internetowe w całej okolicy: w pokojach studentek, pod prysznicami w siłowni, w damskich toaletach, w domach studentów we wschodnim Oksfordzie. Starannie to wszystko dokumentował – dodał, ruchem ręki wskazując rzędy płyt na półkach. – Zdaje się, że trafiliśmy w dziesiątkę.

– Może masz rację – rzekł Monroe. – Zabieramy go. Rzeczy zostają. Niech paru techników przejrzy to, co tu zgromadził.

Wrócił do salonu, w pośpiechu analizując sytuację.

– Może zechciałby pan wytłumaczyć mi, o co w tym wszystkim chodzi? – odezwał się Cunningham. W jego głosie słychać było ślad amerykańskiego akcentu.

– Miałem nadzieję, że pan to zrobi – odparł Monroe.

Młodzieniec spuścił głowę, ale po chwili znowu spojrzął z wyższością na oficera.

– Detektywie? Admirale... ? – rzucił pytająco, wykonując w powietrzu nieokreślony gest.

– Jestem detektyw główny inspektor Monroe.

– W takim razie, detektywie Monroe, rozumiem, że macie nakaz? Bo ten drugi...

– Inspektor Rogers.

– Właśnie. Machnął mi tylko przed nosem jakimś papierem, zanim władował się do mojego mieszkania.

– O, tak, panie Cunningham. Mamy nakaz. Poza tym, jest pan aresztowany. Taylor – warknął Monroe do mundurowego, który pilnował chłopaka. – Zabierz go.

Gdy Monroe odczytał Russellowi Cunninghamowi jego prawa, ten zaśmiał się nieprzekonująco.

– Popelnia pan błąd, detektywie. Wielki błąd. Zakładam, że wie pan, kim jest mój ojciec.

– Wiem doskonale, panie Cunningham, proszę się nie martwić. Będę za dziesięć minut, Taylor – rzekł Monroe do konstabla. – Dopilnuj, żeby zapewniono panu Cunninghamowi właściwą opiekę – dodał i powrócił na korytarz.



## Rozdział 30

**Croydon, 29 marca, 14. 00**

Pogrzeb Charliego Tuckera był smutną, szarą uroczystością, której towarzyszyły deszcz i ponura atmosfera przedmieścia. Nabożeństwo odprawiono w betonowej kaplicy wybudowanej na początku lat osiemdziesiątych kilka mil za Croydon, na południe od Londynu. Pojawiło się może dziesięć osób. Wszyscy biegli do kaplicy po lśniącym asfalcie parkingu, osłaniając głowy płaszczami i parasolkami. W środku czuć było zapach mokrych ubrań zmieszany z wonią wędnących lilii.

Przez jakiś czas po odkryciu zwłok Charliego policja zakładała śmierć samobójczą, lecz wkrótce ślady znalezione przez ekspertów dowiodły niezbiecie udziału osób trzecich, a to zmusiło śledczych do wszczęcia śledztwa w sprawie morderstwa.

Laura i Philip przyjechali ostatni i usiedli razem w najdalszym rzędzie, w milczeniu i zamyśleniu słuchając muzyki organowej z taśmy. Bainbridge prawie nie znał Charliego – księgarz był dlań tylko jeszcze jedną twarzą na ulicach Oksfordu, przyjacielem Laury. Spotykali się na imprezach i od czasu do czasu spierali o politykę. Philip uważał się za zwolennika lewicy – w latach osiemdziesiątych była to obowiązkowa postawa wśród studentów – ale Charlie, jeśli pamięć go nie zawodziła, był wprost zaciekle marksistą.

Laura zdążyła już się oswoić z myślą, że Charlie nie żyje. Niespełna tydzień wcześniej, gdy tak brutalnie spadła na nią wiadomość o jego śmierci, była w głębokim szoku. Nie dlatego, że Charlie był jej szczególnie bliski. Szok wynikał z faktu, że był częścią jej młodości. Być może dlatego, że w ostatnich dwudziestu latach prawie się nie widywali, w wyobraźni łączyła jego osobę ze szczęśliwymi czasami, z college'em, z wolnością, z końcem dzieciństwa – z tym okresem życia, w którym świat wydawał jej się bardziej niewinny. Teraz, gdy Charlie odszedł, czuła, że straciła też część siebie.

Później dopiero ogarnęło ją przerażenie, które towarzyszyło jej aż do tej chwili. Śmierć, rozlew krwi i przemoc pojawiły się niebezpiecznie blisko niej. Nie mogła pozbyć się myśli, że śmierć Charliego musi mieć jakiś związek z prywatnym śledztwem, które prowadziła.

Od powrotu do Oksfordu w dniu śmierci Charliego zanotowali z Philipem

niewielki, ale cenny postęp. Potwierdzili, że morderstwa popełnione w 1851 roku towarzyszyły wejściu odpowiednich ciał niebieskich w znak Raka i że na dwudziestego lipca owego roku przypadła koniunkcja pięciu ciał. Tamte zbrodnie różniło od niedawnych jedynie to, że seria nie rozpoczęła się w momencie wiosennego ekwinokcjum, a to dlatego, że koniunkcja planet nastąpiła o innej porze roku. Laura wiedziała, że wszystko to ma znaczenie i że jej teoria w zasadzie nie budzi wątpliwości, lecz mimo to czuła, że poszukiwania mordercy tracą impet, podczas gdy kolejna zbrodnia miała się wydarzyć już następnego wieczoru, trzydziestego marca.

Nabożeństwo było bardzo krótkie. Elektroniczne organy odegrały cicho dwa hymny, a wierni zdobyli się jedynie na ledwie słyszalne mamrotanie tekstu. Gdy z głośników pod sufitem wybrzmiały ostatnie dźwięki drugiej pieśni, żałobnicy ostrożnie chwycili trumnę z ciałem Charliego i wynieśli ją do czekającego na zewnątrz samochodu. Reszta wstała z ławek i podryfowała w stronę wyjścia.

Karawan ruszył wolno, a za nim pomaszerowali zgromadzeni. Minęli ogród pamięci i krętą alejką dotarli do miejsca, w którym grobów było jeszcze niewiele, a ziemia nosiła ślady niedawnego kopania.

Gdy w drodze powrotnej Laura i Philip minęli kaplicę i niemal dotarli już do samochodu, usłyszeli za sobą szybkie kroki. Odwróciwszy się, zobaczyli młodą kobietę w długiej, białej sukni. Nieznajoma zwolniła i zatrzymała się. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, była szczupła i niska, a jej ciemnokasztanowe włosy opadały luźno aż do pasa. Pociągłą twarz zdobiły wielkie, błękitne oczy, cienkie brwi i kształtny nos. Laura widziała, że młoda kobieta płakała jeszcze przed chwilą – wprawdzie nie nosiła makijażu, ale jej oczy były przekrwione, a skóra pod nimi zaczerwieniona.

– Laura i Philip, prawda? – spytała.

– Tak – odparła Niven.

– Ja... byłam dziewczyną Charliego. Mam na imię Sabrina. – Wyciągnęła rękę, rozglądając się przy tym, jakby się chciała upewnić, że nikt nie patrzy.

Para w średnim wieku, którą pamiętali z nabożeństwa, minęła ich w drodze do samochodu. Sabrina odczekała, aż się oddalą.

– Proszono mnie, żebym wam to dała – szepnęła, wciskając w dłoń Laury mały, chłodny, metalowy przedmiot.

Laura zerknęła w dół i zobaczyła klucz.

– Schowaj go do kieszeni – powiedziała Sabrina cicho, lecz stanowczo.

– Kto... ?

– Charlie, oczywiście – odparła dziewczyna. – Wiedział, że jest w opałach. Proszę, posłuchajcie mnie – dodała szeptem. – Charlie szczególnie upodobał sobie biografię Newtona. Znajdziecie ją w jego mieszkaniu przy Chepstow Street 2 w New Cross. Musicie tam pojechać jeszcze dziś, bo jutro rano zjawi się jego – brat, żeby zapłacić czynsz i posortować rzeczy. Na kluczu jest numer. A teraz muszę już iść. Powodzenia. – To powiedziawszy, Sabrina obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Laura i Philip byli tak zaskoczeni, że pozwolili jej odejść. Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Laura chciała pobiec za nią, ale Philip nie pozwolił jej na to.

– Myślę, że powinniśmy zostawić ją w spokoju.

Charlie mieszkał w maleńkim, dwupokojowym lokum przy wąskiej uliczce odchodzącej od głównej drogi, która przecinała ruchliwą dzielnicę New Cross na południu Londynu. Było to jedno z sześciu mieszkań składających się zapewne niegdyś na duży apartament. Laura i Philip pojechali tam wprost z pogrzebu i zaparkowali ledwie kilka bram od domu Charliego. Marnie oświetloną klatką schodową weszli na drugie piętro.

Mieszkanie nie wyglądało aż tak źle, jak Laura się spodziewała. Charlie zrobił, co mógł, by ukryć sypiące się tynki i ogólną ruinę pomieszczeń za pomocą odrobiny farby i gustownie dobranych, oprawionych reprodukcji. Meble były tanie i stare. Zapewne pochodziły z jego poprzedniego mieszkania, ale – widać było, że zainwestował nieco w dywany i poduszki, poprawiając nieznacznie wygląd wnętrza. Siady kobiecej ręki były doskonale widoczne; rozglądając się po pokojach, Laura nie miała wątpliwości, że Sabrina starała się utrzymać tu porządek. W jednym końcu mieszkania znajdowała się po spartańsku urządzona kuchnia, w drugim – kąt z telewizorem i regałami na książki. Laura zajrzała też do ciasnej sypialni, za którą była jeszcze mikroskopijna łazienka. W całym mieszkaniu unosiła się ostra woń papierosów i alkoholu.

– Boże, czuję się jak intruz – powiedziała cicho Laura.

– Bo chyba jesteśmy intruzami – odparł Philip z uśmiechem.

– Strach mnie obleciał.

– Daj spokój. Sabrina wyraziła się jasno: Charlie chciał, żebyśmy tu przyszli. Nie musisz czuć się winna. On ci ufał.

– Tak, i zobacz, jak skończył po spotkaniu ze mną – odrzekła Laura i usiadła ciężko na obrotowym krześle przy niedużym biurku. Obok komputera leżała sterta

papierów oraz popielniczka pełna niedopałków. – Biografia Newtona – powiedziała i skinęła głową w stronę regału obok telewizora. – Spróbujesz tam? Drugi jest w sypialni.

Philip znalazł ją niemal natychmiast. Usiedli w kuchennym aneksie przy małym, drewnianym stoliku, położywszy między sobą otwartą książkę *Isaac Newton. Biografia maga* autorstwa Liama Ethwichea.

– Charlie szczególnie upodobał sobie tę książkę – stwierdziła Laura, przywołując słowa Sabriny. – Na kluczu jest numer – dodała po chwili.

Widniał na nim numer 112.

– Numer strony, jak sądzę – rzekł Philip i zaczął przewracać kartki, szukając strony sto dwunastej.

Gdy przeczytali dwa pierwsze akapity, niemal w tej samej sekundzie zauważyli anomalię: w połowie zdania tekst nagle tracił sens. Końcówka brzmiała: „Dworzec Paddington, skrytka czternasta, impreza Geoffa, Groszek Pachnący”.

Philip wstał i podszedł do okna, za którym szare budynki i szare niebo zdawały się zlewać w jedną całość. Zaczynały się godziny szczytu i New Cross Road korkowała się gwałtownie. U wylotu ulicy cztery rzędy wozów tkwiły nieruchomo, buchając spalinami w popołudniowe powietrze. Philip nie zwrócił uwagi na nieskazitelnie czystą czarną toyotę zaparkowaną po drugiej stronie jezdni.

– Widzisz w tym jakiś sens? – spytał.

– Owszem – odparła Laura. – Chodźmy – rzuciła, wsuwając książkę pod ramię. – Kto prowadzi, ty czy ja?

W linii prostej dworzec Paddington dzieliło od New Cross nie więcej niż sześć mil, ale pokonanie tej odległości zajęło im prawie dziewięćdziesiąt minut. Marnowali czas w korkach, a z powodu robót drogowych w okolicy Piccadilly Circus utknęli na dwadzieścia minut na Pall Mail. Słońce zdążyło już zejść, gdy dojeżdżali do Tamizy, czterdzieści minut później zaś, kiedy skręcili w Praed Street, nawet obleśny blask czerwonych i żółtych neonów nie mógł upiększyć brudnych, zniszczonych budynków po obu stronach ulicy, mieszczących tanie sklepy z odzieżą i peep show.

Przez gmach dworca przelewała się potężna fala ciał. Szafki i skrytki sejfowe znajdowały się między kasami a kafejką zwaną The Commuters Brew. Na drzwiczkach każdej skrytki umieszczony był mały panel z klawiaturą numeryczną.

– Powiesz mi wreszcie, jaki jest szyfr i o co chodzi z tym groszkiem? – spytał Philip.

Laura westchnęła.

– A mam wybór?

– Nie bardzo.

Oparła się plecami o ścianę skrytek i popatrzyła na podróżnych tłoczących się w hall. Odwracając się z powrotem ku czternastemu boksowi, mruknęła:

– To moja ksywka. Charlie mnie tak nazwał.

Philip zachnął się.

– Poznaliśmy się na imprezie w Oksfordzie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. To był wielki, wspólny dom przy Banbury Road, własność chłopaka z naszego roku, Geoffa... Geoffa Townsenda. Tak się chyba nazywał. W każdym razie od tamtej nocy Charlie już zawsze nazywał mnie Groszkiem Pachnącym.

– Groszkiem Pachnącym?

– Tak. Bo miałam na sobie żakiet z pawimi piórami.

Philip spojrział na nią z niedowierzaniem, a potem wybuchnął śmiechem.

– To było dawno temu – zaprotestowała.

Jej poważna mina rozbawiła go jeszcze bardziej.

– Przepraszam – wydusił w końcu, próbując zachować powagę. – Tylko ze widok ciebie w żakiecie z pawimi piórami jest...

– Bezcenny?

– Właśnie.

– To był szczyt ery New Romantic. Pamiętasz? Pewnie sam nosiłeś jedwabną koszulę i zamszowe buty.

– W życiu takich nie nosiłem – odparł z oburzeniem.

Tym razem roześmiała się Laura.

– I pamiętam, że kiedy się poznaliśmy, miałeś ten okropny warkoczyk.

– Kucyk, jeśli chodzi o ścisłość – rzekł Philip, krzywiąc się. – W porządku. Więc jaki jest szyfr?

Laura spojrzała na panel i zaczęła wpisywać ciąg cyfr. Philip patrzył uważnie: 1... 9... 8... 2. Wreszcie nacisnęła ENTER, pociągnęła za uchwyt i skrytka się otworzyła.

W środku zobaczyli arkusz papieru, zwinięty i przewiązany czarną jedwabną wstążką. Obok leżała płyta w przezroczystym plastikowym pudełku.

Philip opróżnił skrytkę.

– DVD – powiedział, obejrzawszy płytę, po czym rozwiązał wstążkę ściągającą rulon. – A to mi wygląda... – Urwał. – To ciekawostka. Nawet ja znam łacinę na tyle, zęby to zrozumieć.

U szczytu pierwszej strony widniał napis:

*Principia chemicum*

Isaacus Neuutonus.

Nie odzywali się prawie wcale, mozolnie przebijając się ulicami Londynu na zachód, w stronę drogi do Oksfordu. Ruch zelżał nieco i w ciągu dwudziestu minut byli już na A40, którą dojechali do autostrady i ruszyli dalej, do odległego o pięćdziesiąt mil domu. Zatopieni w myślach, jeszcze nie gotowi do dyskusji, na własną rękę próbowali wysnuwać wnioski z ostatnich odkryć. Philip prowadził, a Laura oglądała uważnie dokument Newtona. Papier pokryty był drobnym, starannym pismem, w większości w dziwnym języku lub wymyślnie zaszyfrowanym. Niektóre linie zapisano jednak po łacinie, uzupełniając słowa rysunkami, dziwnymi symbolami, tabelkami i wykresami, rozrzuconymi w na pozór przypadkowy sposób. Wreszcie, gdy zostawili już w tyle światła miasta i wyjechali na mroczną wstęgę autostrady przecinającą malownicze pola, było zbyt ciemno, by Laura mogła dalej czytać.

– To oczywiście fotokopia – stwierdziła Laura. – Ale, do diabła, co to wszystko może znaczyć?

– Żałuję, że kiedy miałem trzynaście lat, nie uważałem bardziej na lekcjach łaciny – powiedział Philip.

– Ja znam łacinę całkiem nieźle, ale tu mamy prawdziwą mieszankę języków. A to dopiero początek. Spójrz na te wszystkie symbole i zaszyfrowane fragmenty. Zupa ze słów.

– A mnie najbardziej ciekawi – rzekł – co, u licha, Charlie Tucker zamierzał zrobić z rękopisem Isaaca Newtona. Nigdy o takim nie słyszałem.

– Ja też nie. Wiem, że napisał *Principia mathematica*, ale... – Laura odwróciła się i wzięła z tylnego siedzenia biografię Newtona zabraną z mieszkania Charliego. Włączyła lampkę i zaczęła wertować książkę. – *Biografia maga* – powiedziała cicho. – Pamiętam, że kiedy ją wydali, wywołała niemałe poruszenie.

Philip spojrział na nią ze zdziwieniem.

– To dość odważna praca. Przedstawia Newtona jako zdiwaczałego czarownika czy coś w tym guście... Teraz sobie przypominam – dodała, stukając palcami w otwartą książkę. – Przewodnim motywem jest teza, jakoby Newton był zapalonym alchemikiem.

– Tak – mruknął Philip. – Teraz pamiętam. Parę lat temu, gdy się ukazała, czytałem recenzję w „Timesie”.



– On był nie tylko alchemikiem – powiedziała Laura, unosząc głowę znad książki. – Wygląda na to, że poważnie interesował się czarną magią. Posłuchaj: „Newton był znawcą wiedzy tajemnej. Dowody prawdziwości tego szokującego stwierdzenia można znaleźć w pismach, które przechowywał w ukryciu aż do śmierci. Jego uczniowie również dochowali tajemnicy, obawiając się zszargania reputacji niezwykłego naukowca. Dopiero w 1936 roku, za sprawą ekonomisty i badacza losów uczonego, Johna Maynarda Keynesa, teksty te odkryto na nowo – ponad milion słów na tematy okultystyczne, od przepowiadania przyszłości po alchemię”.

– Czyli prace naukowe publikował, a niebezpieczne teksty trzymał z dala od ciekawskich oczu?

– Najwidoczniej. Nie mógł pozwolić, by świat dowiedział się o jego zainteresowaniu okultyzmem. To by mu zniszczyło karierę.

– Sądzisz, że *Principia chemicum* to jedno z tych tajnych dzieł?

– Nie jestem pewna – odparła, przerzucając kartki, by dotrzeć do indeksu. – Wszystkie prace pisał po łacinie, taki był standard w tamtych czasach. Dziwne jednak, że użył łacińskiej wersji imienia i nazwiska... Aha – odezwała się po chwili. – Słuchaj: „Najsławniejszemu dziełu Newtona, *Principia mathematica*, nie towarzyszy niestety *Principia chemicum*, praca, która miała być podsumowaniem jego osiągnięć w dziedzinie alchemii. Newton wyraźnie sugerował jej istnienie, ale nie zachował się rękopis dokumentujący sukces w tworzeniu mitycznego kamienia filozoficznego. Stało się tak, ponieważ – podobnie jak setki badaczy przed nim i po nim – wielki uczoney, mimo swych nadzwyczajnych talentów, nigdy nie osiągnął ostatecznego celu. Nie zdołał wykuć kamienia, który pozwoliłby mu otrzymywać złoto z dowolnego metalu bazowego, nie znalazł też – wiecznego życia i nigdy nie złączył się z Wszechmogącym – przynajmniej przed śmiercią”.

Kilka minut później dojechali do drogi na Chilterns i rozpoczęli długi, stromy zjazd przecinający granicę Buckinghamshire i Oxfordshire. W ciemności nie mogli cieszyć oczu wspaniałą panoramą patchworku pól uprawnych ciągnących się aż po horyzont.

Laura zamknęła książkę, zgasiła światło i włączyła radio.

– Posłuchamy muzyki? – spytała.

Wcisnęła klawisz z numerem 1 – usłyszeli jedynie trzaski. Pod 2 i 5 było podobnie. Wcisnęła 4 i wewnątrz samochodu rozbrzmiało mocnymi akordami Van Halen z połowy lat osiemdziesiątych.

Philip zaczął kiwać głową do rytmu.

– O tak, mała...

Laura wcisnęła numer 5 i przyciszyła. Usłyszeli kakofonię atonalnych dźwięków.

– To pewnie Radio 3 – rzekł Philip. – Koncert na trzy zlewy i wibrator – dodał złośliwie. – Na miłość boską, przestaw z powrotem na Van Halen.

– Nie – odparła ze śmiechem i zaczęła szukać sygnału ręcznie. Minęła kilka francuskich stacji nadających na falach długich, rap jedne; z miejscowych niezależnych rozgłośni i wreszcie trafiła na Radio Oxford. Właśnie dobiegał końca program informacyjny.

„... Szef delegacji estońskiej, doktor Vambola Kuusk, oświadczył, że spotkanie było wielkim sukcesem i że ma nadzieję, iż Komisja Europejska podtrzyma wcześniejszą rekomendację. – Spiker umilkł na sekundę. – Wiadomości lokalne. Rzecznik policji wyraził głębokie zaniepokojenie losem profesora Jamesa Lightmana, głównego bibliotekarza Bodleian Library. Jego porzucony samochód znaleziono dziś około dziesiątej rano opodal Norham Gardens w północnym Oksfordzie. Według policji nie było śladów walki. Profesor pozostawił na siedzeniu pasażera swoją teczkę, a kluczyki tkwiły w stacyjce. Po zakończeniu programu podamy numer telefonu, pod którym funkcjonariusze policji przyjmują wszelkie informacje w tej sprawie ”.

## Rozdział 31

### Oksford, 12 sierpnia 1690, krótko przed północą

Przez parę sekund John Wickins miał wrażenie, że zemdleje z gorąca i bólu. Mimo troskliwej opieki Roberta Boylea i zastosowania kojącego balsamu, uczucie palenia w ramieniu było prawie równie silne jak rankiem, a potworny ból głowy tylko nieznacznie osłabł w ciągu dnia.

Wraz z Boyleem i Hookeem pokonali labirynt i stali teraz, z trudem łapiąc oddech, u wylotu korytarza wiodącego do sali. Tylko raz, gdy wchodzili do piwnicy win pod Hertford College, mignęły im w oddali sylwetki trzech ludzi – Newton, de Duillier i jeszcze jeden, zakapturzony i niezidentyfikowany mężczyzna, wkroczyli do podziemi jako pierwsi i szybko zniknęli w labiryncie, szukając drogi w gąszczu krzyżujących się korytarzy.

Teraz grupka wtajemniczonych pod wodzą Newtona była już w głównej sali, a zza lekko uchylonych drzwi – wpadała na korytarz wąska smuga światła.

Tymczasem trzech Strażnicy, wtuleni w oślizgłą, mokrą ścianę, starali się oddychać bezgłośnie. Zgasili swą jedyną pochodnię i szykowali się do akcji. Z sali dobiegł ich męski głos wyśpiewujący prawie niezrozumiałe słowa; długie monologi od czasu do czasu przerywane były bełkotliwymi frazami intonowanymi przez kilka głosów. Wickins czuł, że strużka potu spływa mu po plecach. Mocniej zacisnął wilgotne dłonie na rękojeści broni. Po prawej miał Hooke'a, który kłął bezgłośnie; jego twarz i ubranie były mokre od potu. Boyle, który stał po lewej, wysunął z pochwy rapier. Klinga odbiła wiązkę światła wpadającą z sali i w jej blasku Wickins zobaczył niewyraźny profil starego człowieka: oczy wbite w uchylone drzwi i napięte mięśnie. Boyle oderwał się nagle od ściany i trzema długimi, bezgłośnymi susami znalazł się przy drzwiach. Wyciągnął dłoń w stronę kółka, drugą ręką przywołując pozostałych. Skoczyli za nim, gdy otwierał drzwi. Trzymając rapiery w gotowości, wbiegli we trzech do komnaty.

Woń terpentyny, potu i ludzkiego ciała w nieruchomym, wilgotnym powietrzu brutalnie atakowała zmysły, zwłaszcza w połączeniu z dźwiękami bezbożnych inkantacji. Trzej zakapturzeni i okryci ciężkimi, szaroczarnymi szatami z atłasu mężczyźni stali przed pentagramem pod przeciwległą ścianą. Postać pośrodku trzymała wysoko w górze małą, czerwoną kulę.

Strażnicy mieli po swojej stronie element zaskoczenia i Boyle nie zamierzał go

zmarnować. Skoczył wprost ku centralnej postaci, złapał ją za szyję i odciągnął od pentagramu. Rubinowa kula upadła i potoczyła się po kamiennej posadzce, by znieruchomieć pod metalowym pentagramem. Boyle pchnął mężczyznę w dół i przystawił mu rapier do szyi. Dwaj pozostali spiskowcy w grubych szatach zastygli w bezruchu. Hooke i Wickins zatrzymali się krok przed nimi, kierując klingi ku ich niewidocznym twarzom.

Boyle zwolnił uchwyt i odwrócił mężczyznę twarzą ku sobie. Spod kaptura dobiegł warkot wściekłości, ale i bezsilności – rapier opierał się o jabłko Adama mężczyzny.

– Wszyscy trzej, zdjęć kaptury – rozkazał Boyle.

Żaden z nich się nie poruszył.

– Zdjąć kaptury – powtórzył. Nie podniósł głosu, ale było w nim coś nowego, jadowity nacisk.

Newton wolno zsunął z głowy kaptur, odsłaniając długie, siwiejące loki, które oblepiały jego wilgotną twarz. Zza zasłony włosów czarne oczy płonęły wściekłością i nienawiścią.

– Na Boga, za kogo ty się uważasz?! – syknął. – Jaką masz tu władzę?

Boyle ani drgnął, odpowiadając równie twardym spojrzeniem.

– W przeciwieństwie do pana mam pełne prawo być tutaj, profesorze Newton.

Newton uśmiechnął się krzywo, a jego twarz pokryła się wilgotnymi zmarszczkami. Wyglądał jak karykatura Mefistofelesa.

– Butny głupcze! – odparował głosem drżącym od powstrzymanego gniewu.

– Ja jestem tu Mistrzem. Tylko ja rozumiem słowa mędrców. Ja jestem prawdziwym dziedzicem Światła, Ścieżki, Metody.

Z lekkim, beznamytnym uśmiechem, który ujawniał, jak niewiele znaczą dlań słowa Newtona, Boyle powiedział:

– Johnie, Robercie, proszę, zdejmijcie im kaptury.

Nie odsuwając kling ani o cal od gardeł jeńców, Hooke i Wickins wykonali polecenie i cofnęli się o krok.

– James? Mój brat James? – wyjąkał Boyle. – Jak... ? – Zdumienie zmieniło jego twarz w sztywną maskę. Był zagubiony i sparaliżowany.

Była to sposobność, której Newton potrzebował. Z rykiem rzucił się naprzód, chwycił Boylea za nadgarstek i zmusił do puszczenia broni, która z brzękiem upadła na kamienie.

Tylko Newton działał w tej chwili naprawdę szybko; pozostali sprawiali wrażenie zatopionych w galarecie. Potrzebowali czasu, by się pozbierać, a gdy to

zrobili, w komnacie wywiązała się walka przy akompaniamencie brzęku stali i chrapliwych okrzyków.

Newton obrócił się i ruszył biegiem ku rubinowej kuli. Wickins jednak złapał go za kostki i obaj padli na posadzkę. Newton wrzasnął dziko, gdy teolog w ślepej furii pochwycił go za włosy i szarpnął, a następnie przyłożył mu rapier do gardła.

– Zdradziłeś mnie! – Wickins krzyknął mu prosto do ucha. A ja ci ufałem.

Rozwścieczony Wickins nie był jednak pewien, co zrobić. Isaac Newton był skazany na jego łaskę. Jeden ruch ostrza i jego życie dobiegłoby końca, krew zaś rozlała się po podłodze. A nie po to tu przyszli. Wickins mógł nienawidzić profesora Lucasian, ale nie był mordercą. W tym momencie jego wzrok spoczął na rubinowej kuli. Sięgnął po nią lewą ręką i czym prędzej wcisnął pod bluzę. Następnie pociągnął Newtona w górę, po czym nie odsuwając ostrza od jego gardła, zaczął się cofać ku pozostałym. Nie mógł się jednak obejrzeć, więc po chwili potknął się o jeden z wysokich, masywnych świeczników i runął na plecy.

Newton skoczył na Wickinsa, by odebrać mu rapier. Sekundę później z bronią w rękę obrócił się na pięcie, rozglądając po sali. Jego oczy płonęły, a zmysły działały lepiej niż kiedykolwiek, kierowane instynktem samozachowawczym.

Kilka stóp od niego stał Boyle, który przyciskał swego brata do ściany, trzymając go za gardło. Nieco dalej, dysząc wściekle, tkwił Nicolas Fatio de Duillier, z klingą Hookea na wysokości szyi.

– James, James, mój bracie... Jak mogłeś? – powtarzał zrozpaczony Boyle.

– Wielki brat Robert – rzekł szyderczo młodszy z braci. – Robert, który zawsze uważał się za mojego ojca... Oszczędź mi kazań. Niepotrzebne mi one.

– Ale dlaczego? – wyszeptał Robert Boyle. – Dlaczego?

– Naprawdę nie wiesz, Robertcie? Szczerze? Nie wiesz?

Strażnik wolno pokręcił głową.

– A dokąd miałem pójść, drogi bracie? Jak mogłem z tobą współzawodniczyć? Z człowiekiem, który rzuca tak wielki cień?

Boyle wzdrygnął się, gdy poczuł sztych rapiera na szyi.

– Rzuć broń – syknął Newton. – Natychmiast!

Boyle posłuchał i odwrócił się. De Duillier i James Boyle stali nieruchomo, sterroryzowani przez Hookea, a Wickins podnosił się właśnie z posadzki. Po chwili skoczył po leżący rapier.

– Jeszcze krok i upuszczę mu krwi – zawołał Newton.

Wickins wciąż się zbliżał.

– Nie żartuję – warknął Newton i docisnął ostrze do szyi Boyle a na tyle mocno,

ze pojawiła się strużka krwi.

Wickins zatrzymał się.

– Będziesz się za to smażył w piekle.

– Bardzo się mylisz, mój stary przyjacielu – odparł gładko Newton. – Pan wie, że moje intencje są czyste. – Odetchnął głęboko. – A teraz daj mi kulę.

Wickins nie ruszył się z miejsca.

– Daj mi kulę.

– Nie rób tego, John – wycharczał Boyle.

– Nie słuchaj starego durnia. Oddaj kulę. Już. Zrób to albo go zabiję, przysięgam! – krzyknął Newton.

Wickins wsunął powoli dłoń pod bluzę i zacisnął palce na rubinowej kuli.

– Nie! Nie! – jęknął błagalnie Boyle. – Lepsza moja śmierć...

Wickins wyjął kulę i dokładnie w tym momencie Hooke, który dotąd pilnował de Duilliera i Jamesa Boylea, niespodziewanie zamachnął się rapierem na Newtona. Ten dostrzegł ów ruch kątem oka i uchylił się instynktownie. To wystarczyło. Robert Boyle wbił zęby w rękę Newtona. Fizyk wrzasnął dziko, ale nie puścił rękojęści.

Przeklinając, obrócił się gwałtownie i ciął Hookea w ramię, a potem zniknął w ciemności korytarza.

Wickins chciał za nim pobiec, lecz Boyle go zatrzymał.

– John... John, pozwól mu uciec. Nigdy go nie znajdziesz w tym labiryncie. Musimy zabezpieczyć wszystko, co tu pozostało, kulę i dokumenty. – W jego głosie pobrzmiwały nieznośny smutek i zmęczenie. – Ja muszę rozplatać tę diabelską sieć, a wy zadbać o przyszłość. Gdy tylko wyjdziemy na powierzchnię, pojedziesz co koń wyskoczy do Cambridge. Musisz dotrzeć tam przed Newtonem... i spalić wszystko.

## Rozdział 32

Oksford, 29 marca, 21. 05

Po powrocie do domu Philip nastawił czajnik, a Laura poszła na górę po wełniany, zapinany sweter. Kilka minut później usiedli w salonie, przy dopiero co rozpalonym ogniu w kominku.

– Moim zdaniem – odezwał się Philip, popijając gorącą herbatę – zniknięcie Lightmana niemal na pewno nie ma nic wspólnego z morderstwami. To zwykły zbieg okoliczności.

Laura spojrzała na niego beznamiętnie.

– Nie wiem, jak te dwie sprawy mogłyby się łączyć, ale jednak trochę to... dziwne.

Philip wzruszył ramionami.

– Kiedy się widzieliście, nie sprawiał wrażenia chorego czy zaniepokojonego? Sądziś, że mogło mu odbić?

Laura pokręciła głową.

– Może cierpiał na depresję?

– Nie wiem. W ostatnich latach widziałam go ledwie parę razy. Ale nie wydawał mi się nieobecny, kiedy rozmawialiśmy. A co, myślisz, że tak po prostu wysiadł z samochodu i poszedł w siną dal?

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Tak, ale Lightmanowi?

– Sugerujesz, że został porwany?

Laura spojrzała na niego znad kubka z herbatą.

– Bóg jeden wie, Philipie. Ale kto miałby... ?

– Pewnie wkrótce się dowiemy. Policja nie zostawi tak tej sprawy. Lightman jest nie tylko gwiazdą Oksfordu, ale także jednym z najbogatszych ludzi w Wielkiej Brytanii. – Uniósł pudełko z płytą DVD, którą znaleźli w skrytce numer 14. – Zaczynamy?

Po kilku sekundach migotania obrazu na ekranie ukazał się Charlie Tucker patrzący wprost w obiektyw kamery. Zobaczyli też regały z książkami i popielniczkę stojącą wprost na podłodze, obok krzesła. Charlie palił właśnie papierosa. Wyglądało na to, że filmował się sam – kąt ustawienia kamery nie był najlepszy, podobnie jak oświetlenie.

– Cześć, Lauro, skarbie. A przynajmniej mam nadzieję, że to ty oglądasz to nagranie – zaczął. Uśmiechnął się nerwowo. Kiedy je dostaniesz, albo będę już w grobie, albo gdzieś poza krajem.

Niven poczuła mocny ucisk w żołądku.

– Bo nie da się ukryć – kontynuował Tucker – że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Tak wiele mam ci do powiedzenia, a tak mało czasu. Strasznie źle się czuję, narażając twoje życie, ale gdy tylko zjawiałaś się u mnie, poczułem, że i tak tkwisz w tej sprawie po same uszy, więc... Od czego by tu zacząć? Oczywiście byłaś już na Paddington i zabrałaś tekst Newtona ze skrytki numer czternaście. Przypuszczalnie zastanawiasz się, skąd, u licha, wytrzasnąłem taką rzecz. Otóż prawda jest taka, że przez jakiś czas byłem związany z grupą, o której wspominałem... Wiesz, z tymi okultystami. Używam czasu przeszłego, bo mam nadzieję, że się z tego wyrwałem. Byłem niejako skazany na udział w tym przedsięwzięciu. Oni mają pewne kompromitujące dowody mojej działalności politycznej w latach osiemdziesiątych, a... cóż, władza ma doskonałą pamięć, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy, w których kiedyś maczałem palce – wyjaśnił z tajemniczym uśmiechem. – Tak czy owak, postanowiłem się ulotnić, gdy tylko odkryłem, co naprawdę planują ci ludzie. Nie chcę brać w tym udziału. – Zgasił dopalającego się papierosa. Minęło kilka chwil, zanim wyjął nowego z paczki, zapalił, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął chmurę dymu. – Wiesz co? – powiedział, zmieniając pozycję. – To wszystko musi brzmieć bezsensownie, więc pozwól, że zacznę od początku. – Odkasznął. – Cofnijmy się o tysiąc sześćset lat, do czasów Biblioteki Aleksandryjskiej. W owym okresie głównym bibliotekarzem była tam kobieta, wielka uczona Hypatia. Twarda sztuka. Nie tylko należała do najlepiej wykształconych ludzi ówczesnego świata, ale także wzbudzała wielkie kontrowersje, odrzucając gwałtownie rozwijające się chrześcijaństwo. I dlatego właśnie grupa – ach jakże pobożnych – chrześcijan w końcu ją zamordowała – rzekł Charlie, uśmiechając się krzywo. – Hypatia była też adeptką okultyzmu. Tysiąc lat później nazwano by ją pewnie białą wiedźmą. Posiadała kilka najważniejszych artefaktów naszej cywilizacji. W swej bibliotece miała rzadkie manuskrypty poświęcone wszelkim aspektom okultyzmu, czarnej i białej magii, a także dwa największe skarby alchemiczne, o jakich słyszał świat: *Szmaragdową Tablicę* i rubinową kulę. *Szmaragdowa Tablica* to rzecz znana. Z biegiem stuleci stała się filarem alchemicznego prawa. Jest jak gdyby „instrukcją obsługi”, którą posługują się alchemicy w swoich pracach. Znacznie mniej wiadomo na temat rubinowej kuli. Plotki o tym przedmiocie krążą w kręgach hermetystów już od



czasów Hypatii, ale niewielu widziało go na – własne oczy, a jeszcze mniej jest takich, którzy mają pojęcie o jego prawdziwej potędze. Po zniszczeniu Biblioteki Aleksandryjskiej w roku trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym naszej ery Hypatia dopilnowała, by *Szmaragdową Tablicę* wywieziono z miasta i przetransportowano do Europy. Tam pozostała ona pod opieką alchemików, których linia przetrwała stulecia. Rubinową kulę zaś kazała ukryć w tajemnym miejscu gdzieś w fundamentach biblioteki. Rok później jej ojciec Teon wy dostał bezcenny artefakt z ukrycia i wywiózł go do dzisiejszej Anglii. Tam spotkał się z przywódcami wąskiego grona adeptów, którzy nazywali siebie Strażnikami. Ich sekrety i tradycja sięgały czasów starożytnego Egiptu i pierwszych alchemików. W tym samym nurcie kształcili się również Teon i Hypatia. Strażnicy ukryli rubinową kulę w tajemnej krypcie, do której można było dotrzeć jedynie przez podziemny labirynt. Wybudowali go opodal miejsca swych spotkań i postarali się, by pokonać labirynt mogli tylko posiadacze wiedzy tajemnej, którzy przejdą serię prób. Niemal tysiąc lat później nad labiryntem zaczął się rozrastać Oksford. Rubinowa kula tkwiła bezpiecznie w swej kryjówce aż do siedemnastego wieku, kiedy to Christopher Wren otrzymał zlecenie wzniesienia Sheldonian Theater. Odkrył wówczas labirynt, ale nie zbadał go. Jednak kilkadziesiąt lat później Isaac Newton, zapewne najwybitniejszy alchemik swoich – a może i wszystkich – czasów, dowiedział się, jak odnaleźć kulę. Wskazówki odkrył w dokumencie, który spisał niejaki George Ripley, żyjący kilkaset lat wcześniej alchemik. – Charlie usiadł wygodniej na krześle i wypuścił dym w stronę kamery. – Omal nie doszło wtedy do katastrofy. Jak mówiłem, kula ma ogromną moc, a Newton był geniuszem ogarniętym obsesyjnym pragnieniem wydarcia wszechświatowi jego tajemnic. I to za wszelką cenę. Mając rubinową kulę, mógł myśleć o spełnieniu tego marzenia. – Umilkł i zgasił papierosa. – Pewnie się zastanawiasz, o co tyle hałasu? Co takiego jest w tej rubinowej kuli? Dlaczego jest taka ważna, że ludzie gotowi są oddać za nią życie? Mordować, żeby ją zdobyć? Otóż kula jest kluczem do otrzymania kamienia filozoficznego i eliksiru życia, upragnionych celów każdego alchemika. Nikt tak naprawdę nie wie, kto stworzył tę kulę. Jest co najmniej tak stara jak wczesnoegipska cywilizacja, a niektórzy twierdzą nawet, że to przedmiot nie z tego świata. Odczytawszy inskrypcję spisana spiralnie na jej powierzchni, adept może wezwać na pomoc diabła, by przemienić martwą zawartość tygla w wymarzony, mityczny kamień. Nie winiłbym cię, Lauro, gdybyś uznała to wszystko za kompletny nonsens. Ale bez względu na to, czy wierzysz, że rubinowa kula może być narzędziem przywołania diabła, są tacy, którzy wierzą w to niezłomnie, i

właśnie dziś, w Oksfordzie, grupa potężnych alchemików próbuje to udowodnić. Nie mają jeszcze kuli, ale posiadli już niektóre z potrzebnych im tajemnic. Sądzę, że próbujesz odkryć związek między Isaakiem Newtonem, który żył w siedemnastym i osiemnastym wieku, a tą grupą z dwudziestego pierwszego stulecia. Zapewne ciekawi cię też, dlaczego dałem ci kopię tajemnego, zaszyfrowanego dzieła Newtona. Może usiłujesz także pojąć, co mam z tym wszystkim wspólnego i dlaczego moje życie jest w niebezpieczeństwie. Widzisz, ta działająca współcześnie grupa to naśladowcy Newtona, który nazwał swoją klikę Zakonem Czarnego Sfinksa. Określenia tego używali pierwotnie alchemicy ze starożytnego Egiptu, którzy pierwsi posługiwali się kulą. Newton ze swym kochankiem, matematykiem Nicolasem Fatio de Duillierem, i wspólnym znajomym, Jamesem Boyleem, młodszym bratem wielkiego Roberta Boylea, stworzyli tak zwaną Nieświętą Trójcę. Łącznikiem między tamtymi a dzisiejszym Zakonem Czarnego Sfinksa jest koniunkcja planet. Newton pozyskał informacje o miejscu ukrycia rubinowej kuli mniej więcej osiemnaście miesięcy przed koniunkcją pięciu ciał, która nastąpiła w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym. Gdy doszło do kolejnej koniunkcji, tajniki Zakonu znał profesor Milliner i też próbował czegoś dokonać. Dziś Zakon raz jeszcze usiłuje powtórzyć eksperyment Newtona. A na czym ów eksperyment polega? Zapewne już to odkryłaś. Inskrypcja z rubinowej kuli nakazuje adeptowi zgromadzić pięć organów, pobranych w ściśle określonym momencie od młodych kobiet. W miejscu każdego z nich należy zostawić metalową monetę, staroegipski Arkhanon z wizerunkiem pięciu niewiast: pięciu ofiar. Organy trzeba zakonserwować i wykorzystać we właściwym czasie, umieszczając je na wierzchołkach pentagramu. Mają kluczowe znaczenie dla ceremonii, która jeśli zostanie odpowiednio przeprowadzona, spowoduje ukazanie się diabła. Ten z kolei ujawni sekret stworzenia kamienia filozoficznego. Newton wraz z towarzyszami zdołał zgromadzić potrzebne organy po zamordowaniu pięciu kobiet z Oksfordu. Narządy te – serce, mózg, nerki, woreczek żółciowy i wątrobę – zakonserwowano, wykorzystując techniki przekazane przez pierwotnych członków Zakonu, egipskich alchemików, którzy byli specjalistami od mumifikacji i preparowania zwłok. To zadanie przypadło w udziale de Duillierowi. Przystudiował dokładnie cały proces i zrobił wszystko, by wiernie odtworzyć starożytną metodę. Rytuał miał się odbyć w komnacie głęboko pod gmachem Bodleian Library, części labiryntu Strażników. Newton i jego przyjaciele dostali się tam wejściem ukrytym w piwnicy win Hertford College opodal Bodleian. Musieli przejść próby, które obmyślili Strażnicy jeszcze w piątym wieku, lecz nie mieli z

tym wielkiego problemu, bo Newton dysponował informacjami z manuskryptu Georgea Ripleya. Tylko dzięki interwencji Strażników udało się w ostatniej chwili udaremnić plany uczonego. Z tego co wiem, Strażnicy działają w jeszcze głębszej tajemnicy niż Zakon Czarnego Sfinksa, a także skuteczniej... aż do dziś. W siedemnastym wieku przywódcą Strażników był Robert Boyle... Ironia losu, nieprawdaż? Przecież jego brat to kluczowa postać grupy Newtona. Robertowi pomagał także wielki rywal fizyka Robert Hooke oraz niejaki John Wickins, najbliższy współpracownik Newtona, jego współlokator, człowiek, którego za młodu umieszczono w Cambridge specjalnie po to, by miał uczonego na oku. – Charlie w skupieniu spojrział w kamerę. – Współczesny Zakon Czarnego Sfinksa stoi za śmiercią młodych kobiet z Oksfordu. W skład grupy wchodzi wyszkolony zabójca, znany wyłącznie jako Akolita. Gromadzą potrzebne narzędzia i konserwują je, korzystając z wszelkich technik dostępnych w dwudziestym pierwszym wieku. Cel jednak przyświeca im ten sam, co Newtonowi i Millinerowi: odprawić okultystyczny rytuał, gdy Mars, Wenus i Jowisz będą w koniunkcji ze Słońcem i Księżycem. Moment ten nastąpi już pojutrze, trzydziestego pierwszego marca, o pierwszej trzydzieści cztery nad ranem. A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? – Tucker poruszył się niespokojnie na krześle. – Lauro, pamiętasz moją wizytę w Nowym Jorku? Byłem tam jako wysłannik Zakonu. Widzisz, współczesny Zakon nie ma i nigdy nie miał rubinowej kuli. Jeśli nie liczyć Strażników, Isaac Newton i jego kompani byli jedynymi ludźmi od czasów Hypatn, którzy mieli okazję zobaczyć czy dotknąć tego skarbu. Ich grupa została rozbita w roku 1690, a Robert Boyle odzyskał i ukrył kulę. Co więcej, zniszczeniu uległy wszystkie dokumenty Newtona dotyczące tej sprawy. Wszystkie poza jednym: krótkim, zaszyfrowanym dokumentem, który Newton zatytułował *Principia chemicum*, a którego kopia znajduje się teraz w twoich rękach. Właśnie ten dokument zdobyłem dla Zakonu w Nowym Jorku. Moi mocodawcy wiedzieli, że prawdopodobnie nie zdołają odnaleźć kuli przed koniunkcją, a bez niej ich wysiłki byłyby daremne. Tak się jednak złożyło, że przywódca Zakonu, człowiek, którego nigdy nie spotkałem i którego tożsamości nie znam, dowiedział się o istnieniu manuskryptu Newtona zawierającego między innymi linearną wersję inskrypcji. – Nadszedł czas na kolejnego papierosa. – Pozwól, że to wyjaśnię. Mówiłem już o inskrypcji wyrytej na powierzchni kuli, prawda? Jest to linia egipskich hieroglifów ciągnąca się spiralnie wokół kuli, od jednego bieguna do drugiego. Twórcy tego artefaktu pragnęli zabezpieczyć napis przed odczytaniem przez nieuprawnione osoby. Użyli więc sprytnej techniki ukrywania informacji zwanej steganografią, innymi słowy,

kodu fizycznego. Polegało to na tym, że wiadomość – tu enkantację potrzebną do odprawienia ceremonii – należało czytać pionowymi kolumnami znaków, a nie wzdłuż spirali. To odmiana starożytnej metody nazywanej skytale. Odczytanie przekazu jest proste, pod warunkiem że masz oryginalną kulę, ale jak wiesz, tylko Newton i Strażnicy mieli ją w rękach. Rękopis Newtona, który zdobyłem w Nowym Jorku, zawierał łacińską wersję inskrypcji w postaci linearnej, to znaczy zapisaną na kartce papieru, co czyniło ją praktycznie nieprzydatną. I tu właśnie zaczyna się moja rola. Pamiętasz jeszcze, że studiowałem matematykę? Specjalizowałem się w kryptografii. Przywódca Zakonu wiedział o tym. Złożył mi propozycję pracy... propozycję nie do odrzucenia. Nie miałem pojęcia, do czego to wszystko zmierza, przynajmniej do czasu, aż w moje ręce dostał się manuskrypt. Prawie rok pracowałem nad odkodowaniem linearnej wersji inskrypcji. Brakującym parametrem były rozmiary kuli. Kto je zna, może po prostu zwinąć linię tekstu w spiralę i odczytać pionowo ciągi znaków. Newton jednak nie pozostawił wskazówek co do wielkości i dlatego w nieskończoność można próbować odgadnąć treść napisu... Chyba że zastosuje się najnowocześniejsze metody kryptologiczne i użyje potężnego, drogiego komputera. Dostałem sprzęt, a reszta... – Charlie postukał się palcem w skroń. – Wiesz, geniusz czasem się przydaje. Podczas pracy nad szyfrem żyłem pod ciągłą presją przedstawicieli Zakonu, ale jednocześnie bardzo starałem się ustalić, po co im ten kod. Nigdy się nie dowiedziałem, kto jest przywódcą i kim są jego podwładni. Wszystko załatwialiśmy przez posłańców i szyfrowane e-maile. Dowiedziałem się jednak wreszcie, co knują, i natychmiast postanowiłem odejść. Ledwie dwa tygodnie temu dostarczyłem im rozszyfrowaną wersję inskrypcji, ale dopilnowałem, by była to fałszywka. W rękach Zakonu znajduje się więc całkiem bezużyteczny tekst. Oni o tym nie wiedzą i wciąż zabijają. W ciągu nieco ponad dwudziestu czterech godzin zginą jeszcze dwie młode kobiety, chyba że ktoś powstrzyma Zakon. – Charlie wypuścił obłok dymu i przez kilka chwil wpatrywał się w obiektyw kamery. – Lauro, teraz wszystko zależy od ciebie. Mam nadzieję, że pomogą ci ludzie, którym ufasz. Ja już nic nie zdziałam. Mogę tylko opowiedzieć o wszystkim, i to właśnie robię. Choć Newton nie dysponował odpowiednimi środkami do konserwowania narzędzi, pod kilkoma względami miał przewagę nad dzisiejszym Zakonem Czarnego Sfinksa. Przede wszystkim, posiadał rubinową kulę. Poza tym, gdy w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym roku Zakon został rozbity przez Strażników, nie skończyło się tylko na zniszczeniu niemal całej dokumentacji. Robert Boyle i jego ludzie dopilnowali też, by raz na zawsze zamknięto wejście do

labiryntu od strony Hertford College. Strażnicy zbudowali nowe wejście, którego położenie będziesz musiała wydedukować z moich wskazówek. Nowa droga prowadzi długim tunelem do pierwotnego labiryntu pod Bodleian Library. Wszystko to oznacza, że już Milliner w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku musiał przezwyciężyć trzy poważne problemy. Nie miał kuli, ale dysponował tajemniczą kopią linearnej wersji inskrypcji, zapewne wykonaną przez brata Roberta Boylea, Jamesa, który jakoś zdołał ukryć ją przed Strażnikami w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym. Nie miał też pojęcia o konserwowaniu ludzkich organów, które zaczął już gromadzić. I wreszcie, nie wiedział, jak się dostać do labiryntu. Wejście w Hertford College nie istniało, a sekrety Strażników nie były mu znane, zatem nie mógł wiedzieć o nowej drodze. Próbując obejść ten problem, wpadł na niezwykły pomysł. Wiedział od lat o wielomilowych tunelach pod Bodleian Library. Już w czasach wiktoriańskich były one naprawdę rozległe. Dzięki ogromnej wiedzy o okultyzmie i tradycji Zakonu Czarnego Sfinksa orientował się całkiem dobrze w położeniu prastarej komnaty, w której należało odprawić ceremonię. Sfinansował więc małe prace budowlane... a właściwie rozbiórkowe... polegające na połączeniu najbliższych tuneli z tymi, które prowadziły do sali. Prace wykonano pod koniec lat czterdziestych dziewiętnastego wieku. Nieszczęsny architekt, którego zatrudnił Milliner, ledwie miesiąc po zakończeniu robót został znaleziony martwy. A konkretnie, powieszony. Policja uznała, że popełnił samobójstwo. – Charlie rozkaszał się i nie mógł przerwać. – Jezu – rzekł po chwili – naprawdę muszę skończyć z tym cholerstwem. Mam silne przeczucie – ciągnął – że dzisiejsi członkowie Zakonu również nie wiedzą, jak się dostać do komnaty przez labirynt Strażników. To jednak nie ma żadnego znaczenia, ponieważ znają omijającą go trasę stworzoną przez Millinera. Nie sposób dotrzeć do podziemnej sali i wrócić na powierzchnię bez mapy, a o ile wiem, istnieje ona tylko w jednym egzemplarzu i jest pilnie strzeżona przez Zakon. Cóż... – Westchnął ciężko. – Dotarłem już prawie do końca tego dziwnego monologu. Mam nadzieję, że udało mi się choć trochę naświetlić tło wydarzeń. Żałuję, że nie mogę być przy tobie i pomóc, ale... Przynajmniej co nieco ci podpowiem. Na tym DVD znajdziesz cenne informacje. Kiedy obejrzysz to nagranie, włóż płytę do komputera. Będziesz musiała odszyfrować wiadomość. To osobisty przekaz do ciebie, Lauro, który zatrzyma wszystkich ciekawskich. Gdy pokonasz zabezpieczenie, znajdziesz na płycie informacje, które pomogą ci przetłumaczyć manuskrypt Newtona i odkryć wejście do labiryntu. W środku będziesz już zdana tylko na siebie. Nie mam pojęcia, jakie pułapki zastawili

Strażnicy. Nie wiem też, czy pokonasz labirynt, przechodząc trzy próby, które wymyślili Starożytni. Niestety, choć Newton przebył tę trasę najpierw sam, dzięki rękopisowi Ripleya, a potem wraz z de Duillierem i Boyleem młodszym, nie zostawił w tym dokumencie praktycznie żadnych wskazówek co do samego labiryntu. Do zobaczenia, Lauro. Mam nadzieję, że gdy to oglądasz, wciąż jeszcze żyję i – wygrzewam się na jakiejś egzotycznej plaży. Może kiedy to wszystko się skończy, spotkamy się i powspominamy stare czasy, tak jak w Nowym Jorku. Cześć, Groszku Pachnący.

Ekran zgasł.

Laura i Philip byli tak pogrążeni w myślach, że nie usłyszeli Jo, która otworzyła drzwi frontowe i weszła do pokoju.

Wreszcie Laura uniosła głowę.

– O, cześć, kochanie – powiedziała nieprzytomnie.

– Ciekawy program? – spytała Jo, unosząc brwi.

– To wiadomość od Charliego.

– Dziewczyna popatrzyła na matkę z niedowierzaniem.

– Nagranie, które zrobił tuż przed śmiercią. Wiele wyjaśnia.

Laura wcisnęła klawisz pilota i odtwarzacz ruszył ponownie.

– Na co czekamy? – spytała Joanna, gdy nagranie dobiegło końca. – Wrzućcie płytę do komputera.

Philip włożył dysk do napędu i po chwili na ekranie rozjarzyła się krótka wiadomość:

WPISZ „1” I ODPOWIEDZ

Bainbridge stuknął w klawisz i pojawiła się kolejna linia tekstu:

LAURO, PODOBAŁO CI SIĘ TO TAMTEGO WIECZORU

Philip odwrócił się i spojrzał na Laurę spod uniesionych brwi.

– I co?

– Co, co? Co to, u diabła, ma znaczyć?

– To osobista wiadomość, o której wspomniał Charlie. Odpowiedź powinna być oczywista wyłącznie dla ciebie. Czy ty i Charlie... ?

– Daj spokój.

– Chciałem tylko...

– Na pewno chodzi mu o nasz wieczór w Nowym Jorku – stwierdziła. – Od dwudziestu lat nie zdarzył nam się inny. Poszliśmy do Harry s Grill przy Trzydziestej Czwartej Zachodniej. – Umilkła i przez chwilę spoglądała nieobecny wzrokiem na monitor, próbując przypomnieć sobie szczegóły.

– Wydarzyło się tam coś specjalnego? – spytał Philip.

– Jedliśmy wspaniałe creme brulee.

– Spróbujmy – powiedziała Jo.

Philip napisał „creme brulee” i ekran zgasł na moment, nim pojawiła się nowa wiadomość:

### CIEPŁO, ALE TO NIE TO. ZOSTAŁY TYLKO DWIE PRÓBY

– Szlag! – mruknął fotograf.

– Jak to? Myślałam, że to właśnie to. – Laura syknęła ze złością i odwróciła się ku córce.

Jo wzruszyła ramionami.

– Widocznie to za proste. – Pochyliła się nad krzesłem Philipa. – Dobra. Mamy jeszcze dwie próby i koniec. Bądźmy nieco ostrożniejsi.

– Przecież to niemożliwe – powiedziała Laura. – To może być cokolwiek...

– Tak, ale to wasz osobisty kod, mamó, coś, co powinnaś skojarzyć od razu.

– Od razu skojarzyłam creme brulee, Jo...

– Spokojnie – wtrącił się Philip. – Pomyślmy. Podpowiedź Charliego brzmiała: „Podobało ci się to tamtego wieczoru”. Co jeszcze mógł mieć na myśli? Jesteś pewna, że chodziło mu o tamten wieczór w Nowym Jorku?

– Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? – Laura czuła rosnącą irytację.

– Moim zdaniem dobrze kombinowałaś – odezwała się Jo. – Charlie powiedział: „ciepło”, więc chyba chodziło mu o ten wieczór w restauracji. Tylko że hasłem może być „creme”, „brulee”, „cb” albo cokolwiek innego.

Nie odzywali się jakiś czas. Joanna zamarła zamyślona, a Laura wpatrywała się w ekran, przeczesując palcami włosy.

– Chyba masz rację – odezwał się w końcu Philip. – To może być cokolwiek, ale Charlie dał Laurze podpowiedź po pierwszej próbie. Może potrzebujemy więcej informacji?

– Zgoda, ale zostanie nam tylko jedno podejście.

– A masz lepszy pomysł? – odparował Bainbridge.

– Zaraz – powiedziała nagle Laura. – A czy po trzeciej pomyłce nie możemy po prostu wyjąć płyty i zacząć od początku?

– Wątpię – odparła Joanna. – Przypuszczam, że wymazałaby własne dane. Albo uległa samozniszczeniu, jak w *Mission Impossible*.

– Cudownie.

– Tata chyba ma rację. Bez dalszych wskazówek możemy zgadywać do rana. Spróbujmy, trzymając kciuki za jak najbliższy strzał.

– Nie brzmiało to zbyt naukowo – rzekł Philip.

– Może po prostu brulee? – zasugerowała Jo. Laura wzruszyła ramionami.

– Niech będzie.

Philip wpisał słowo. Po chwili wyświetlił się nowy komunikat:

TO MIAŁO BYĆ ŁATWE!

JESTEŚ O RZUT KAMIENIEM OD CELU.

TYLKO SZEŚĆ LITER, SKARBIE

– Cholera – warknęła Laura i odetchnęła przez zaciśnięte zęby. A potem nagle klasnęła.

– Nie, no jasne. To jest to!

– Co takiego?

– Już sobie przypomniałam. Właśnie zaczynaliśmy jeść creme brulee, gdy z głośników popłynęła *Brown Sugar* Rolling Stonesów. Charlie zażartował z tego zbiegu okoliczności: przypalony krem i karmel... – Pochyliła się nad Philipem i ułożyła dłoń na klawiaturze.

– Zaczekaj – powiedział, obracając się ku niej. – Co chcesz wpisać?

– Sześć liter, rzecz jasna. Charlie tak sobie życzył. To musi – być „kamień”. Rolling Stones: toczące się kamienie. A o co w tym wszystkim chodzi? Czego poszukuje Zakon Czarnego Sfinksa? Czego tak pragnął Newton? – pytała. A potem, zanim zdążyli coś powiedzieć, wpisała sześć liter i nacisnęła ENTER.

Ekran zgasł. Po chwili czerń nagle ustąpiła miejsca bieli i wyświetliło się słowo: GRATULACJE.

Laura odetchnęła głęboko. Raz jeszcze nacisnęła ENTER i na ekranie pojawił się nowy, bardziej skomplikowany komunikat: ciąg wyrazów i rzędy cyfr.

CZARNY, BIAŁY, ŻÓŁTY, CZERWONY

3, 5, 12, Nowy Jork



67498763258997  
86746496688598  
97684795900082  
08736047437980  
73849096006064  
87474877345985  
47932768480950

Ponizej znajdował się blok tekstu złożony z setek liter nie oddzielonych spacjami.

– To wszystko? – spytał Philip, przewijając obraz w dół. Niczego więcej nie znalazł.

– Wiesz – odezwała się Joanna – wasz przyjaciel Charlie Tucker jest swoistą legendą na Wydziale Matematyki. – Pokazała ojcu, by ustąpił jej miejsca.

Laura spojrzała na nią z ukosa.

– Fakt, nie był daleki od prawdy, gdy nazwał się geniuszem.

– Jeszcze jakim! Profesor Norrington, nasz wykładowca teorii grup, pamięta go z czasów, gdy zaczynał pracę w Oksfordzie. Zanim wybrał karierę akademicką, współpracował z CIA i MI5, specjalizując się w łamaniu szyfrów. Twierdzi, że Charlie był jedynym znanym mu matematykiem potrafiącym opracować kody, które dla niego były zbyt trudne.

– Dobrze, ale przecież Charlie chciał, żebyśmy poznali te informacje, prawda?

– Jasne – odrzekła Jo. – Tylko że szyfrowanie ma we krwi. Nie mógłby tak po prostu ujawnić danych.

– Pięknie – mruknęła Laura, odchodząc w stronę kanapy.

– Na szczęście – dodała Jo – znam jeszcze jednego geniusza... A moim przedmiotem kierunkowym na pierwszym roku jest teoria grup, bardzo ważna przy łamaniu szyfrów. – Rozciągnęła palce i spojrzała na ekran. – W dodatku uwielbiam wyzwania.

## Rozdział 33

### Oksford, 30 marca, wczesny ranek

Mamo... Mamo, obudź się.

Laura otworzyła oczy i skupiła wzrok na twarzy pochylonej nad nią Jo. Usiadła szybko, przyciskając palce do skroni. Westchnęła i na powrót opadła na poduszki kanapy.

– Boże, która to godzina?

– Czwarta piętnaście.

– Gdzie Philip?

– Tutaj – odpowiedział, wchodząc do salonu z tacą. – Myślę, że wszystkim nam przyda się łyk kawy. – Postawił filiżanki na ławie obok kanapy. – A na pewno przyda się Jo, bo ty przespałaś całą akcję.

Laura spojrzała na niego nieprzytomnie.

– O czym ty mówisz, Philipie? Bainbridge uśmiechnął się do Jo.

– Nasza córka złamała szyfr Charliego.

– No, złamałam częściowo – poprawiła go dziewczyna.

Laura nagle oprzytomniała. Sięgnęła po kawę i usiadła prosto na kanapie.

– Mów od początku, tylko powoli – poleciła.

Joanna trzymała plik papierów.

– Próbowałam wszystkich sposobów, ale jakoś mc z tego nie wychodziło. Wiesz, trzeba eksperymentować. W końcu zaczęłam się zastanawiać nad tym, co Charlie powiedział o rubinowej kuli i skytale. I nagle przyszło mi do głowy, że szyfr, którego użył na płycie, to także skytale. Kolejnym ważnym tropem była liczba 3, 5, którą zapisał po liście kolorów. Dalej mamy blok cyfr – ciągnęła. – Siedem rzędów po czternaście na pozór przypadkowych liczb całkowitych. Wydało mi się prawdopodobne, że tworzą one kombinację liczbową, znaczącą sekwencję. Postanowiłam więc wydrukować te cyfry i zwinąć papier w tubę o średnicy dokładnie trzech i pół centymetra.

– I liczby pasowały do siebie?

– Nie.

– Jak to?

– Nie było to aż takie proste, jak myślałam. Utknęłam na jakiś czas, ale potem raz jeszcze przeczytałam kod. Po liczbie 3, 5 widniał napis: „12, Nowy Jork”.

Uznałam, że „Nowy Jork” to odniesienie do wizyty Charliego w Stanach i że być może później będzie to istotne.

– I wtedy – wtrącił Philip – Jo błysnęła prawdziwym geniuszem.

Joanna uśmiechnęła się do ojca.

– Pochlebstwem uzyskasz wszystko, tato. Ale teraz, kiedy o tym myślę, rozwiązanie wydaje mi się całkiem oczywiste. Nowy Jork to nazwa czcionki. Musiałam wydrukować blok cyfr, używając czcionki Nowy Jork w rozmiarze dwanaście.

– I tym razem wyszło?

– Rewelacyjnie.

– Zatem znowu skytale.

– Problem w tym, że wciąż miałam przed sobą te same dziewięćdziesiąt osiem cyfr: siedem rzędów po czternaście. Szukałam jakiegoś oczywistego wzorca, wiesz, czegoś takiego jak liczby od jednego do siedmiu, czegoś naprawdę prostego, ale nie udało mi się.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Straciłam dobrą godzinę, drepcząc w ślepym zaułku. Szukałam zależności między liczbami, na przykład podwajania wartości poprzedniej liczby: 3, 5, 7, 14. Jestem pewna, że Charley specjalnie zawarł w tym kodzie takie fałszywe tropy. Wreszcie, gdy doszłam do wniosku, że to droga donikąd, zaczęłam rozmyślać o tych kolorach. I wtedy pomógł mi tata.

– Potrafię coś jeszcze poza parzeniem kawy – oznajmił Philip.

– Miło mi to słyszeć, bo ta jest okropna – powiedziała Laura, krzywiąc się niemiłosiernie. – Żartowałam. Mów dalej.

– Tata pracował na komputerze, usiłując dowiedzieć się jak najwięcej o tych alchemicznych sprawach, o których opowiadał Charlie. Ja siedziałam przy stole z kartką i długopisem, bo nieraz się przekonałam, że to najlepszy sposób.

– I tak się szczęśliwie złożyło – dokończył Philip – że kiedy Jo znowu utknęła, znalazłam trochę informacji o *Szmaragdowej Tablicy* oraz tym, co alchemicy próbowali zrobić z umieszczonymi na niej inskrypcjami. W całej sieci nie znajdziesz absolutnie nic o rubinowej kuli, ale tego chyba można się było spodziewać.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała Laura niecierpliwie.

– Przeważnie głupot – odparł Philip. – W pracy alchemików trudno się doszukać spójności. Wszyscy mieli obsesję na punkcie tajemnicy. Łatwo zrozumieć, dlaczego Charlie tak się w to wciągnął: wszędzie szyfry, tajemne

języki, wzajemne ukrywanie sekretów. Wyraźnie nie lubili dzielić się wiedzą, a każdy inaczej interpretował odkrycia. Najczęściej opisy osiągnięć, które zostawili po sobie, są sprzeczne. Jednakże – odetchnął głęboko, przecierając oczy – kilka cech ich łączyło. Po pierwsze, zaczynali od pewnego zestawu substancji chemicznych, które mieszała i podgrzewali, by przekonać się, co się stanie. Po drugie, niemal wszyscy korzystali z tekstu *Szmaragdowej Tablicy*, a potem postępowali zgodnie z „przepisem”, ze się tak wyrażę. W większości eksperymentów obserwowali te same zmiany barw. Podgrzewana mieszanina była najpierw czarna, potem biała, żółta i w końcu czerwona.

– Aha.

– Żebyś wiedziała, że aha – rzekł Philip.

– Z początku niewiele mi to pomogło – powiedziała Joanna. – Tyle że skupiłam się na kolorach z wiadomości Charliego oraz na tym, jaki mają związek z rzędami cyfr. Związek bowiem wydawał się oczywisty. W kryptologii wszystko ma swój cel, a Charlie jest... był jej mistrzem.

– Powiedz wreszcie, co zrobiłaś.

– Niewiele. Po prostu wpatrywałam się w cylinder pokryty cyframi – odparła z uśmiechem Joanna. – A potem nagle to zobaczyłam.

– Co?

– Cyfry 6, 5, 5, 8 w jednej z kolumn papierowego skytale.

– Słowo „czarny” to sześć liter, „biały” pięć liter i tak dalej? – domyśliła się Laura.

– Właśnie. To się nazywa „klucz”, mamó.

– Dzięki, Jo. Nie jestem Homerem Simpsonem.

– Ten blok tekstu to w istocie lista instrukcji – wtrącił Philip. Pokazał Laurze wydruk.

**PO PIERWSZE. UŻYJ TEGO SAMEGO KLUCZA, ŻEBY ODKODOWAĆ DOKUMENT NEWTONA. PRZETŁUMACZ INKANTACJĘ – MOŻE CIĘ ZAINTERESOWAĆ. DIAGRAM PRZEDSTAWIA LABIRYNT POD BODLEIAN. WCHODZISZ PRZEZ STRUMIEŃ TRILL MILL, DRZWI W ŚCIANIE SZEŚCÍDZIESIĄT TRZY KROKI OD ZACHODNIEGO WEJŚCIA. U DOŁU STRONY WAŻNY CYTAT BĘDZIE CI PÓŹNIEJ POTRZEBNY. POWODZENIA!**

– Fantastycznie, Jo! – krzyknęła Laura. – A teraz moja kolej. Rażno zeskoczyła

z kanapy. – Philipie, poproszę o dokument Newtona – powiedziała. – I o bardzo duży dzbanek twojej doskonałej kawy.

Laura położyła stronicę manuskryptu Newtona na stole w jadalni. Charlie użył kolorowej kopiarki wysokiej rozdzielczości, toteż na reprodukcji widać było każdą zmarszczkę i zagniecenie starego dokumentu. Kopię w kolorze ciemnej ochry otaczał ze wszystkich stron pasek bieli, Tucker bowiem umieścił oryginał na arkuszu świeżego papieru. Szare litery różniły się odcieniem w poszczególnych partiach dokumentu. Niven doszła do wniosku, że Newton używał różnych rodzajów tuszu i dodawał kolejne akapity w sporych odstępach czasu. Wzdłuż krawędzi manuskryptu rozmieszczone były diagramy, ilustracje, symbole i formuły. Laura zastanawiała się nad znaczeniem podobizny baraniego łba, symbolu słońca oraz kilku greckich liter.

Pod nagłówkiem „*Principia chemicum* Isaacus Neuutonus” widniały dwa wersy łacińskiego tekstu.

– W zasadzie tylko podtytuł wygląda mi na w miarę sensowny tekst – powiedziała Laura, pochylając się nad dokumentem, podparta skrzyżowanymi na blacie ramionami.

– Rozumiesz go? – spytali jednocześnie Philip i Jo.

– Boże, gdzie wyście się kształcili? Tłumaczę: „Z manuskryptu mistrza Ripleya i na podstawie moich badań i eksperymentów. Przekład oryginalnego tekstu egipskiego”.

Pozostała część strony podzielona była na dwie prawie równe części. W pierwszej znajdował się tekst podobny do bloku liter, który Charlie umieścił na dysku. Poniżej widniał cokolwiek niedbale nakreślony diagram z siecią krzyżujących się linii, które przypominały labirynt korytarzy. U dołu znowu były linie zaszyfrowanych znaków, a następnie jeszcze jedno zdanie po łacinie:

ALUMNUS AMAS SEMPER UNICUM TUUM DEUM

– Znowu coś dla ciebie, mamó – zauważyła zmęczona Joanna.

– Tak... Trochę dziwne to zdanie. Dosłownie znaczy ono: „Uczniu, kochaj zawsze... wyłącznie, chyba... twój... Boga”. Dość niezgrabnie to brzmi, więc chyba lepiej będzie tak: „Adepcie... ” Tak, to słowo jest zdecydowanie lepsze... „Adepcie, zawsze miłuj swego Boga”.

– Adepcie, zawsze miłuj swego Boga? To coś w rodzaju motta? Sygnatury na końcu dokumentu? – zastanawiał się Philip.

– Możliwe. Niewykluczone, że to zwyczajowe pozdrowienie alchemików, jak „Bóg z tobą” albo „Wszystkiego dobrego”. – Laura wzruszyła ramionami. – Nie wygląda na to, by było szczególnie przydatne. Lepiej użyjmy klucza do rozszyfrowania pierwszego bloku.

– Sześć, pięć, pięć, osiem – powiedziała Joanna. – Czyli szósta litera, jedenasta, szesnasta, dwudziesta czwarta.

Prześledzili cały tekst, a Philip zapisywał kolejne litery na osobnej kartce. Po kilku minutach z pierwszego bloku uzyskali dziewięć linii nowego tekstu.

– Oczywiście po łacinie – zauważyła Laura. – Mogę przetłumaczyć pierwszych parę słów, chociaż nie ma między nimi odstępów.

Dwadzieścia minut później z ciągu liter powstał akapit łacińskich słów, które następnie Laura przetłumaczyła i zapisała na nowej kartce.

Tyś jest Merkury, potężny kwiat,  
Tyś jest najbardziej godzien czci,  
Tyś jest źródło Słońca, Księżycy i Marsa,  
Tyś jest stwórca Saturna i początek Wenus,  
Tyś jest Imperator, Księżę i Król Królów,  
Tyś jest ojcem Zwierciadła i stwórcą Światła,  
Tyś jest głową i najjaśniejszym władcą.  
Wszyscy Ciebie czczą.  
Wszyscy Ciebie czczą. Dawco prawdy.  
Ciebie szukamy, Ciebie błagamy, Ciebie witamy.

– Bełkot – rzucił pogardliwie Philip.

– Ale też bez wątpienia tekst inkantacji. Mogę tylko przypuszczać, że tymi słowy Zakon Czarnego Sfinksa chciał wezwać czarta.

– I właśnie ich potrzebuje dzisiejszy Zakon, żeby odprawić swój rytuał.

– A Charlie podał im zmieniony tekst...

– Po co w ogóle go zmieniał, skoro to i tak bzdury? – spytała Joanna.

– Bo w nie wierzył, Jo. Nigdy do końca nie rozumiałam, jak ktoś tak inteligentny może się wciągnąć w te sprawy, a jednak... Dla Charliego ta inkantacja naprawdę była sposobem na wezwanie diabła, podobnie jak dla członków Zakonu. Newton także w to wierzył, choć trzeba pamiętać, że żył w całkiem innych czasach, gdy magię i czary przyjmowano tak, jak dziś przyjmujemy naukowo stwierdzone prawdy.

– Jeśli o mnie chodzi, mogą sobie wierzyć nawet w potwora z Loch Ness – rzekł Philip. – Musimy tylko zrobić wszystko, żeby zapobiec kolejnym morderstwom, a do najbliższego zostało ledwie dwanaście godzin.

Laura zaczęła się przyglądać diagramowi.

– To musi być ten labirynt – powiedziała.

– Do którego można wejść... którądy? – spytała Joanna.

– Przez strumień Trill Mill.

– A cóż to takiego?

Laura spojrzała na Philipa i oboje się roześmiali.

– Biedactwo, jest tu ledwie parę miesięcy – powiedział Philip.

Joanna przewróciła oczami.

– O mędrcy, udzielcie mi, proszę, swej pradawnej wiedzy.

– To dość słynny strumień, Jo. Wypływa z łąki Christ Church i biegnie pod miastem. Ma mniej więcej milę długości. Gdy T E. Lawrence był jeszcze młody, wiosłował po nim.

– Poważnie?

– Tak. A według legendy, w latach dwudziestych ktoś znalazł w kanale łódź z parą szkieletów w wiktoriańskich strojach. Nieszczęśnicy utknęli pod ziemią i pomarli.

– Historia z dreszczykiem – skrzywiła się Jo. – To brzmi jak scenariusz trzeciorzędного horroru.

– Obawiam się jednak, że to straszna prawda – rzekł Philip.

– A my – powiedziała Laura – wkrótce się tam znajdziemy.

## Rozdział 34

### Oksford, 30 marca, południe

Posterunek tętnił życiem, gdy detektyw główny inspektor John Monroe otworzył drzwi i wszedł do gmachu. W sali dwaj funkcjonariusze szarpali się właśnie z młodym, pijanym kibicem w żółto-czarnym szaliku i takiejż czapce z pomponem.

– Cały wagon z Watford. Wszyscy pijani jak świnię – wyjaśnił konstabl Hornet, gdy Monroe zbliżył się do jego stanowiska. Detektyw bez słowa położył na kontuarze plik papierów i pchnął go w stronę dyżurnego. – Aha, w trójce czeka od pół godziny niejaki Bridges – dodał Hornet. – Zgłosił się też świadek w sprawie zniknięcia Lightmana. Starsza pani twierdzi, że widziała, jak dwóch mężczyzn wywlekało profesora z samochodu tuż pod jej domem w Norham Gardens. Oto zeznanie.

Monroe podziękował mu gestem i ruszył w stronę korytarza. Spojrzał na zeznanie staruszki, ale postanowił, że przeczyta je później. Wszedłszy do pokoju przesłuchań numer 3, zobaczył Malcolma Bridgesa siedzącego przy stole pod oknem, w głębi pomieszczenia.

– Przepraszam za spóźnienie, panie Bridges.

Młody mężczyzna zaczął się podnosić.

Monroe usiadł ciężko na krześle po drugiej stronie stołu. Oparł się łokciami o blat i potarł oczy.

– Profesor Lightman... Dobrze go pan zna? – spytał.

Bridges poruszył się niespokojnie.

– Tak, tak. Pomagam mu w bibliotece.

– I w domu?

– Owszem. Dobrze płaci. – Bridges pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

– Istotnie – przytaknął Monroe z kamienną twarzą. – Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Przedwczoraj wieczorem, mnie; więcej o siódmej, w jego domu przy...

– Wiem, gdzie on mieszka, panie Bridges.

Młodzieniec zakaszłał nerwowo.

– Ma pan jakieś nowe informacje w sprawie jego zniknięcia?

Monroe przyjrzał się badawczo młodemu naukowcowi. Jego ciemne ubranie



było schludne, ale długie, gładko zaczesane do tyłu włosy sprawiały, że wyglądał mizernie. Był chorobliwie szczupły i miał nadzwyczaj bladą cerę, jakby spędzał zdecydowanie zbyt wiele czasu w bibliotekach i laboratoriach.

– Jak długo zna pan profesora Lightmana?

– Mniej więcej dwa lata. Poznałem go, gdy pracowałem nad doktoratem. Wcześniej kształciłem się w Cambridge.

– Rozumiem. A czy zna pan dobrze Russella Cunninghama?

– To student pierwszego roku na naszym wydziale. Mam go w grupie na ćwiczeniach. Szczerze mówiąc, nie jest orłem. Za wiele rzeczy odrywa go od nauki. A co Cunningham ma wspólnego z tą sprawą?

– Jak dobrze go pan zna?

– Nie za dobrze – odparł Bridges po krótkim namyśle. – Spotykamy się w cztery oczy raz na dwa tygodnie, bo nadzoruję jego pracę. Poza tym widuję go co jakiś czas na wydziale. Nie mogę powiedzieć, by przypadł mi do gustu.

– Dziwne stwierdzenie – zauważył Monroe, unosząc brwi.

– Szczerze mówiąc, moim zdaniem on marnuje czas w Oksfordzie. Powinien robić coś w City. Zdaje się, że studiuje tu na – życzenie ojca. Ludzie tacy jak Nigel Cunningham wysyłają synów do Oksfordu, żeby poprawić własny – wizerunek. Chce się tym chwalić.

– Słowem, nie przepada pan za Russellem?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu...

– Nie lubi pan takich jak on.

– „Nie lubię” to za mocne słowa... Powiedzmy, że nie interesują mnie tacy.

– Zgoda – rzekł z westchnieniem Monroe. – A może mi pan powiedzieć, gdzie przebywał, gdy doszło do niedawnych morderstw?

– Co takiego?! – Bridges był głęboko wstrząśnięty. – Zdawało mi się, że zostałem tu wezwany, żeby pomóc w odnalezieniu profesora Lightmana.

– To prawda. Ale badamy wszelkie możliwe powiązania. Russell Cunningham jest podejrzanym...

– Naprawdę?

– ... a pan z nim współpracuje. Pracuje pan też dla profesora Lightmana. Powie mi pan więc, gdzie był nocą z dwudziestego na dwudziestego pierwszego marca, między dziewiętnastą a czwartą trzydzieści nad ranem?

Bridges potarł ucho.

– Dwudziestego byłem cały dzień w Londynie... To był poniedziałek, prawda? Poszedłem na spotkanie Królewskiego Towarzystwa Psychologicznego przy Pall

Mail.

– O której wrócił pan do Oksfordu?

– Zdaje się, że około dwudziestej drugiej, może pół godziny później. O dziewiętnastej przebywałem w jednej sali z co najmniej pięćdziesięcioma innymi psychologami.

– Przerazające. A co ze środowym wieczorem dwudziestego drugiego? Był pan wtedy w Oksfordzie?

Bridges spojrzał na blat stołu.

– W środy prowadzę ćwiczenia o dziewiętnastej trzydzieści, więc musiałem być na Wydziale Psychologii do dwudziestej czterdzieści pięć, może dwudziestej pierwszej.

– W przedostatnią środę również miał pan zajęcia?

– Tak.

– Trwały godzinę?

Bridges skinął głową.

– Czy ktokolwiek widział tam pana po dwudziestej trzydzieści?

– Po zakończeniu ćwiczeń jak zawsze zostało trochę osób. Rankin wyszedł wcześniej, mniej więcej o ósmej. Wpadł do laboratorium i zamieniliśmy kilka słów. Studenci znikają natychmiast po zajęciach, ale zostało paru kolegów z podoktoranckich.

– Rozumiem. Czyli teoretycznie mógł pan zabić drugą i trzecią kobietę.

Bridges zbladł.

– Jak pan może w ogóle sugerować coś tak absurdalnego?

– Od miejsca zbrodni dzieli pański gabinet ledwie pięć minut jazdy samochodem.

– To absurd! Mnóstwo miejsc dzieli od mojego gabinetu pięć minut jazdy. Dlaczego miałbym kogoś mordować? Widzi pan jakiś motyw... ?

– Proszę się uspokoić, panie Bridges. Nie powiedziałem, że popełnił pan te morderstwa. Stwierdziłem tylko, że mógł je pan popełnić.

Psycholog spoglądał na Monroe z narastającą wrogością.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania, detektywie?

– Nie, dziękuję, panie Bridges. Nie w tej chwili. Był pan bardzo pomocny – dodał, wstając. – Ale mógłby pan jeszcze coś dla nas zrobić. Zechciałby pan zostawić nam próbkę swego DNA?

Gdy Monroe wyszedł z pokoju przesłuchań, młodszy technik z laboratorium

wkroczył do środka z zestawem testowym i zbliżył się do siedzącego Bridgesa.

Na korytarzu było już spokojniej. Dwóch kibiców piłkarskich pozostało w celi, a resztę odesłano do Watford na trzy godziny przed rozpoczęciem meczu w Headnigton. W drodze do swego biura detektyw zatrzymał się przy kontuarze w holu.

– Hornet – zawołał do młodego konstabla, który siedział przy komputerze.

– Tak, sir?

– Jak idą przesłuchania studentek?

Funkcjonariusz zajrzał do wielkiego notatnika leżącego na blacie.

– Greene, Matson i Thompson rozmawiają z nimi równolegle w czwórce, piątce i siódemce. Mamy już – przesunął palec na dół strony – niech no sprawdzę... dziesięć, jedenaście, czternaście przesłuchanych, licząc z tymi trzema.

– W porządku – mruknął Monroe i w zamyśleniu zabębnił palcami o oprawę notatnika.

Ucieszył się, gdy wreszcie dotarł do swojego biurka i zamknął drzwi oddzielające go od reszty świata. Niepokoiło go to, co się działo. Młodszy funkcjonariusze byli podekscytowani tym, co poprzedniego dnia znaleziono w mieszkaniu Cunninghama, ale Monroe czuł, że coś jest nie tak. Dzieciak na pewno nie był normalny, ale to nie czyniło go mordercą. Ktokolwiek zabił trzy dziewczyny i Simona Weldinga, był zawodowcem, a nie zboczonym, obrzydliwie bogatym i działającym z nudów dzieciakiem. I jaka była w tym wszystkim rola Bridgesa? Wyglądał na diabelnie zdenerwowanego, ale może taką miał właśnie naturę? Monroe nie wyczuł, by Bridges cokolwiek ukrywał.

A jednak mógł dokonać ostatnich morderstw, rozumował detektyw. Ale to na nic – przecież wszystkie zbrodnie zostały popełnione przez tę samą osobę. Jeżeli Bridges nie mógł popełnić pierwszej, był czysty.

Monroe pomyślał o dowodach zbadanych przez techników. Kawalek skóry i tworzywa sztucznego. Żadnych dodatkowych tropów. I jeszcze ślad krwi na miejscu drugiego morderstwa, który nie pasował do jakiegokolwiek próbki z policyjnych archiwów.

Rozsunął papiery na biurku, szukając raportu z badań laboratoryjnych. Leżał na samym dnie. Na drugiej kartce widniał wydruk ze spektrometru – opis DNA z plamki krwi znalezionej w domu w pobliżu miejsca, w którym odkryto ciało Jessiki Fullerton. Przez chwilę przypatrywał się zbiorowi linii i kolorowych prostokątów. Czyjś profil, pomyślał. Unikatowy podpis jakiegoś mieszkańca tego świata, zapewne przebywającego gdzieś w pobliżu, może żyjącego w tym mieście. Ale bez

odpowiednika w bazie danych był to ślad praktycznie bezużyteczny.

Monroe rzucił wydruk na biurko i sięgnął po słuchawkę.

– Hornet – rzekł do mikrofonu – natychmiast połącz mnie z Howardem Smalesem z MI5. Będę rozmawiał ze swojego gabinetu.

Raz jeszcze sięgnął po wydruk ze spektrometru. Przyglądał się krzywej na wykresie, gdy zadzwonił telefon.

– Howardzie – powiedział ciepło. – Tak, tak, minęło trochę czasu... Och, wiesz, jak jest. Po staremu... Tak, słyszałem... Gratuluję. Posłuchaj, Howardzie. Zastanawiałem się – właśnie, czy mógłbym poprosić cię o przysługę... Tak między nami, ma to związek z morder... Tak. – Zaśmiał się nieszczerze. – Owszem, mam próbkę, ale nie pasuje do niczego w naszej... Nie, przecież wiem... Mógłbyś? Nie, nie, mogę wysłać od razu... A, tak, zdecydowanie pilna... Wiem, ale tak działa stara ekipa. Ani imprez, jak w twoich kręgach rządowych, ani poważnej forsy... Nie... Byłoby świetnie... Dzięki, Howardzie. Jestem twoim dłużnikiem.

## Rozdział 35

**Okolice Woodstock, 30 marca, 14. 00**

Philip zdążył złapać jedynie kilka godzin snu, zanim wezwano go na posterunek w Oksfordzie. Cztery godziny później, kupiwszy kanapkę na wynos w piekarni opodal Carfax, wracał już do Woodstock, gdy zadzwonił telefon komórkowy.

– Jak idzie? – spytała Laura.

– O, już wstałaś?

Westchnęła.

– Właściwie to wstałam, kiedy tylko wyszedłeś. Pojechałam do domu Jamesa Lightmana. Miałam nadzieję, że złapię Bridgesa, ale nie było go tam.

– Monroe podobno odkrył związek między ofiarami. Nie widziałem się z nim, a jego ludzie byli szczególnie małomówni. Wygląda na to, że kazał im milczeć. Dowiedziałem się jednak, że wszystkie zamordowane dziewczyny brały udział w badaniu psychologicznym, które zespół naukowców prowadził na uniwerku w zeszłym roku.

– Naprawdę? – W głosie Laury słychać było podniecenie. – Jakiego rodzaju było to badanie?

– Nie znam szczegółów. Podobno dla ochotników: dzień testów psychologicznych w zamian za kupon na książki wartości pięćdziesięciu funtów czy coś w tym guście. Zebrali czterdzieści kilka dziewcząt.

– Żadnych nazwisk?

– Tylko Monroe i paru oficerów ma listę... Nic więcej nie wiem, bo wszyscy trzymają język za zębami. Gdzie jesteś?

– W pobliżu domu. Właśnie wjeżdżam do Woodstock.

– W takim razie jestem niedaleko za tobą. Do zobaczenia na miejscu.

Kilka minut później Philip zaparkował na podjeździe i ze zdziwieniem zauważył Laurę w drzwiach kuchni. Wyglądała na udręczoną.

– Co się stało?

– Miałeś włamanie.

Bainbridge szybkim krokiem ruszył za Laurą przez jadalnię do salonu. Komputer leżał w kawałkach na podłodze. Papiery wały się wszędzie, regały na książki zostały wywrócone, a obrazy matki wisiały pod dziwaczными kątami. Philip przysiadł na oparciu kanapy, skrzyżował ramiona na piersi i w milczeniu

przyglądał się pobojuwisku. W końcu westchnął ciężko, czując, że wzbiera w nim gniew.

– Przepraszam, Philipie – odezwała się zniecierpliwiona Laura.

– Przepraszasz? Dlaczego?

– Bo to ja wplątałam cię w tę aferę. Ja i moje szalone pomysły. I tak straciliśmy wszystko, co zostawił nam Charlie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wystarczy się rozejrzeć – odparła, machając ręką. – To nie robota bandy smarkaczy albo przypadkowego złodzieja.

– Masz rację – zgodził się Philip. – Ale nie musisz się martwić o rzeczy Charliego. Przeczynałem, że coś takiego może się wydarzyć... I dlatego na wszelki wypadek trzymałem te materiały przy sobie. Są w samochodzie.

## Rozdział 36

### Dworzec autobusowy Victoria, Londyn, 30 marca, 17. 00

Gail Honeywell, opalona blondynka o włosach spłowiałych od wiosennego greckiego słońca, rzuciła plecak na podłogę poczekalni dworca autobusowego Victoria, starannie unikając wilgotnej jeszcze gumy do żucia oraz smugi czegoś, co – miała nadzieję – było czekoladą. Wyjęła z kieszeni kartę telefoniczną i zrobiwszy dwa kroki, wsunęła ją do szczeliny automatu. Zaskoczona, że telefon działa, wystukała szybko numer swego chłopaka i czekała na połączenie.

– Ray – powiedziała z podnieceniem. – Cześć, jestem już w Londynie... Mam mało impulsów... Nie, było świetnie. Profesor Truman to taki luzak. W dodatku mam wrażenie, że odwaliliśmy dobrą robotę. Tylko ze... sześć tygodni to bardzo dużo. Nie mogę się doczekać, kiedy będę w domu. I kiedy cię zobaczę... – Za półprzezroczystymi szybami widziała manewrujące autobusy i wsiadających lub wysiadających pasażerów. Kierowca w służbowym uniformie mignął za drzwiami pustej sali. – Złapię ten o piątej trzydzieści, więc powinnam być w Headington mniej więcej za dwadzieścia siódma... Nie, nie musisz po mnie wychodzić. Dzisiaj mecz, prawda?... Tak, tak... Nie, Ray, nie... O jakich morderstwach? O Boże, naprawdę?... Cholera, żartujesz. On ją znał?... Tak, tak... Nie, jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko... Nie, głuptasie. Boże, ja też za tobą tęskniłam. Podobało mi się tam, ale nie ma to jak w domu. – Milczała jeszcze chwilę, słuchając, zanim odpowiedziała: – Nie, nie ma sprawy... W porządku... Pa. Kocham cię... – I w tym momencie skończyły się impulsy.

Gail odwiesiła słuchawkę i podniosła plecak dokładnie w chwili, gdy mężczyzna w uniformie zajrzał do sali.

– Czekasz na piątą trzydzieści do Oksfordu, skarbie? – spytał.

Skinęła głową.

– Mam wolne miejsce na piątą dziewięć. Jakaś starsza pani źle się poczuła. Napije się herbaty i pojedzie późniejszym. Chcesz się zabrać?

– Dzięki – rzuciła Gail. – Świetnie.

Akolita siedział w czarnej toyocie przed domem Raymonda Delawarea. Tego popołudnia zdecydował ostatecznie, że użyje ciała Gail Honeywell. Nie miała najlepszego profilu medycznego, ale dwie inne kandydatki były trudniejszymi

celami. Ann Clayton przebywała na fenach wielkanocnych we Francji, a Sally Ringwald o dziewiętnastej czternaście – w chwili, gdy należało przeprowadzić procedurę – miała być wraz z sześciuset innymi osobami na ceremonii wręczenia nagród zorganizowanej przez Wydział Teologii.

Studentka archeologii Gail Honeywell sześć tygodni pracowała przy wykopaliskach w Grecji, ale przed godziną Akolita upewnił się, że po południu wróciła do Wielkiej Brytanii. Dziekanat Wydziału Archeologu potwierdził przybycie całej ekipy. Dodatkowym źródłem informacji była baza danych armatora promowego, do której bez trudu uzyskał dostęp. Wykorzystując podsłuch, który założył dwa tygodnie wcześniej, Akolita wysłuchiwał rozmowy Raya Delawarea z Gail Honeywell, która zadzwoniła z londyńskiego automatu. Miała wysiąść z autobusu u zbiegu Headington Road i Marston Road w St Clements mniej więcej o osiemnastej czterdzieści. To oznaczało, że miał nieco swobody; autobusy rzadko się spóźniały, ale będzie przygotowany.

O osiemnastej dziewięć – nieco wcześniej, niż Akolita się spodziewał – Raymond Delaware wyszedł z domu przy South Parks Road. Nie więcej niż półtorej mili dzieliło dom od przystanku autobusowego; droga wiodła przez University Parks i dalej cichą, zadrzewioną alejką zwaną Mesopotamia Walk, biegnącą wzdłuż wąskiego dopływu Cherwell. Była to ulubiona trasa przechadzek tej pary. Akolita wiedział o tym, bo niejedną raz podążał za nimi.

Klnąc głośno, zabójca obserwował, jak Raymond Delaware oddala się na wschód. Chłopak chciał dotrzeć na przystanek przed czasem. Bez wątpienia tęskni za dziewczyną, pomyślał Akolita, po czym ruszył ostro i z niebezpieczną szybkością poprowadził wóz South Parks Road, by zaraz skrócić w prawo w St Cross Road, następnie zaś w Manor Road, ślepią uliczkę, z której przez żelazną bramę można było dotrzeć na łakę na zachód od Mesopotamia Walk.

Miał niespełna dziesięć minut na przygotowanie się. Wskoczył z wozu, przytomnie pilnując, by jego marynarka od Ermenegilda Zegny nie zahaczyła o klamkę. Podeszedł do bagażnika i wyciągnął wielką, zamykaną na suwak torbę oraz pojemnik do transportowania organów, taki sam jak ten, którego użył z góią tydzień wcześniej, przewożąc nerki Samantha Thurow. Pochylił głowę, by nie zostać zapamiętanym przez ciekawskich z okolicznych domów, i ruszył – w stronę bramy.

Był nadzwyczaj sprawny, więc choć pojemnik na organy ważył ponad piętnaście kilogramów, a łaka była podmokła i błotnista, poruszał się szybko. Pokonawszy otwartą przestrzeń, dotarł do linii drzew. Panowała cisza, jeśli nie



liczyć dalekiego pomruku samochodowych silników i śpiewu samotnego ptaka gdzieś bliżej. Spojrzał na zegarek. Była osiemnasta czternaście. Słońce wisiało już nisko i ledwie przebijało się przez chmury. W ciągu pół godziny miał zapaść zmrok, ale Akolita nie mógł czekać tak długo – musiał podjąć ryzyko.

Postawił pojemnik na wilgotnej ziemi i rozpiął torbę. W niespełna minutę włożył plastikowy skafander, rękawiczki i maskę. Raz jeszcze spojrzął na zegarek i znieruchomiał, czekając. Spowolnił oddech i uspokoił się, stosując ćwiczenia tantryczne, które wykonywał od wielu lat.

Wciśnięta w fotel obok otyłego faceta w garniturze, Gail Honeywell męczyła się i nudziła coraz bardziej. Bez przekonania czytała powieść, raz po raz spoglądając przez okno na szare londyńskie przedmieścia, zanim autobus dotarł do autostrady, a potem już tylko na zielone pola w cieniu ołowianych chmur.

Po dziesięciu minutach jazdy autostradą sąsiad dziewczyny zasnął. Gail ostrożnie uniosła gazetę, która leżała na jego kolanach, i zaczęła czytać. Najważniejszą wiadomością dnia była zapowiedź strajku kolejarzy. Zaraz potem uwagę przykuwały kolejny skandal w rodzinie królewskiej oraz wyczyny łóżkowe mało znanego parlamentarzysty z Partii Pracy. Podczas wykopalisk rzadko mieli dostęp do prasy, a telewizji nie oglądali wcale. Radio nadawało wyłącznie po grecku, ale ani studentom, ani ich nauczycielom nie zależało specjalnie na wiadomościach ze świata otaczającego ich miniaturowe niebo ukryte w ateńskich piaskach.

Na stronie czwartej Gail znalazła krótką notkę o morderstwach, które Ray opisał jej przez telefon, ale niewiele się z niej dowiedziała. Odłożyła gazetę na kolana mężczyzny i wyjrzała na drogę. Przez moment tęskniła za słoneczną Grecją i ukochaną pracą. Zaraz jednak pomyślała o Rayu, łagodnym, delikatnym Rayu. Jeżeli kiedykolwiek istniał idealny kandydat na męża, to jest nim Ray, stwierdziła. Nie mogła się doczekać, kiedy znowu go zobaczy.

Raymond Delaware pokonał mostek nad Cherwell opodal Parsons Pleasure, ogrodzonego odcinka rzeki, który od ponad stu lat był nudystycznym ustroniem zarezerwowanym wyłącznie dla wykładowców uniwersyteckich. O tej porze, w ponury piątkowy wieczór, było tu cicho i pusto. Chmury były ciężkie od deszczu i większość studentów, którzy pozostali w Oksfordzie, wolała spędzać czas na oglądaniu seriali w telewizji, wycieczkach do pubów albo beztroskiej konsumpcji na The High lub Cornmarket Street.

Tęsknił za Gail bardziej, niż się tego spodziewał. Sześć tygodni rozłąki

wydawało mu się wiekiem. Wiedział już, że ta dziewczyna jest kimś szczególnym, jest znacznie ważniejsza niż inne, które poznał na pierwszym i drugim roku studiów. Nie lubił snuć zbyt dalekich planów i myśleć zbyt poważnie o przyszłości, ale jednocześnie nie umiał się wyprzeć swych uczuć.

Po paru minutach był już na szerokiej, wysadzonej drzewami alejce biegnącej między rzeką a rozmokłą łąką. Często przychodzili tu z Gail. Najbardziej lubili to miejsce w środku zimy, w styczniu, gdy chronili się przed mrozem i wiatrem w mocnym uścisku. Najstarsi mieszkańcy nie pamiętali, by w Oksfordzie spadło więcej śniegu niż ostatniej zimy, a w niektórych miejscach na Cherwell pojawił się solidny lód. Ścieżka wyglądała wtedy po prostu baśniowo, jak część fantastycznego pejzażu. Nawet teraz jednak, gdy drzewa ociekały wodą, a w powietrzu czuło się kolejną ulewę, zakątek ten wciąż pełen był trudnego do zdefiniowania czaru.

Raymond myślał właśnie o tym, gdy usłyszał za plecami dźwięk – jakby trzask pękającej gałązki. Obracając się, poczuł nagle ostre pieczenie szyi. Przestraszony, odruchowo złapał się za gardło. Spomiędzy palców chlusnęła mu krew; przez sekundę patrzył w bezruchu na czerwone strumienie. Wtem poczuł, że jakaś siła odciąga jego głowę do tyłu. Konary drzew zawirowały mu przed oczami i zaczął się dławić. Krew spływała mu po twarzy, do nosa i oczu, oślepiając go. Stracił równowagę i przez chwilę miał wrażenie, że lewituje, a potem – zdumiony i przerażony – runął ciężko na ziemię, uderzając głową o kamień. Próbował się obrócić, stanąć, ale czyjaś dłoń przyciskała jego twarz. Wreszcie poczuł kolejny cios; paliło tak, jakby ktoś wciskał w jego ciało rozżarzony sztylet. Ból rozsadzał mu czaszkę, a członki drgały konwulsyjnie.

Jakimś cudem zdołał unieść rękę i otrzeć zalane krwią oczy. Zobaczył zarys postaci, która pochylała się nad nim, lecz jej twarz była bezkształtną maską. Konwulsje przybrały na sile. Cień, który pochylał się nad Raymondem, oddalił się i wyprostował, by spojrzeć w dół. A potem zapadła ciemność.

Gail popatrzyła na odjeżdżający autobus i zerknęła na zegarek. Osiemnasta dwadzieścia jeden – przyjechała dwadzieścia minut wcześniej. Nogi jej zeszytniały i miała ochotę napełnić płuca świeżym powietrzem. Była zbyt podekscytowana, by czekać na Raya na przystanku. Postanowiła ruszyć alejką w stronę Mesopotamia Walk. Ray na pewno zamierzał przyjść szybciej, a to oznaczało, że spotkają się gdzieś na ścieżce. Może nawet czekał ich prawdziwie hollywoodzki pocałunek w cieniu drzew? Uśmiechnęła się do swych myśli,

zarzucając plecak na ramię.

Skręciła z Marston Road w lewo, na alejkę. Wiedziała, że po krótkim marszu dotrze do pierwszego z dwóch mostków nad wąskimi dopływami rzeki. Minąwszy stary młyn po prawej, miała wyjść na szeroką ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki i zobaczyć Raya nadchodzącego z przeciwka.

Zaczął padać, więc przyspieszyła kroku. Na drugim mostku już biegła, szukając schronienia pod drzewami, a potem skoczyła do młyna. Wielkie drewniane koło, pozostałość po rewolucji przemysłowej, a obecnie element skansenu, było nieruchome; woda przepływała między jego łopatkami. Deszcz zmienił się w ulewę. Ścieżka, drzewa i krzewy ginęły w potokach wody, a hałas spadających kropel prawie zagłuszał szum rzeczki płynącej przez słuzę i omijającej młyn wąskim kanałem. Gail podciągnęła plecak, by zmniejszyć ból barków, i z pochyloną głową wbiegła na ostry zakręt ścieżki.

Usłyszała jakiś dźwięk i uniosła głowę. Dziesięć jardów przed sobą zobaczyła nierzeczywistą scenę. Na ziemi leżało coś, co wyglądało jak pokaźny, zboczony czerwienią wór, a nad nim stał człowiek w lśniącym, mokrym, plastikowym kombinezonie. Maską zasłaniała jego twarz, foliowy kaptur zaś chronił głowę. W dłoni mężczyzny ujrzała wąski metalowy przedmiot, który błysnął w słabym świetle.

Może na dwie sekundy Gail zamarła. A potem nagle pojęła, że ten wór na ziemi to Raymond, a raczej jego ciało, pozbawione życia i skąpane we krwi. Mężczyzna w plastikowym skafandrze już ją zauważył.

Gail Honeywell zsunęła z ramion plecak i pozwoliła mu spaść. Obróciwszy się na pięcie, gnana pierwotnym strachem, który ścisnął jej gardło, zaczęła biec tak szybko, jak potrafiła, ku ścieżce prowadzącej obok młyna. Błyskawiczna reakcja omal nie ocaliła jej życia. Jednak Akolita zareagował jeszcze szybciej. Nim Gail zrozumiała, co się dzieje, i zrzuciła z ramion plecak, niemal pokonał już dzielące ich dziesięć jardów.

Gail dobiegła do mostka. Oddychając głęboko, pędziła teraz szybciej niż kiedykolwiek. Adrenalina pulsowała w jej żyłach. Wskoczyła na mostek i chwyciła drewnianą poręcz, by zachować równowagę. Deski, którymi pokryto przeprawę, były wszakże nasiąknięte deszczówką. W połowie długości mostu prawa stopa Gail trafiła na plamę błota i dziewczyna poślizgnęła się. Niemal udało jej się odzyskać równowagę, ale gdy już myślała, że zdoła zeskoczyć na trawę po drugiej stronie strumienia, nogi ugięły się pod nią. Upadła do tyłu i poczuła impuls bólu, zderzywszy się z barierką.

Akolita dopadł ją w ciągu paru sekund. Wrywała się i kopała, ale złapał ją za nadgarstki. Zdołała ugryźć go w ramię, lecz nie udało jej się przebić zębami mocnego plastiku. Wreszcie przycisnął ją kolanem do mokrych desek. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu; z jej trzewi wydobył się jedynie dziki, zwierzęcy warkot. Akolita włożył rękę do kieszeni i wydobył z niej rolkę grubej taśmy. Wprawnymi ruchami owinał ją nadgarstki dziewczyny i zakleił usta, a potem, nie zwalniając nacisku na jej pierś, spętał kostki.

Wstał i spojrzał na Gail Honeywell. Widziała pod maską jego twarz, na której pojawił się uśmiech satysfakcji. Akolita zerknął na zegarek. Była osiemnasta trzydzieści jeden. Musiał zaczekać czterdzieści trzy minuty, by rozpocząć procedurę, a to oznaczało, że dziewczyna ma przed sobą jeszcze trochę życia. Gdy to sobie uświadomił, poczuł w krzyżu dreszcz podniecenia.

– Wystarczy czasu na zabawę – powiedział cicho.

## Rozdział 37

Oksford, 30 marca, 21. 15

Przemierzając Oxpens Road, widzieli wąskie pasma ciemnopurpurowego nieba między szeregowymi domkami Botley. Oboje pogrążyli się w myślach. Philip z rosnącym niepokojem próbował się skoncentrować na czekającym ich zadaniu, a Laura nie mogła przestać myśleć o kolejnej dziewczynie, która zapewne leżała martwa gdzieś w pobliżu, pozbawiona woreczka żółciowego.

Philip zjechał z głównej drogi i zatrzymał wóz na parkingu opodal Littlegate, na południowy zachód od centrum miasta. Znaleźli się ledwie dwadzieścia jardów od dyskretniej położonego z dwóch wejść do strumienia Trill Mill, na niedużym trawniku obok nowoczesnego biurowca. Od tego miejsca strumień płynął pod ziemią na wschód przez prawie milę, meandrując na głębokości mniej więcej trzydziestu stóp, by ukazać się na powierzchni na terenie Christ Church College, w pobliżu biegnącej wzdłuż muru alejki zwanej Deadmans Walk.

Wysiedli z samochodu. Philip wyjął z bagażnika wielką płócienną torbę i podał ją Laurze. Następnie wydobył plecak, który zarzucił sobie na ramiona, nim zatrzasnął klapę. Było cicho. Mijając bramkę i wkraczając na trawnik, nie zauważyli ani jednego przechodnia. Rząd krzaków osłaniał wejście do strumienia od ulicy.

Niektóre odcinki Trill Mill były niegdyś otwartym ściekiem, a więc i zagrożeniem dla zdrowia. Jednak w połowie dziewiętnastego wieku odkryte fragmenty koryta zabudowano. Podziemny strumień był swoistą atrakcją dla ciekawskich turystów, aż wreszcie w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku decyzją Rady Miejskiej Oksfordu zablokowano oba wejścia ciężkimi, metalowymi kratami.

W kracie zainstalowano bramkę, by ekipy serwisowe mogły się dostać do tunelu. Była ona zamknięta grubym łańcuchem spiętym solidną kłódką. Korytarz mógł mieć dziesięć stóp szerokości i może pięć wysokości. Ściany wydawały się wilgotne i oślizłe. Głębokość strumienia nie przekraczała osiemnastu cali, a wypływająca na powierzchnię woda trafiała zaraz do wielkiej, metalowej rury, która pod niewielkim kątem wchodziła w ziemię i znikwała pod trawnikiem.

Laura rzuciła na trawę płócienną torbę, a Philip zdjął plecak.

Niven skrzywiła się.

– Ja też nie powiem, zęby mi się uśmiechała ta wycieczka rzekł Philip. – Tylko że nie mamy wyboru – dodał, unosząc klapę plecaka.

Laura przykucnęła obok niego.

– Dwie latarki i zapasowe baterie. Zapałki. Telefony komórkowe i zapasowe baterie... chociaż nie jestem pewien, czy w labiryncie Strażników będzie zasięg. Kawał liny, scyzoryk, woda, herbatniki i dwa zapasowe swetry.

– Do tego dwie pary woderów i najważniejsze: nożyce do metalu – dorzuciła Laura, wyjmując ekwipunek z rozpiętej już torby.

Fotograf podniósł nożyce i podszedł do kraty. Laura odprowadziła go wzrokiem, nagle zaniepokojona. Po kilku sekundach łańcuch zabezpieczający wejście zwisał luźno. Philip uchylił bramkę i wrócił do Laury, która właśnie zaczęła wkładać wodery. Uczyniwszy to samo, schował buty do plecaka.

Między kratą a początkiem tunelu strop był nieco wyżej – mieli tu okazję wyprostować się po raz ostatni. Być może dopiero labirynt Strażników tworzyły korytarze wyższe niż ten, którym płynął strumień, lecz i tego nie byli pewni. Laura umieściła końce łańcucha tak, by wyglądał na nieuszkodzony. W cieniu wejścia ukryli płócienną torbę, maskując ją paroma ceglami i kawałkiem rury.

– Gotowa? – spytał Philip.

– Chyba tak – odparła, czując, że serce zaczyna jej mocniej bić.

Bainbridge włączył latarkę i zrobił kilka niepewnych kroków, zgięty niemal wpół, z głową ledwie parę cali pod łukowatym stropem. Laura spojrzała ostatni raz na bladą łunę miasta i odetchnęła głęboko.

– *Au rewir* – powiedziała szeptem i ruszyła za Philipem.

Już po pierwszym ostrym zakręcie tunelu jedynym źródłem światła pozostały latarki. Laura nigdy nie cierpiała na klaustrofobię, ale teraz wydawało jej się, że wilgotne ściany napierają na nią. Według mapy i informacji Charliego wejście do tunelu Strażników znajdowało się po lewej stronie, sześćdziesiąt trzy kroki od początku podziemnej części Trill Mill. Kroki nie były jednak szczególnie precyzyjną miarą odległości, toteż musieli mieć oczy szeroko otwarte.

Po kilku minutach bolały ich już plecy, a woń stęchlizny była niemal nie do zniesienia. Na ścianach widać było zacieki oraz plamy pleśni i szlamu. Tunel rozszerzał się nieco na tym odcinku, ale strop wciąż był przynębiająco niski.

– Pewnie to już niedaleko – odezwała się Laura.

Philip zatrzymał się na chwilę i oparł o wilgotną ścianę, uginając nieco nogi, by dać odpocząć mięśniom grzbietu. Oddychał ciężko.

– Masz rację. Wyszło mi pięćdziesiąt pięć, ale ja stawiam dłuższe kroki.

Proponuję, byśmy szli dalej odwrócenymi plecami do tej ściany – powiedział, kierując snop światła na mur po prawej. – Będziemy się posuwać bardzo wolno, uważnie obserwując przeciwną stronę.

Wygięcie pleców i oparcie ich o mur pomogło, ale nie na długo: powierzchnia była chropowata i raz po raz ostre występy wbijały się w ich ciała. Szli najwolniej, jak się dało, wypatrując jakiegokolwiek znaku, lecz po dziesięciu krokach nie dostrzegli na ścianie niczego szczególnego.

– Nie jest dobrze – mruknął Philip. – Cholera, musieliśmy to przegapić.

– Czuję się jak Ouasimodo – stwierdziła Laura. – W porządku. Teraz ja prowadzę.

Po kilku krokach w stronę wejścia Laura coś zauważyła.

– Co to? – spytała. Tunel powtórzył jej słowa głośnym echem.

Zobaczyli czerwoną plamę wielkości jabłka, mniej więcej stopę nad powierzchnią wody. Skierowawszy światło latarek na plamę, zaczęli szukać wszelkich anomalii. Coś błysnęło wewnątrz czerwonego śladu. Philip odepchnął się od ściany i przyjrzał temu bliżej. Mniej więcej pośrodku dostrzegł srebrzysty punkt.

– Co to jest? – spytała Laura.

– Nie jestem pewien. Odrobina metalu. Czekał... – Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął scyzoryk, uderzając przy tym głową w sklepienie. – O kurwa! – jęknął. – To bolało.

Ignorując ból, przykucnął i zaczął wciskać ostrze w kruszący się kamień wewnątrz czerwonego kręgu. Wydłubał drobiny z zadziwiającą łatwością, odsłaniając srebrzysty dysk o średnicy mniej więcej dwóch cali. Na jego powierzchni zobaczyli rysunek pięciu kobiet w długich szatach trzymających wysoko misę ze Słońcem. Była to wierna kopia obrazu, który widniał na monetach pozostawianych przez mordercę.

Laura przesunęła palcami po lśniącej powierzchni.

– Koniec wątpliwości – stwierdziła, uśmiechając się szeroko.

Philip miał właśnie odpowiedzieć, gdy metalowy dysk ustąpił pod naciskiem i ze ściany dobiegł basowy pomruk. Oboje mimowolnie cofnęli się o krok. Na ich oczach w murze zaczęła się pojawiać czarna szczelina. Biegła pionowo w dół, omijała metalowy dysk i mknęła dalej, by zatrzymać się mniej więcej sześć cali nad lustrem wody. Rozszerzała się powoli, w miarę jak kamień usuwał się w bok. Po chwili łoskot ucichł i mieli przed sobą czarny, prostokątny otwór szerokości ramion Philipa. Skierowali latarki do środka i w migotliwym świetle zobaczyli

kamienne mury niknące gdzieś w bezkształtnej pustce.

Laura weszła pierwsza. Poświeciła latarką wokół siebie i ku górze. Sklepienie znajdowało się dobrych kilka stóp nad jej głową. Philip stanął przy niej i oboje się wyprostowali.

– Boże, to było trudniejsze, niż sobie wyobrażałam – powiedziała z ulgą.

– Ciesz się, że nie masz sześciu stóp i dwóch cali wzrostu... – Philip urwał, gdy ponownie rozległ się łoskot przesuwających się kamieni.

Obrócili się w samą porę, by zobaczyć, jak kamienne drzwi wchodzą na swoje miejsce. Bainbridge zareagował ze zdumiewającą szybkością. Znalazł duży kamień i cisnął go w szczelinę. Drzwi jednak skruszyły go i zamknęły się.

Laura poczuła, że ogarnia ją panika.

– Myślę, że nie stało się nic złego – powiedział Philip najspokojniej, jak umiał. Wodził snopem światła po murach, które były zadziwiająco suche. – Powietrze jest tu świeższe niż w kanale strumienia – zauważył. – I przynajmniej mamy wreszcie dość miejsca nad głowami. Chodźmy.

Ruszył niespiesznie naprzód, obserwując uważnie podłogę i ściany i rozgarniając zwisające spod sufitu pajęczyny. Ciemność była przerażająca, więc robił wszystko, by zapanować nad wyobraźnią, która podsuwała mu niesamowite obrazy. Chcąc utrzymać koncentrację, wpatrywał się w mury i ograniczoną przestrzeń rozświetloną blaskiem latarki. Laura szła tuż za nim, trzymając go za rękę. Wyraźnie słyszał jej oddech.

Ściany były gładkie i nieporównywalnie bardziej suche niż w tunelu Trill Mill. Wciąż śmierdziało, ale raczej stęchlizną i ziemią. Fetor gnijących śmieci i pleśni zostawili za sobą. Philip posuwał się bardzo ostrożnie. Mogli mieć przed sobą cokolwiek: zwykłą dziurę w ziemi, ale i pułapkę lub inne wyrafinowane zabezpieczenia. Pośpiech i nadmiar pewności siebie byłyby teraz najgorszym błędem. Trzeba działać powoli i ostrożnie stawiać każdy krok, pomyślał.

Tunel zdawał się ciągnąć w nieskończoność i nic się w nim nie zmieniało. Miał mniej więcej dziesięć stóp szerokości i zaokrąglone, gładkie ściany. Podłogę stanowiła ubita, sucha ziemia. Wtem korytarz rozszerzył się niespodziewanie, a snopy światła latarek były jedynie mętnymi plamami na murze po obu stronach. Postąpiwszy jeszcze kilka kroków do przodu, zorientowali się, że są w jakiejś okrągłej komnacie.

– Co to takiego? – spytała Laura, skierowawszy latarkę na najbliższy fragment muru, mniej więcej na wysokości twarzy.

Zobaczyli niedużą metalową podstawkę wpasowaną w ścianę, a na mej starą,



kremową, wypaloną do połowy świecę. Philip przesunął wiązkę światła najpierw w lewo, a potem w prawo. Ujrzeni cały rząd świec rozmieszczonych co dziesięć stóp.

– Sądziś, że nadają się do użytku? – spytała Laura.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – odparł Philip. – Zapalki są w lewej tylnej kieszeni plecaka.

Niven wyjęła zapalki, odpaliła jedną i stanęła na palcach, by sięgnąć do najbliższe; świecy. Knot skwierczał i trzaskał parę sekund, a potem zajął się mocnym, żółtawym płomieniem. Po kilku chwilach na obwodzie sali płonęło już co najmniej dwadzieścia świec.

Teraz dopiero mogli w pełni docenić rozmiary pomieszczenia, w którym się znaleźli. Ważniejsze jednak było to, że blask świec wydobył z ciemności ornamenty na podłodze, ścianach i sklepieniu. Wnętrze sali pokryte zostało ciągami misternych obrazów. Na suficie znajdował się wizerunek wielkiego, białego jelenia o co najmniej dziesięciostopowym porożu. Wokół niego skakały i płąsały inne zwierzęta. U podstawy kopulastego sklepienia czaił się wilk, podczas gdy stado ptaków – wielkich, złotych orłów – szybowało ku wierzchołkowi, jakby miało zawisnąć nad jeleniem. Miejsce, w którym kopuła stykała się ze ścianą, pokryto freskiem przedstawiającym istną menażerię; artysta ożywił dzieło soczystymi barwami: bursztynem, szkarłatem, ochrą i najpełniejszym, królewskim błękitem.

Na ścianie srebrną i złotą farbą wymalowano ciągi alchemicznych symboli różnej wielkości. Niektóre znaki były wyższe od dorosłego człowieka, sięgając połowy wysokości muru, inne małe i ciasno zapisane. Okrągła posadzka o czterdziestostopowej średnicy przyozdobiona była jednym rysunkiem – był to obraz pięciu dziewic w długich szatach trzymających wysoko misę ze Słońcem.

Philip umieścił plecak na podłodze i wolno obszedł salę, dotykając kolejnych symboli, by w końcu klęknąć i przyjrzeć się rysunkowi na posadzce. Laura usiadła pośrodku komnaty i zapatrzyła się w sufit.

– Niewiarygodne – odezwała się po kilku chwilach.

– Przypomina mi to raczej scenografię z *Indiany Jonesa* – rzekł cierpko Bainbridge.

– I pomyśleć, że tylko garstka ludzi widziała to miejsce...

– I że niespełna sto stóp nad naszymi głowami autobusy jeżdżą po St Aldates – dodał Philip.

– Jak myślisz, do czego służyła ta sala?

Philip wzruszył ramionami.

– Przypuszczalnie spotykali się tu Strażnicy. Co o tym sądzisz?

Laura nie odpowiedziała, bo właśnie coś zauważyła.

– Popatrz, tam są drzwi...

Łatwo było je przeoczyć, gdyż widoczny był ledwie ich wykuty w kamieniu zarys.

Philip wyjął kopię dokumentu Newtona.

– To musi być wejście do samego labiryntu – powiedział.

Laura odwróciła się, żeby zajrzeć do manuskryptu.

– To jest korytarz z piwnicy tam pod Hertford College – wyjaśnił, sunąc palcem od dołu strony do drzwi, za którymi łączyło się kilka tuneli. – My weszliśmy z innej strony, bo tamten korytarz został zamknięty. Strażnicy musieli więc zbudować tę salę po tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym roku. Przypuszczam, że gdy wyjdziemy tymi drzwiami, znajdziemy się tutaj... a dalej zacznie się labirynt.

– Ale najpierw musimy je sforsować – stwierdziła Laura i pochyliła się, by z bliska się przyjrzeć wyrytym w kamieniu symbolom.

Philip rozpiął paski zamykające plecak i wyjął z niego buty. Usiadł na podłodze, żeby się pozbyć woderów. Laura zdjęła swoje, tym razem w skupieniu przypatrując się oznaczeniom wokół drzwi. Philip podał jej buty. Wsunęła w nie stopy i zawiązała sznurówki, nie patrząc nawet, co robi.

– Widzę tu tę radę Strażników: ALUMNUS AM AS SEMPER UNICUM TUUM DEUM. Czyli „Adepcie, zawsze miłuj swego Boga” – powiedziała, wskazując jedyne zdanie wyryte pośród osobliwych symboli.

– A to co takiego? – spytał Philip. W ścianie obok drzwi znajdował się niewielki otwór przypominający wlot maleńkiego komina. Pochylił się niemal do ziemi i zajrzał do środka. – Pełno tam pajęczyn, ale widzę też jakby rząd kolorowych sznurków.

– Pokaż. – Laura przyklękła i rozgarnęła latarką pajęczyny. Naliczyła dziesięć pasków w jaskrawych kolorach.

– Muszą mieć jakiś związek z kolorami z szyfru Charliego... ze zmianami barw, których trzymali się alchemicy – rzekł fotograf.

Niven wsunęła rękę do otworu i chwyciła czarny pasek w połowie długości rzędu. Był wykonany z bardzo miękkiej skóry. Pociągnęła go ku sobie – ustąpił bez oporu, a potem zatrzymał się z cichym kliknięciem mniej więcej stopę bliżej.

Laura spojrzała na Philipa, marszcząc czoło.

– Nic nie wybuchło.

– Jak na razie – odparł. – Spróbuj następne. Biały, żółty, czerwony.

Kontynuowała sekwencję, ciągnąc kolejno biały i żółty pasek. Wreszcie

zaciśnęła palce wokół czerwonego paska ze skóry i wolno pociągnęła go do siebie. Rozległo się głuchoe kliknięcie, ale nic się nie wydarzyło.

Wstała i gdy Philip podnosił z posadzki plecak, kopniakiem usunęła spod drzwi wodery. Przez kilka chwil nic się nie działo, potem jednak rozległo się skrzypienie. Nasilało się przez moment, a oni cofnęli się, gdy kamienne drzwi zaczęły się obracać do wnętrza sali. Wreszcie masywna płyta odsłoniła czarną dziurę.

– No i zrobione – rzekł Philip.

Zaraz za progiem dostrzegli dwie wiekowe pochodnie z drewna i szmat, zatknięte w ściennych uchwytych. Laura sięgnęła po zapalki. Światło pochodni było jednak zbyt słabe i do rozproszenia mroku potrzebowali także latarek. Philip ostrożnie zrobił krok po przodu.

Znaleźli się w bardzo podobnej kamiennej sali, lecz ta była nie tylko mniejsza, ale także prostokątna i niżej sklepiona. Na wprost mieli łuk, z którego zwieszały się girlandy pajęczyn. Wycelowali latarki w prześwit pod nim i zobaczyli zarys korytarza, który tonął w ciemności. Jednak dwie stopy od Laury i Philipa podłoga po prostu się kończyła. Laura westchnęła gwałtownie, a Philip złapał ją pod ramię.

– Rany – mruknęła.

Skierowali latarki w dół, ku czeluści. Przepaść szeroka przynajmniej na dwadzieścia stóp zajmowała większą część sali. Po drugiej stronie widać było platformę szerokości dwóch stóp, a tuż za nią łukowaty portal. Po lewej i prawej stronie rozpadlina bez dna sięgała do ścian. W miarę jak oczy Laury i Philipa przyzwyczajały się do światła, zaczęli dostrzegać niewyraźne zarysy szesnastu kolorowych kręgów – stopni prowadzących na drugą stronę. Każdy z nich był szczytem wąskiej kolumny niknącej gdzieś w czarnej czeluści.

– Co o tym sądzisz? – spytał Philip.

– Widzę czarny, biały, żółty i czerwony kamień, rozmieszczone we właściwych odległościach. Chodźmy. – I zanim Philip zdążył cokolwiek powiedzieć, stanęła na pomalowanym na czarno wierzchołku kolumny z pierwszego rzędu.

Kiedy tak stała jedną nogą na skrawku podłogi opodal drzwi, a drugą na czarnym kręgu, przez moment wydawało się, że podjęła słuszną decyzję i że wkrótce będą oboje po drugiej stronie przepaści. Jednak gdy przeniosła ciężar ciała na wykroczną, kamień zaczął się kruszyć. Laura krzyknęła głośno, czując, że traci równowagę. Kamień zamieniał się w proch pod jej stopą. Odwróciła się gwałtownie i Philip zobaczył w jej oczach panikę. Machnęła rękami, daremnie szukając dla nich oparcia, i minawszy się ze skrajem półki co najmniej o sześć cali, runęła w dół, ku pustce.



## Rozdział 38

Oksford, 30 marca, 21. 35

Jadąc The High z centrum miasta w stronę Headington Hill, Monroe czuł wyłącznie przygnębienie. Zamordowano kolejną parę i choć fakt ten potwierdzał jego teorię, iż Cunningham nie jest poszukiwanym zabójcą, nie miał powodów do radości: zginęli młodzi ludzie, a on nie był ani o krok bliżej schwytania mordercy. Poza tym, nowa zbrodnia dowodziła, że Laura Niven i Philip Bainbridge od początku mieli rację, sugerując astrologiczny trop w tej sprawie. Ostatniego morderstwa dokonano dokładnie w przewidzianym przez nich czasie.

Monroe wcisnął klawisz w telefonie i prawie natychmiast usłyszał głos oficera dyżurnego z posterunku.

– Udało się nawiązać kontakt z Philipem Bainbridgeem? – spytał.

– Nie, sir. Odzywa się jedynie skrzynka głosowa.

– Dzwońcie co pięć minut na komórkę i do domu. Chcę wiedzieć, gdy tylko uda się go złapać.

Tuż przed Headington Hill detektyw skręcił w Marston Road. Kilkaset jardów dalej poprowadził wóz w lewo, na błotnistą ścieżkę zwaną Kings Mill Lane. Natychmiast zauważył stojących w odległości pięćdziesięciu jardów ludzi ze swojej ekipy, ubranych w odblaskowe kurtki. Trzy policyjne wozy z włączonymi światłami oraz karetka pogotowia zaparkowały po lewej stronie ścieżki. Podjechawszy bliżej, Monroe zobaczył starszego mężczyznę siedzącego w ambulansie; okryto go czerwonym kocem i założono maskę tlenową.

Zatrzymał wóz obok pozostałych pojazdów, wysiadł i podszedł do karetki.

– Co tu się stało?

Ratownik medyczny odprowadził Monroe na stronę.

– Stary znalazł zwłoki jakieś czterdzieści minut temu. Jest w szoku. – Detektyw uniósł brew. – Mówi, że przeszedł obok nich, idąc z Headington w kierunku Mesopotamia Walk, ale zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak, dopiero gdy wracał i znowu ich ujrzał. Niech pan sam zobaczy. Zrozumie pan, o czym mówię.

Po ciężkiej ulewie alejka tonęła w błocie i każdemu krokowi Monroe towarzyszył nieprzyjemny chłupot. Detektyw przeszedł jeszcze kilka jardów, z trudem zachowując równowagę, nim dotarł do wąskiej, asfaltowej ścieżki, która biegła w stronę starego młyna i nadrzecznej alei.

Dziesięć jardów dalej eksperci kryminalistyczni kończyli właśnie wznoszenie białego parawanu, który zajął część ścieżki. Gdy Monroe zbliżył się do miejsca zbrodni, młody konstabl uchylił przed nim klapę. Detektyw zanurkował pod barierką zabezpieczającą i znalazł się po drugiej stronie.

Dwa reflektory rzucały ostre, cytrynowe światło. W odległości dwudziestu stóp stała na ścieżce druga konstrukcja z białego plastiku. Znowu zaczynało padać i podświetlone krople lśniły na tle wieczornego nieba. Monroe zobaczył po prawej ławkę. Znajdowała się tuż przy ścieżce i siedziały na niej dwie postacie częściowo zasłonięte przez technika w laboratoryjnym kombinezonie. Gdy mężczyzna wstał, Monroe rozpoznał ponurego Marka Langhama. Ekspert cofnął się o krok, odsłaniając ofiary morderstwa.

Młodych usadzono tak, by wyglądali na obejmujących się zakochanych; zwróceniu do siebie nieomal stykali się ustami. Przechodzień, który spojrzełby na nich przelotnie, pomyślałby, że to para zajęta pocałunkiem. Monroe poczuł odrazę.

Pochylił się, by z bliska przyjrzeć się ofiarom. W mocnym, sztucznym świetle ich twarze i dłonie przybrały fioletowobrazowy odcień. Oczy spoglądały martwo przed siebie. Oboje byli ubrani, ale ich garderoba była nieuporządkowana i splamiona krwią. Gail Honeywell trzymała dłoń na szyi Raymonda Delaware<sup>^</sup> w taki sposób, jakby przyciągała go do swoich ust. Monroe zacisnął zęby, gdy zobaczył czarno-czerwoną szramę jego podejrzanego gardła.

Langham przykucnął obok detektywa.

– Nie żyją co najmniej od dwóch godzin – powiedział. – Niech pan spojrzysz tutaj – dodał, wskazując przesiąknięte krwią miejsce tuż nad ściągaczem rozpiętej kurtki dziewczyny. – Przypuszczam, że stąd sprawca usunął organ... zakładając, że to ten sam zabójca i że działa tak samo jak poprzednio. A jest jeszcze to rzekł i delikatnie obrócił głowę Gail Honeywell.

Część twarzy dziewczyny była siatką głębokich cięć. Szerokie strumienie krwi spłynęły po jej szyi i prawym ramieniu, barwiąc bluzkę czerwienią. Brakowało jej prawego oka.

– Ilość krwi wskazuje na to, że obrażenia te powstały przed śmiercią ofiary – oznajmił Langham. – To coś nowego w porównaniu z poprzednimi morderstwami. Coś... dziwnego.

Monroe nie odpowiedział. Wyprostował się i spojrzął na martwe twarze dwojga młodych ludzi. I wtedy zauważył zaśnieżoną plakietkę przykręconą z tyłu do jednej z desek tworzących oparcie. Zapewne była tu równie długo jak sama ławka. Napis głosił: „Odpocznij trochę, bo rzadko takie miejsce do odpoczynku spotkasz”.

– Bardzo śmieszne – mruknął Monroe.

Detektyw był kilka kroków od samochodu, gdy zadzwonił telefon.

– Tu Rogers, sir. Pomyślałem, że nie pogniewa się pan, jeśli przeszkodzę. Właśnie dostaliśmy z laboratorium wynik badania próbki krwi znalezionej na miejscu drugiego morderstwa.

– I?

– Doskonała zgodność. To Malcolm Bridges.

## Rozdział 39

Oksford, 30 marca, 22. 15

Głupcze! – Mistrz patrzył na niego złowrogo, a pot spływał mu po policzkach.  
– Kretynie! Mogłeś wszystko zniweczyć! – syknął i uderzył Akolity w twarz.

Przez ułamek sekundy Akolita czuł, że traci panowanie nad sobą. Jego prawa ręka drgnęła mimowolnie.

Mistrz dostrzegł ten ruch i uśmiechnął się ironicznie. Zaraz potem spojrzął w oczy Akolity wzrokiem pełnym absolutnego zła.

– Chciałbyś mnie zaatakować? Wyczuwam, że tak – wycedził. – A może wolisz zaspokajać swoje żądze jedynie na młodych kobietach?

Akolita nie odpowiedział. Spoglądał ponad Mistrzem, a jego twarz była zupełnie nieruchoma.

Mistrz ponownie uderzył Akolity w twarz, tym razem mocniej. Na policzku ucznia pojawiła się czerwona plama. Spoliczkował go raz jeszcze, znowu mocniej.

Mistrz cofnął się o krok i zmierzył wzrokiem zabójcę. Krzywiąc się pogardliwie, splunął mu w twarz.

Akolita nie zareagował, gdy ślina spłynęła po jego policzku.

– Wynoś się... ty barbarzyńska świnio – powiedział Mistrz. A jeśli zawiedziesz mnie raz jeszcze, potraktuję cię gorzej, niż ty potraktowałeś Gail Honeywell.



## Rozdział 40

Oksford, 30 marca, 22. 18

Dowodząc fenomenalnego refleksu, Philip chwycił ramię spadające; Laury, zaparł się nogami o skalny podest i pomógł jej wydostać się na brzeg przepaści. Drżała jak liść, gdy usiadła na wąskim skrawku podłogi. Philip znalazł sobie miejsce obok mej.

– Trochę głupie to było – rzekł, otaczając ją ramieniem.

Nie była w stanie odpowiedzieć.

Znalazł w plecaku butelkę z wodą.

– Trzymaj, napij się.

– Szkoda, że nie masz czegoś mocniejszego – stwierdziła, po czym pociągnęła solidny łyk i otarła usta ręką. – Chryste... dzięki – dodała, opuszczając głowę na kolana.

– Do usług. Bo wiesz, nie chciałbym kończyć tej sprawy w pojedynkę.

Posłała mu słaby uśmiech.

– Co teraz?

– Dobrze pytanie.

– Byłam pewna, że trasa ma uzasadnienie w barwnym kodzie alchemików.

Bainbridge wzruszył ramionami.

– Może trzeba było zacząć od końca? Bo inaczej to nie ma sensu.

– Dobrze, ale jak się o tym przekonamy?

– Użyjemy plecaka.

– Nie jest dość ciężki, a jeśli go stracimy...

– Lepiej stracić plecak niż jedno z nas.

Philip sięgnął po plecak. Stał na skraju rozpadliny i ostrożnie położył go na czerwonym kamieniu, tuż obok miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdował się czarny kamień. Wolno puścił plecak i cofnął się. Nic się nie wydarzyło.

– Dobra nasza – mruknął, zabierając plecak. – Ale wciąż nie jestem przekonany. Użyjmy liny. Obwiąż się w pasie, a ja przeciągnę koniec przez uchwyt w ścianie. Jeśli kamień utrzyma twój ciężar, to dobrze, jeśli nie, złapię cię.

Laura dwukrotnie owinęła się liną w talii, a Philip zawiązał solidny węzeł. Następnie przełożył luźny koniec przez żelazny uchwyt pochodni i trzymając linę, stanął w szerokim rozkroku na skalnej półce. Laura zatrzymała się na krawędzi i

ostrożnie umieściła stopę na czerwonym stopniu. Oddychała ciężko, a na jej czole pojawiły się krople potu.

– Zaczynamy.

Kamień wytrzymał. Odwróciła się do Philipa z triumfalnym uśmiechem, on zaś uniósł kciuki.

– Wypróbuj następny – powiedział. – Poluzuję trochę linę.

Laura przyjrzała się okrągłym stopniom, które miała przed sobą. Żółty kamień był umieszczony jako drugi z lewej w drugim rzędzie. Stąpając możliwie najdelikatniej, przeskoczyła nań i odetchnęła z ulgą.

– Idę do końca – oznajmiła. – Byłoby zbyt niebezpiecznie, gdybyśmy jednocześnie skakali po tych kamieniach. – Zwróciła się ku przeciwległemu brzegowi i przestąpiła na biały stopień w trzecim rzędzie. Tam zatrzymała się na moment, wzięła głęboki wdech i przeskoczyła na czarny kamień w ostatnim rzędzie. Kilka sekund później była już po drugiej stronie.

– Twoja kolej! – zawołała, czując, jak serce bije jej mocno.

Rozplatała linę i przełożyła jej koniec przez drugi uchwyt w ścianie, nieopodal zwieńczonego łukiem przejścia, by Philip mógł się zbliżyć do krawędzi i przewiązać nią w pasie. Gdyby stopnie nie wytrzymały jego ciężaru, zdołałby się samodzielnie wspiąć na drugi brzeg.

Szybkimi, ale i ostrożnymi ruchami Bainbridge podążył śladem Laury – czerwony żółty, biały, czarny – i już po chwili był na drugiej stronie.

– Chciałbym powiedzieć – rzekł, ocierając pot zalewający mu oczy – że to dobra zabawa, ale po prostu nie mogę.

Przejście pod łukiem prowadziło do niedługiego korytarza, który skręcał w lewo, a następnie ostro w prawo. Gdy Laura i Philip pokonali drugi zakręt, ich oczom ukazała się okrągła komnata. Światło docierało tam od sufitu. Właściwie całe sklepienie lśniło.

Strop był z litej skały, a jednak wydawało się, że kamień świeci samoistnie.

– Rany – mruknął Philip, nie odrywając oczu od świecącego sklepienia. Widział nierówności powierzchni oraz kurz na pokrywających go żółtych kryształach. – Zdaje się, że to jakieś naturalnie emitujące światło kryształy – dodał.

– Sprytni alchemicy.

– Owszem. Człowiek zaczyna się zastanawiać, prawda?

W sali nie było nic prócz kolejnego otworu w ścianie, położonego naprzeciwko korytarza, którym przyszli. Laura zajrzała tam i zobaczyła rozwidlenie – tunele

prowadziły w prawo i w lewo, natomiast na ścianie między nimi umocowane były dwa metalowe dyski, każdy mniej więcej wielkości płyty kompaktowej. Na dysk u po lewej wyryto znak dwóch koncentrycznych okręgów. Dysk po prawej opatrzone innym symbolem: okręgiem z czymś w rodzaju rogów u góry i z krzyżem u dołu.

– Masz jakiś pomysł? – spytała.

Philip zajął do dokumentu Newtona.

– Są tutaj oba. Spójrz, obok labiryntu.

– Ten z lewej to symbol Słońca, drugi to Merkury, prawda?

Philip skinął głową.

– Idziemy za Słońcem czy za Merkurym? – zapytała.

– A jakie jest ich znaczenie?

– Merkury to skrzydlaty posłaniec. A Słońce... Światło? Powierzchnia?

– Niewiele z tego wynika. Merkury to także rtęć, najważniejszy metal alchemików. Jeden z trzech podstawowych elementów, z których powstała Ziemia.

– Więc myślisz, że powinniśmy iść tędy? – spytała Laura, wskazując korytarz odchodzący w prawo.

– Może. Ale z drugiej strony Słońce jest centralnym punktem całej astrologii.

Stropy obu korytarzy świeciły tak samo jak sklepienie sali.

– Poszedłbym raczej w lewo, za Słońcem – rzekł.

– Zgoda.

Laura prowadziła. Nie spieszyli się. Już po kilku jardach korytarz skręcił w prawo i zaraz potem w lewo. Wkrótce dotarli do kolejnego rozwidlenia. Główna ścieżka dzieliła się na dwie mniejsze, z których jedna celowała w godzinę dziesiątą, a druga w godzinę drugą. Na rozdrożu stała skalna kolumna. Na mej, na wysokości twarzy Laury, znaleźli kolejny dysk. Był podzielony pionową linią. Po lewej widniał znowu symbol Słońca, dwa koncentryczne okręgi, po prawej zaś całkiem nowy znak, przypominający literę „h” przeciętą poziomą linią.

– Czy to znaczy, że mamy podążać za Słońcem? Nie, nie może tak być – powiedziała Laura.

– Masz rację, to chyba nie tak.

– Co oznacza, że albo idziemy tędy – podsumowała Laura, wskazując na prawo – albo wracamy do pierwszej pary symboli i ruszamy w przeciwną stronę.

Wzięła od Philipa dokument Newtona i usiadła po turecku, oparta plecami o kamienną kolumnę wyznaczającą rozstajne drogi. Światło stropu było wystarczająco silne, by mogła swobodnie czytać.

– Zastanówmy się, jakie informacje już wykorzystaliśmy powiedziała. – Kod

barwny? I to dwa razy, nieprawdaż? Ale tu wydaje się on niepotrzebny. Owszem, Merkury oznacza rtec, ale pozostałe symbole to Słońce i Saturn, zatem w tym przypadku Merkury to raczej planeta.

Philip przykucnął obok Laury.

– A co z umiejscowieniem tych symboli? – zapytał. – Może ono ma jakieś znaczenie?

Wpatrywali się w reprodukcję, usiłując skojarzyć jakoś symbole ze schematem labiryntu przerysowanym przez Newtona.

– Nie chodzi o ich umiejscowienie – odezwała się nagle Niven tylko o wzmianki o nich w inkantacji. – Wskazała linie łacińskiego tekstu, które uzyskali po złamaniu szyfru Charliego.

Philip włożył ręce do kieszeni, szukając przekładu, który zapisali poprzedniej nocy. Rozwinął kartkę na kolanach.

Tyś jest Merkury, potężny kwiat,  
Tyś jest najbardziej godzien czci,  
Tyś jest źródło Słońca, Księżycy i Marsa,  
Tyś jest stwórca Saturna i początek Wenus,  
Tyś jest Imperator, Księżę i Król Królów,  
Tyś jest ojcem Zwierciadła i stwórcą Światła,  
Tyś jest głową i najjaśniejszym władcą.  
Wszyscy Ciebie czczą.  
Wszyscy Ciebie czczą. Dawco prawdy.  
Ciebie szukamy, Ciebie błagamy, Ciebie witamy.

– Tak... „Tyś jest Merkury, potężny kwiat” – odczytała na głos Laura. – Trzeci wers... „Tyś jest źródło Słońca, Księżycy i Marsa”... To jest to. Na początku wybraliśmy niewłaściwy korytarz. Należało pójść w prawo, za symbolem Merkurego.

Powróciwszy do wyjścia z okrągłej, kamiennej sali, zatrzymali się na krótko przy dwóch dyskach umocowanych – w ścianie, a potem ruszyli korytarzem wiodącym w prawo. Po kilku chwilach dotarli do kolejnego rozdroża i ujrzeni w ścianie kolejne dwa dyski. Ten po prawej opatrzone symbolem Wenus, okręgiem z krzyżem pod spodem, na lewym zaś znalazł się znak Słońca.

– Powinniśmy trafić na dalsze cztery rozwidlenia tuneli rzekł Philip. – I kolejno na symbole Księżycy, Marsa, Saturna oraz Wenus. Bez tego dokumentu nie

mielibyśmy szans – dodał i zagłębił się w korytarz prowadzący w lewo.

Wydawało się, że wędrują całymi milami, pokonując niezliczone zakręty tunelu. Wreszcie dotarli do stromego podejścia, a gdy wdrapali się na szczyt, byli mokrzy od potu i oddychali z trudem. Philip pochylił się, opierając dłonie na kolanach, a Laura otarła pot z czoła i spojrzała na dwie okrągłe tabliczki na kolejnym rozwidleniu. Dysk po prawej ozdobiono znakiem Księżyca, do wybrania drogi w lewo zachęcał symbol Merkurego.

Odczekali chwilę, by uspokoić oddech. Laura pierwsza doszła do siebie i ruszyła w głąb korytarza wiodącego ku czwartemu rozwidleniu. Znaleźli tam symbol Marsa, okrąg z ukośną strzałką w prawo na górze, i właśnie tę drogę wybrali. Tym razem tunel opadał ostro, a w najniższym punkcie rozszerzał się znacznie – szli korytarzem szerokim mniej więcej na cztery jardy. Na końcu tego odcinka ujrzeli otwory w ścianie. Po lewej stronie pierwszego z nich umocowano w murze trzy dyski z symbolami Merkurego, Saturna i Słońca.

– Środkowy – powiedziała stanowczo Laura.

Weszli do wąskiego tunelu, w którym Philip prawie szorował ramionami o ściany. Znowu schodzili w głąb ziemi, by wyłonić się z korytarza w okrągłej sali o kopulastym sklepieniu. Ujrzeli w niej sześć zwieńczonych łukiem portali, a przy każdym z nich, po lewej stronie, metalowy dysk z symbolem jednej z planet wymienionych w inkantacji. Przejście ze znakiem Wenus było drugie od lewej.

Philip zdjął plecak i wyciągnął z niego butelkę z wodą. Podał ją Laurze, a kiedy piła, zerknął na zegarek. Była dwudziesta druga czterdzieści trzy. Odpiął kieszon plecaka i wyjął telefon komórkowy.

– Oczywiście nie ma zasięgu – powiedział, chowając aparat.

Laura sprawdziła swój.

– U mnie też. Ale w sumie można się było tego spodziewać. Mamy nad głowami... ile? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt stóp litej skały?

Philip zarzucił plecak na ramiona.

– Mniej więcej. Gotowa? – spytał.

Skinęła głową.

– Więc naprzód – rzekł.

Z początku korytarz był wyjątkowo wąski. Philip musiał zdjąć plecak, a mimo to boleśnie ocierał łokciami o szorstkie skały. Mniej więcej po dziesięciu jardach tunel rozszerzył się jednak i wkrótce mogli iść ramię w ramię.

Świeące kryształły upakowano tu znacznie gęściej niż w pozostałych korytarzach, było więc jaśniej. Laura i Philip mimowolnie przyspieszyli kroku.

Przed sobą widzieli już kolejną łukowatą bramę, a za nią następną salę. Philip nagle się zatrzymał. Laura, która została kilka kroków w tyle, spostrzegła, że wpatruje się w coś na ziemi. Pochylił się i ruszył niespiesznie naprzód, przyglądając się jakimś znakom.

– Popatrz tylko – zawołał. – Jakiś angielski tekst. Mówi o...

Niven usłyszała świst, zanim cokolwiek zobaczyła. Miała wrażenie, że dźwięk dobiega ze ściany po prawej stronie. Zaraz potem rozległy się trzy szybkie tapnięcia. Coś trafiło Philipa, a dwa inne rozpedzone przedmioty minęły go i uderzyły w ścianę po lewej. Philip runął na posadzkę i nagle wszystko ucichło. Laura przypadła do ziemi i popęzła – w jego stronę.

– Jesteś cały?

– Chyba. Co to było, do cholery?

– Na podłodze po jego lewej stronie leżały dwie złamane długie na kilka cali strzały. Brzechwy dwóch kolejnych wystawały z plecaka.

– Trzymaj nisko głowę – szepnął i popęzli w kierunku wylotu korytarza.

Gdy minęli portal, Philip usiadł wolno i wyciągnął jedną ze strzał.

– Zdaje się, że jest cholernie ostra – powiedział, odrzucając ją na bok.

– Wygląda na to, że plecak uratował ci życie – stwierdziła Laura, patrząc na ostry grot. – Czemu się tam tak przyglądałeś?

– Były tam angielskie słowa. Napis ze złotych liter: „Tylko czyści mogą przejść”.

Laura spojrzała mu w oczy i już miała coś powiedzieć, gdy oboje bardziej wyczuli, niż usłyszeli basowy pomruk. Przez kilka długich sekund wydawało się, że ściany drżą. Philip i Laura rzucili się ku odległej ścianie i objęli. Ze sklepienia sypnęło kurzem wprost na ich głowy. Zanim wszystko ucichło, poczuli jeszcze podmuch, zupełnie jakby jednym potężnym – wdechem ktoś wysysał z komnaty cały tlen. Obejrzeni się i zobaczyli, jak znad portalu osuwa się w dół potężna kamienna bryła i ląduje z hukiem na zakurzonej podłodze. Byli uwięzieni.

## Rozdział 41

Oksford, 30 marca, 22. 38

Monroe patrzył na zegar ścienny w swoim biurze, obserwując ruch sekundnika. Chwilę wcześniej wysłał tuzin funkcjonariuszy do trzech miejsc w Oksfordzie z rozkazem znalezienia Malcolma Bridgesa – do jego maleńkiego mieszkania przy Iffley Road, do domu Lightmana przy Park Town na północy miasta oraz do gabinetu naukowca na Wydziale Psychologii. Nie łudził się jednak zbyt, że uda się go zlokalizować.

Bridges był na miejscu drugiej zbrodni. Nie miał też niepodważalnego alibi na czas, w którym do niej doszło. Miał jednak takowe w przypadku pierwszego morderstwa, a to oznaczało, że musiał mieć współnika. Monroe czuł wszakże instynktownie, że w rozumowaniu tym tkwi jakiś błąd. Zresztą, nie istniały żadne dowody potwierdzające tę tezę.

Jak więc wyglądała sytuacja? Miał kolejne morderstwo, cztery osobne sprawy, sześćo martwych młodych ludzi. A czego mógł być pewny? Że Bridges jest w jakiś sposób w to zamieszany, ale nie mógł działać samotnie. Pewne było i to, że jeszcze tej nocy, tuż po dwudziestej czwartej, dojdzie do kolejnego morderstwa. Jak można mu zapobiec, jeśli nie przez zatrzymanie Bridgesa? Ale nawet jeśli się go zatrzyma, czy zbrodnie ustaną? Monroe potarł palcami oczy, czując nagłą falę niewiarygodnego zmęczenia.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Monroe – rzekł ciężko.

– Mówi Howard.

– Mam nadzieję, że masz dla mnie dobre nowiny.

– Rzeczywiście, mam nowiny – odparł Smales – ale właściwie nie bardzo wiem, na czym stoję. Widzisz, chodzi o to, że... porównanie tej próbki z bazą danych dało dosyć... jak by to ująć? Dosyć zaskakujący wynik.

## Rozdział 42

Oksford, 30 marca, 22. 43

Laura i Philip tkwili w absolutnej ciemności. Niskie sklepienie tej komnaty nie zostało wyłożone kryształami, a kiedy głaz runął na ziemię, odciął dostęp skąpego światła, które wpadało z korytarza. Philip sięgnął po omacku do plecaka i odszukał zamek. Następnie wyjął dwie latarki i jedną z nich podał Laurze. Siedząc pod ścianą, zaczęli metodycznie omiatać światłem wszystkie zakątki sali. Wreszcie Philip wstał i podszedł do miejsca, gdzie jeszcze przed paroma sekundami znajdowało się wejście. Skierował latarkę prosto na gładką skałę, lecz nawet z bliska nie był w stanie znaleźć śladu łączenia. Głaz prawie idealnie wpasował się w ramę.

Laura zbliżyła się do przeciwległej ściany i oświetliła jej powierzchnię, następnie zaś podłogę i strop. Sala zmieściłaby się w kwadracie o boku może dwunastu stóp, a sklepienie było bardzo niskie. Nagle przyszło jej do głowy, że może im zabraknąć powietrza. A potem snop światła jej latarki wydobył z ciemności coś niezwykłego na gładkiej ścianie. Był to znajomy napis: ALUMNUS AMAS SEMPER UNICUM TUUM DEUM.

– Spójrz, Philipie – powiedziała. Pochyliła się, by przyjrzeć mu się bliżej, i dotknęła palcami metalowych liter. Wystawały może na milimetr lub dwa ponad powierzchnię skały. Gdy je naciskała, chowały się, by wysunąć znowu, kiedy tylko cofała palec. – Dziwne – stwierdziła.

Philip wcisnął kilka liter i patrzył, jak pojawiają się na nowo.

– Sądzisz, że to coś w rodzaju zamka? Zamka szyfrowego? Ze jeśli wpisujemy właściwą kombinację, otworzą się jakieś drzwi?

– Mam cholerną nadzieję – odparła Laura ponuro. – Ale skąd, u licha, mielibyśmy wziąć to hasło? Nawet nie warto zgadywać. Istnieją dosłownie miliardy kombinacji tych liter.

– Jasne, że nie warto. Słowa muszą mieć jakieś ukryte znaczenie. Ten napis, „Adepcie, zawsze miłuj swego Boga”, musi mieć coś wspólnego z szyfrem.

Laura przymknęła oczy, ściskając palcami grzbiet nosa. Gdy je znowu otworzyła, Philip zauważył, jak bardzo są przekrwione. Nie oszczędzała się, próbując rozwikłać zagadkę.

– Zgoda, musimy coś wykombinować. Kiedy zaczniemy się dusić?



– O tym samym pomyślałem, gdy osunął się ten głaz – rzekł Philip. – Czująś, jak powietrze uciekało? Przypuszczam, że gdyby nie to, przeżylibyśmy tu parę godzin, ale w tej sytuacji... Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że powietrze już się rozrzedziło.

– Ja też.

– Musimy spowolnić oddech i zachować spokój. Ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest przyspieszenie akcji serca. – Popatrzył na Laurę. Wydawało mu się, że jest podłamana.

– Jestem spokojna – warknęła. – Dobra, skupmy się na tej cholernej inskrypcji – wymamrotała.

Wprowadzała metodycznie kolejne kombinacje, ale nic to nie dawało. A potem nagle poczuła ucisk w piersi i z całej siły huknęła pięścią w metalowe litery.

– A niech to!

Philip był przy niej w ciągu sekundy. Złapał ją za ręce i przytrzymał, żeby się nie pokaleczyła. Laura opadła w jego ramiona, szlochając. Przytulił ją i delikatnie pocałował w policzek. Czuł, jak drży w jego ramionach, i wiedział, że musi jej pozwolić rozładować emocje. Po kilku chwilach pociągnął ją pod ścianę obok hermetycznych drzwi i ostrożnie usadził na podłodze, a sam przysiadł obok.

– Nie wyjdziemy z tego żywi, prawda? – zaszlochała Laura.

– Jasne, że wyjdziemy, głuptasie...

– Philipie, ubywa nam powietrza. Czuję to.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Nawet w ciągu minuty czy dwóch wyczuwał różnicę; zawartość tlenu spadała i coraz trudniej było oddychać. Przyciągnął Laurę do siebie.

Przez chwilę znowu milczeli. Laura już nie płakała, ale wciąż wtulała głowę w jego pierś.

– Naprawdę żałuję, wiesz? – powiedziała cicho.

– Czego? – spytał, chociaż doskonale wiedział, co ma na myśli.

– Dobrze wiesz, Philipie. Nie muszę tego tłumaczyć, na pewno nie tobie.

Nie odpowiedział.

Podniosła głowę, zęby spojrzeć na niego.

– Myślałam wtedy, że postępuję właściwie. Wydawało mi się, że nie mamy przed sobą przyszłości. Myliłam się. Powinam zostać. Powinam wyjść za ciebie.

Philip poczuł się nagle zagubiony. Od wielu dni zajmowali się wyłącznie sprawą tajemniczych morderstw, a teraz dali się zamknąć w jakiejś śmierdzącej dziurze pod Bodleian Library. A jednak nie trzeba było wiele, by dawne uczucia

wróciły ze wzmocnioną siłą. Od prawie dwudziestu lat tłumił je i wmawiał sobie, że zapanował nad nimi. Ale za każdym razem, gdy Laura przyjeżdżała do Anglii albo gdy on leciał do Nowego Jorku, stare rany otwierały się. Nienawidził tego, lecz najzwyczajniej w świecie nie umiał żyć, nie widując Laury i Jo przy każdej sposobności. Przez chwilę brakowało mu słów. W końcu, co mógł powiedzieć?

Patrzył na jej twarz. W skąpym świetle latarki widział smugi łez, które zniszczyły jej makijaż. A potem nagle jej usta dotknęły jego ust i poczuł, jak wpijają się w niego, jak jej włosy muskają mu policzek, poczuł jej ciepło, znajomą bliskość. Tak bardzo za tym tęsknił. Ale Laura wycofała się szybko i znowu jedynie patrzyła mu w oczy.

– Co...? – spytał.

– Chciałam tylko ukraść ci trochę powietrza.

Roześmiał się.

– Tak podejrzewałam.

Położyła palec na jego ustach, uśmiechnęła się i znowu pochyliła, by go pocałować.

Sekundę później, nie odrywając warg od ust Philipa, wrzasnęła:

– To jest to!

Nie powiedziawszy już nic, Laura podeszła do ściany, kucnęła i zaczęła naciskać litery. Wybrała pięć, poruszając szybko ręką od lewej do prawej. Gdy dotarła do M w słowie UNICUM, cofnęła nieco dłoń, po czym uderzyła literę z teatralnym gestem. Philip nie mógł powstrzymać cichego śmiechu.

Przez długą, rozpaczliwie długą chwilę nic się nie działo. A potem usłyszeli ciche skrzypnięcie. Skrzypienie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Dobiegało ze ściany prostopadłej do tej, w której znajdowały się zablokowane drzwi. Kilka nerwowych uderzeń serca później w murze pojawiła się pierwsza rysa. Po chwili dwa potężne kamienne bloki cofnęły się, a następnie zaczęły unosić i chować w sklepieniu. Philip chwycił plecak i wybiegli tak szybko, jak tylko mogli.

## Rozdział 43

Oksford, 30 marca, 22. 45

Gdy Monroe odkładał słuchawkę, rozległo się pukanie do drzwi. Detektyw był tak zdumiony tym, co usłyszał, że przez parę sekund niemal nie dostrzegł barczystej postaci konstabla Steve'a Greena, który zbliżył się do jego biurka.

– Sir, dostaliśmy to mniej więcej godzinę temu. Chatom przeprasza, ale całkiem zapomniał... Mamy pracowity – wieczór... Dał mi to dla pana. Zdaje się, że zostało dostarczone przez kuriera.

Monroe wpatrywał się w kopertę z napisem: „Detektyw główny inspektor Monroe, posterunek policji w Oksfordzie”. Poniżej widniał dopisek „PILNE” wykonany czerwonym flamastrem. Monroe westchnął i pokręcił głową na jego widok. Wreszcie rozdarł kopertę i wyjął pojedynczy arkusz papieru. Widniał na nim skomplikowany labirynt przecinających się linii, przypominający schemat instalacji elektrycznej, a obok tej ilustracji znajdowała się mieszanka łacińskich słów oraz dziwacznych symboli. Zaczął czytać wiadomość napisaną po angielsku u szczytu stronicy.

## Rozdział 44

Oksford, 30 marca, 23. 10

Stali w korytarzu, praktycznie zgięci w pół, podpierając się rękami o kolana i próbując uspokoić oddech.

– Jak to zrobiłaś? – wysapał Philip.

– To było oczywiste... Złoto.

– Mogłabyś to odrobinę sprecyzować?

– Po łacinie „aurum”. Właśnie to słowo było ukryte w tajemniczej sygnaturze Strażników. ALUMNUS AMAS SEMPER UNICUM TUUM DEUM. A i U w ALUMNUS, R w SEMPER, a U i M w UNICUM.

– Jesteś genialna – rzekł Philip.

– Wiem.

– Swoją drogą, miło wiedzieć, że w takie; chwili też rozmyślałaś o misji.

– Jestem kobietą, Philipie. Umiem robić wiele rzeczy naraz – odparła Laura z uśmiechem.

Przed nimi, w odległości może dwudziestu jardów, znajdowały się drzwi. Były uchylone i przez szparę wpadała do tunelu plama światła. Zbliżywszy się do nich, ukradkiem zajrzeli do środka.

Sala była oświetlona przez kilkanaście świec umocowanych w żyrandolu wiszącym pośrodku kopulastego sklepienia. W głębi stał wielki, złoty pentagram. Miał co najmniej siedem stóp średnicy, a umieszczono go na platformie blisko ściany. Na prawo od niego Laura dostrzegła szklane drzwi wpuszczone w mur. Przypominały drzwi wielkiej lodówki; szkło zmętniało od mrozu.

Obok pentagramu stali dwaj mężczyźni. Mieli na sobie długie, czarne szaty z zsuniętymi na plecy kapturami. Ten po prawej pochylał się, manipulując przy metalowej konstrukcji.

Laura właśnie się odwracała, by powiedzieć coś Philipowi, gdy nagle latarka wysliznęła jej się z ręki i z klekotem upadła na posadzkę. Niven cofnęła się szybko, klnąc bezgłośnie.

– Lauro, tak się cieszę, że do nas dołączyłaś – dobiegł z sali znajomy głos.

Fala przerażenia, która ją ogarnęła, była potężnym, wręcz fizycznym doznaniem. Odwróciła się ku Philipowi, a ten spojrzał na nią oszołomiony. Przymknęła oczy, by poradzić sobie z bólem towarzyszącym zrozumieniu. Philip

miał wrażenie, że Laura wybuchnie płaczem, lecz zamiast tego obróciła się na pięcie i weszła do sali.

James Lightman wyglądał na absurdalnie rozluźnionego, jakby spotykali się w salonie jego domu albo w herbaciarni przy The High. Stał z dłońmi splecionymi na brzuchu, emanując energią i pewnością siebie. Jego bystre brązowe oczy błyszczały w blasku świec. Obok mego tkwił Malcolm Bridges, którego oczy nie wyrażały absolutnie nic. Cienie tańczące na chudej twarzy młodzieńca powodowały, że przywodził na myśl męskie wcielenie kostuchy.

– Dotarliście w najciekawszym momencie – powiedział Lightman.

Niven poczuła ucisk w żołądku.

– Co to ma znaczyć, u diabła?! – krzyknęła ze złością. – Jak mogłeś... ?!

– Na pewno się domyślałaś, Lauro – odpowiedział z lekkim uśmiechem. – Z twoją wyobraźnią...

– Po nim mogłam się tego spodziewać – syknęła, przenosząc – wzrok na Bridgesa, który odpowiedział jej absolutnie pustym spojrzeniem. – Ale po tobie, Jamesie? Dlaczego, na miłość boską?

– Dlaczego, na miłość boską, miałbym pragnąć wiecznego życia, Lauro? Niech pomyślę...

– Ale okultystyczne rytuały... ?

– Cóż, świat byłby nudny, gdybyśmy wszyscy – wierzyli w to samo, nieprawdaż? Ale dość tego. Przede wszystkim muszę wam pogratulować przejścia prób Strażników. Niewielu udało się ta sztuka. Chętnie obejrzałbym dokument, który was tu doprowadził, ale tak naprawdę nie jest mi już potrzebny. Moje dzieło wkrótce zostanie ukończone – powiedział, wskazując dłonią pentagram. – Jak wiecie dzięki inteligentnie przeprowadzonemu śledztwu, tej nocy ostatni narząd trafi w moje ręce i rozpocznie się prawdziwa praca. Jedyne brakujący element będzie tu już niedługo.

Laura chciała coś powiedzieć, ale Lightman uciszył ją, unosząc rękę.

– Jestem pewien, że chcesz nam zakomunikować coś bardzo ważnego, droga Lauro, ale proszę, pozwól mi dokończyć moje wyjaśnienia. Sądzę, że uznasz je za cenne. Bo widzisz, wy dwoje – ciągnął, spojrzawszy przelotnie na Philipa – nie ujrzycie więcej słońca. Nie sposób wrócić stąd przez tunele Strażników, zatem zostaje jedna droga. Droga, która prowadzi do biblioteki. A tylko ja mam mapę – dodał i poklepał się po piersi.

– Trasa Johna Millinera.

– Mojego poprzednika, w niejednym sensie.

Laura spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Ot, kolejny kawałek układanki, który przegapiliście – oznajmił Lightman. – John Milliner był nie tylko profesorem medycyny, ale także głównym bibliotekarzem. Od co najmniej dwunastu pokoleń główni bibliotekarze Bodleian są przywódcami mojego zakonu, Zakonu Czarnego Sfinksa. Każdy z nas dodał coś do rozległej sieci tuneli pod biblioteką. Prace budowlane zakończyły się bardzo dawno temu, ale tworzyliśmy malowidła lub wprowadzaliśmy usprawnienia. Moim dziełem jest na przykład ta pomysłowa chłodnia.

– A to, jak się domyślam, twój kat – rzuciła Laura, kiwając głową w stronę Bridgesa.

– O nie, moja bystra Lauro – rzekł bibliotekarz. – Obawiam się, że tym razem bardzo się mylisz. Malcolm ma liczne talenty, ale nie jest zabójcą, którego szukacie. To zadanie innego naszego młodego kolegi. Przez lata występował pod wieloma nazwiskami, ale władze uniwersyteckie znają go jako Juliusa Spensera. Oficjalnie jest wybitnym psychologiem, który pracuje obecnie w Ameryce. Tyle przynajmniej wie o nim policja. Obawiam się bowiem, moja droga, że biedny stary detektyw Monroe nie działał ostatnio z wielkim polotem... Teraz wszakże, jeśli pozwolisz, chciałbym coś sobie wyjaśnić z moim współpracownikiem. – Cofnął się o krok i wyjął spod szaty rewolwer. – Malcolmie – rzekł lodowatym tonem, celując w Bridgesa – może opowiesz nam o swojej roli w tym wszystkim?

W sali zrobiło się naraz cicho jak w mauzoleum. Sto stóp pod gmachem Bodleian Library nie rozlegały się żadne odgłosy normalnego świata: ani warkot silników, ani ludzkie słowa. Wszystko to zostało na powierzchni. Mogli poczuć się tu tak, jakby cofnęli się w czasie. Gdyby nie chłodnia Lightmana, mógłby to być ten dzień, w którym Milliner zajrzał tu po raz pierwszy, albo ten, w którym Newton pochylał się nad zupełnie inną kolekcją ludzkich organów.

Zaskoczony Bridges spoglądał na Lightmana szeroko otwartymi oczami. Wolno uniósł ręce, wodząc wzrokiem w tę i z powrotem między twarzą starca a rewolwerem w jego dłoni. Laura dostrzegła na jego czole kropelki potu.

– Co? – bąknął, wolno kręcąc głową. – Co – właściwie... ?

– To całkiem naturalne, że wolisz się nie przyznawać...

Philip chciał mu przerwać, ale profesor spojrzał na niego.

– Ta sprawa nie ma nic wspólnego z panem, Bainbridge – wycedził. – Słucham – dodał, kiwając łufą w kierunku Bridgesa.

– Ja nie...

– Malcolmie, Malcolmie – westchnął Lightman, kręcąc głową. – Proszę cię, nie

marnuj mojego czasu. Zaczniemy od początku, zgoda? Pomogę ci. Bo widzisz, wiem o tobie znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz. Mam wiele, bardzo wiele niezmiernie przydatnych kontaktów w nader ciekawych miejscach. Wiem na przykład, że byłeś w tamtym domu, gdy mój współpracownik... może będziemy nazywać go Juliusem? Zatem gdy Julius zdobywał dla mnie mózg. Policja znalazła maleńką kroplę twojej krwi w pokoju dziewczyny. Ponadto dwa tygodnie temu dałeś się sfilmować podczas myszkowania po gabinecie w moim domu. Mam też nagrania rozmów, które prowadziłeś ze swoimi mocodawcami. Dość obciążające nagrania, Malcolmie.

Bridges przeszedł niespodziewaną przemianę. Błady naukowiec, wampiryczne narzędzie makabrycznych zbrodni, zniknął bez śladu. Nagle stał się całkiem zwyczajnym człowiekiem.

– Wiesz, dla kogo pracuję – powiedział, patrząc Lightmanowi w oczy. – Twoje podatki składają się na moją pensję. A jeśli rzeczywiście podsłuchiwałeś moje rozmowy, w co raczej wątpię, to wiesz zapewne, że dzwoniłem do gmachu przy Millbank. Istotnie, byłem w domu tej dziewczyny, bo miałem nadzieję, że przeszkodzę Spenserowi. Próbowałem uratować jej życie, ale się spóźniłem: widziałem, jak ją ciął. A teraz jestem tu, zęby powstrzymać ciebie.

Lightman uśmiechnął się lodowato, ale Laura wyczuła, że ubyło mu trochę na pozór niezachwianej pewności siebie.

– Eh, butna młodości – rzekł. – Jakże to podziwiam... Jednak mam wrażenie, drogi chłopcze, że zbyt późno zacząłeś działać. Choć oczywiście wcześniej nie mogłeś zrobić zbyt wiele, żeby nas powstrzymać. Nie było punktu zaczepienia, nieprawdaż? Julius działa niezwykle starannie. Co pomyśleliby twoi przełożeni, gdybyś poszedł do nich z opowieścią, w której zaginiony niedawno w tajemniczych okolicznościach główny bibliotekarz jest przywódcą grupy okultystycznej usiłującej za pomocą okrutnego rytuału zaskarbić sobie życzliwość Władcy Ciemności? A właśnie w tej chwili Julius szykuje się do pobrania ostatniego organu.

Bridges nie odezwał się. Powoli opuścił ręce.

– Nie próbuj. Lepiej trzymaj ręce wysoko – warknął Lightman, potrząsając bronią. Młodzieniec usłuchał. – Może się wam wydawać – dorzucił profesor, spoglądając na Laurę i Philipa – że jestem starym i słabym człowiekiem, ale radzę nie myśleć o próbie ataku. Strzelam doskonale i jestem znacznie zwinniejszy, niż na to wygląda. – Odetchnął głęboko. – A teraz, bardzo proszę, usiądźcie wszyscy tutaj – rzekł, wskazując lufą pentagram.

– Jamesie, nie sądzisz, że posunąłeś się wystarczająco daleko? – spytała Laura.

– Ty nie rozumiesz, prawda, Lauro? – odpowiedział bibliotekarz. – To nie gra. To śmiertelnie poważna sprawa. Poświęciłem dziesięć lat życia na zaplanowanie tego wyrafinowanego procesu, a dziś zbiorę owoce swej pracy. Nie pozwolę, żebyś mi w tym przeszkodziła. A teraz rób, co każę. – Położył dłoń na ramieniu Niven, by poprowadzić ją w stronę pentagramu, ale strząsnęła ją gniewnym ruchem.

– Nie spodziewałam się tego po tobie – syknęła.

Philip wziął ją pod ramię. Wraz z Bridgesem podeszli do podwyższenia, na którym stała metalowa konstrukcja. Lightman otworzył skrzynkę z narzędziami leżącą na posadzce. Były w niej klucze, śrubokręty, śruby, nakrętki i rolka taśmy. Bibliotekarz wyciągnął taśmę i podał ją Laurze.

– Przy wiąż im ręce do pentagramu – polecił. – A wy dwaj siadać – rozkazał. Włożył lufę rewolweru między łopatki Bridgesa i pchnął wystarczająco mocno, by zachęcić go do wykonania polecenia.

Philip zsunął plecak z ramion i położył przy nodze, zanim usiadł na kamiennej posadzce. Lightman obszedł pentagram, nie przestając mierzyć do nich. Kopnął plecak fotografa najdalej, jak mógł, a potem obserwował, jak Laura klęka i owija taśmą nadgarstki Bainbridgea. Sprawdził pęta, gdy unieruchamiała Bridgesa.

– Usiądź, proszę, Lauro – rzekł w końcu, po czym przymocował jej ręce do pentagramu. – A teraz wybaczenie, mam dużo pracy – oznajmił, spoglądając po ich twarzach.

Laura z pogardą odwróciła głowę.

– Naprawdę marnujesz czas – odezwał się Bridges cichym, acz zdecydowanym głosem.

– Nie doprowadzaj mnie do szału, Malcolmie – warknął Lightman. – Choć tak czy inaczej zginiesz, istnieją rodzaje śmierci, których nie chciałbyś doświadczyć, zapewniam cię.

– Inskrypcja jest fałszywa.

– Doprawdy?

– Charlie Tucker dowiedział się, co planujecie, i zmienił rozszyfrowany tekst. On naprawdę wierzył w to wszystko. A ty zabiłeś go przedwcześnie.

Lightman przez chwilę po prostu patrzył Bridgesowi w oczy, a potem przemówił dziwnie spokojnym głosem:

– Nie zabiłem Tuckera.

– Ktokolwiek to więc zrobił, zostawił cię z bezużyteczną inskrypcją, którą nie przywoła się nawet dobrej wróżki, nie mówiąc o Mefistofelesie.



Oczy bibliotekarza pociemniały z gniewu.

– Myśl sobie, co chcesz, Malcolmie – odparł szyderczo. – Sądzę, że postępujesz dokładnie tak, jak cię wyszkolono. Już widzę stronę z podręcznika, instrukcja numer siedemdziesiąt dwa: „Próbuj zastraszyć przeciwnika potencjalnie niebezpieczną, lecz całkowicie fałszywą informacją”.

Bridges tylko wzruszył ramionami.

– W porządku, możemy poczekać.

– Sądź, że możesz? – warknął Lightman, zbliżając się o krok. – Wyprowadzić cię z błędu? – spytał i uniósł rewolwer na wysokość głowy Bridgesa.

– Nie! – krzyknęła Laura.

Profesor obrócił się gwałtownie, mierząc w nią i Philipa. Znienacka roześmiał się i cofnął znów o kilka kroków, przyglądając się całej trójce unieruchomionej pod pentagramem.

– Żałosny widok – stwierdził.

– Zamknij się wreszcie, Jamesie – rzuciła ze złością Laura. – Jeśli ktoś tu jest żałosny, to tylko ty... Bo ty oszalałeś.

Lightman podszedł do Laury, siedzącej między Bridgesem a Bainbridgeem, i pochylił się tak, że mogli patrzeć sobie w oczy. Czuła na policzku jego oddech.

– Ty niczego nie podejrzewasz, prawda?

– Co mam podejrzewać? – syknęła Niven. – O czym ty mówisz, u diabła?

Starzec uśmiechnął się.

– O tożsamości ostatniej ofiary, rzecz jasna.

Minęła chwila, zanim Laura pojęła jego słowa.

– Ach, więc jednak rozumiesz – rzekł lodowatym tonem Lightman. – Twoja córka zostanie zabita za – spojrzał na zegarek czterdzieści pięć minut. Następnie Julius usunie jej wątrobę i przyniesie ją tutaj.

Laura poczuła zimno, które ogarnęło ją arktyczną falą. Zauważyła, że siedzący obok Philip próbuje uwolnić się z więzów.

– Proszę nic nie mówić, panie Bainbridge – powiedział spokojnie Lightman. – Sam zgadnę. Nie ujdzie mi to na sucho? Ale kto mnie powstrzyma? Monroe? On nie ma o tym pojęcia.

Laura była przerażona. Przed oczami miała obraz Joanny, samotnej w domu w Woodstock, i zimnego Juliusa Spensera, który zakrada się tam tylnymi drzwiami. Philip zamknął oczy i zacisnął usta. Był bardzo błydy.

– Przypuszczam, że zastanawiacie się teraz, jakim cudem Monroe mógł się nie domyślić, że moim ostatnim celem jest Joanna. – Nikt nie odpowiedział

Lightmanowi, ale to nie przeszkodziło mu w kontynuowaniu monologu. – Cóż, choć nasz detektyw jest w gruncie rzeczy tępakiem, należy powiedzieć, że tym razem nie była to wyłącznie jego wina. Otóż, Jo... Mogę ją tak nazywać, prawda?... Jo użyła nazwiska swego ojczyma, Newcombe, którym, jak wiesz, Lauro, posługuje się zawsze w sprawach oficjalnych. Wpisała je też w formularzu testów psychologicznych.

Biedny Monroe nie miał o tym pojęcia.

Ciężkie westchnienie Bridgesa przykuło uwagę bibliotekarza.

– Powiem to raz jeszcze, profesorze. Marnujesz czas.

Lightman opuścił rewolwer na wysokość głowy Bridgesa. Widzieli doskonale, jak trzęsie mu się ręka. Laura przypominała sobie nagle wizytę w jego gabinecie w Bodleian Library. To urządzenie do ściskania, które miało łagodzić bóle artretyczne... Ale nie mogła nic zrobić; więzy były tak ciasne, że odbierały jej czucie w palcach.

Lightman przełożył broń do drugiej ręki, a wolną potrzasał tak, jakby chciał złagodzić ból.

– Wiesz, Malcolmie – powiedział lekko drżącym głosem – zaczyna mnie męczyć to, jak się powtarzasz. – Przyłożył lufę do czoła młodzieńca, a potem wolno, niemal zmysłowo przesunął ją po jego twarzy. W miejscach, w których zimny metal dotknął skóry, pozostawały białe, okrągłe ślady. – Jesteśmy takimi delikatnymi istotami, nieprawdaż? – dodał szeptem. Opuścił rękę, mierząc w szyję Bridgesa, a następnie potoczył bronią wzdłuż jego lewego i prawego ramienia. Wróciwszy do korpusu, skierował lufę ku kroczu i tam zatrzymał ją na kilka sekund. W końcu wycelował najpierw w lewą, a potem prawą nogę. Gdy dotarł do kolana, znowu znieruchomiał. Wydawało się, że ogląda je z uwagą, przechylając głowę na bok. – Niezmiernie delikatnymi.

Spojrzał w oczy Malcolma Bridgesa i wypalił.

Echo powieliło huk wystrzału między kamiennymi ścianami. Kula roztrzaskała kolano Bridgesa. Młodzieniec krzyknął i szarpnął się gwałtownie, uderzając o metalową ramę pentagramu.

Twarz Lightmana była maską bez wyrazu, gdy patrzył na wijącego się z bólu Bridgesa. Po chwili odwrócił się ku Laurze i Philipowi, sparaliżowanym strachem.

– Jak już powiedziałem, mam dużo pracy – warknął.

Od strony drzwi dobiegło ciche chrząknięcie. Detektyw główny inspektor Monroe stał tam osłaniany przez dwóch funkcjonariuszy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Obaj mundurowi mierzyli z pistoletów w głowę Lightmana.

– Stój! Opuść broń! – zawołał Monroe.

Lightman uskoczył w prawo, złapał Laurę za włosy i pociągnął tak mocno, że wrzasnęła z bólu. Szybko uniósł rewolwer na wysokość jej skroni i mocno docisnął.

– Myślę, że to wy powinniście opuścić broń – oznajmił. Okropnie nie lubię bałaganu.

Laura myślała gorączkowo. Nie mogła ulec panice. To by nie pomogło ani jej, ani tym bardziej Jo. Zauważyła, że Monroe i dwaj policjanci zbliżyli się o krok. W odpowiedzi Lightman jeszcze mocniej docisnął lufę do jej skroni.

Nie zastanawiając się, obróciła głowę w stronę metalowej poprzeczki wspierającej pentagram. Zderzenie było bolesne, ale Lightman musiał ucieść znacznie bardziej, gdyż to jego palce, zaciśnięte na włosach Laury, zamortyzowały cios.

Krzyknął, próbując uwolnić rękę, i stracił równowagę. Tylko tego było trzeba policjantom. Padły dwa strzały i Lightman przewrócił się, ściskając rękami pierś.

Monroe w jednej chwili znalazł się przy pentagramie. Zaraz potem do sali wbiegło jeszcze dwóch funkcjonariuszy.

– Jones, dawaj zestaw ratunkowy – zawołał detektyw.

Drugi policjant biegł już w kierunku Lightmana.

– Zajmij się mm, Jones – polecił Monroe, wskazując Bridgesa. – Zabierz go na powierzchnię i po drodze, gdy tylko złapiesz sygnał, wezwij ratowników medycznych. – Spojrzał na Laurę i Philipa. – Jesteście cali? – zapytał.

Twarz Laury była śmiertelnie blada, a jej dłonie trzęsły się mimowolnie.

– Jo... Musicie ratować Jo... – jęknęła.

Monroe nie rozumiał.

– Co... ?

– Jo jest ostatnim celem – wyjaśnił Philip drżącym głosem. Nasza córka. Powinna być w moim domu w Woodstock. Zabójca jest już w drodze.

Detektyw zareagował błyskawicznie.

– Harcourt, Smith! – krzyknął do mundurowych, którzy weszli razem z nim do sali. – Na powierzchnię! – Zwrócił się w stronę Philipa. – Jaki adres?

– Somersby Cottage, Ridley Street. W bok od High Street, dwie przecznice od poczty.

– Zawiadomić wszystkie jednostki, by zachowały szczególną ostrożność – krzyknął Monroe. – Podejrzany jest uzbrojony i skrajnie niebezpieczny – Przeszedł za pentagram i przeciął taśmę.

Laura i Philip poderwali się, rozcierając nadgarstki.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała Laura; serce biło jej jak szalone.

– My się tym zajmiemy – rzekł z naciskiem Monroe.

– Mam nadzieję. Ale ja na pewno tu nie zostanę.

Policjant klęczący przy Lightmanie wyprostował się.

– Nie żyje – oświadczył.

Laura nawet nie przystanęła, by spojrzeć na bibliotekarza. Monroe i Philip podążali za nią. Nim zniknęli za drzwiami, Bainbridge dostrzegł jeszcze kątem oka, że Bridges próbuje usiąść. Jones zdążył już założyć mu opaskę uciskową nad kolanem i podać tlen.

– Dziękuję panu – rzekł fotograf.

Monroe wysforował się naprzód i pognął w lewo, pod łukiem zdobionym świecącymi kryształami.

– Jak nas znaleźliście? – spytał w biegu Philip.

– Podziękujcie za to naszemu przyjacielowi Malcolmowi Bridgesowi – odparł detektyw.

Powrót na powierzchnię zabrał im kilka minut. Monroe zatrzymywał się parę razy, by zerknąć na mapę przysланą przez Bridgesa. Tunele były kręte, ale nieustannie prowadziły w górę. Bieg był wyczerpujący, lecz nie mieli ani chwili do stracenia. Nie zwolnili nawet wtedy, gdy Monroe wyjął krótkofalówkę. Zielona lampka wskazywała, że ma już sygnał. Nacisnął klawisz wywołania.

– Harcourt? Jedziecie? To dobrze. Wszystkie jednostki mają się udać do Woodstock. Podejrzany jest niejaki Julius Spenser. Niech Smith przygotuje w drodze jego profil. Wiemy, że to doskonale wyszkolony zabójca. Jest też dobrze uzbrojony. – Odetchnął kilka razy i poczuł ból w piersi. Trzeba będzie pochodzić na siłownię, pomyślał. – Będziemy tam tak szybko, jak się da. Jenkins dowodzi do mojego przybycia. Jest już w drodze.

Skęcili po raz kolejny i ujrzeli ciężkie dębowe drzwi. Były otwarte. Monroe wpadł przez nie do gabinetu Lightmana. W pośpiechu prawie się nie rozglądali. Minęli dwóch funkcjonariuszy pilnujących drzwi i kilka sekund później omiotło ich chłodne powietrze nocy. Wóz Monroe stał opodal głównego wejścia do biblioteki. Laura i Philip wskoczyli na tylne siedzenie, a detektyw błyskawicznie włączył się do ruchu na Parks Road, kierując się na północ, ku Woodstock. Przez tylną szybę zdążyli jeszcze zobaczyć światła karetki podjeżdżającej pod bramę Bodleian Library.



## Rozdział 45

### Woodstock, 30 marca, północ

Dom był pogrążony w niemal całkowitych ciemnościach, gdy Akolita zatrzymał czarną toyotę na podjeździe otaczającym tył budynku. Jedyne w kuchni paliło się światło, a słaba poświata sięgała ścieżki biegnącej pod oknem. Akolita wiedział, że w domu zostanie tylko Toma i Joannę. Prawie trzy godziny wcześniej widział, jak Laura i Philip wchodzi do tunelu strumienia Trill Mill, następnie spotkał się z Mistrzem, a potem pojechał do St Giles i college u Joanny. Obserwował ją, gdy o 22.45 wychodziła główną bramą ze swym chłopakiem, i podążał za nimi, kiedy wyjeżdżali z miasta drogą na północ, do Woodstock. Tam zobaczył jeszcze, jak wchodzili do domu, zanim odjechał kawałek, by zaparkować i czekać.

Nadszedł czas ostatniego zbioru – czas pobrania wątroby Joanny Newcombe. Po wykonaniu zadania Akolita musiał czym prędzej wracać do Oksfordu, by stanąć u boku Mistrza podczas rytuału. Rankiem ich praca miała dobiec końca.

Nacisnął klamkę kuchennych drzwi. Były zamknięte. Odstawił pojemnik na organy, z kieszeni plastikowego kombinezonu wyjął przyrząd podobny do igły i wsunął go do zamka. Kilka sekund później drzwi stały otworem i mógł wejść do środka.

Usłyszał dźwięki dochodzące z sąsiedniego pokoju. Był tu już wcześniej, za dnia, i dobrze znał rozkład domu. Przekradł się przez ciemną jadalnię ku drzwiom prowadzącym do wąskiego korytarzyka. Otworzył je bardzo ostrożnie; w tym starym domu wszystko zdawało się skrzypieć i pojękiwać. W korytarzu usłyszał wyraźniej dźwięk telewizora dobiegający z salonu, który miał przed sobą. Po lewej znajdowały się wąskie, kręte schody na piętro. Przemknął przez hol. Drzwi salonu były nieznacznie uchylone. Otworzył je szerzej.

W kącie przy drzwiach stała włączona lampa, ale tak naprawdę jedynym źródłem światła – w głębi pokoju był włączony telewizor. Jo i Tom siedzieli przytuleni na kanapie. Intruz zauważył, że oglądają stary, czarno-biały film, w którym jakaś para całowała się w oknie pociągu, owiewana kłębamii pary. *Spotkanie*. Jaka zbieżność, pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Był już czas. Z przesadną troską umieścił pojemnik na podłodze i bezgłośnie wysunął skalpel z kieszeni na rękawie. Przez ułamek

sekundy długie, przeraźliwie ostre narzędzie błyszczało odbitym światłem. Akolita ruszył naprzód, lecz gdy postawił nogę na podłodze, rozległo się skrzypnięcie starej deski. Jo i Tom obrócili się gwałtownie.

Akolita był szybki, ale dziewczyna i chłopak jeszcze szybsi. Zerwali się, nim zdążył zrobić dwa kroki. Jo krzyknęła i schroniła się za plecami Toma, który ścisnął w dłoni kij do krykieta. Akolita nawet się nie zatrzymał. Zaatakował, wyciągając przed siebie skalpel. Tom i Jo cofnęli się pod ścianę. Poblądła Joanna wpatrywała się w napastnika wielkimi, przerażonymi oczami, a Tom starał się ze wszystkich sił zapanować nad sobą. Zamachnął się na Akolite, lecz chybił. Jo krzyknęła ponownie i chwyciła koszulę chłopaka, rozdzierając ją. Zaczęli się cofać w kierunku drzwi. Akolita warknął niecierpliwie i zaatakował po raz drugi. Tom zamachnął się i tym razem kij trafił w ramię zabójcy. Mężczyzna zawył z bólu i upuścił skalpel.

Zdobyli sekundę przewagi i skoczyli do holu. Jo złapała klamkę frontowych drzwi, lecz były zamknięte. Zaklęła.

– Na górę! – ryknął Tom i popchnął ją przed sobą. Sam podążył jej śladem ku wąskim schodom w momencie, gdy Akolita wychynął z ciemnego salonu. Zabójca trzymał skalpel w lewej dłoni; jego prawe ramię zwisało bezwładnie. Chłopak dostrzegł twarz pod pleksiglasową maską. Oczy intruza były czarnymi krążkami, a rysy woskową karykaturą rysów żywego człowieka.

Jo dobiegła do schodów. Tom był tuż za nią. Zaczęli się wspinać, przeskakując po dwa stopnie naraz. Tom znów zaatakował kijem, lecz Akolita uchylił się sprawnie, pozwalając, by broń uderzyła w tralki i ścianę, z której wyrwała solidny kawał tynku.

– Sypialnia! – krzyknął chłopak, gdy Jo znalazła się u szczytu schodów.

Akolita przyspieszył raz jeszcze. Tom odpowiedział uderzeniem, które ledwie musnęło napastnika, jednak spowolniło jego atak. Zamachnął się ponownie, ale nie trafił, a kij utknął między słupkami balustrady i wysliznął mu się z dłoni. Nim Tom rzucił się do ucieczki, zerknął znów w oczy Akolity. Zobaczył w nich wyłącznie swoją śmierć.

Jo wbiegała właśnie do sypialni, gdy Tom pędził za nią korytarzem. Był bardzo szybki i sprawny, lecz nie wyprzedził Akolity więcej niż o krok. Wpadł do pokoju, a Joanna zatrzasnęła za nim drzwi, ale przeciwnik już napierał na nie z drugiej strony.

– Zasuwka! – wrzasnął Tom, całym ciałem dociskając skrzydło.

Jo z trudem przesunęła bolec. Drżała mimowolnie, balansując na granicy

histerii. Błada jak płótno wpatrywała się w drzwi szeroko otwartymi oczami.

Akolita zaczął z ogromną siłą uderzać w przeszkodę. Skrzydło pękło wreszcie i Jo krzyknęła rozpaczliwie.

– Uciekaj przez okno, Jo! – zawołał Tom. – Uciekaj... Skacz... Wszystko jedno, po prostu wiej!

– Ale...

– Już!

Joanna usiłowała wyciągnąć haczyk, ale jej dłonie trzęsły się w niekontrolowany sposób. Czując mdłości z przerażenia, zdołała – wreszcie uporać się z tym zadaniem. W tej samej chwili centralny panel drzwi rozleciał się na kawałki, a dłoń w lateksowej rękawiczce sięgnęła do zasuwki. Tom chwycił to, co miał pod ręką – ciężki szklany dzbanek – i z całych sił uderzył nim w palce Akolity. Ucieszył się, usłyszawszy stłumiony maską krzyk. Zraniona ręka zniknęła między szczątkami panelu.

Tom cofnął się w stronę okna, a intruz potężnym kopniakiem wepchnął do pokoju to, co pozostało z drzwi. Akolita wiedział, że dogodny moment minął i że zmieniły się warunki astrologiczne, ale teraz kierowała nim już tylko żądza krwi. Ruszył w kierunku swych ofiar.

Monroe skręcił z High Street w Ridley Street i zobaczył przed sobą trzy wozy policyjne z wyłączonymi światłami. Dojeżdżając na miejsce, wyłączył je i w swoim samochodzie.

Czterej funkcjonariusze z karabinami i w kamizelkach kuloodpornych sunęli właśnie wzdłuż bocznej ściany domu. Dwaj z nich ruszyli przodem, pozostali ich ubezpieczali.

Laura otworzyła drzwi, zanim jeszcze wóz się zatrzymał.

– Nie – powiedział Monroe z naciskiem, chwytając ją za ramię. – Niech pani nie będzie aż tak cholernie głupia. Moi ludzie już tam idą... Nie zdołają wykonać swojej...

Laura wyrwała się.

– Jeśli sądzi pan, że...

– Jeśli tam pójdziesz, sama możesz zginąć! – wykrzyczał Monroe. – I w dodatku doprowadzić do śmierci córki! Pomyśl, kobieto! Tego właśnie chcesz?!

Laura opadła nagle na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

– O mój Boże... – jęknęła, a Philip otoczył ją ramieniem.

Monroe wyskoczył na ulicę i ruszył do najbliższego wozu patrolowego, przy



którym konstabl Smith rozmawiał przez radio. Detektyw miał właśnie polecić mu, by obiegł dom z drugiej strony, gdy donośny huk kazał im spojrzeć w górę, na okna sypialni. Rozległ się przenikliwy krzyk.

– Jenkins, melduj! – ryknął Monroe do krótkofalówki.

Odpowiedzi nie było.

– Smith, za mną, bokiem na tyły domu – warknął detektyw, po czym wyjął z kabury pistolet i pognał w stronę podwórza.

Gdy zniknęli w cieniu murów, okno na piętrze otworzyło się tak gwałtownie, że omal nie wypadło z zawiasów. Laura zobaczyła to przez szybę wozu detektywa i zanim Philip zdążył ją chwycić, biegła już w stronę frontowego trawnika. W oknie ukazała się przerażona Jo. Właśnie próbowała wejść na parapet, gdy w domu rozległ się strzał. Zaraz potem huknął kolejny i jeszcze jeden. Laura skrzywiła się odruchowo i na ułamek sekundy zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, Jo nie było już w oknie.

Akolita leżał na progu sypialni, twarzą do podłogi, niczym czerwono-biały manekin. Tylne części kaptura była rozerwana i zbryzgana krwią, między łopatkami miał kolejne dwie rany po kulach. Na podłodze wałały się szczątki rozbitych drzwi.

Tom i Jo rozmawiali z detektywem Monroe, gdy Laura i Philip wpadli do pokoju. Laura pobiegła wprost do córki i mocno ją przytuliła.

Philip położył rękę na ramieniu Toma.

– Dobra robota – rzekł.

– Nie ma to jak kawał solidnej wierzbiny pod ręką – powiedział chłopak jeszcze nieco drżącym głosem.

Bainbridge spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Przez cały wieczór trzymałem na kolanach kij do krykieta. Po tym, jak się tu włamali, wołałem nie ryzykować.

– Punkt dla ciebie – stwierdził Philip i ruszył do miejsca, w którym tuliły się Laura i Jo. Wziął córkę w ramiona i ucałował jej mokre od łez policzki. Wreszcie otoczył Laurę ramieniem i przyciągnął bliżej. – Szczęśliwa rodzinka – mruknął.

## Rozdział 46

### Los Angeles, dwa dni później

Wysoki, szczupły mężczyzna w workowatych szortach i fedorze wyszedł na oślepiające słońce doskonałego kalifornijskiego poranka. Na deptaku przy plaży panowała cisza; o tej godzinie nie otwierano jeszcze okolicznych straganów.

Przeszedłszy na drugą stronę promenady na obrzeżach Venice Beach, wkroczył bosy na drobniutki, ciepły piasek i ruszył ku wodzie. Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na przestronny dom, pomalowany olśniewająco białą farbą i ozdobiony balkonami ze szkła i stali. Po chwili usiadł na piasku i zapatrzył się na ocean.

Jego telefon komórkowy zapiszczał. Mężczyzna spojrzał na ekran i odczytał SMS: „Zadanie wykonane. Ostatnia dziewczyna uratowana. Mistrz i jego sługa nie żyją. Życzę – wiecznego szczęścia. Bradwardine”.

Charlie Tucker uśmiechnął się, podziwiając znowu fale. Upozorowanie własnej śmierci w Londynie nie było łatwe, ale przywódca Strażników miał do dyspozycji niemałe środki. Policjanci i ratownicy medyczni, którzy zjawili się na miejscu „morderstwa”, byli bez wyjątku lojalnymi członkami bractwa. Doskonale wykonali swoje zadania. Gdy on przyzwyczajał się pomału do kalifornijskiego słońca, oni aranżowali jego pogrzeb w Croydon. Źle się czuł, naraziwszy Laurę na niebezpieczeństwo, ale jak sam stwierdził w nagraniu na płycie DVD, którą jej zostawił, i tak zamierzała się wpakować w tę kabałę.

Wiele zawdzięczał także Bradwardineowi z dwudziestego pierwszego wieku – taki pseudonim przyjął jego najbardziej zaufany towarzysz spośród Strażników, Malcolm Bridges. To on wykonywał najniebezpieczniejsze zadanie i to on ryzykował wszystko. Umieszczono go w MI5 i w Oksfordzie, by monitorował działalność grup okultystycznych – dokładnie tak, jak trzy i pół wieku wcześniej uczyniono z Johnem Wickinsem, który został wysłany do Cambridge, by mógł się przyglądać poczynaniom Newtona. Zawiadomienie władz nie zdałoby się na wiele. To dlatego Bridges działał tak, jak działali przez wieki wszyscy Strażnicy: obserwował i czekał, zaprzyjaźniał się i współpracował najlepiej, jak potrafił, starając się nie przyciągać niczyjej uwagi do pradowanej organizacji, której był członkiem. Charlie rozumiał to doskonale, ponieważ zachowywał się tak samo – wykorzystywał innych i manipulował nimi tak, by robili to, czego potrzebował.

Bradwardine, czyli Bridges, donosił mu o wszystkim z drugiego końca świata –

także o tym, że Lightman, dosłownie, zszedł do podziemia. Nawiasem mówiąc, profesor zastosował podobną taktykę. Własne zniknięcie zaplanował do ostatniego szczegółu, włącznie z zapewnieniem sobie świadka, który rzekomo widział „porwanie”. Charlie wiedział też, że Laura i Philip zapuścili się do labiryntu. Z odległości sześciu tysięcy mil niewiele mógł dla nich zrobić – w zasadzie jedynie czekać i mieć nadzieję, że nie odkrywając się, przekazał im wystarczająco dużo informacji, by wyszli z tej przygody bez szwanku. Teraz wiedział już, że Joanna jest bezpieczna, a Lightman i Spenser nie żyją.

Charlie Tucker westchnął głęboko, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej cenny przedmiot, z którym już się nie rozstawał: doskonałą rubinową kulę. Uniósł ją i przyglądał się drobnej linii hieroglifów, która oplatała artefakt gęstą spiralą od bieguna do bieguna, by pochwycić i zamknąć w kamieniu słoneczne promienie. Po chwili schował kulę i ponownie zapatrzył się w czysty błękit oceanu, zadowolony z siebie i ze świata.

## FAKTY UKRYTE ZA FIKCJĄ

*Ekwinokcjum* jest naturalnie powieścią powstałą w wyobraźni, jednak niektóre jej motywy oparte są na faktach historycznych. Poniższy tekst to analiza owych motywów i prawdy, która dała im początek.

### **Alchemia**

Alchemia jest uważana za poprzedniczkę współczesnej chemii. Praktykowana już przed tysiącami lat, po dziś dzień ma zwolenników. Niektórzy twierdzą, że korzenie alchemii sięgają naprawdę zamierzchłej przeszłości i że jej adeptem był nawet Mojżesz, ale niemal z pewnością jest to przesada.

Wiemy na pewno, że alchemia ma co najmniej dwa tysiące lat, gdyż istnieją zapiski dotyczące prac starożytnych alchemików w Chinach i w Aleksandrii – te ostatnie zostały częściowo zniszczone pod koniec czwartego wieku za sprawą biskupa Teofila. To właśnie starożytnym chińskim alchemikom przypisuje się wynalezienie prochu strzelniczego na wieki przed tym, jak ponownie odkrył go w Europie wielki trzynastowieczny filozof Roger Bacon. Zachowały się też chińskie relacje z eksperymentów alchemicznych dokonywanych na skazańcach – ludzkich królikach doświadczalnych.

Alchemicy wierzyli, że mogą otrzymać magiczną substancję zwaną kamieniem filozoficznym – substancję zdolną przemienić dowolny metal bazowy w złoto.

Właśnie ten nieuchwytny cel usiłowało osiągnąć tysiące mężczyzn i kobiet, przez lata w pocie czoła pracując w mrocznych, cuchnących laboratoriach.

Alchemicy niezłomnie wierzyli w swe powołanie, a wielu miało obsesję na punkcie swego rzemiosła. Wybitny psycholog Carl Gustav Jung, zafascynowany alchemią, uświadomił sobie, że doświadczenia, które przeprowadzali alchemicy w swych laboratoriach, były w istocie rytuałami związanymi ze swoistą obsesją religijną.

Usiłowali oni przekształcać własne umysły czy dusze, pracując nad przemianą metali bazowych w złoto. Nie różni się to zasadniczo od innych doświadczeń religijnych, dzięki którym ludzie starają się osiągnąć doskonałość, innymi słowy, znaleźć w sobie prawdziwe „złoto”. Alchemicy byli tylko częściowo świadomi tego aspektu swej pracy, ale pojmowali, że muszą być „czystego ducha”, aby osiągnąć cel. Wielu latami przygotowywało się duchowo do – wypełnienia swej misji.

Niektórzy współcześni okultyści twierdzą, że alchemia jest prawdziwą nauką, i wskazują na jej podobieństwo do mechaniki kwantowej, naukowej teorii opisującej świat subatomowy. W rzeczywistości jednak związek taki nie istnieje. Mechanika kwantowa jest nauką ścisłą, której tezy wspiera niemal wiek badań i doświadczeń, alchemia zaś opiera się na fałszywym przekonaniu, iż transmutacja może się

dokonać w zwykłym tyglu. Co ważniejsze, mechanika kwantowa daje nam realne, praktyczne wynalazki – lasery, telewizję, całą mikroelektronikę. Tymczasem alchemia jest absolutnie subiektywna i nie ma podstaw logicznych.

Jest też nader trudnym do studiowania przedmiotem, z uwagi na indywidualną naturę poszczególnych praktyk. Każdy alchemik miał własną koncepcję poszukiwania tego, co uważał za kamień filozoficzny. Najwcześniejsze ze znanych dokumentów na ten temat przechowywano w Aleksandrii. Opierając się na manuskryptach, które przetrwały zniszczenie Biblioteki Aleksandryjskiej, arabscy filozofowie z siódmego i ósmego wieku naszej ery stworzyli nieco bardziej zaawansowane techniki alchemiczne. Ich myśl dotarła do Europy mniej więcej w jedenastym wieku i szybko zdobyła popularność. W wieku szesnastym były już setki wędrownych magów, którzy znajdowali zatrudnienie u łatwowiernych a zamożnych kupców oraz szlachetnie urodzonych.

Setki alchemików pisało książki o technikach, których używali, celowo jednak zaciemniając obraz użyciem szyfrów lub poetyckiego języka – a wszystko po to, by uniknąć naśladownictwa ze strony konkurentów. Innym powodem był absolutny brak sukcesów na drodze do celu.

W roku 1404 angielski król Henryk IV zabronił pod karą śmierci uprawiania alchemii, ponieważ obawiano się, że jeśli uda się otrzymać upragniony kruszec, pod wpływem zwiększonej podaży złota zakłóceniu może ulec równowaga rynku finansowego. Później jednak królowa Elżbieta I zatrudniła alchemików, próbując zapełnić królewski skarbiec. Jednym z jej ulubieńców był John Dee, utalentowany filozof i okultysta.

Alchemicy nie mieli szans na spełnienie swych marzeń, ponieważ usiłowali zmieniać podstawową tkankę materii, używając zwykłego pieca i mieszaniny prostych chemikaliów. Dziś transmutacja jest możliwa, ale wyłącznie w reaktorach jądrowych, gdzie duże atomy dzielą się na mniejsze cząstki w procesie zwanym rozszczepieniem. Jednak choć potrafimy wyprodukować złoto z innego metalu, wartość potrzebnej do tego energii, a zatem i koszt całego procesu, są wyższe od wartości otrzymanego kruszcu.

Metody pracy alchemików były bardzo prymitywne. Zazwyczaj zaczynali od mieszania w moździerzu trzech substancji: rudy metalu (zwykle zanieczyszczonego żelaza), innego metalu (zwykle ołowiu lub rtęci) oraz kwasu pochodzenia organicznego (zwykle cytrynowego, z owoców lub warzyw). Łączyli je dłuższy czas – nawet do sześciu miesięcy – by uzyskać mieszaninę idealnej jakości, którą następnie ostrożnie podgrzewali w tyglu. Wzrost temperatury musiał być powolny, a gdy osiągała ona optymalną wartość, należało podtrzymywać ją dziesięć dni. Był to niebezpieczny proces, w którym wydzielaly się toksyczne opary. Wielu alchemików, pracujących w ciasnych, nie wentylowanych pomieszczeniach, ulegało zatruciu oparami rtęci, inni zaś powoli tracili rozum wskutek zatrucia

ołowiem lub rtęcią.

Po zakończeniu ogrzewania materiał wyjmowano z tygla i rozpuszczano w kwasie. Wiele pokoleń alchemików eksperymentowało z różnymi rozpuszczalnikami – w ten sposób odkryto kwasy azotowy, siarkowy i octowy.

Po rozpuszczeniu materiał trzeba było odparować, czyli poddać destylacji. Proces ten był najdelikatniejszym i najbardziej czasochłonnym etapem – niejednokrotnie alchemik uzyskiwał zadowalający destylat dopiero po latach pracy. Była to też faza niebezpieczna – ogień w laboratorium nie mógł zgasnąć ani na chwilę, a wypadki zdarzały się często.

Jeżeli eksperymentator nie zginął w płomieniach, a niedostatki techniki nie spowodowały zmarnowania materiału, nadchodził czas na etap bardziej związany z mistycyzmem. Według większości tekstów z dziedziny alchemii, moment przerwania destylacji należało rozpoznać po „znaku”. Nie ma zgodności co do tego, jak ów znak miał wyglądać – nieszczęsny alchemik musiał po prostu czekać na najodpowiedniejszą chwilę, by przejść do kolejnej fazy.

Materiał wydobyty z aparatury destylacyjnej poddawano następnie działaniu utleniacza – zwykle był to azotan potasowy, substancja dobrze znana starożytnym Chińczykom, a prawdopodobnie również uczonym z Aleksandrii. Niestety, w zetknięciu z siarką z rudy metalu i węglem z kwasu organicznego powstawała – dosłownie – wybuchowa mieszanka: proch strzelniczy.

Wielu alchemików, którzy przeżyli zatrucie oparami i pożar laboratorium, zginęło w eksplozji.

Ci, którym i tym razem dopisało szczęście, mogli rozpocząć ostatnią fazę procesu. Mixture zamykali w specjalnym pojemniku i ostrożnie ogrzewali. Po ponownym schłodzeniu otrzymywali niekiedy półprodukt zwany „białym kamieniem”, pozwalający – jak twierdzili – transmutować metale bazowe w srebro.

Najambitniejszy etap pracy – wytworzenie czerwonej substancji zwanej „czerwoną różą”, poprzez ogrzewanie, ochładzanie i oczyszczanie destylatu – miał prowadzić wprost do uzyskania kamienia filozoficznego.

Wszystkie te praktyki opisywano w sposób alegoryczny, zawsze językiem pełnym mistyki oraz tajemnego, ezoterycznego sensu. Dla przykładu, łączenie pierwotnych składników w procesie ogrzewania nazywano „wszczynaniem wojny między dwoma smokami”. W ten sposób dokonywało się uwolnienie i ponowne połączenie – „zaślubiny” – męskich i żeńskich pierwiastków, których symbolem byli Król i Królowa. Taką właśnie koncepcję przedstawia jedna z najśłynniejszych ksiąg o alchemii, alegoryczny romans *Chemiczne zaślubiny*, który interpretuje się między innymi jako opis procesu transmutacji.

Alchemia była dziedziną fantastów, ale przyniosła też realne owoce. To alchemicy wymyślili i ulepszyli wiele technik laboratoryjnych, w tym metody ogrzewania, przelewania odczynników, rekrytalizacji i odparowywania. Byli pionierami

budowy aparatury chemicznej, choćby palników czy wyspecjalizowanych naczyń szklanych.

Kolejne pokolenia alchemików udoskonalały technikę destylacji, opracowaną przez magów z Aleksandrii niemal dwa tysiące lat temu. Dziś w żadnym laboratorium chemicznym nie może zabraknąć aparatury do destylacji. Praktycznie taki sam sprzęt, tyle że w znacznie większej skali, stosowany jest do rafinacji ropy naftowej. Więcej w: Michael White, *Isaac Newton: The Last Sorcerer*, Fourth Estate, 1997.

## **Astrologia**

Według większości historyków, początki współczesnej zachodniej astrologii sięgają czwartego tysiąclecia przed naszą erą. Mieszkańcy Mezopotamii wypracowali wówczas system znaków gwiazdnych zbliżony do tego, jaki znamy dzisiaj – podzielili nieboskłon na dwanaście konstelacji.

Zręby tej pradawnej sztuki zostały przejęte przez Greków i zakorzeniły się na tyle, by stać się ważnym elementem filozoficznego melanżu starożytności. Sokrates, Platon i Arystoteles praktykowali astrologię. Interesował się nią też żywo Aleksander Wielki, uczeń Arystotelesa i największy zdobywca helleńskiego świata. Wraz z nadejściem chrześcijaństwa astrologia została zepchnięta na boczny tor. Niektórzy z wczesnych przywódców Kościoła wspierali jeszcze myśl astrologiczną, lecz już na początku średniowiecza uznano ją za wroga i wielu astrologów spalono na stosie jako heretyków.

Być może właśnie w wyniku sprzeciwu Kościoła astrologowie zeszli do podziemia, a ich sztuka stała się manifestacją opozycji wobec władzy, podobnie jak inne elementy tradycji okultystycznej, na przykład alchemia czy jasnowidztwo. Wielu alchemików było równocześnie astrologami; te dwie dziedziny spletały się coraz mocniej, niczym w kręgu członków Zakonu Czarnego Sfinksa w *Ekwinokcjum*. Większość z nich doszukiwała się związków między odkryciami alchemicznymi a znakami zodiaku. Ludzie ci wierzyli, że alchemia i astrologia mają wspólne korzenie w naukach starożytnych Egipcjan.

Mogłoby się wydawać, że narodziny astronomii oznaczają koniec astrologii. Prawdą jest, rzecz jasna, że wiedza naukowa i narastające przekonanie, iż ludzkość to jedynie nic nie znaczący gatunek w niemal nieskończonym wszechświecie, odebrały astrologii wielką część jej dawnego znaczenia, jednak i dziś wielu ludzi wierzy w znaki zodiaku oraz w to, że gwiazdy kierują ich życiem. Astrologia jest bodaj najpopularniejszym przejawem okultyzmu w dwudziestym pierwszym wieku. Większość ludzi czyta horoskopy i rozmawia o znakach zodiaku, w zasadzie nie kojarząc nawet tego tematu z tradycją okultystyczną.

Według niektórych statystyk, 99% procent ludzi zna swój znak zodiaku, a mniej więcej 50% regularnie czyta horoskopy. Mimo to większość naukowców uważa

astrologię za dziedzinę spełniania życzeń, fantazji. Wskazują na fakt, iż doświadczenia nie potwierdzają związku między datą urodzin człowieka a jego charakterem czy przebiegiem życia. Zauważają też, że gros horoskopów zawiera tak zwane „twierdzenia Barnuma” (nazwane na cześć autora powiedzenia, że „Takie mądrości rodzą się co minutę”), czyli nadzwyczaj ogólnikowe tezy w rodzaju „Lubisz wyzwania” albo „Czasem masz naturę ekstrawertyka, a czasem introwertyka”.

Pewien słynny eksperyment dowiódł, że tego typu określenia każdy interpretuje według własnego uznania. Francuski naukowiec Michel Gauquehn zamieścił w czasopiśmie „*Le Paris*” ogłoszenie, oferując darmowy horoskop wszystkim, którzy odpowiedzą. Otrzymał 150 zgłoszeń i każdemu z zainteresowanych wysłał horoskop, a następnie poprosił o opinię. 94% respondentów odpowiedziało, że horoskop trafnie opisał ich osobowość. Gauquehn nie zdradził im tylko jednego: że każdemu wysłał ten sam horoskop... doktora Petroita, niesławnego seryjnego zabójcy.

Innym zastrzeżeniem wobec astrologii jest to, które w *Ekwinokcjum* wysuwa Jo: gwiazdy nie są przytwierdzone do nieboskłonu i w ciągu sześciu tysięcy lat znaki zodiaku, które w nich dostrzegano, znacząco zmieniły pozycję na nocnym niebie. Jednak najpoważniejszy zarzut pod adresem astrologii "wysuwa logika. Koncepcję stworzyli ludzie dość prymitywni, nie mający pojęcia o naturze wszechświata. Dla naszych przodków, żyjących cztery tysiące lat przed Chrystusem, Ziemia była miejscem jedynym w swoim rodzaju, podobnie jak sama ludzkość. W ich wyobraźni to bogowie sterowali każdym aspektem ludzkiego życia, a niebo było czymś więcej niż tylko tłem naszej egzystencji. Dziś mamy za sobą nie tylko lekcję Darwina, ale i dokonania astronomów, począwszy od Galileusza, a skończywszy na współczesnych badaczach dysponujących najnowocześniejszymi radioteleskopami – wiemy, że rodzaj ludzki nie ma we wszechświecie wielkiego znaczenia, a Ziemia jest ledwie plamką na spirali jednej z miliardów galaktyk. W obliczu tych faktów trudno wierzyć, by odległe słońca, z których – wiele dzieli od nas tysiące lat świetlnych, mogły mieć jakikolwiek wpływ na nasze życie. Wiara, że mogą, jest prawdopodobnie najbardziej dobitnym przykładem egotyzmu.

Więcej w: Terence Hines, *Pseudoscience and the Paranormal*, Prometheus Books, 1988.

## **Bear Inn w Oksfordzie**

W *Ekwinokcjum* pojawia się gospoda, w której Newton zatrzymał się, nim wziął udział w spotkaniu Zakonu Czarnego Sfinksa w podziemiach Bodleian Library. Pub o takiej nazwie istnieje naprawdę. Podobno nazwano go tak, ponieważ został wzniesiony w miejscu, gdzie znajdowało się legowisko niedźwiedzi. Jest to jeden z



najstarszych lokali w Oksfordzie, otwarty w 1242 roku.

## **Biblioteka Aleksandryjska**

Uważa się, że została założona już w trzecim wieku przed naszą erą i że jej zaczątkiem była kolekcja ksiąg Arystotelesa.

Biblioteka Aleksandryjska to bez wątpienia najwspanialszy księgozbiór starożytnego świata – u szczytu swej świetności liczył on mniej więcej siedemset tysięcy zwojów. Była to biblioteka królewska, utworzona dekretem Ptolemeusza I. Podobno Ptolemeusz nakazał, by każdy odwiedzający Aleksandrię przekazał swoje książki do skopiowania. Budynek mieszczący zbiory wzniesiono na miejscu Musejonu – Świątyni Muz (stąd nazwa muzeum).

Za zniszczenie biblioteki grecki uczyony Plutarch winił Juliusza Cezara, ale ostatnio znany historyk Edward Gibbon wskazuje też na Teofila, biskupa Aleksandrii.

Odkąd biblioteka została unicestwiona, uczeni i filozofowie nie przestają opłakiwać tej niepowetowanej straty dla świata nauki. Nikt nie wie, ile manuskryptów spłonęło, ale pewne jest, że część ocalono. Do zachowanych rękopisów dotarli arabscy uczeni; niektóre z odnalezionych tekstów trafiły w XIV i XV wieku do Włoch i Hiszpanii, stając się podwalinami renesansu. Inne dostały się w ręce arabskich alchemików, którzy przekazali swe doświadczenia europejskim kolegom, podsycając mistyczno-okultystyczny płomień wiedzy.

Więcej w; Roy MacLeod, *The Library of Alexandria: Centre of Learning in the Ancient World*, I. B. Tauris Publishers, 2004.

## **Bodleian Library**

Bodleian Library jest największą i prawdopodobnie najstarszą biblioteką akademicką na świecie. Jej zaczątkiem była kolekcja książek Thomasa Cobhama, biskupa Worcester, подарowana Uniwersytetowi Oksfordzkiemu w latach dwudziestych czternastego wieku. Gdy Cobham zmarł, jego książkami opłacono podatek spadkowy, ale wkrótce wykupił je oksfordzki Oriel College, w którym pozostały niemal czterysta lat.

Profesor Merton College, sir Thomas Bodley (1545-1613), otrzymał zadanie znalezienia funduszy na budowę niezależnej biblioteki uniwersyteckiej. Kolekcja Cobhama stała się jądrem owej biblioteki, którą otwarto w 1602 roku. Na cześć założyciela w roku 1604 nową instytucję nazwano Bodleian Library.

Dziś księgozbiór ten znajduje się w kompleksie budynków w centrum Oksfordu, w tym New Bodleian, wybudowanym w 1939 roku. Większość z pięciu milionów książek przechowywana jest w niemal stu kilometrach tuneli pod miastem.

Wiedza na temat owych tuneli nie jest zbyt powszechna. Uważa się, że ich budowę

rozpoczęto w osiemnastym wieku i kontynuowano przez dziesięciolecia. Podczas drugiej wojny światowej były kryjówką dla cennych zabytków sztuki, które chciano ochronić przed bombami Luftwaffe. O ile mi wiadomo, nigdy nie służyły jako miejsce odprawiania okultystycznych rytuałów.

### **Robert Boyle (1627-1691)**

Po Newtonie i Galileuszu, Robert Boyle był bodaj najważniejszym z uczonych siedemnastego stulecia. Interesowało go głównie to, co potomni nazwaliby chemią, ale równie biegły był w arkanach alchemii. W pewnym sensie możemy uważać Boylea za twórcę pomostu między starożytną alchemią a współczesną chemią. Urodzony w Irlandii w roku 1627, ten współzałożyciel Towarzystwa Królewskiego był kimś w rodzaju męża stanu siedemnastowiecznej nauki. Jego najsłynniejszym dziełem jest praca *The Sceptical Chymist*, opublikowana w roku 1661.

Boyle pochodził z arystokratycznej rodziny. Był czternastym, najmłodszym synem earla Corku i choćby dlatego nie mógł mieć młodszego brata Jamesa, który pojawia się w *Ekwinokcjum*. Jednak prawdą jest, że był najbardziej znanym uczonym Oksfordu i miał laboratorium w University College przy High. Dziś na bramie collegeu od strony High Street znajduje się tablica z napisem:

W domu, który stał na tym miejscu,  
w latach 1655 – 1668 mieszkał  
ROBERT BOYLE

Boyle słynny jest i z tego, że był członkiem tajnych stowarzyszeń, na spotkaniach których dyskutowano o alchemii i dzielono się wiedzą okultystyczną. Dobrze znał Isaaca Newtona i był jednym z nielicznych ludzi, których profesor katedry Lucasa podziwiał. To właśnie Robert Boyle przekonał młodego Newtona do utrzymywania w tajemnicy badań alchemicznych, by nie naraził się na śmieszność w społeczności naukowej, a równocześnie uniknął konfliktu z Kościołem i Koroną.

Więcej w: Lawrence Principe, *The Aspiring Adept: Robert Boyle and his Alchemical Quest*, Princeton University Press, 2000.

### **Thomas Bradwardine (ok. 1297-1349)**

Dokładna data urodzin Thomasa Bradwardinea nie jest znana. Historycy ustalili ją w przybliżeniu, opierając się na dacie uzyskania przez niego dyplomu uczelni oksfordzkiej w roku 1321. Bradwardine był szanowaną postacią społeczności uniwersyteckiej i piastował kilka znaczących urzędów, nim w roku 1337 przeniósł

się na dwór królewski. Został mianowany dziekanem katedry Św. Pawła, a później kapelanem królewskim. W ostatnich dwóch latach życia pełnił funkcję arcybiskupa Canterbury. Padł ofiarą Czarnej Śmierci, która szalała w Europie pod koniec lat czterdziestych czternastego – wieku.

Bradwardine był jednak znany nie tylko jako teolog, ale przede wszystkim bardzo utalentowany i nieszablonowo myślący matematyk. Żył w czasach, gdy większość intelektualistów bezkrytycznie podążała za naukami greckiego filozofa Arystotelesa, ale nie bał się kwestionować wielu jego teorii. W Oksfordzie nazywano go „Doctor Profundus”. Zostawił po sobie kolekcję pionierskich prac z dziedziny logiki i rozwiązywania problemów.

### **Nicolas Fatio de Duillier (1664-1753)**

Fatio de Duillier przyszedł na świat w zamożnej rodzinie, która z początku rozpieszczała go bez umiaru. Przez pewien czas był dość znaną postacią w kręgach inteligencji, ale jego dobra reputacja nie trwała długo. Jako siódme z dwanaściorga dzieci, Fatio, syn bogatego ziemianina, dorastał w Szwajcarii.

W roku 1682, mając lat 18, Fatio mieszkał w Paryżu i korzystał ze szczodrego „kieszonkowego”. Był nawet utalentowanym, nad wiek rozwiniętym matematykiem. Zdołał też zrobić dobre wrażenie na kilku znanych filozofach. W roku 1687 udał się w podróż do Anglii – specjalnie po to, by poznać Newtona.

Pochlebstwami zaskarbił sobie sympatię wielkiego uczonego i między rokiem 1689 a 1693 łączył ich namiętny związek. W pewnym momencie Newton chciał nawet, by Fatio wprowadził się do jego mieszkania w Cambridge, ale nie doszło do tego. Pewne jest, że Fatio był zafascynowany okultyzmem i zachęcał Newtona do zainteresowania się światem magu. Przeprowadzili razem liczne eksperymenty alchemiczne; niewykluczone, że to właśnie Fatio skłonił Newtona do zgłębiania czarnej magii.

Naukowy światek Anglii nigdy nie ufał de Duillierowi; przybysz ze Szwajcarii miał tu wielu wrogów. Gorzkie rozstanie z Newtonem nastąpiło w roku 1693. Fatio stracił protektora i jego akcje poszły w dół.

O późniejszym życiu de Duilliera wiadomo niewiele. Jest jedną z tych osobliwych postaci, które pozostają na peryferiach naukowej społeczności swych czasów. Znane są jego związki z różokrzyżowcami i innymi egzotycznymi grupami. Co najmniej raz został zakuty w dyby przy Channg Cross za działalność antyspołeczną. Dożył dziewięćdziesiątki, ale umierał w ubóstwie, niemal zupełnie

zapomniani.

## **Liam Ethwiche**

Imię i nazwisko autora biografii Isaaca Newtona, wzmiankowanej w *Ekwinokcjum*, są anagramem.

## **Robert Hooke (1635-1703)**

Urodzony – w 1635 roku Robert Hooke był synem duchownego. Jego ojciec popełnił samobójstwo – powiesił się – w roku 1648, gdy Robert był nastolatkiem. Jako że chłopak wykazywał talent do rysunku i malarstwa, po otrzymaniu skromnego spadku w kwocie stu funtów został wysłany do Londynu, gdzie miał terminować u malarza, sir Petera Lelyego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zwrócił na niego uwagę Richard Busby, pryncypał Westminster School, który szybko zdał sobie sprawę, że zdolności intelektualne Hooke'a znacznie przewyższają jego talent artystyczny. Pod kuratelą Busby ego chłopak otrzymał najlepsze w owych czasach wykształcenie. Wstąpił do Christ Church College w Oksfordzie i tam w roku 1663 zdobył dyplom magisterski.

W czasie studiów musiał pracować jako służący. Po zakończeniu nauki został asystentem Roberta Boyle'a w jego oksfordzkim laboratorium. Tam związał się z Niewidzialnym College'em – poprzednikiem Towarzystwa Królewskiego – i rozpoczął współpracę z wpływowymi myślicielami swej epoki. W roku 1662 Boyle załatwił mu posadę kuratora eksperymentów w Londynie.

Miał niespożytą energię i z zapałem podejmował się kolejnych zadań. Nigdy jednak zbyt długo nie poświęcał uwagi jednej sprawie i zapewne dlatego – wielu uważało go za dyletanta. Jego największe dzieło, *Micrographia*, jest w zasadzie traktatem o mikroskopii, ale zawiera też sporo oryginalnych teorii dotyczących natury światła. Newton znał doskonale i w sekrecie podziwiał tę wydaną w 1665 roku książkę.

Hooke i Newton byli zaciekłymi wrogami. Skrajnie różnili się charakterem. Hooke uwielbiał bywać w kawiarni, plotkować z przyjaciółmi przy butelce porto oraz cieszyć się towarzystwem co najmniej jednej kobiety; swe liczne seksualne podboje oraz jakość orgazmów opisywał w dzienniku. Newton tymczasem wiódł pustelniczy żywot w Trinity College w Cambridge. Poza tym Newton pogardzał ludźmi, którzy muskali jakiś temat i już zajmowali się nowym, jak zdawał się

czynić Hooke.

Hooke z kolei postrzegał Newtona jako wyschniętą skorupę człowieka, osobnika istotnie genialnego, ale dręczonego obsesjami i nazbyt zarozumiałego. Dwie silne osobowości nawzajem uwypuklały swoje wady i podświadomie broniły własnych metod postępowania, odmawiając racji przeciwnikowi. Uczni pozostali wrogami aż do śmierci Hooke a w roku 1703.

Więcej w: Lisa Jardine, *The Curious Life of Robert Hooke: The Man who Measured London*, HarperCollins, 2005.

### **Hypatia (ok. 370-415)**

Jak powiedział Charlie Tucker, Hypatia była „twardą sztuką”. Niewiele wiadomo o jej życiu. Uważa się, że przyszła na świat mniej więcej w roku 370 naszej ery, a jej ojciec, Teon, był poważnym matematykiem i nauczał w szkole przy Bibliotece Aleksandryjskiej.

Hypatia wiele podróżowała i z czasem sama zyskała opinię wybitnej uczoney. Najlepiej znane są jej prace z zakresu matematyki i filozofii. Przypisuje jej się autorstwo trzech poważnych traktatów z geometrii i algebry oraz jednego z astronomii. Według niektórych źródeł była ostatnim głównym bibliotekarzem w Bibliotece Aleksandryjskiej).

Jej życie skończyło się tragicznie: podejrzaną o uprawianie czarów, tłuszcza chrześcijan wywlokła na ulice miasta i zaszlachtowała muszlami ostrym.

Myśl Hypatii była zadziwiająco nowoczesna: „Wszelkie formalne i dogmatyczne religie są błędne i nie powinny być uważane za ostateczne przez szanujące się osoby”. W innym tekście stwierdzała: „Rezerwujcie sobie prawo do myślenia, lepiej bowiem nawet myśleć błędnie, niż nie myśleć w ogóle”.

Nic dziwnego, że wcześnie chrześcijanie nienawidzili jej.

Więcej w: Maria Dzielska, *Hypatia of Alexandria*, Cambridge: Harvard University Press, 1995.

### **Księgarnia Coopera**

William Cooper istotnie był właścicielem znanej księgarni w Little Britain, dzielnicy Londynu. Isaac Newton często odwiedzał to miejsce; specjalnie w tym celu organizował sobie wycieczki do stolicy. William Cooper to szanowana postać, ale jednocześnie – dla wtajemniczonych – przede wszystkim pośrednik w

sprzedaży nielegalnych tekstów z dziedziny okultyzmu. Był dla Newtona ważnym kontaktem. Pozyskał dlań wiele zakazanych ksiąg, gdy w latach siedemdziesiątych XVII wieku uczony rozpoczął eksperymenty alchemiczne.

### **Isaac Newton (1642-1727)**

Gdy myślimy o Isaacu Newtonie, zazwyczaj przychodzi nam do głowy jabłko spadające na jego głowę i tym samym inspirujące powstanie teorii grawitacji. Istnieją jednak przekonujące dowody na to, iż Newton nie stworzył swej teorii w tej jednej chwili. W rzeczywistości wpadł na trop tej jednej z najważniejszych myśli znanych nauce dzięki zaangażowaniu w okultyzm.

Isaac Newton urodził się w 1642 roku w dość zamożnej rodzinie zamieszkałej w wiosce Woolsthorpe opodal Grantham w Lincolnshire. Był raczej zamkniętym w sobie, introwertycznym dzieckiem. W szkole nie szło mu zbyt dobrze aż do czternastego roku *życia*, kiedy to zwrócił na niego uwagę dyrektor, Henry Stokes.

W roku 1661 Newton przyjechał do Cambridge i bardzo szybko znalazł się pod wpływem doświadczonych profesorów, którzy dostrzegli jego potencjał i zachęcali go do nauki. Najważniejsi z nich to Henry Morę i Isaac Barrow. Obaj byli filozofami, ale także miłośnikami starożytnej sztuki alchemii – pasję tę zdołali zaszcześcić Newtonowi.

Dla Isaaca Newtona alchemia była środkiem do celu. Jako purytanin wierzył w ideę słowa oraz dzieła Bożego. Był przywiązany do nauki Biblii – słów Boga – i wierzył, że jego obowiązkiem jest rozwikłanie zagadki *życia*, zbadanie wszystkiego, co można zbadać, by lepiej poznać świat – rozszyfrowanie Bożego dzieła.

W owym okresie alchemia była nielegalna, a jej praktykowanie karano śmiercią. Gdyby zainteresowania Newtona zostały ujawnione, jego akademicka reputacja ległaby w gruzach. Mimo ryzyka znacznie więcej czasu poświęcał jednak eksperymentom alchemicznym niż nauce w bardziej ortodoksyjnym wydaniu. Gdy zmarł w roku 1727, w jego mieszkaniu odkryto największy zbiór literatury okultystycznej, jaki kiedykolwiek został zgromadzony. Sam napisał na ten temat ponad milion słów.

Newton zgłębiał tajniki alchemii, a równocześnie kontynuował normalną karierę naukową. Został drugim profesorem matematyki na katedrze Lucasa w Cambridge (dziś stanowisko to należy do profesora Stephena Hawkinga), zastępując swego przyjaciela i mentora Isaaca Barrowa w roku 1669, czyli w wieku

zaledwie dwudziestu siedmiu lat. Od początku lat siedemdziesiątych zyskiwał uznanie także poza Cambridge. Wreszcie został członkiem Towarzystwa Królewskiego.

Według źródeł historycznych największego osiągnięcia – sformułowania teorii grawitacji w roku 1666 – dokonał Newton podczas pobytu w domu matki w Woolsthorpe. Prawdą jest, że uczony – podobnie jak pozostali profesorowie – uciekł z Cambridge podczas zarazy z lat 1665 – 1666 i rzeczywiście pojechał do wiejskiego domu matki. Możliwe też, że istotnie usiadł pewnego dnia pod jabłonią, rozważając sens grawitacji, i że zobaczył spadające jabłko. Niewykluczone, że widok ten pomógł mu dojść do słusznych wniosków, ale nedorzecznnością jest zakładać, że prawo grawitacji objawiło mu się w jednej chwili. Newton zapewne wymyślił tę historyjkę, by ukryć wpływ eksperymentów alchemicznych na opracowanie swej słynnej teorii.

Stworzenie jej zajęło mu prawie dwadzieścia lat. Tak naprawdę nie nabrała ona kształtu, póki nie zaczął pracy nad swym wielkim dziełem *Principia mathematica*, wydanym w roku 1687. Podczas dwóch dziesięcioleci, które upłynęły między iskrą natchnienia zapaloną w ogrodzie w Woolsthorpe a publikacją pracy, kształt teorii zmieniał się pod wpływem wielu czynników.

Po pierwsze, liczyła się matematyka. Newton był doskonałym matematykiem; w wieku 24 lat nie miał sobie równych w całym pokoleniu. Był także urodzonym filozofem i wchłonał praktycznie cały kanon nauki, jaki dotąd stworzono. Zanim w roku 1665 wybuchła zaraza i przyszło mu spędzić dłuższy czas na wsi, zdążył wyprzedzić największych myślicieli swej epoki, nie wyłączając Roberta Boylea i Kartezjusza. Zaczynał już syntezę własnych koncepcji naukowych. Mając taki talent, pojął, że grawitacja jest siłą odpowiedzialną za ruch planet. Dostrzegł też związek między odległością, w jakiej znajdują się dwa ciała – takie jak planety – a siłą grawitacji, która na nie oddziałuje (odwrotnie proporcjonalną do kwadratu odległości).

W owym czasie koncepcja, jakoby obiekty mogły oddziaływać na siebie, nie dotykając się, była wprost niewyobrażalna. Takie oddziaływanie na odległość jest dziś czymś oczywistym, ale współcześni nie byli w stanie zrozumieć Newtona i upatrywali w tym wpływu magii czy innych praktyk okultystycznych.

Dzięki eksperymentom alchemicznym Newton potrafił podejść do problemu grawitacji ze znacznie bardziej otwartym umysłem niż jego koledzy. Zainteresował się alchemią mniej więcej w roku 1669. Pojechał do Londynu, by kupić zakazane księgi od bardziej doświadczonych alchemików, i rozpoczął prywatne badania,

kryjąc się przed władzami i przed wścibstwem rywali z naukowego światka. Pierwsze eksperymenty były bardzo proste, ale zgłębiwszy dostępną literaturę, Newton szybko zaczął przekraczać granice wyznaczone przez poprzedników. W iście naukowym stylu każde ze swych doświadczeń przygotowywał w sposób logiczny i precyzyjny, a następnie starannie notował wyniki. Dawni alchemicy przez lata manipulowali materia, w zasadzie nie wiedząc, co robią. Newton pracował znacznie systematyczniej.

Inną wielką różnicą między nim a jego poprzednikami było to, że nigdy nie interesowało go wytwarzanie złota. Miał tylko jeden cel: poznać to, co uważał za ukryte, pierwotne prawa rządzące wszechświatem. Być może nie miał pojęcia, że zajmując się alchemią i innymi praktykami okultystycznymi, zdoła sformułować teorię grawitacji, ale bez wątpienia przeczuwał istnienie jakiegoś podstawowego, pradawnego prawa, które eksperymenty musiały mu ujawnić.

Przełom nastąpił właśnie dzięki alchemii. Newton obserwował materiały w swym tyglu i zdał sobie sprawę, że i one podlegają działaniu sił. Widział, jak jedne drobiny materii przyciągają się, a inne odpychają. Kontakt fizyczny ani żadna inna łączność między nimi nie były potrzebne. Słowem, widział oddziaływanie na odległość i zastanawiał się, czy prawa działające w mikrokosmosie tygla mogą działać podobnie w skali makro – w świecie planet i gwiazd.

Były jednak i inne wpływy okultyzmu w jego pracy. Od połowy lat siedemdziesiątych, gdy Newton miał trzydzieści kilka lat, aż po kres życia w roku 1727 ogarnięty był obsesją na punkcie religii i długo studiował Biblię. Wierzył, że wszelka prawdziwa wiedza pochodzi od opisanych w Starym Testamencie starożytnych ludów, a króla Salomona uważał za ostateczny autorytet.

Nazywał go nawet „największym filozofem świata” i latami studiował budowę jego świątyni, opisaną w starotestamentowej Księdze Ezechiela.

Zbudowana mniej więcej tysiąc lat przed naszą erą na świętym dla Żydów miejscu, świątynia Salomona była najznamienitszym symbolem mądrości i wiary na długo przed tym, jak Newton zaproponował własną interpretację tego dzieła. Nieomal od swego powstania aż po oświecenie, prawie trzy tysiące lat później, była obiektem najwyższego kultu, podobnie jak piramidy czy Stonehenge były nimi dla pogan, którzy je – wznosili.

Newton wierzył, że Salomon zakodował mądrość Starożytnych, skupioną w samym sercu Starego Testamentu, w projekcie swej świątyni. Co więcej, sądził, że analizując Biblię z planami świątyni Salomona jako kluczem, będzie w stanie przewidywać przyszłość. Według niego plan sytuacyjny miał być szablonem, a



geometria i wymiary budynku miały się odnosić do przepowiedni wielkich biblijnych proroków – zwłaszcza Ezechiela, Jana i Daniela.

Łącząc plan świątyni z własną interpretacją Pisma Świętego, Newton stworzył szczegółowy szkic alternatywnej „chronologii świata”, w której znalazły się między innymi daty takich zdarzeń, jak powtórne przyście Chrystusa oraz Sąd Ostateczny.

Jednak konfiguracja świątyni Salomona pomogła Newtonowi również w inny sposób. Opisał tę starożytną budowlę jako otaczającą „ogień ofiarny, który płonął nieustannie pośrodku świętego miejsca” i wyobraził sobie centralny punkt świątyni jako palenisko, wokół którego zbierali się wierni. Nazwał ten układ *prylaneum*.

Wizja ognia pośrodku świątyni i zgromadzonych wokół niego wiernych była kolejnym przyczynkiem do sformułowania prawa powszechnego ciężenia. Klucz do tej koncepcji stanowiła myśl, iż być może nie tyle ważne są promienie światła rozchodzące się z centralnego punktu we wszystkie strony, ile siła, która przyciąga uczniów ku środkowi. W takim ujęciu paralela między Układem Słonecznym a układem świątyni staje się jasna; planety to uczniowie, a świątynny ogień (zwany czasem „ogniem w sercu świata”) to model Słońca.

Pomysł ten, w połączeniu z działaniem sił, które Newton miał okazję obserwować w tyglu, oraz genialną koncepcją odwrotności kwadratu odległości, przyczynił się do postawienia przełomowej tezy o istnieniu niewidzialnej siły, działającej między wszystkimi obiektami z wartością tym mniejszą, im większa jest odległość między nimi. Zmianę wartości siły opisywał wzór na odwrotność kwadratu odległości.

Wszystkie te koncepcje, a także eksperymenty laboratoryjne i obserwacje ruchu planet oraz komet, przekonały Newtona, że teoria jest słuszna. Owocem długiego procesu myślowego było dzieło *Principia mathematica* – być może najważniejszy traktat naukowy, jaki kiedykolwiek napisano. Jak na ironię, książka ta nie była jedynie płodem naukowego geniuszu Newtona, ale również jego obsesyjnego zainteresowania okultyzmem i dziedzictwem Starożytnych.

Isaac Newton był nader nieprzyjemnym człowiekiem, psychicznie okaleczonym przez nieszczęśliwe dzieciństwo. Stracił ojca, zanim przyszedł na świat, a gdy miał trzy lata, matka, do której był bardzo przywiązany, ponownie wyszła za mąż i zostawiła go z dziadkami. Nigdy nie doszedł do siebie po tym traumatycznym przeżyciu; stał się osobą skrytą, praktycznie niezdolną do zawierania przyjaźni.

W 1693 roku pięćdziesięcioletni Newton przeżył załamanie nerwowe, które nadeszło wkrótce po szczycie zainteresowania okultyzmem i po zakończeniu

homoseksualnego związku z Nicolasem Fatio de Duillierem. Newton praktycznie z dnia na dzień porzucił naukę. W roku 1696 opuścił dom w Cambridge i przeniósł się do Londynu. Został dyrektorem mennicy królewskiej w Tower of London i posłał na szubienicę wielu ludzi, którzy dopuścili się „przycinania” – kradzieży i przetopu drobin metalu (srebra lub złota) z produkowanych tam monet. Został też deputowanym do parlamentu, przedstawicielem Uniwersytetu Cambridge, a także wielce wpływową i zamożną osobistością, cieszącą się zasłużoną sławą za wkład w rozwój nauki i państwa. Dopiero po śmierci Newtona ujawniono, że przez całe życie pasjonował się okultyzmem. Więcej w: Michael White, *Isaac Newton: The Last Sorcerer*, Fourth Estate, 1997.

### **Sheldonian Theatre**

Gmach zaprojektował Christopher Wren. Prace budowlane rozpoczęły się w roku 1664, a dobiegły końca w 1668. Pierwotnie był to budynek uniwersytetu wykorzystywany do prowadzenia wykładów i specjalnych zgromadzeń. Dziś jest otwarty dla zwiedzających; odbywają się tu koncerty i konferencje. W niewielkiej odległości stoją gmachy Radcliffe Camera, Bodleian Library oraz Hertford College. Fundamenty teatru niemal na pewno łączą się ze słynnymi tunelami biegnącymi od strony Bodleian Library. Nieprawdą jest wszakże, jakoby Christopher Wren odkrył dziwny labirynt korytarzy, gdy pod jego kierunkiem kładziono fundamenty.

### **Skytale i kryptografia**

Istnieją dwie metody szyfrowania: steganografia oraz kryptografia. Steganografia to fizyczne ukrycie wiadomości. Najsłynniejszy przykład wykorzystania tej techniki przytacza Herodot w opisie poczynań despoty Hiastusa. Otóż postanowił on wysłać wiadomość do Arystagorasa, tyrana Miletu. W tym celu kazał wytatuować ją na skórze głowy niewolnika i zaczekał, aż odrosną mu włosy. Następnie wysłał go do Arystagorasa z jedną tylko instrukcją: ogolić głowę niewolnikowi.

Innym pomysłowym sposobem szyfrowania było wykorzystanie skytale. Technikę tę zastosowali jako pierwsi greccy dowódcy wojskowi. Polegała ona na zapisaniu na kawałku papiirusu wiadomości zmieszanej z przypadkowymi słowami lub literami. Po nawinięciu arkusza na wałek można było odczytać wiadomość

wzdłuż jego osi. Papirus jednak wysyłano bez wałka. Tylko odbiorca znał jego średnicę i – wiedział, jak nawinąć arkusz, by odszyfrować przekaz.

Kryptografia, znacznie bardziej uniwersalna metoda kodowania, jest niemal tak stara jak pismo i od niepamiętnych czasów służy strategom, dowódcom wojsk i przywódcom państw. Mówi się, że jednym z jej pionierów był Juliusz Cezar. Wysyłał do Rzymu meldunki z kampanii brytyjskiej, stosując najprostszą metodę kryptograficzną – przesunięcie liter alfabetu o trzy, w taki sposób, że „A” zmienia się w „D”, „B” w „E” i tak dalej. Tylko ten, kto znał wartość przesunięcia, mógł odczytać wiadomość. Wydaje się, iż to dość prymitywna metoda, ale że był to jeden z pierwszych kodów, sama nowość zastosowania szyfru stanowiła wystarczające zabezpieczenie – przynajmniej na jakiś czas.

W średniowiecznej Europie szyfry popadły w niełaskę, podobnie jak sztuka pisania i czytania, ale już w dobie renesansu zostały odkryte na nowo – przez wojskowych i filozofów. Leonardo da Vinci ukrywał wyniki swych najtajniejszych badań, zapisując notatki pismem lustrzanym. Roger Bacon miał obsesję na punkcie kodów i cyfr – w połowie trzynastego wieku napisał popularny traktat na ten temat, zatytułowany *Tajemne prawidła sztuki i nieważność magii*.

Wszechstronny geniusz Leone Alberti, który w wielu dziedzinach inspirował samego Leonarda da Vinci, znany jest jako „ojciec zachodniej kryptografii”, ponieważ wprowadził wiele kluczowych koncepcji wykorzystywanych po dziś dzień przez analityków. Jego pomysłem jest między innymi analiza częstości – technika używana do wychwytywania w tekście powtarzających się motywów, które mogą kryć ważne dane na temat klucza. Alberti wynalazł też szyfr polialfabetyczny i koło szyfrujące, zbudowane w istocie z serii kół oznaczonych numerami i literami, służące do zastępowania znaków w dowolnej wiadomości.

Koncepcje Albertiego dotyczące systemów szyfrowania polialfabetycznego rozwinął niemiecki uczyony Johannes Trithemius, którego dzieło *Polygraphiae* ukazało się w 1518 roku. Koła szyfrujące Albertiego zostały również zaadaptowane przez Thomasa Jeffersona, który z dwudziestu sześciu kół zbudował maszynę szyfrującą używaną od początku XIX wieku aż do roku 1942, gdy wycofała ją amerykańskie dowództwo sił zbrojnych.

Bodaj najsłynniejszą historią związaną z kodowaniem danych są dzieje Enigmy, maszyny wynalezionej przez Niemców przed drugą wojną światową, a używanej do szyfrowania depech wojskowych i do utrzymywania łączności z okrętami podwodnymi. Złamanie szyfru Enigmy stało się dla aliantów priorytetem; w Bletchley Park w Buckinghamshire stworzono specjalny zespół brytyjskich

kryptologów i matematyków, którzy w kwietniu 1940 roku odczytali pierwsze depeze szyfrowane Enigmą i kontynuowali swą misję do końca wojny. Ich praca nie tylko uratowała życie tysiącom żołnierzy sojusznicznych armii, lecz także przyczyniła się do powstania pierwszego komputera. Najważniejszym krokiem było tu zbudowanie maszyny zwanej Colossus, projektu Alana Tunnga i grupki analityków którzy w przyszłości mieli się stać pierwszymi informatykami. To ich osiągnięcia umożliwiły gigantyczną ekspansję komputerów w powojennym świecie. Nic więc dziwnego, że rozwój techniki komputerowej wiąże się nierozdzielnie z postępami w szyfrowaniu. Dziś doświadczenie kryptologów ma wielką wartość dla biznesu i nauki, jest też cennym narzędziem dla strategów wojskowych i polityków.

Więcej w: Simon Singh, *The Code Book*, Fourth Estate, 2000.

### **Strumień Trill Mill**

Trill Mill naprawdę istnieje, tak jak został opisany w *Ekwinokcjum*, ale jest dziś ledwie cieniem dawnej rzeczki. Ten niewielki dopływ Tamizy jeszcze w średniowieczu płynął otwartym korytem przez centrum Oksfordu i z powodzeniem mogły z niego korzystać niewielkie łodzie. W połowie dziewiętnastego wieku był już jednak tak zanieczyszczony, że w zasadzie przypominał otwarty ściek. Uznano więc Trill Mill za groźny dla zdrowia mieszkańców i zabudowano.

Historie o T. E. Lawrencie i szkieletach z epoki wiktoriańskiej, przytoczone w *Ekwinokcjum*, są prawdziwe, jednak o ile mi wiadomo, nie istnieje ukryte podziemne wejście do labiryntu od strony zabudowanego koryta Trill Mill.

### **Szmaragdowa Tablica**

Dla alchemika *Szmaragdowa Tablica* jest jednym z najświętszych tekstów. Według legendy, tablica była własnością mitycznego Hermesa Trismegistosa, patrona alchemii. Wszyscy późniejsi alchemicy musieli pracować na kopiach kopii kopii oryginalnego tekstu, z biegiem lat zmieniających treść.

*Szmaragdowa Tablica* miała tak wielkie znaczenie, ponieważ uważano ją za sprawdzoną i pewną metodę wytworzenia kamienia filozoficznego – miał to być niewiarygodnie złożony przepis alchemiczny, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Pierwsza znana kopia tego tekstu pojawiła się na Zachodzie w połowie dwunastego wieku w wydaniu tak zwanego pseudoarystotelesowskiego *Secretum*

*Secretorum* – w istocie przekładzie *Kitab Sirr al-Adar*, księgi porad dla królów, którą przetłumaczył na łacinę Johannes Hispalensis. *Kitab Sirr al-Adar*, zawierająca najstarszą ze znanych wersji inskrypcji, datuje się na rok osiemsetny naszej ery. Niektórzy uczeni uznają jednak pierwszeństwo innego dzieła – *Kitab Sirr at-Khaliqa wa San at al-Tabia* (*Księgi tajemnic stworzenia i sztuki natury*), powstałej już około roku 650 naszej ery.

Rubinowa kula opisana w *Ekwinokcjum* jest przedmiotem całkowicie fikcyjnym.

## **Towarzystwo Królewskie**

Znane pierwotnie jako Niewidzialny College, Towarzystwo Królewskie zaczęło działalność w 1648 roku przy oksfordzkim Wadham College. W owym czasie było to ledwie nieformalne zgromadzenie profesorów pod natchnionym przywództwem Johna Wilkinsa, znanego matematyka. Wśród założycieli znaleźli się między innymi tacy luminarze nauki, jak Robert Boyle, Henry Oldenburg czy biskup i astronom Seth Ward.

W roku 1659 towarzystwo przeniosło się do londyńskiego Gresham College, a trzy lata później objął je swym patronatem Karol II, wielki mecenas nauki i filozofii; od tamtej pory zyskało ono miano królewskiego.

W roku 1672, dziesięć lat po oficjalnym utworzeniu towarzystwa, jego członkiem został Isaac Newton. Dołączył do zacnego grona najznamienitszych umysłów epoki, takich jak Samuel Pepys, Christopher Wren czy Robert Hooke.

Celem towarzystwa było zgłębianie „filozofii naturalnej” dziś nazywanej po prostu „nauką”. Członkowie przeprowadzali rozmaite eksperymenty, czytali swoje prace podczas zebrań oraz publikowali jedne z pierwszych periodyków naukowych. Równocześnie wielu członków parało się praktykami, które dziś zaliczylibyśmy do okultystycznych. Istnieją też mocne dowody na ich związki z masonerią i templariuszami.

Pranaukowcy, a wśród nich najtęższe umysły epoki – choćby Isaac Newton, Robert Boyle czy Robert Hooke – wiedli w istocie podwójne życie. Na co dzień byli zwyczajnymi filozofami i badaczami, ale w swych pracowniach z zapalem parali się alchemią, astrologią i innymi aspektami tradycji okultystycznej.

Więcej w: Robert Lomas, *The Invisible College: The Royal Society, Freemasonry and the Birth of Modern Science*, Headline, 2003.

## **John Wickins (1643-1719)**

Isaac Newton poznał Johna Wickinsa osiemnaście miesięcy po przybyciu do Trinity College w Cambridge i szybko zostali współlokatorami. Wickins, syn zarządcy Manchester Grammar School, zjawił się w Trinity w roku 1663. Według jego wspomnień, pewnego razu podczas spaceru spotkał zaszępionego Newtona. Zaczęli rozmawiać i wkrótce przekonali się, że mają ze sobą wiele wspólnego.

Jedną z wielkich zagadek życia Newtona jest to, że choć przez ponad dwadzieścia lat dzielili mieszkanie, Wickins praktycznie nie zostawił zapisków na temat ich bliskich stosunków. Rozstali się w gniewie w roku 1683 i choć Wickins żył jeszcze trzydzieści sześć lat, więcej się nie spotkali.

Przez długi czas Wickins był asystentem Newtona. Regularnie przepisywał jego notatki z eksperymentów, pomagał nastawiać aparaturę i monitorował badania. Ich pokoje stały się mieszkalnym laboratorium. Na początku były w nich głównie dokumenty i proste instrumenty optyczne własnej konstrukcji, z czasem jednak przybyły palniki i butle z chemikaliami. Opuściwszy Cambridge, Wickins został duchownym, ożenił się i założył rodzinę. Wiele lat po rozstaniu Newton wysłał mu paczkę Biblii przeznaczonych dla „owieczek” z jego parafii w wiosce Stoke Edith opodal Monmouth. Jedynym śladem korespondencji między nimi jest datowany dziesięć lat po rozstaniu list, w którym Wickins prosi dawnego współlokatora o kolejną dostawę Biblii.

## **Christopher Wren (1632-1723)**

Wren, który w 1673 roku uzyskał tytuł szlachecki, był zapewne najwszechstronniejszym angielskim uczonym. Przyszedł na świat w wielce uprzywilejowanej rodzinie – jego ojciec był kapelanem królewskim. Młody Wren dorastał, bawiąc się z przyszłym królem Karolem II.

Christopher Wren pamiętany jest przede wszystkim jako architekt, który zaprojektował wiele słynnych budowli londyńskich, takich jak obecna katedra św. Pawła, gmach Giełdy Królewskiej czy Drury Lane Theatre. Był jednak także utalentowanym artystą, matematykiem i astronomem – profesorem astronomii katedry Savilian w Oksfordzie. Należał do pierwszych członków Towarzystwa Królewskiego po przeprowadzce tegoż do Londynu, a jego kontakty z Karolem II wybitnie przyczyniły się do wzrostu znaczenia towarzystwa.

W latach sześćdziesiątych siedemnastego wieku Wren wykonał jedną z

pierwszych (całkowicie nieudaną) transfuzję krwi. Prowadził również badania nad prawami ruchu, które później zachęciły Isaaca Newtona do eksperymentów w tym kierunku. Był jednym z niewielu ludzi, których Newton szanował; fizyk uważał się wręcz za dłużnika wielkiego architekta. Christopher Wren zmarł w roku 1723 w wieku lat 90 i był pierwszą osobą pochowaną w katedrze św. Pawła.

Więcej w: Lisa Jardine, *On A Grand Scale: The Outstanding Career of Christopher Wren*, Harper-Collins, 2003.

## **Zakon Czarnego Sfinksa**

Podobnie jak Strażnicy, Zakon Czarnego Sfinksa jest fikcją literacką, ale wzorem dla obu tych grup były autentyczne, istniejące od wieków tajne stowarzyszenia.

Najsławniejszymi z nich są wolnomularze oraz templariusze. Do mniej znanych należą Zakon Iluminatów, różokrzyzowcy oraz stosunkowo nowy Hermetyczny Zakon Złotego Switu. Wystarczy zajrzeć do wyszukiwarki Google, by się przekonać, że istnieją liczne i bardzo dziwne tajne stowarzyszenia. Większość z nich tworzą niegroźni fantaści, ale według lansowanych tu i ówdzie teorii spiskowych, iluminaci i masoni są w istocie agentami mrocznych osób sprawujących rzeczywistą władzę nad światem, sterujących finansowym i politycznym pulsem współczesności.

Więcej w: Nick Harding, *Secret Societies*, Pocket Essentials, 2005.

## **COPYRIGHTS**

Strona 289 – Alchemik (Topfoto/Roger Viollet)

Strona 293 – Astrologia i narządy (Topfoto/Fortean)

Strona 297 – Bodleian Library (Topfoto/Woodmansterne)

Strona 298 – Robert Boyle (Topfoto/RHR)

Strona 302 – Hypatia (Topfoto/ARPL)

Strona 304 – Isaac Newton (Topfoto/Roger Viollet)

Strona 309 – Sheldonian Theatre (Topfoto/Image Works)

Strona 314 – Towarzystwo Królewskie (Topfoto/HIP)

Strona 316 – Christopher Wren (Topfoto)

## PODZIĘKOWANIA

Wielu ludzi pomogło mi w tworzeniu tej książki – od pomysłu po publikację. Pragnę podziękować moje; agentce, Carole Blake, która dostrzegła coś w maszynopisie i przedstawiła go światu. Swą wdzięczność rozciągam także na wszystkich pracowników Blake Friedmann, najlepszej ze wszystkich agencji literackich.

Gorące podziękowania należą się też znakomitym przyjaciołom, którzy służyli mi radą, gdy pisałem kolejne wersje powieści: Timowi Alexandrowi, Kevinowi Daviesowi, Davidowi Michiemu, Karen i Julianowi Johnsonom oraz Julesowi Watsonowi. Przede wszystkim jednak pragnę docenić ogromny wkład mojej żony Lisy, która podsuwała mi pomysły, krytykowała błędy i dzieliła się ze mną bezcennymi komentarzami od fazy koncepcyjnej aż po ostateczną wersję książki.